HALINA POPŁAWSKA
TALERZ Z NAPOLEONEM
Część I
RÓŻA

Słodkiej Francji

Melę znaleziono na cmentarzu, na starym paryskim cmentarzu Pere-Lachaise w pewien chłodny marcowy poranek. Właściwie można by ściśle określić datę owego wydarzenia, stało się to bowiem czwartego marca tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego roku. W sam dzień świętego Kazimierza. Na imieniny Dziadusia. Były to już drugie imieniny, które Dziaduś obchodził na cmentarzu.
Pierwszy zobaczył ją Antoś.
— Popatrz, co tam siedzi? — pociągnął siostrę za rękaw, wskazując omszały kamień sąsiadujący z grobem Fryderyka Chopina.
Róża podniosła oczy znad marmurowej tablicy, gdzie wypisano imiona tych wszystkich, którzy odchodzili po kolei, pozostawiając rodzeństwo na prawdziwie sierocą dolę.
— Zobacz — nalegał. — Przecież tam ktoś jest, za tamtym grobem. Widzisz?
Róża zebrała fałdy szerokiej spódnicy, wstała z klęczek i spojrzała we wskazanym przez brata kierunku.
Rzeczywiście, ktoś krył się za wielkim grobowcem, tak starym, że deszcz, śnieg i wiatry zdążyły zetrzeć z jego powierzchni wszelki ślad wyżłobionych tam niegdyś znaków.
— Kto to może być? — chłopiec zniżył głos, przysuwając się bliżej siostry.
— Zaraz zobaczymy.
Choć o tej porze cmentarz wydawał się opustoszały, świeciło słońce i nie było żadnych powodów do obaw. Tym bardziej że to coś, kryjące się wśród mogił, małe i niepozorne, nie mogło przecież być w żaden sposób niebezpieczne.
Zza omszałego kamienia śledziło zbliżających się dwoje bar-

dzo niebieskich oczu, a do grobowej płyty tuliła się mała dziewczynka w żałobnej czerni.
Róża wyciągnęła rękę gestem, jakim zazwyczaj przywołujemy bezdomnego psa, by, okazując jak najlepsze zamiary, pozyskać zaufanie płochliwego zwierzęcia.
Dziewczynka jeszcze bardziej skuliła się, zaciskając zsiniałe od chłodu dłonie, a strach zdawał się przykuwać ją do kamiennej osłony, od której jedynie siłą pozwoliłaby się chyba oderwać.
— Co tu robisz? — Różę dzielił od małej już tylko stary nagrobek. — Chodź do mnie. Zmarzłaś.
Dziewczynka nie spuszczała przerażonych oczu z obcych, których intencje — mimo przyjaznego gestu — wcale może nie były przyjacielskie.
— Nie bój się, chodź.
Głos Róży i jej uśmiech wzbudziłyby zaufanie nie tylko u bezdomnego psa, na dziewczynce jednak nie robiły spodziewanego wrażenia. Mała cofała się za kamień, jak gdyby twardy głaz zdolny był udzielić jej obrony.
— Nie lękaj się — Róża była coraz bliżej. — Nie zrobię ci nic złego.
— Może ona nie słyszy? — Antoś pamiętał kłopoty Dziadusia spowodowane głuchotą.
Róża szybko okrążyła grobowiec i przykucnęła przy dziewczynce.
— Chodź do mnie — objęła cieniutkie ramiona. — Zmarzłaś i jesteś głodna. Prawda?
Dziewczynka trzęsła się z zimna i pewnie ze strachu, ale nie uciekała. Wpatrywała się uporczywie w te dwie nieznajome istoty, przenosząc spojrzenie z Róży na chłopca i z powrotem.
— Dlaczego jesteś sama na cmentarzu? Gdzie mieszkasz? Gdzie twoi rodzice?
Pytania te pozostały bez odpowiedzi. Dziewczynce drżały wargi, dygotała cała drobna figurka, aż Róża, zdjęta litością, zsunęła z ramion ciepły wełniany szal i otuliła małą.
— Co z nią zrobimy?
— Zabierzemy ze sobą. Przecież nie można zostawić jej na cmentarzu. Widzisz, jak zziębła.

Dziewczynka nie stawiała oporu i dała się posłusznie prowadzić nowej opiekunce.
Raz jeszcze przeszli obok grobu najbliższych, zatrzymując spojrzenie na wyrytych na tablicy imionach. Dziaduś był ostatni.
„Kazimierz Ordęga
urodzony w Ojczyźnie 18 czerwca 1795 roku
zmarł w Paryżu 20 września roku 1865."
Żałobną tę kolejność zapoczątkowała jego żona, Józefa z Mirec-kich. Umarła jeszcze przed urodzeniem Antosia. Róża ledwie ją pamięta.
Po niej syn, Stanisław, „zginął tragicznie 14 stycznia 1858 roku podczas zamachu na Napoleona III". Tak tam wypisano. Cesarzowi nic się wówczas nie stało, ale ojciec Róży i Antosia osierocił rodzinę.
Żona jego, Marianna z Lutyńskich, tylko o pięć lat przeżyła męża. Dzieci zostały więc z Dziadusiem, niestety nie na długo. Dziewiętnastoletnia Róża i o osiem lat młodszy od niej Antoś już drugi rok kosztowali smaku zupełnego sieroctwa.
Te smutne rozmyślania nie pasowały do radosnego ranka, do słońca, którego blask odmładzał najstarsze nawet groby, mimo że ich kamień dawno już porósł mchem zapomnienia. I choć był to cmentarz, ziemia jednak — jak wszędzie tak i tu — cieszyła się nadchodzącą wiosną.
Skręcili w główną aleję prowadzącą prosto do bramy. Róża tym razem nie przystanęła przy płaczącej wierzbie, posadzonej nad mogiłą poety. Antoś za to odczytał głośno nazwisko wyryte na pomniku: „Alfred de Musset".
Strażnik przy bramie nabijał właśnie fajkę i nie bardzo zważał na wychodzących. Dziewczynka, dotąd spokojna, nagle okazała przestrach i schowała się za opiekunkę.
Bulwar Menilmontant, świeżo wytyczony na krańcach stolicy, przedłużał cmentarną pustkę i sporo czasu minęło, nim natknęli się na wolnego fiakra.
Daleko stąd na ulicę Świętego Rocha, gdzie w wysokiej kamienicy naprzeciw kościoła mieszkało rodzeństwo. Dziewczynka wciśnięta w głąb dorożki przyglądała się mijanym domom, jak gdyby wypatrując znajomych miejsc, a wyraz jej oczu upodabniał ją do zastraszonego zwierzątka.

Dozorczyni powitała Różę przymilnym uśmiechem, ciekawa wszystkiego, co dotyczyło życia lokatorów. Mijając lożę, dziewczynka, jak gdyby znowu świadoma niebezpieczeństwa, mocniej przytuliła się do opiekunki, kryjąc twarz w jej fałdzistej spódnicy.
Schody, dość szerokie i czysto zamiecione, poprowadziły na górę. Mijając drzwi pierwszego piętra Róża odwróciła głowę. Zawsze tak robiła. Trudno przecież patrzeć na wejście do mieszkania, które do śmierci ojca było ich domem. Potem musieli przenieść się wyżej, na trzecie piętro, gdzie czynsz był o wiele niższy, bo i mieszkanie odpowiednio skromniejsze.
Dziewczynka wpatrywała się w palce Róży szarpiące rączkę dzwonka. Obejrzała już drzwi, przechylając głowę, może nasłuchiwała kroków w oczekiwaniu na kogoś, kto za chwilę ukaże się w progu.
Otworzyła naturalnie Zelia, bo oprócz niej nikogo innego nie było w domu.
— O, co to? — Stała w drzwiach, tarasując sobą wejście, zafascynowana widokiem czarnej figurki.
— Nic, nic, Zelio, zaraz ci wytłumaczę. — Róża delikatnie odsunęła „więcej niż służącą" i wprowadziła małą do schludnego przedpokoju. — Zamknij drzwi, nie chcę, żeby kto widział.
— Więc co to za dziecko? — Zelia nie dała się zbyć byle czym.
— Znaleźliśmy na cmentarzu. Popatrz, jaka zziębnięta. I wystraszona. Biedactwo. Trzeba jej dać coś gorącego.
— Obiad gotów. — Zelia zanim wyszła do kuchni, raz jeszcze zlustrowała niespodziewanego gościa.
— Jak ci na imię? — Róża przyklękła przy małej, rozpinając żałobny paltocik. <
Milczenie.
— Ja jestem Róża, a ty?
Dziewczynka choć dalej milczała, nie przestawała wodzić wzrokiem po ścianach ciasnego pomieszczenia.
— Daj, rozwiążę ci wstążki kapturka. Masz tak zgrabiałe paluszki...
Zarówno paltocik jak i kapturek uszyto z sukna najlepszego gatunku, a czarna sukienka, ciasno opinająca cieniutką talię, roz-

kładała się szeroko w modną krynolinę. Ten smutny strój ożywiała pod szyją wąska biała wypustka.

Dopiero w pokoju służącym za jadalnię Róża dokładnie obejrzała małą. Dziewczynka wyglądała na jakieś siedem lat. Ciemne włosy, rozdzielone pośrodku głowy, zapleciono w grube warkoczyki. Buzia teraz blada i mizerna, przedtem musiała być krągła i rumiana. Co jednak spowodowało ucieczkę na cmentarz? Bo to była chyba ucieczka. Świadczył o tym przestrach i ukrywanie się wśród grobów. Ale dlaczego?
Do dziewczynki Róża zwracała się po francusku, tak zresztą rozmawiała z Zelią, choć służąca, od dziesięciu lat przebywająca w polskim domu, nachwytała wiele słów, a nawet zapamiętała całe zwroty.
— Ma doskonałą pamięć i jest zdumiewająco inteligentna — mawiał Dziaduś.
Rzeczywiście. Nauczono ją jedynie czytać i pisać, lecz bystrością umysłu i słusznością sądu Zelia prześcigała niejedną osobę, która otrzymała tak zwane wykształcenie. I pomimo że w domu Ordęgów spełniała funkcje służącej, po śmierci Dziadusia została główną doradczynią i opiekunką sierot.
Stała teraz nad milczącą dziewczynką, przyglądając się, jak zanurza w talerzu srebrną łyżkę i ze znawstwem smakuje jarzynową zupę, jedno z arcydzieł Zelii.
Antoś wyjątkowo był w domu. Ale dzień świętego Kazimierza, patrona młodzieży, uroczyście obchodzono w Szkole Narodowej Polskiej na Batignolles i uczniowie wolni byli od lekcji. Zresztą jeszcze inna okazja pozwoliła chłopcu spędzić ten ranek w towarzystwie siostry: imieniny Dziadusia i wizyta na cmentarzu. Po południu Zelia miała odprowadzić go do szkoły, bo nazajutrz zaczynał się zwykły dzień pracy.
Gdy Zelia poszła włożyć odświętną suknię, Antoś z żalem żegnał się z siostrą. Nie lubił — na jakże długi tydzień — rozstawać się z domem, tym bardziej teraz, gdy obecność tajemniczej dziewczynki zapowiadała nadzwyczajne może wydarzenia.
— Wiesz co? — starannie obciągał kurteczkę mundurka, bo pan wychowawca wymagał od uczniów nienagannej prezencji. —

Ona pewnie nie rozumie po francusku. Może to Angielka? Albo Hiszpanka? Jak cesarzowa Eugenia.
— Jest bardzo zalękniona. Musiało ją spotkać coś strasznego. Czekajmy, aż się oswoi. Teraz potrzebuje tylko snu. Zaraz ją położę.

Wkrótce zapanowała zupełna cisza. Zelia z Antosiem wyszli, a dziewczynka spała. Róża lubiła takie chwile samotności, w domu — podobnie jak brat — nie spędzała zbyt wiele czasu. Należało przecież coś robić, pracować na chleb, bo pensja, jaką po zamachu na cesarza przyznał wdowie rząd francuski, nie była zbyt wysoka; choroba matki, a potem Dziadusia pochłonęły wszelkie oszczędności.

Szczęśliwie ich znajoma, -pani Carette, lektorka cesarzowej Eugenii, zarekomendowała ją w pałacowej szwalni, a tam potrafiono już ocenić zręczne palce dziewczyny. Po miesiącu Róża była hafciarką Jej Cesarskiej Mości, i tylko ona miała prawo zdobić artystycznym wzorem bieliznę i chusteczki przeznaczone do najjaśniejszej garderoby.

Od roku więc, każdego ranka spieszyła do Tuileriów. Po drodze wstępowała do kościoła, po czym przecinając starą ulicę Świętego Honoriusza i nową ulicę Rivoli, dochodziła do bocznego wejścia pawilonu de Marsan.

Znano ją tam dobrze. Strażnik witał codziennego gościa zamaszystym ukłonem. Róża zagłębiała się w cień monumentalnie sklepionej królewskiej bramy, by po chwili wynurzyć się na wewnętrznym dziedzińcu. Stamtąd było już blisko na schody przeznaczone dla służby, gdzie na drugim piętrze, obok szwalni, w jasnym pokoju o dwóch oknach wychodzących na ogrody, czuła się prawie jak u siebie.

Pochylona nad napiętym na tamborku cieniutkim batystem, wysnuwała białą nitką bukieciki fiołków, ulubionych kwiatów cesarskiej chlebodawczyni. (^

Co prawda, Róża, gdyby chciała, miałaby zastęp klientek, takie cuda pani Carette opowiadała o jej sztuce. I tego wszystkiego nauczyła ją matka, jeszcze gdy Róża była małą dziewczynką. A matka umiała to od swojej matki. Z tą tylko różnicą, że owe matki i babunie nie dla zarobku haftowały kościelne obrusy, nie dla podniesienia urody wielkich dam wyczarowywały spod igły naj-

piękniejsze kwiaty godne rajskiego ogrodu, one wszystko, co robiły, kładły na ołtarze.

Róża pamięta, opowiadał Dziaduś. Do końca, do ostatnich dni wspominał. Właściwie zabiła go chyba tęsknota, bo nie był ani taki stary, ani chory, ani słaby. Źle słyszał, to wszystko. A nikt przecież nie umiera z głuchoty!

Dziaduś zawsze czuł się wygnańcem, choć przeszło trzydzieści lat mieszkał w Paryżu. Był wieśniakiem, a musiał tkwić w gwarze wielkiego miasta. Ale w wielkim mieście łatwiej zniknąć, a Dziaduś tego właśnie potrzebował. Zniknąć. Stać się niewidocznym. Miał po temu powody. Nie potrafił jednak wrosnąć w tę gościnną francuską ziemię, która przygarnęła już tylu tułaczy. Był jak i oni ofiarą listopadowej katastrofy. Zamiast, przykuty do taczki, pracować w sy-birskiej kopalni, żył wolny w nowej ojczyźnie, ale czuł się tu obcy. Po prostu nietutejszy
Róża znała najważniejsze etapy tragicznej walki, która miała przecież wszelkie szansę powodzenia. Nikt wówczas nie pomógł, żaden rząd europejski nie podniósł ręki w obronie ciemiężonych. A Polacy, ufni w podpisane na kongresie wiedeńskim zobowiązania, oczekiwali interwencji. Mieli jeszcze wojsko, mieli oficerów kształconych w napoleońskiej szkole, mieli wszystko prócz wodza.
Po klęsce powstania książę Adam Czartoryski, prezes Rządu Narodowego, wyraził się z goryczą: „Polegaliśmy na szlachetności i mądrości gabinetów. Ufając im, nie zużytkowaliśmy wszystkich sił, jakimi rozporządzaliśmy. Mogliśmy nieprzyjacielowi zadać cios stanowczy. Zdawało się nam, że lepiej było zwlekać".
Dziaduś nie umiał bez wzburzenia mówić o tamtych wydarzeniach. A musiał je wspominać. Z perspektywy czasu raz jeszcze przeżywał wzloty i upadki nadziei, jaką wówczas karmili się Polacy. Analizował postępowanie dowódców, doszukiwał się błędów w decyzjach, badał przyczyny przegranej. Cóż to jednak mogło dać? Tym bardziej że za słuchaczy miał dwoje dzieci, niedorosłą dziewczynkę i małego chłopca.
Jak przyjemnie spędzić popołudnie w domu! Róża chodzi po mieszkaniu, po tych ciasnych pokoikach, zamykających jej świat. Zwolniła się na dzisiejszy dzień, na imieniny Dziadusia. Akurat wczoraj wykończyła haft na nocnej koszuli z najpiękniej-

szego batystu. Panna Wirginia obszyła dół i rękawy koronką tak cienką, że ledwie ją widać. Pani Benoit bardzo była zadowolona.
. Róża wzdycha. Czy będzie kiedy miała podobne cuda? Cesarzowa Eugenia, choć już nie taka młoda, jest bardzo piękna, musi więc nosić piękne rzeczy. Ale ona, Róża, też chciałaby choć raz... Niestety, liczyć się

trzeba z każdym groszem, bo przecież najważniejsze to edukacja Antosia. A tu jeszcze to obce dziecko spada jak gdyby z nieba.
Na palcach podchodzi pod drzwi sypialni. Dziewczynka śpi na kanapce, gdzie jej posłała Zelia. Buzia już mniej blada i znikł wyraz lęku. Widać we śnie jest odprężona i może szczęśliwa. Po kim jednak nosi żałobę? Róża wycofuje się do jadalni będącej zarazem salonikiem. Przysuwa fotel bliżej kominka, jak lubił Dziaduś, poprawia serwetkę na stoliku, po czym wchodzi do pokoju zmarłego.
Niczego tu nie ruszano. Wszystko stoi tak, jak zostawił. Zelia pieczołowicie okurza meble, podlewa fuksje, trzepie dywanik przed łóżkiem. Róża bierze z komódki dwie miniatury, Dziadusia i babuni. Jacy młodzi! Malował je pewien artysta przybyły z Wilna na zaproszenie nowożeńców. Bo rodzice Dziadusia mieszkali na wsi. W nowogródzkiej ziemi. W majątku Karolinowo. I byli szczęśliwi. Kochali się. Żyli dostatnio i niczego im nie brakowało. Niestety, sytuacja polityczna stawała się z dnia na dzień trudniejsza. Car — król Aleksander Pierwszy — zapewniał, że utworzone po kongresie wiedeńskim Królestwo Polskie połączy się z Litwą i z Rusią. Nie spełnił jednak tych obietnic.
Kongres wiedeński aktem podpisanym przez mocarstwa europejskie przywrócił Polsce państwowość. Cóż jednak z tego, jeżeli carat nie respektował podpisanych wcześniej zobowiązań?
Dziaduś nieraz powtarzał, że Zachód zdradził Polaków, że mimo szumnych protestów i zapewnień przeszedł do porządku nad rozbiorami, że oddał Polskę we władanie Austrii, Prus i Rosji, umywając ręce od dalszej odpowiedzialności za jej losy.
— Żebyście nigdy nie zapomnieli o Ojczyźnie — dodawał. — Jesteście Polakami i musicie nimi pozostać. Nawet tu, żyjąc w pielgrzymstwie. Tak. W pielgrzymstwie. Nigdy nie powiedział „na wygnaniu"

czy „na tułactwie", a już najbardziej irytowało go, gdy kto wspomniał o „emigracji". Powtarzał wówczas za Adamem Mickiewiczem: „Każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący bez celu. Ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego. Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do Ziemi Świętej, Ojczyzny wolnej, ślubował wędrować poty, aż ją znajdzie".

Ach, jakże wówczas gorzały oczy Dziadusia, cała jego twarz wydawała się przeistoczona. Jak gdyby oświetlona od wewnątrz.
Róża dziwiła się, że choć tak patriotycznie nastrojony, rzadko stykał się z rodakami. Na pytanie, dlaczego nie utrzymuje stosunków z kołami polskimi w Paryżu, odpowiadał: „Tak lepiej". Ale to już była Dziadusiowa tajemnica i należało uszanować jego wolę.
Zelia zastała ją w ciemności wtuloną w fotel przy wystygłym kominku.
— Dlaczego nie zapaliłaś lampy? — krzątała się jak zwykle zaradna, spoglądając spod oka na siedzącą, zatroskana smutkiem swojej młodej „pani". — A właściwie co zamierzasz zrobić z tą dziewczynką?
— Nie wiem.
— Należałoby dać znać do policji.
— Słuchaj, Zelio, ona przed czymś uciekała. Przed czymś albo przed kimś. Przeżyła coś strasznego. Straciła mowę. Ale garnie się do mnie. Może umarła jej matka... Jest przecież w żałobie.
— Wszystko to bardzo pięknie — Zelia zawsze kierowała się rozsądkiem. — Pomyśl jednak, przecież jej szukają. Rodzice, opiekunowie... A ona tu, u nas.
— Ona u nas jest bezpieczna. Czy nie rozumiesz, że to dziecko czegoś się boi? Bardzo się boi?
— Ee, to już przesada. Nic dziwnego, że się boi. Oddaliła się bez pozwolenia, wszyscy zajęci pogrzebem... lęka się, bo wie, że czeka ją kara. Nieposłuszna i tyle.
— A jeżeli ktoś chce ją skrzywdzić?
— Skrzywdzić? — Zelia wzruszyła ramionami. — Zawsze miałaś bujną wyobraźnię. My ją krzywdzimy, ukrywając przed jej prawowitymi opiekunami. Zrozumże wreszcie. Po tym, jak jest ubrana,

widać, że to dziecko z bogatego domu. Może z wielkiego domu. A tu co będzie miała?
— Och, Zelio, sama nie wiem, co robić. Poczekajmy do jutra, aż przemówi.
— A jeżeli to niemowa albo głuchoniema?
— Proszę cię, poczekajmy do jutra.
— Dobrze, poczekajmy — zgodziła się niechętnie Zelia, zupełnie nie przekonana argumentami Róży. — Zaraz podam kolację. — I wyszła do kuchni.

Zelia znała swoje miejsce i choć „panienkę" nazywała po imieniu, nigdy mimo nalegań Róży nie siadła z nią do stołu. Asystowała przy jedzeniu zawsze stojąc, gotowa do usłużenia, podania potrawy, zmiany talerzy. Tak samo, jak było za życia państwa.
— Słuchaj, Zelio, po co te ceregiele — irytowała się Róża. — Przecież jesteśmy same, we dwie.
— Co by to było, gdyby służba siadała z państwem do stołu — odpowiadała niezmiennie Zelia. — Istna rewolucja. A potem gilotyna i obcinano by głowy na szafocie. Chcesz tego?
I jak zwykle postawiła na swoim.
Róża raz jeszcze zajrzała do sypialni, jak gdyby w nadziei, że niema dotąd dziewczynka udzieli jej natychmiast oczekiwanych wyj aśnień. Co robić? Doprawdy nie wiedziała. Zelia chyba miała rację. Jak wytłumaczy pobyt nieznanego dziecka w domu przy ulicy Świętego Rocha? Nie ukryje jej przed wścibskim wzrokiem dozor-czyni. Co odpowie na pytania? Jak się to jednak stało, że mała znalazła się sama na cmentarzu?
— Przypuszczalnie chowano kogoś z jej rodziców, ojca czy matkę — mówiła Zelia, gdy już podała kolację. — Dziecko skorzystało z nieuwagi guwernantki i oddaliło się. Może wcale nie miała zamiaru uciekać, po prostu znudziła się ceremonią, a potem coś ją przestraszyło, pobiegła dalej i zabłądziła. Na cmentarzu o to nietrudno.
— Opiekunowie nie mogli jej tak zostawić!
— Na pewno jej szukali. Mała zmęczona, spłakana, zasnęła wreszcie, przysiadłszy na jakimś grobie. A poza tym, jak ci już mówiłam, bała się kary.

— Doprawdy, Zelio, dla ciebie to wszystko takie proste.
— A po co komplikować sprawy, których nie znamy? Przecież nic o niej nie wiemy. Absolutnie nic. Chodź, obejrzmy raz jeszcze jej bieliznę, może są tam jakie znaki czy inicjały. A krzyżyk, co ma na szyi, widziałaś? Piękna robota.
Bielizna dziewczynki była wykwintna. Z najcieńszego batystu. Róża dobrze się na tym znała. Koszulkę i długie falbaniaste panta-lony, obszyte walansjenką i białym haftem, naznaczono inicjałami M.N.

Buciki z miękkiej czarnej skórki, zapinane z boku na trzy guziczki, pochodziły od najlepszego paryskiego szewca. Białe pończochy były nowe, widać włożono je pierwszy raz na dzień pogrzebu. Ale decydującym dowodem na poparcie słów Zelii był złoty krzyżyk na dość grubym łańcuszku. Na nim też były inicjały, a między nimi data. Róża pochylona nad śpiącą z trudem odczytała: „R. 27 lipca 1859. A."
— To pewnie data jej urodzenia — stwierdziła Zelia, która trzymała lichtarz nad małą. — Doprawdy, obawiam się, że nie mamy prawa postąpić z nią tak samowolnie.
Gdy Róża obudziła się nazajutrz rano, dziewczynka już nie spała. Leżała cichutko, obiegając oczami nieznany pokój.
— Dzień dobry — Róża przysiadła w nogach kanapki. — Jak spałaś? Dobrze?
Dziewczynka otworzyła usta, jak do odpowiedzi, ale zacisnęła je natychmiast, przekonana widać o konieczności milczenia.
— Wstawaj, pomogę ci się ubrać. A potem umyjesz buzię, rączki i zjesz śniadanie.
Dziewczynka spojrzeniem i wyrazem twarzy zdawała się potakiwać mówiącej, ale nie odezwała się ani słowem.
Po śniadaniu Róża wybierała się do pałacu. Widząc, że opiekunka kładzie kapelusz, dziewczynka okazała niepokój.
— Nie bój się. Zostaniesz z Zelią, a ja wrócę na obiad.
W przedpokoju Zelia raz jeszcze poruszyła drażliwy temat.
— I co postanowiłaś? Należałoby już dziś...
— Tak, tak, Zelio, po obiedzie zastanowimy się razem, jak to załatwić. Tymczasem uważaj na nią — wskazała wzrokiem małą,

siedzącą w Dziadusiowym fotelu obok kominka. — Dałam jej książki z obrazkami do oglądania, myślę, że nie sprawi ci kłopotu.
Aż do powrotu Róży dziewczynka nie zeszła z fotela. Gdy obejrzała już ryciny w książkach Antosia, przechyliła się w stronę ognia, jak dorosła osoba, gdy wypatruje w płomieniach odpowiedzi na trudne jakieś zapytanie.
Obiad jadła w milczeniu, choć uśmiechem okazała żywą radość z obecności Róży. Chodziła też za opiekunką, jak przywiązany do swej pani piesek, a patrząc w oczy czy przytulając się do jej ręki, dawała wyraz sympatii i wdzięczności.

Po obiedzie Róża znowu pobiegła do pałacu, naszykowawszy przedtem na stoliku nową porcję książek, rycin i malowanek.
Dziewczynka zdrzemnęła się w fotelu, znużona szarością zimowego dnia, brakiem towarzystwa, pozbawiona swoich ulubionych zabawek. Wieczór wraz z powrotem Róży przyniósł ożywienie, rozbudził zainteresowanie nowym miejscem pobytu. Dziewczynka biegała po mieszkaniu, po tych niewielkich pokoikach, zajrzała nawet do kuchni i do ciemnej garderoby, gdzie sypiała Zelia. Jednakże mnogość wrażeń nie zdołała wyrwać jej z ust ani jednego słowa.
Róża zaczynała już przypuszczać, że mała rzeczywiście jest głuchoniema, gdy w pewnej chwili, wszedłszy do pokoju Dziadu-sia, by zabrać pozostawioną tam poprzedniego wieczoru świecę, zauważyła, że dziewczynka, która wsunęła się za nią, przystanęła przed wiszącym nad komódką talerzem z sewrskiej porcelany.
— Mój talerz! — krzyknęło dziecko po polsku, wyciągniętą ręką wskazując ścianę. — Mój talerz z Napoleonem!
Róża znieruchomiała z lichtarzem w dłoni, tak przechyliwszy świecę, że wosk splamił podłogę.
Dziewczynka nie spostrzegła wrażenia, jakie jej okrzyk wywarł na opiekunce, i wpatrywała się w Dziadusiową pamiątkę, zapomniawszy chyba o obecności Róży.
Róża postawiła świecę na stoliku i podeszła do małej.
— Więc jesteś Polką.
— Skąd masz mój talerz? — dziewczynka nie słyszała chyba pytania.

— To talerz mego Dziadusia — Róża powoli wracała do równowagi. — Zawsze u niego był.
— To mój talerz — upierała się mała. — Mój. Dał mi go tatuś. — I nagle rozpłakała się.
Na próżno Róża usiłowała ją pocieszyć, ukoić najczulszym słowem, utulić najserdeczniejszym uściskiem. Dziewczynka szlochała tak rozpaczliwie, że zdawało się, nie istnieje na ziemi pociecha na tak beznadziejny smutek.
Zelia, posłyszawszy płacz, przybiegła z kuchni i podobnie jak Róża stała bezradna wobec gwałtowności niedziecinnego doprawdy bólu.

Tego wieczoru dziewczynka więcej się już nie odezwała. Nie chciała jednak wypuścić palców Róży, która otuliła ją kołdrą i długo przy niej siedziała. Zasnęła, gdy zmogło ją wreszcie znużenie, a zapłakana buzia nawet we śnie zachowała tragiczny wyraz.

— Wyobraź sobie, to polskie dziecko — mówiła Róża do Zelii, gdy uwolniwszy rękę z obejmujących ją ciasno paluszków, zamknęła za sobą drzwi sypialni. — Poznała talerz Dziadusia, twierdzi, że to jej własność, że tatuś go jej dał.

— Pewnie ma taki sam w domu — Zelia nie widziała w tym nic nadzwyczajnego. — Podobnych talerzy tysiące wyrabiano w sewrskiej manufakturze. Można je kupić w każdym sklepie.

— Takiego jak ten nigdzie nie spotkałam. Dziaduś miał go od młodości. To jedna z nielicznych pamiątek, jakie wywiózł z rodzinnego domu. Doprawdy to niezwykłe, że ta mała akurat ma taki sam.

— Może i niezwykłe — przyznała obojętnie Zelia. — Weź jednak pod uwagę, że dziecku łatwo się pomylić. Wszystkie te porcelanowe talerze czy inne cacka są do siebie podobne. Mają różne malowanki...

— Ale tu pośrodku jest portret Napoleona i dziewczynka wie o tym. Ktoś jej musiał powiedzieć.

— Napoleon u nas w modzie. To przecież stryj naszego cesarza. Wszędzie możesz zobaczyć jego portret.

— Ten talerz jest stary, właśnie z czasów Napoleona. Dziaduś kupił go w Warszawie pięćdziesiąt lat temu.

— Co z tego? Cźy myślisz, że tylko na jednym talerzu wymalowano wówczas Napoleona? W tysiącach domów znajdziesz takie

same, na stole czy na ścianie. Nie zawracaj sobie głowy talerzem. Dobrze, że mała przemówiła, wiemy przynajmniej, że nie jest kaleką. Idź teraz spać, bo już późno, ja mam jeszcze robotę. Przez to wszystko nie zebrałam bielizny do prania, a matka Martin jutro będzie w naszym domu.

— Pomogę ci.

— Jeszcze czego i Do haftu potrzebne wypoczęte oczy.

Na niektóre tematy z Zelią nie było dyskusji, należało po prostu słuchać i robić, co kazała, ale Róża przeżyła zbyt wielki wstrząs, by mogła tak

zwyczajnie przejść do porządku nad tym, co się wydarzyło. Chodziło przecież o Dziadusiowy talerz, nieledwie relikwię z czasów młodości, z którym zmarły wiązał niegdyś wielkie nadzieje. Wszak nieraz powtarzał, wskazując ową pamiątkę: „Niech go tylko odnajdę, mego Zygmunta, a wszystko się zmieni". Otóż to. Zygmunt. Przyjaciel. Talerz był w pewien sposób symbolem tego, co łączyło Dziadusia z zaginionym, a to miało jakieś wprost niewymierne znaczenie dla jego życia i całej przyszłości. Zasnęła dopiero nad ranem, a obudziła ją Zelia. Na kanapce nie było dziewczynki.

— Gdzie mała?

— W pokoju Dziadusia — Zelia rzadko miewała tak ponury wyraz twarzy. — Weszła na krzesło, zdjęła ze ściany talerz, a teraz siedzi, i ogląda go.

Róża w pośpiechu okrywała się peniuarem, niespokojna o całość drogiej pamiątki. Dziewczynkę zastała siedzącą na Dziadusiowym podnóżku z talerzem na kolanach.

— To nie mój talerz — stwierdziła mała z żalem, ujrzawszy wchodzącą. — Na moim z jednej strony był wyszczerbiony brzeg, o tu, przy tej złotej literze — wskazywała wielkie N, nad którym lśniła cesarska korona. — Ale ja mam taki sam. Taki samiutki. — Jej polszczyzna uderzała swobodą i doskonałością wymowy. Widać posługiwała się często tym językiem.

Róża wzięła talerz z jej rąk i powiesiła na zwykłym miejscu, nad komódką, po czym przysiadła na podłodze.

— Powiedz, jak się nazywasz?

— Mela.

— Mela i co dalej?

2\

— Nic.

— Jak to nic? Masz przecież nazwisko.

— Nie mam.

— Każdy się jakoś nazywa, ma imię i nazwisko.

— Ja jestem Mela.

— Bardzo ładnie, ale chciałabym znać twoje nazwisko. Niepokoją się o ciebie w domu, trzeba zawiadomić...

— Nie trzeba.

— Dlaczego?
— Bo nie!
— Nosisz czarną sukienkę, więc jesteś w żałobie. Kto umarł?
Dziewczynka pochyliła się nisko, dotykając czołem kolan. Znowu zapadła w niepokojące milczenie.
Róża zrozumiała, że należy z nią postępować niezwykle ostrożnie, by nie urazić bolącego miejsca, które nie zdążyło się jeszcze zabliźnić. Niestety, w Tuileriach czekała na nią pilna robota.
Zostawiła małą, jak dnia poprzedniego, przy palącym się kominku, gdy wróciła, Meli już tam nie było.
— Cały czas siedzi u Dziadusia — poinformowała Zelia. — Wchodziłam tam kilkakrotnie, żadnej szkody nie robi, przygląda się wszystkiemu, obrazom, książkom, miniaturom.
— Witaj, Melu — Róża zaskoczyła ją z Dziadusiową tabakierką w ręku.
— Nie nudziłaś się?
— Nie. Chodź do mnie. Chcę być zawsze z tobą. Dlaczego wychodzisz i zostawiasz mnie samą?
— Nie jesteś sama, Zelia jest w domu.
— Zelia to służąca.
— Cóż z tego? Zelia jest bardzo dobra, mądra i mnie kocha. Nie wiem, co bym zrobiła bez Zelii.
— Teraz masz mnie. Ja też ciebie kocham.
— Cieszę się. Ale powiedz mi...
Zelia przerwała rozmowę anonsując obiad. Podczas jedzenia jak zwykle stała za krzesłem Róży, podając skromne potrawy. Ze względu na nią, rozmowa toczyła się po francusku. Okazało się, że i tym językiem Mela posługuje się bezbłędnie.
Potem Róża spieszyła do roboty, obiecała jednak, że postara się wcześniej wrócić. Melę zastała znowu w pokoju Dziadusia.

— Tu mi się najbardziej podoba — oświadczyła dziewczynka. — Jest mój talerz. Chciałabym tu mieszkać.
— Nie bałabyś się spać sama?
— Zawsze spałam sama. Mademoisełłe spała w sąsiednim pokoju.
— A... twoi rodzice?
Mela znowu pochyliła nisko głowę, aż Róża pożałowała pytania.

— Tatuś umarł — dziewczynka wygładziła czarną krynolinkę. — Zamknięto go w skrzyni... w trumnie — poprawiła się — a potem zabrano na cmentarz. Nie ma tatusia... — cała twarz drgała, jak od powstrzymywanego z wielkim wysiłkiem płaczu.
— Ale jest przecież mamusia.
— Mamusia... — ból okazał się ponad siły i Mela szlochając poszukała ratunku we współczującym objęciu Róży. — Mamusię też zabrano... jak tylko tatuś umarł... Mamusia krzyczała, chciała zostać ze mną, w domu, ale zabrano ją... mnie zamknięto na klucz... Och, mamusiu... mamusiu...
Długo tak płakała. Jakaś niedziecinna tragedia wstrząsnęła jej króciutkim życiem, za ciężka i za trudna, by mogło ją pojąć i znieść tak małe serce.
— Chcesz wrócić do domu, prawda? — Róża zadała to pytanie już po kolacji.
— Nie, nie! — krzyknęła gwałtownie Mela. — Nigdy nie wrócę do domu. Nie ma ani tatusia, ani mamusi. Jeżeli mnie wyrzucisz, pójdę na cmentarz.
— Masz przecież jakichś opiekunów, krewnych — perswadowała Róża.
— Czy wiesz, jak bardzo się martwią, jak są niespokojni? Szukają cię.
— Nie mam nikogo.
— A Mademoisełłe?
— Mademoisełłe wyjechała.
— Więc kto się tobą zajmował?
— Aneta. Ona jest zła. Nie lubi mnie. Ona nikogo nie lubi, uśmiecha się tylko do stangreta.
— Słuchaj, Melu, musisz koniecznie powiedzieć mi swoje nazwisko. Inaczej nie potrafimy odszukać mamusi. Powiesz mi wszystko, dobrze?
— Nie.
— Dlaczego?

— Bo zawieziesz mnie do domu, a ja nie chcę.
— Czy tatuś długo chorował? — Róża starała się zachować jak największy spokój.
— Tatuś nie chorował, tatuś umarł. Leżał bez ruchu i nic do mnie nie mówił. Nie patrzył na mnie, miał zamknięte oczy, nie chciał na mnie patrzeć...

— A mamusia? Czy była wówczas w domu?
— Mamusia płakała i wołała: „Co teraz z nami będzie?" Bardzo płakała. Nie chciała odejść od tatusia, ale zabrano ją...
— Kto mamusię zabrał?
— Boję się. Mnie też mogą zabrać. Nie dasz mnie, prawda?
— Melu, kochanie, nie lękaj się niczego. U mnie nikt ci nie zrobi krzywdy. Chciałabym tylko wiedzieć... Widzisz, z pewnością ktoś szuka ciebie, dano znać policji... Mogłabym mieć nieprzyjemności...
— Nieprzyjemności? Dlaczego?
— A jeżeli ktoś pozna cię na ulicy, gdy będziemy szły razem?
— Nie wyjdę na ulicę.
— Nie możesz żyć w zamknięciu. A co powiem dozorczyni, jak mnie zapyta? To ciekawska.
— Powiesz... powiesz, że przyjechałam do ciebie w gościnę.
— Dobrze, dobrze. Widzę, że chwilowo nie dojdziemy do porozumienia. Wiem jednak, że namyślisz się i powiesz mi wszystko.. Jesteś przecież rozsądną dziewczynką.
— Chcę zawsze być z tobą. A ty ciągle wychodzisz.
Gdy Mela już spała, Róża, jak zwykle, u Zelii poszukała rady i pociechy.
— Obawiam się kłopotów, wielkich kłopotów — Zelia nie ukrywała niezadowolenia. — Należałoby dowiedzieć się, kto ze znaczniejszych Polaków umarł w tych dniach. Nie ma rady. Musisz pójść do pani Grabskiej, to jedyna osoba, która wszystko wie, tylko ostrożnie z nią, bardzo ostrożnie.
O, tak. Z panią Grabską należało rozmawiać wyjątkowo ostrożnie.
Mela siedziała na podłodze w pokoju Dziadusia obłożona rocznikami „Rozrywek dla dzieci", pisma, które wydawała

niegdyś nieodżałowanej pamięci pani Klementyna z Tańskich Hdffmanowa. Nie tylko Róża wychowała się na jej książkach, dla paru pokoleń emigracyjnej dzieciarni była to czasem jedyna okazja, by się nauczyć dobrze czytać po polsku.
— Mam wszystkie książki hrabiny de Segur — opowiadała Mela — z bardzo ładnymi obrazkami. Ale ich nie lubię. Dzieci są tam albo okropnie nieszczęśliwe, albo strasznie -złe. „Niedole Zosi", „Biedny Błażejek", „Wzorowe dziewczynki" bardzo mnie nudziły. Lubiłam za to „Aniołeczka", tę podłą złośnicę Gizelę.

Chętnie wybiłabym ją za te głupie psoty. Pamiętasz, jak drażniła niedźwiedzia zamkniętego w klatce, a potem krzyczała z przerażenia, gdy biedny zwierz przez pręty chwycił ją za sukienkę?
— Doskonale pamiętam. Uwolnił ją żandarm, szablą rozcinając spódniczkę. Jest tam taka rycina.
— Najbardziej podobają mi się książki polskie — zdecydowała Mela. — Przeczytam wszystkie, jakie masz. Już wychodzisz? Tak wcześnie? — zerwała się widząc przygotowania opiekunki, która brała właśnie kapelusz.
— Muszę odwiedzić starą znajomą Dziadusia, ale wrócę jak zwykle na kolację. Jutro sobota — dodała — będzie już Antoś w domu.
— Antoś...
— Mój brat, znasz go przecież. A może i ty masz rodzeństwo?
— Nie — Mela kilkakrotnie potrząsnęła głową. — Zawsze bardzo chciałam mieć braciszka czy siostrzyczkę. Ale nie miałam. Tylko tatuś, mamusia i ja.
Wspomnienie utraconych rodziców zgasiło blask oczu, starło wyraz ożywienia. Mela odłożyła książkę i zwykłym dla niej ruchem pochyliła się do przodu, zanurzając twarz w fałdach żałobnej krynolinki.
— Nie smuć się — Różę bolała ta niema rozpacz. — Odnajdziemy mamusię. Znowu będziesz szczęśliwa. A teraz do widzenia. Zelia z tobą posiedzi.
Z ciężkim sercem wychodziła z domu, poruszona tą jakąś tajemniczą tragedią, która zniszczyła dzieciństwo Meli.
Dzień był wyjątkowo piękny. Róża z przyjemnością zanurzyła się w odświętnie jak gdyby przystrojone słońcem ulice, rada

z okazji niespodziewanego spaceru. Kochała Paryż. Nic dziwnego, tu się urodziła, tu wszystko było bliskie i dobrze znane. Ojczyzny przecież nie widziała, tylko w opowiadaniach Dziadusia...
Trudno było teraz poruszać się po niektórych ulicach. Zbite z desek parkany grodziły najstarsze dzielnice. Kilofy robotników burzyły odwieczne rudery, a często i dobre jeszcze domy, wzbijając tumany pyłu. Woźnice pokrzykiwaniem i razami bata zmuszali biedne konie do nadmiernego wysiłku, kierując wozy pełne gruzu hen ku rogatkom. Baron Haussmann, mianowany przez cesarza prefektem departamentu Sekwany, a tym samym i Paryża, postanowił zmieść z powierzchni

miasta szczątki średniowiecznej zabudowy, a na jej cmentarzysku wznieść okazałe gmachy i pałace, przebić szerokie i proste ulice tam, gdzie niegdyś wiły się wąskie i kręte zaułki, ślady rzymskiej może jeszcze drogi.
Luwr trzeba było obchodzić z daleka, tyle tam dotąd prowadzono robót, wydobywając dawne, niezniszczalne piękno z tłamszącej je, a rozpanoszonej tu najsilniej, dziewiętnastowiecznej brzydoty.
Pani Grabska mieszkała po drugiej stronie Sekwany, czyli na tak zwanym „lewym brzegu", tuż za rzeką, na początku bulwaru Świętego Michała. Właśnie ukończono poszerzanie i porządkowanie placu, otwierającego perspektywę na tę centralną arterię starej Dzielnicy Łacińskiej. Nieżyjący od lat mąż pani Grabskiej wybrał niegdyś to mieszkanie ze względu na bliskość uniwersytetu. Był profesorem Sorbony, uczonym paleografem, który nieraz śladami wielkiego Mickiewicza przekraczał progi College de France.
Profesor Grabski żył pogrążony w przeszłości, obojętny na to, co działo się obok niego lub za jego plecami, zdając się na żonę we wszystkich sprawach współczesnej mu rzeczywistości. Więcej niż w domu przesiadywał w pobliskiej Bibliotece Świętej Genowefy, pochylony nad starym manuskryptem, który pracowity kopista pokrył pismem pełnym skrótów — należało wówczas naj-oszczędniej wykorzystać tak drogi i rzadki materiał, jak pergamin.
Pani Grabskiej nie interesowała ani paleografia, ani średniowieczna łacina, a mąż nudził ją śmiertelnie. Zamiast jego odkryciami pasjonowała się wszystkim tym, czego mogło dostarczyć jej własne, a szczególnie cudze życie.

Profesora Grabskiego Róża już nie znała, wiedziała jednak, że należał do nielicznych polskich znajomych Dziadusia, który po śmierci uczonego utrzymywał stosunki z wdową.
Pani Grabska niezmordowanie udzielała się wśród rodaków, czynnie uczestnicząc w ich radosnych jak i smutnych przeżyciach. Jej własna, niezmiennie monotonna egzystencja dawno już przestała ją bawić.
— Nareszcie pokazałaś się, duszko — zawołała, gdy stara służąca zaanonsowała „pannę Ordężankę". — Chciałam już posyłać Jana, by się dowiedzieć, jak żyjecie. Chodźże bliżej, niech ci się przypatrzę!

Róża niezbyt lubiła te wizyty, gdyż pani Grabska bez żenady unosiła się nad przejrzystością jej cery, jak i ganiła nietwarzowy w jej mniemaniu kapelusz. Niestety, od czasu do czasu trzeba było poddać się owym niedelikatnym oględzinom, tym bardziej teraz, gdy sprawa Meli wymagała jak najszybszego rozwiązania.
Usprawiedliwiwszy więc długą nieobecność na bulwarze Świętego Michała brakiem czasu i nadmiarem zajęć, zadała wreszcie dręczące ją od paru dni pytanie.
— Kto ostatnio umarł wśród naszych rodaków? — powtórzyła powoli pani Grabska. — A skądże mogę wiedzieć, moja miła? Jeżeli ktoś znaczny, pisano by w gazetach.
— Nie mam czasu na czytanie gazet — tłumaczyła się Róża. — Zresztą pani wie wszystko najlepiej, wszystkich zna — dodała przymilnie.
— Pewnie, że znam, ale nie wszystkich. Czy kto umarł?... Ciągle ktoś umiera. Na przykład stara pani Napiórkowska. Świeć Panie nad jej duszą! Miała chyba ze sto lat. A młodziutka Anusia Rze-czycka, taka śliczna jak obrazek, zaraziła się szkarlatyną... Byłam na jej pogrzebie. Kto jeszcze? Aha, pan Narzymski, zupełnie młody człowiek, ten umarł nagle, nikt się nie spodziewał.
— Pan Narzymski? — przerwała Róża. — Znała go pani?
— O tyle, o ile, spotkałam parę razy w towarzystwie. To bardzo dystyngowany mężczyzna.
— Czy zostawił rodzinę?
— A jakże. Brata i córeczkę. Bo żona...
— Co żona?
— Wariatka. Od dawna była niespełna rozumu. Mąż ukrywał

to przed światem. Nieszczęsna! To chyba doprowadziło go do grobu. A co ty tak się nim interesujesz?
— Proszono mnie — skłamała rumieniąc się Róża.
— Rozumiem. Szukają pewnie guwernantki dla małej. Słyszałam, że to bardzo trudne i niemiłe dziecko. Biedny brat zmarłego, spadł na niego ciężki obowiązek.
— A co pani Narzymska?
— Ta wariatka? Mówiłam ci przecież. Niebezpieczna! Zamknięto ją w jakimś domu zdrowia w Auteuil czy w Passy, dobrze nie pamiętam. Nie nadaje się do życia w normalnych warunkach.

— Biedna.
— Bardzo biedna. Ale cóż na to poradzisz? Dobrze, że bogata i stać ją na luksusową klinikę, a nie na szpital dla nędzarzy. Takie osoby, niestety, winny żyć w izolacji. Dziecko mogło odziedziczyć po niej skłonność do szaleństwa. Pan Narzymski truł się tym pewnie i stąd ten nagły zgon. Szkoda. Ładną stanowili parę, oboje bardzo przystojni.
— To dziecko teraz sierotą?
— A sierotą. Pod opieką młodego stryja. Ale nie bój się, nie zazna krzywdy. Za jakie dziesięć lat będą się dobijać o jej rękę. Milionowa dziedziczka. Ojciec zostawił jej krocie. Chodzi o guwernantkę, tak?
— O guwernantkę... — Róża nie kłamała zbyt zręcznie.
— Najbardziej godny współczucia jest młodszy pan Narzymski. Miał się właśnie żenić... A tu żałoba... bardzo kochał brata, szaleństwo bratowej no i kłopot z nie swoim dzieckiem. Wyobrażasz sobie taką sytuację? Gdy się ożeni, odda małą na edukację do klasztoru, a potem wyda za mąż i pozbędzie się kłopotu. Wiesz, to bardzo' bogaci ludzie i obracają się w najlepszym towarzystwie. Ja jestem biedna wdowa i nie mam tak wysokich koneksji, widziałam ich parę razy, ot i wszystko. A najwięcej słyszałam. Bo dużo o nich gadają. Jak kto bogaty, zaraz wzbudza zainteresowanie. Melę też raz widziałam, tak zdaje się ma na imię owa dziewczynka. Jechała powozem razem z matką. Jeżeli będziesz miała kogoś zdatnego, zawiadom miiie proszę, chętnie oddam tę przysługę panu Narzymskiemu.
— A... gdzie on mieszka?
— Mieszkał dotąd u brata. Taki piękny pałacyk niedaleko

Lasku Bulońskiego, przy tej nowo wytyczonej alei. Zdaje się nazwano ją aleją Cesarzowej. To teraz najwytworniejsza dzielnica.
— Była tam pani?
— Skądże. Gdzie mnie do takich splendorów! Po prostu przejeżdżałam tamtędy i znajoma wskazała mi dom. Podobno urządzono wspaniały pogrzeb na Pere-Lachaise. Niestety, nie wybrałam się, bóle reumatyczne przykuły mnie na jakiś czas do fotela. A jak tam twoja praca w Tuileriach? Słyszę, że cesarzowa zachwycona, wspominała pani Carette.
— Cesarzowa bardzo dla mnie łaskawa — Róża podniosła się z kanapki.
— Już uciekasz?
— Mam pilną robotę.

Pani Grabska byłaby rada dowiedzieć się czegoś bliższego 0 pałacowej egzystencji, posłyszeć jakieś podniecające ploteczki, choćby tylko od strony schodów dla służby. Róża jednak nie miała zamiaru przedłużać niepotrzebnej gadaniny.
Zasłyszane rewelacje zamiast ją uspokoić, wywołały jakieś niezrozumiałe wzburzenie. A najbardziej niepokojący w tym wszystkim wydał się jej ów młody stryj.
Pani Grabska ani razu nie wspomniała o zniknięciu dziewczynki, a przecież musiało być o tym głośno. Czyżby pan Narzymski nie zawiadomił policji i nie wszczął odpowiednich kroków, by odnaleźć bratanicę?
Nie potrafiła skupić uwagi na niepokalanym batyście, a haft nie dostarczył jej jak zwykle dotąd twórczego zadowolenia.
Spóźniła się, a gdy zdyszana wbiegała na schody, natknęła się na niesympatycznego nowego lokaja. W ogóle zbyt często spotykała na swojej drodze owego smagłego bruneta w liberii, który niedawno pojawił się w Tuileriach i nie wiadomo po co kręcił się w tej części pałacu. Za każdym razem witał ją przesadnie niskim ukłonem, a jego fałszywej pokorze zadawały kłam poufały uśmiech
1 zbyt śmiałe spojrzenie. Bezczelny fagas — zżymała się, nie śmiąc jednak poskarżyć się pani Benoit. Właściwie w niczym jej nie uchybił, a uśmiechał się podobnie do wszystkich pracownic pałacowej szwalni. Dziewczęta zresztą były zachwycone owymi dowodami uprzejmości i wiele uwagi poświęcały przystojnemu lokajowi.

29

— To rodak cesarzowej — oznajmiła raz panna Wirginia. — Już się dowiedziałam.
— Od razu poznałam w nim Hiszpana — panna Regina błysnęła białymi zębami, odgryzając zręcznie nitkę.
— Protegowany pani Pepy — dorzuciła tajemniczo młodziutka Sabinka.
— Cicho, panny, do roboty — pani Benoit przerwała te interesujące wynurzenia akurat wówczas, gdy padło imię cesarskiej intendentki.
Róża nie była ciekawa tych szczegółów. Właśnie wysunęła szufladę pękatej komody, gdzie składano uszytą już bieliznę, czekającą na igłę i tamborek hafciarki. Ale tego dnia praca jej nie szła.

Poprzedniego wieczoru, po wizycie u pani Grabskiej, gdy Mela spała, mogła nareszcie porozmawiać z Zelią i naradzić się, jak wybadać małą uciekinierkę.
— To podejrzana sprawa, bardzo podejrzana. Nie podoba mi się ów młodszy brat — Zelia trzęsła głową z dezaprobatą. — Nie zawiadomił policji. Wygląda na to, że wcale się nie przejmuje zniknięciem małej. Może mu to jest nawet na rękę? Nic nie rozumiem. Muszę wybrać się do ich domu i pociągnąć za język portiera. Tak, zrobię to jutro. Guwernantka to doskonały pretekst.
W aleję Cesarzowej Zelia poszła nazajutrz rano, o tej porze, gdy państwo jeszcze śpią, a służba i dostawcy kręcą się na dziedzińcu i przy bramie. Łatwo wówczas o rozmowę. Zresztą po drodze jej było do szkoły na Batignolles, skąd każdej soboty przyprowadzała Antosia do domu. Pałacyk pana Narzymskiego, wtopiony w budzący się dopiero do życia park, świecił białymi ścianami i kolumnowym gankiem. Brama z artystycznie kutego żelaza napawała szacunkiem dla właściciela, a wyżwirowany podjazd przeznaczony był wyłącznie dla herbowych ekwipaży.
Zelia przystanęła przed furtką czekając, aż zauważy ją portier w liberyjnym kaftanie.
— Czego tu? — ton głosu daleki był od uprzejmości.
— Przyszłam w sprawie guwernantki — Zelię niełatwo było onieśmielić. — Dla waszej panienki.
— Panienka na wsi i guwernantka niepotrzebna.

— Jak to na wsi? Słyszałam...
— Jak mówię na wsi, to na wsi — uciął liberyjny dygnitarz. — U rodziny. I jest tam odpowiednia guwernantka — zaakcentował słowo „odpowiednia", zlustrowawszy niedoszłą w jego mniemaniu kandydatkę.
Zelia prychnęła pogardliwie i poprawiła odświętny kapelusz.
Do Szkoły Polskiej na Batignolles przyszła za wcześnie, chłopcy byli jeszcze w klasach. Ale przebyła taki szmat drogi, że z przyjemnością padła na krzesło w przytulnej salce służącej za rozmównicę. Na kominku płonął ogień, a stary woźny Walenty, pamiętający jeszcze pana Adama Mickiewicza, poczęstował ją herbatą.
— I co ta dziewczynka? — takie było pierwsze pytanie Anto-sia, gdy zobaczył Zelię.

— Nazywa się Mela.
— Mela? — zdziwił się chłopiec. — Skąd wiesz?
— Powiedziała nam.
— Więc umie mówić!
— Mówi doskonale. Po polsku i po francusku.
— Po polsku?
— To wasza rodaczka — oświadczyła Zelia. — I do tego pańskie dziecko — dodała z zadowoleniem.
Całą drogę powrotną Antoś zarzucał ją pytaniami. Wszystkie, naturalnie, dotyczyły Meli.
Widok dziewczynki zadomowionej w pokoju Dziadusia, z jego, Antosia, książką na kolanach dziwnie go onieśmielił.
— Melu, to jest Antoś, mój brat — powiedziała Róża obejmując chłopca i prowadząc go ku siedzącej. — Znacie się przecież.
— Masz bardzo ładne książki — skinęła głową Mela. — Wszystkie je przeczytam.
— W szkolnej bibliotece są jeszcze ładniejsze — Antoś zdziwił się własnej odwadze. — Przyniosę w przyszłą sobotę. Mamy prawo wypożyczać do domu.
— Dobrze — zgodziła się Mela, a potem nagle dodała: — Nie podoba mi się twoje imię.
— Moje imię? — chłopiec poczerwieniał.
— Dlaczego tak mówisz? — Róża przyszła bratu z pomocą. — Wszystkie imiona są ładne, tym bardziej jeśli nosi je ktoś bliski i kochany.

— Antoś to brzydkie imię — Mela nie patrzyła na skonfundowanego chłopca. Podniosła oczy na Dziadusiowy talerz, jak gdyby malowany Napoleon miał jej udzielić rady przy wyborze odpowiedniego imienia.
— Melu! — Róża nie zdołała ukryć przykrego zaskoczenia. — Jak możesz tak mówić?
— Już wiem — Mela zerwała się i ze zwykłą serdecznością przytuliła się do ręki opiekunki. — Będziemy go nazywać Anto, dobrze? To bardzo ładnie, prawda? — zwróciła się do chłopca. — Anto... Powiedz, że ci się podoba.
— Podoba mi się — odparł mężnie Antoś, choć nie bardzo wiedział, czym ma się zachwycać.

Zelia od razu zaaprobowała nowe imię chłopca, dla niej o wiele łatwiej było wymówić „Anto", bez tego trudnego „ś" na końcu, które w jej interpretacji brzmiało zazwyczaj jak „sz".
Róża odłożyła decydującą rozmowę do następnego popołudnia, gdy Zelia poszła odprowadzić Antosia do Szkoły.
Dzieci bardzo się zaprzyjaźniły. Antosia co prawda onieśmielała chwilami ta dziwna mała przyjaciółka, ale okazywało się zawsze, że mieli podobne upodobania, interesowały ich te same książki, a pokój Dziadusia z mnóstwem starych pamiątek, o których Antoś wszystko wiedział, fascynował oboje z jednakową siłą.
— Słuchaj, Melu — zaczęła Róża, gdy zostały same. — Wiem, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz.
— Wiesz? — Mela zamrugała niespokojnie, po czym podeszła i stanęła, oparłszy się ręką o stolik.
— Tak, wiem, ale chcę, żebyś mi to sama powiedziała.
— Masz mnie już dość... Wszyscy mają mnie dość... I ty tak samo, jak Mademoiselle i jak Aneta... A ja chcę być tutaj... z tobą... i z Zelią...
— Dlaczego mi nie ufasz, kochanie? Czego się boisz? Jeżeli nie chcesz wracać do domu, zostaniesz u mnie. Wcale nie mam cię dość, odwrotnie, bardzo cię polubiłam. Ale widzisz, masz stryja i on jest twoim opiekunem.
— Nie wrócę do domu! — krzyknęła Mela. — Zabiorą mnie, jak mamusię! Nie chcę! Nie chcę!
— Pan Narzymski ma do ciebie prawo, a ja nie — powiedziała Róża twardo i przeraziła się.
Mała, usłyszawszy swoje nazwisko, opadła na podłogę, jak porzucony w pośpiechu czarny tłumoczek. Uspokoiła się dopiero na kolanach Róży, z mokrą od łez twarzą wtuloną w ramię opiekunki.
— Mamusia bała się go — szeptała. — Bardzo się bała.
— Kogo? Stryja?
— Stryja — powtórzyła niechętnie Mela. — To on kazał zabrać mamusię. Mamusia krzyczała...
— Zostaniesz u mnie, jeżeli chcesz — Róża sama nie wiedziała, czemu tak nagle powzięła to ważne postanowienie. — Ale twój tatuś był bogaty i ty jesteś bogata, a ja, jak widzisz, nie mam pieniędzy.
— Nie chcę pieniędzy — oznajmiła Mela z powagą. — Chcę być z tobą.

Mimo energicznych perswazji Zelii, Róża nie zmieniła decyzji i Mela została w domu przy ulicy Świętego Rocha.

II

Róża przemknęła pod monumentalnym sklepieniem i z niepokojem spojrzała na pochmurne niebo. Po drugiej stronie złoconej kraty, zamykającej pałacowe ogrody, biegało kilkoro dzieci, wśród nich rówieśnik jej Antosia, jedenastoletni następca tronu, „książę cesarski", jak brzmiał oficjalny tytuł napoleońskiego dziedzica.

Wszystko zapowiadało deszcz, a ona w pośpiechu zapomniała parasola. Nie chciała jednak wracać już z ulicy, pani Benoit od wczoraj okazywała wybitnie zły humor, bez powodu skrzyczała panny, dostało się nawet małej ulubienicy Sabince, i do tego niesłusznie, bo falbany wcale nie przyszyła krzywo.

Róża nigdy jeszcze nie zasłużyła na reprymendę. Co prawda jej stosunki ze współtowarzyszkami pracy były raczej luźne. Siedziała przecież w osobnym pokoju, a haft — w ich mniemaniu —

0 wiele przewyższał rangą zwykłe szycie.

Gdy skręcała do wejścia na schody dla służby, posłyszała turkot

1 tętent kopyt. Do bramy zbliżała się zamknięta kareta. Za szybą mignęła blada twarz cesarza, który jedynie w towarzystwie generała Fleury, prywatnie i bez eskorty, udawał się na miasto.

Kopyta głośniej zadudniły pod sklepieniem, gwardziści sprezentowali broń, po czym zapadła zwykła dla tego zakątka cisza.

Ilekroć widziała Napoleona Trzeciego — a zdarzało się to nieraz — Róża zadawała sobie pytanie, jak to możliwe, aby człowiek z taką twarzą miał za sobą tak awanturniczą młodość.

Teraz cesarz był stary, dobiegał sześćdziesiątki, choć prezentował się jeszcze wcale nieźle, szczególnie na koniu, wtedy bowiem uwydatniał się atletyczny nieledwie tors i piękne osadzenie głowy,

natomiast niewidoczne stawały się takie mankamenty, jak zbyt krótkie nogi i niski, niestosowny dla majestatu wzrost.

Awanturniczość, życie pełne przygód kojarzą się zazwyczaj z człowiekiem, przez którego ruchliwą fizjonomię przelatują myśli i wrażenia, wewnętrzny żar wybija się rumieńcem, a pragnienie czynu błyszczy w zuchwałym wzroku.

Twarz Napoleona Trzeciego była zaprzeczeniem owych oczekiwań. Przede wszystkim uderzała w niej bladość. Nigdy, w najtragiczniejszych chwilach, w obliczu niebezpieczeństwa grożącego utratą życia najsłabsza nawet łuna nie zmąciła owej marmurowej jak gdyby matowości policzków. Szaroniebieskie oczy, lekko zamglone, patrzyły z kobiecą prawie łagodnością, choć potrafiły bez zmrużenia „spojrzeć śmierci w twarz".
Słusznie porównywano cesarza do aksamitnej pochwy, kryjącej stalowe ostrze.
Twarz Napoleona Trzeciego nie zdradziła nigdy jego uczuć. Nieruchoma, jak maska aktora z greckiej tragedii, okazywała na zewnątrz kamienny spokój, świadcząc o nadludzkim wprost opanowaniu i wewnętrznej dyscyplinie.
Spokój, opanowanie i zimna krew w każdej, beznadziejnej nawet sytuacji, charakteryzowały cesarza, u jednych wzbudzając podziw, u innych nieufność. „Niewzruszony" — mawiano o nim, i było w tym wiele racji.
Zawsze jednakowo uprzejmy, z niewyczerpaną wprost cierpliwością wysłuchiwał zarówno rad, jak i próśb, postępował wszelako według własnego zdania, na prośby jedynie nigdy nie pozostawał głuchy.
Różę cesarz fascynował. „Tajemniczy i nieprzenikniony" — tak go określała. Porywał jej wyobraźnię czynami, o jakich rzadko się słyszy, brawurową odwagą godną romantycznego bohatera.
Droga do tronu tego Napoleonidy była długa i najeżona przeszkodami zdawałoby się nie do przebycia. Ale czegóż nie dokona człowiek o nazwisku Bonaparte?
Syn Ludwika, króla Holandii, brata Napoleona Pierwszego i Hortensji de Beauharnais, córki pięknej Józefiny, za chrzestnych rodziców miał wielkiego stryja i jego drugą żonę Marię Luizę.

Na chrzcie nadano mu trzy imiona: Karol Ludwik Napoleon. Pod tym ostatnim sądzone mu było dać się poznać światu.
Świetność trwała krótko i minęła wraz z upadkiem cesarza. Mały książę miał sześć lat, gdy razem z matką musiał opuścić Francję. Królowa Hortensja osiadła w Szwajcarii, kupiwszy nad Jeziorem Bodeńskim-zamek Arenenberg, położony wśród wspaniałych lasów, naprzeciw wiecznie zielonej wyspy Reichenau.

Szwajcaria stała się więc drugą ojczyzną chłopca, który nigdy nie zapomniał o swoim pochodzeniu.
Ukończywszy nauki, Ludwik Napoleon (tak go teraz nazywają) wstąpił do pułku artylerii w Bernie. Dla potomka Bonapartych nie było innego stroju, jak mundur, innej kariery, jak wojskowa. Gdy kończy dwadzieścia trzy lata, jest kapitanem i ma okazję zakosztować wojaczki: oto w Romanii wybucha powstanie.
Jest to tragiczny dla Polski, ale i wielki, rok 1831. W tymże samym roku umiera w Schoenbrunnie stryjeczny brat młodego kapitana, syn więźnia ze Świętej Heleny, Orlątko, nad którego agonią roztkliwiała się cała ówczesna Europa. Ta śmierć wydobywa z cienia postać księcia, który odtąd, jako głowa napoleońskiej dynastii i pretendent do francuskiego tronu, pozostanie już zawsze na pierwszym planie europejskiej sceny.
Ludwik Napoleon nie kwapi się jednak sięgać po należne mu zaszczyty. Rozmyślnie usuwa się z publicznego życia, by w ciszy i w skupieniu oddać się koniecznym do przyszłej roli studiom.
Czyta, uczy się, pisze artykuły i rozprawy o treści politycznej i wojskowej. Dopiero rok tysiąc osiemset trzydziesty szósty rozpoczyna nowy etap, żywej zawsze w pamięci ludów, napoleońskiej epopei: dwa porywające zuchwalstwem zamachy stanu, oba zakończone porażką i więzieniem. Za pierwszy, dokonany w Stras-burgu, karą jest deportacja. Jakże historia lubi się powtarzać! Na fregacie „Andromeda" płynie niefortunny pretendent — wbrew woli — do Ameryki.
W Nowym Jorku dopada go wiadomość o chorobie matki. Nic teraz nie* powstrzyma młodego człowieka od powrotu do Europy. Przybywa na czas, matka umrze w objęciach syna.
Francja Ludwika Filipa słusznie jest zaniepokojona. By więc nie narażać rządu szwajcarskiego na kłopoty, „uzurpator" osiedla się w Londynie.
37
%
I znowu studiuje, pisze, współpracuje nawet z bonapartystow-skim dziennikiem wychodzącym w Paryżu. Pozorny spokój nie może jednak trwać zbyt długo. Po raz drugi wybucha zbrojna akcja grupki szaleńców w porcie Boulogne nad kanałem La Manche.
Tym razem sprawa jest dużo poważniejsza. Książę usiłuje zająć koszary i zdobyć arsenał, dochodzi do bratobójczej strzelaniny. Niestety, sześćdziesięciu śmiałków musi skapitulować. Po głośnym procesie, który

przyczynia się do jego sławy, Ludwik Napoleon Bonaparte zostaje skazany na dożywotnie więzienie w jednej z twierdz północnej Francji, a mianowicie w zamku Ham.
Miasteczko Ham nad Sommą ze swymi dwoma tysiącami bogobojnych mieszkańców, pracowicie wyrabiających cukier z buraków i beczki na wino, niczym by się nie wyróżniało wśród setek podobnych miasteczek Francji, gdyby nie zamek. Zamek Ham, wzniesiony w piętnastym wieku, był wówczas jedną z najpotężniejszych fortec francuskich i od dawna służył jako więzienie stanu dla wyjątkowo niebezpiecznych, a wysoko urodzonych osobistości.
Księcia osadzono w wieży, przeznaczając mu na mieszkanie dwa niewielkie pokoiki oraz mały dziedziniec, zamknięty potężnymi murami. I tak miało być do końca, do śmierci, gdyż tylko ona, zdawałoby się, miała moc wyprowadzić więźnia poza najeżone blankami kamienne zapory.
Los jednak postanowił inaczej.
Ludwik Napoleon przebył w Ham sześć lat, ani dnia dłużej. Nie były to jednak lata stracone. Książę jak dawniej, na wolności, tak i tu spędza czas na studiach. Mają one coraz szerszy zasięg, obejmują problemy gospodarcze i społeczne.
I oto znowu, jak kiedyś w Ameryce, dochodzi go wiadomość o chorobie ojca. (Eks-król Ludwik mieszkał wtedy we Florencji). Książę natychmiast wysyła list do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o zezwolenie na podróż, zaręczając honorem, że dobrowolnie powróci do więzienia. Odpowiedź jest odmowna. Książę, niezrażony, pisze do króla. Ale i Ludwik Filip nie daje się zmiękczyć. Wobec tak postawionej sprawy książę czuje się zwolniony ze wszelkich honorowych zobowiązań i postanawia wydostać się z twierdzy.
W ucieczce tej nie ma nic z porywającej brawury jakiegoś

Fabrizia del Dongo, zsuwającego się po sznurze z parmeńskiej wieży, czy choćby z awanturniczego ducha Henryka Latude, w ten sam sposób opuszczającego niegdyś Bastylię. Wszystko odbywa się całkiem zwyczajnie i prozaicznie. Oto książę w robotniczej bluzie i w sabotach z deską na ramieniu wychodzi z więzienia, korzystając z obecności murarzy, prowadzących prace remontowe w jego wieży. Ale ta proza i zwyczajność wymagają nie lada zimnej krwi i opanowania.

Potem wszystko już toczy się gładko. Granica belgijska niedaleko, a z Ostendy jeden krok do gościnnej Anglii.
Rewolucja lutowa czterdziestego ósmego roku sprowadza księcia do Paryża. Na wybory prezydenckie „pretendent" stawia własną kandydaturę. I wygrywa! Przeważającą większością głosów! Przy okrzykach „Niech żyje Napoleon!", „Niech żyje cesarz!". Francja ma więc Drugą Republikę z „Obywatelem Ludwikiem Napoleonem Bonaparte" na czele. Nowy prezydent bez chwili zwłoki zabiera się do formowania własnego gabinetu.
W Paryżu szaleje cholera. „Pan prezydent Bonaparte" odwiedza szpitale, organizuje pomoc dla chorych i cierpiących. Odbywa też liczne podróże po kraju: tu inauguruje nową linię kolejową, tam odbiera wojskową defiladę, w Hawrze zwiedza port, w Lyonie hale fabryczne i warsztaty, a wszystko przy akompaniamencie nie kończących się okrzyków: „Niech żyje cesarz!". „Niech żyje Napoleon!", którymi ludność Francji szafuje bez opamiętania.
Zgromadzenie Narodowe zżyma się na tak jawne pogwałcenie zasad republikańskich. Walka między deputowanymi a księciem prezydentem trwać będzie bez mała trzy lata, znaczona rosnącą wciąż popularnością tego ostatniego, w którym cała Francja wita wskrzesiciela napoleońskiej legendy.
Naród nie chce republiki, pragnie restauracji cesarstwa, a jak wiadomo — „wola ludu jest wolą Boga". Tuilerie nie leżą przecież daleko od Elizejskiego Pałacu.
Zamach stanu z drugiego grudnia tysiąc osiemset pięćdziesiątego pierwszego roku przygotowano z precyzją, godną zegarmistrzow-skiej roboty. Gdy rankiem paryżanie wyszli na ulice, mogli przeczytać gęsto rozlepione na murach proklamacje:

„W imieniu narodu francuskiego
Prezydent Republiki postanawia
rozwiązać Zgromadzenie Narodowe i Radę Państv*a,
przeprowadzić wybory powszechne..."
Następną sesję Senatu Ludwik Napoleon otworzył już w Tuile-riach. Francja jest uszczęśliwiona, wiwatuje, powiewa chustkami, wyrzuca w górę kapelusze. Jeden tylko człowiek, by nie zostać poddanym „Napoleona małego", skazuje się na dobrowolne wygnanie i z wyspy

Jersey daje upust oburzeniu. Głos jego grzmi niczym 'fale oceanu, słychać go w całym niemal świecie, bo to głos poety. Wiktor Hugo nazywa Ludwika Napoleona „złoczyńcą" i tak zwraca się do rodaków: „Obywatele! Ludwik Bonaparte jest wyjęty spod prawa. Ludwik Bonaparte jest poza ludzkością! Pod rządami pana Bonaparte Francuz godny tego imienia ma tylko jeden obowiązek: nabić strzelbę i oczekiwać stosownej godziny".

Tak oto wśród burz historii i nawałnicy rewolucji rodził się Napoleon Trzeci.

Około piątej rozpadało się na dobre. Róża z przerażeniem słuchała plusku ulewy, dudniącej o blaszane parapety okien. Zelia może i spostrzegła parasol zapomniany w kącie przedpokoju, nie zostawi jednak Meli samej wieczorem.

Po szóstej Róży wydało się, że ulewa słabnie, zerwała się więc, chcąc wykorzystać to chwilowe uspokojenie i przebiec ulice dzielące ją od domu. Gdy schodziła ze schodów, na pierwszym piętrze natknęła się na hiszpańskiego lokaja, który okryty liberyjną peleryną majstrował coś przy rozłożystym parasolu.

Skłonił się jak zwykle nisko, po czym pierwszy raz ośmielił się ją zagadnąć.

— Widzę, że nie ma pani parasola — głos miał niski, a wymowę wybitnie obcą. — Chętnie panią odprowadzę.

— Dziękuję — ucięła. — Nie potrzebuje się pan trudzić.

— Ależ to żaden trud! Właśnie posłano mnie na miasto...

— Dziękuję, nie trzeba.

Mimo tak wyraźnej odprawy, lokaj postępował za nią krok w krok. Minęli dziedziniec, przeszli bramę i znaleźli się na ulicy Rivoli. Lokaj przysunął się do jej boku, trzymając nad dziewczyną rozpięty parasol.

— Powiedziałam panu, że dziękuję — Róża uchyliła się spod osłony, a deszcz, jakby tylko na to czekał, zdwoił ilość wylewanej na ziemię wody.

— Gdybym nie miał na grzbiecie liberii, podałbym pani ramię — lokaj pokazał w uśmiechu białe zęby. — Rozumiem, to dla pani despekt. Proszę jednak zauważyć, że największe damy pozwalają swoim służącym nieść nad sobą parasol.

— Nie jestem wielką damą i nie mam służącego.

— O, jest pani damą, co do tego nie ma wątpliwości, a służący... — wykonał niewyraźny gest wolną ręką.
— Doprawdy, dlaczego pan wbrew mojej woli...
— Dlatego, że leje — przerwał — a mój parasol dość skutecznie chroni pani osobę. Zresztą jest ciemno i na ulicy mało ludzi. Nie potrzebuje się pani wstydzić.
— Wcale się nie wstydzę — wybuchnęła. — Żadna uczciwa praca nie hańbi. Ja sama...
— Właśnie, pani też pracuje. A więc jesteśmy równi.
— Pan mnie źle zrozumiał — potknęła się na wyboistym bruku i gdyby nie ręka idącego obok mężczyzny, upadłaby niechybnie w szeroko rozlaną kałużę.
— Ostrożnie — upomniał. — Wiem, że bawi się pani haftem jak ja służbą — zaśmiał się swobodnie. — Ale tak hafciarki, jak i lokaje potrzebni są na tym świecie. Dlaczego pani tak biegnie? Znowu się pani potknie.
Róża miała dość obmierzłego towarzystwa. Bezczelna pewność siebie i poufałość, z jaką ten sługus odzywał się do niej, oburzała ją do żywego. A deszcz, jak na złość, nie ustawał.
Nierówny bruk ulicy Świętego Honoriusza nakazywał ostrożność, z rzadka rozstawione latarnie niewiele pomagały w bezpiecznym posuwaniu się naprzód. Wysoka postać towarzyszącego jej mężczyzny budziła w Róży jakieś niezrozumiałe rozdrażnienie, irytowało mocne ramię trzymającego nad nią parasol.

— Już dziękuję — powiedziała prędko, gdy weszli w ulicę Świętego Rocha.
— Doprowadzę panią pod sam dom — zauważył spokojnie — przecież pada. A może przemoczyła pani nogi? — zaniepokoił się. — W lekkich pantofelkach...
— Niechże pan przestanie! — krzyknęła gniewnie, zła na siebie, na deszcz, a przede wszystkim na „impertynenckiego fagasa".
— Przepraszam — pochylił się lekko w jej stronę. — Nie miałem zamiaru pani urazić. Jest pani taka młoda...

— Dziękuję, może już pan sobie iść. Mieszkam w tym domu.
„Bezczelny fagas", jak go w myśli nazywała, nie zamierzał jednak odejść tak od razu.
— Ma pani chyba rodziców, opiekunów... — zaczął, ale Róża nie dała mu dokończyć.
— Proszę sobie iść — rozkazała wyniośle, jak prawdziwa dama. Zaśmiał się i zuchwale zajrzał jej w oczy.
— Nie chce pani rozmawiać z nieznajomym — powiedział lekko. — Bardzo słusznie. Przecież dotąd się nie przedstawiłem. — Stanęli właśnie przed domem naprzeciw kościoła. — Pozwoli pani, że mimo niegodnego stroju dopełnię tego światowego obrządku — znowu zaśmiał się, „obelżywie", jak to odczuła Róża. — Miguel Toreno, zawsze do pani usług — pochylił głowę. — Następnym razem, gdy się spotkamy, postaram się nie być obleczony w tę obrzydłą czerwień.
— Nie będzie następnego razu — rzuciła przez ramię, drżącą z irytacji ręką zatrzaskując za sobą drzwi.
— Coś taka podniecona? — zauważyła podejrzliwie Zelia, ujrzawszy jej wzburzenie i zarumienione policzki. — Zapomniałaś parasola.
— Tak i odprowadził mnie bezczelny lokaj.
— Bezczelny? Czy cię obraził?
— Och, nie... ale jest antypatyczny. To Hiszpan.
— Hiszpan! — Zelia wzruszyła pogardliwie ramionami. — Wszyscy Hiszpanie są bezczelni. Odkąd mamy cesarzową Eugenię, ich arogancja przechodzi wszelkie granice. Chodź, uspokój się. Zaraz

podaję kolację. A ten Hiszpan — dodała groźnie — niech uważa, bo ze mną będzie miał do czynienia.
— I wiesz, śmiał mi się przedstawić! Co ty na to? — rozdrażnienie Róży dosięgło szczytu. — Żebyś słyszała jego ton! Nazywa się Miguel Toreno, czy coś w tym rodzaju.
— Miguel Toreno! — prychnęła Zelia. — Cóż to za nazwisko! W sam raz dla Hiszpana!
Mimo uspokajającej atmosfery domu, mimo matczynej nie-ledwie troskliwości Zelii, mimo uśmiechów Meli, uszczęśliwionej z powrotu opiekunki, nie opuszczało Róży trudne do wytłumaczenia wzburzenie.

W drwach płonących na kominku, czy potem, w kojącej ciemności sypialni, pojawiała się natrętnie przystojna twarz „fagasa" i jego zbyt śmiałe spojrzenie, a chwilami wydawało jej się, że słyszy niski głos z obcym akcentem, choć z bardzo płynną francuszczyzną, mówiący beztrosko: „Pani też pracuje, a więc jesteśmy równi".
Równi! Różę aż zatrzęsło. Co powiedziałby Dziaduś na takie zuchwalstwo? A może właśnie przyznałby rację Hiszpanowi? Dziaduś Ordęga, taki skromny i szlachetny.
Jej pamięć zachowała obraz smutnego wygnańca, pozbawionego Ojczyzny, domu i pieniędzy. Byli biedni i żyli z łaski francuskiego rządu, z tej marnej pensyjki, jaką po śmierci ojca im wypłacano.
I czymże była ona, Róża Ordężanka, wnuczka bohatera listopadowej wojny? Ubogą hafciarką, zarabiającą na życie w cesarskiej szwalni. Pozycja jej rzeczywiście równała się chyba stanowi lokaja. Cóż więc dziwnego, że Hiszpan...?
I nagle złapała się na myśli, która warem wstydu oblała jej twarz. Dlaczego ten Hiszpan jest tylko lokajem? Bez liberii prezentowałby się pewnie zupełnie inaczej, może nawet lepiej, niż niejeden z tych wielkich panów, bywających w Tuileriach.
Tak nią wstrząsnęła ta myśl, takim obunzeniem zapałała do własnej osoby, że aż siadła na łóżku i dopiero spokojny oddech Meli przywrócił jej jaką taką równowagę.
Co za głupstwa chodzą jej po głowie? Jak może interesować się ledwie poznanym mężczyzną, i do tego lokajem? Zupełnie, jak owe szwaczki, które, o niczym innym nie potrafią rozmawiać.

Żeby odpędzić niepożądane obrazy, Róża zaczyna odmawiać „Anioł Pański" za dusze swoich zmarłych. Ale choć wargi szepczą słowa modlitwy, przed oczy powraca śniada twarz, a niski głos mówi: „Następnym razem, gdy się spotkamy..."
Róża pobudza słabnące jakoś dziwnie oburzenie. Jak śmiał być tak pewny, że się znowu spotkają? Właściwie miał rację. Praca w Tuileriach nieraz zetknie ich na schodach czy na dziedzińcu. Nie uniknie tego. On będzie miał wówczas „na grzbiecie" czerwoną kurtkę lamowaną srebrnym galonem, a ona swoją codzienną, ciemną suknię, ożywioną zamiast klejnotu białym kołnierzykiem i takimiż mankietami. Nie

dopuści naturalnie do żadnej rozmowy czy innej poufałości. On wreszcie musi zrozumieć, jaka — mimo jej ubóstwa — dzieli ich przepaść.
Zobaczyła go dopiero po tygodniu. Zapukał do drzwi pracowni z poleceniem Najjaśniejszej Pani. Cesarzowa Eugenia pragnęła udzielić hafciarce wskazówek, co do nowej sukni z lyońskiego jedwabiu, która miała być zdobiona jej sztuką.
— Gdyśmy się widzieli po raz ostatni, pytałem, czy ma pani rodziców — powiedział poważnie, rozglądając się po pokoju. — Wówczas nie otrzymałem odpowiedzi. Tak młoda osoba nie powinna mieszkać sama — dodał z naganą.
— O czym pan mówi? — gniew na chwilę odebrał jej mowę. — Proszę wyjść. Sama trafię do cesarzowej.
— Nic pani nie rozumie — odparł poirytowanym tonem, zupełnie niestosownym dla lokaja.
— Jeżeli w tej chwili nie opuści pan mojej pracowni, poskarżę się cesarzowej.
— Poskarży się pani? Na mnie?
— Na pana. Powiem, że mnie pan napastuje.
— Ja? Napastuję panią? — widać irytacja już minęła, bo w niskim głosie drgał śmiech.
— Nie wiem, co pana tak bawi. Dla mnie to przykrość. Może pan zawracać głowy tym biednym szwaczkom, ile wlezie, mnie proszę zostawić w spokoju.
— Uważa pani, że zawracam głowy biednym szwaczkom?
— To już pańska rzecz. Niech pan nareszcie wyjdzie. Lokaj musi być posłuszny i wykonywać polecenia. Nie nauczono pana tego?

Wyszedł bez słowa, jak gdyby zagniewany, a Róża została z bijącym sercem i przykrym uczuciem wyrządzonej krzywdy.
Przez następne dni wyraźnie od niej stronił. Przekonała się o tym, gdyż parokrotnie mignęła jej czerwona kurtka i czarna głowa Hiszpana, który natychmiast znikał, gdy się zbliżała.
Wszystko to jednak przestało być ważne wobec groźby, jaka zawisła nad Melą.
Wraz z wiosną dziewczynka codziennie wychodziła z Zelią po zakupy. To znaczy, Zelia załatwiała sprawunki rano, przed wyjściem Róży, a

potem raz jeszcze szła z małą na spacer, po drodze kupując czasem to i owo.
W niedzielę, po mszy u Świętego Rocha, Róża zazwyczaj zabierała dzieci na Pola Elizejskie, gdzie w zadrzewionych alejach, wzdłuż jezdni, ustawiono ławki dla spacerowiczów. Pełno tam było wówczas matek z dziećmi biegającymi za kółkiem czy bawiącymi się piłką.
Mela uwielbiała te spacery, z Zelią nie było tak przyjemnie. Z Różą można było obejrzeć spektakl w teatrzyku marionetek lub posłuchać katarynki i dać kawałek cukru małej małpce o smutnej „twarzy". A nade wszystko można było wybiegać się do woli. Zelia, gdy szły razem, była zawsze jakaś niespokojna, rozglądała się na boki i mocno trzymała Melę za rękę.
Pewnego dnia te środki ostrożności, które tak złościły dziewczynkę, okazały się aż nadto uzasadnione.
Było to w piątek, w piękny majowy ranek. Zelia pomogła Meli włożyć nową lekką sukienkę, której żałobną czerń łagodził koronkowy kołnierzyk.
— Pójdziemy dziś nad rzekę — powiedziała wiążąc małej pod brodą wstążki nowego słomkowego kapelusza.
— Ach, jak dobrze — ucieszyła się Mela. — Po drodze zajrzę przez sztachety do Tuileriów, może mały książę będzie w ogrodzie?
— Mały książę uczy się. Tak samo jak Anto.
— Biedny Anto — westchnęła dziewczynka. — Ale za to w niedzielę popłyniemy statkiem. Róża nam obiecała. Zobaczmy, jak dziś wygląda rzeka.
Na ulicach pełno było ludzi — zwykły paryski dzień. Meli chciało się biec, skakać, a musiała iść spokojnie obok Zelii, bo z Zelią nie było żartów. Najwyżej mogła oglądać wystawy sklepowe.

Gdy doszły do pałacowego ogrodu, dziewczynka wyrwała się mocnej ręce i podbiegłszy do sztachet, wsunęła twarz między złocone pręty.
— Nie ma nikogo — powiedziała zawiedziona. — Mały książę uczy się!
— Mówiłam ci, że się uczy. Chodź, pójdziemy — Zelia obejrzała się podejrzliwie na dwie panie, które podobnie jak Mela zbliżyły się do ogrodzenia.
Kiedy szły potem długo pod arkadami ulicy Rivoli, Mela wysoko zadzierała głowę, by ogarnąć wzrokiem imponujące skrzydło Luwru,

które pawilonem de Marsan dotykało Tuileriów, tworząc jedyny na świecie zamknięty czworobok zamku i pałacu. Na polecenie Napoleona Trzeciego baron Haussmann oczyszczał cały ten teren ze zbędnej zabudowy gęsto stłoczonych domów, wydobywając wieczne piękno owej zabytkowej i historycznej spuścizny.
Skręciły w prawo, między monumentalną kolumnadę i kościół Świętego Hermana z Auxerre, i doszły do Sekwany. Mela wyrywała się naprzód, szarpiąc rękę Zelii, ale Zelia nie wypuściła palców dziewczynki.
— Chodźmy na most, tam najlepiej widać rzekę — oświadczyła wreszcie Mela, zrezygnowawszy z walki. — Pojutrze będziemy tędy płynąć statkiem.
Gdy skręcały na Nowy Most, z nadbrzeżnej ulicy nadjechał elegancki kabriolet, lśniący świeżym lakierem, zaprzężony w ognistego alezana. Powoził młody człowiek, o sportowym widać zacięciu, przypuszczalnie członek modnego Jockey-Clubu, któremu zamiast woźnicy towarzyszył służący.
Zelia cofnęła się, by przepuścić ekwipaż, a młody pan zatrzymał nagle powozik, wydając jakiś rozkaz lokajowi.
Sługa zeskoczył i nim Zelia z Melą zdążyły wejść na most, podbiegł do idących.
— Panienko — zwrócił się do dziewczynki. — Proszę natychmiast wracać do domu. Tak każe pan stryj. — Jednocześnie wyciągnął rękę, jak gdyby miał zamiar siłą zmusić małą do posłuszeństwa.
— Precz z łapą, fagasie — warknęła Zelia, ogarniając Melę ramionami. — Nie widzisz, że to moje dziecko? Odczep się, bo zawołam policję!

— Panienko — nalegał niezrażony sługus. — Proszę ze mną, pan stryj czeka.
— Patrzcie go! — krzyknęła Zelia z furią. — Cudzych dzieci mu się zachciewa. Precz, porywaczu!
Kilka przechodzących osób zatrzymało się, zwabionych krzykiem, wkrótce zbiegowisko było już dość liczne. Robotnik w ubielonej wapnem bluzie rozepchnął gapiów gotów do czynnej interwencji. Sługa coraz natrętniej sięgał po sparaliżowaną strachem Melę, młody pan niecierpliwił się już w powoziku.

— Ludzie — krzyknęła Zelia w desperacji — ratujcie nas przed tym bandytą!
Robotnik zatrudniony przy rozbiórce domów, starszy jegomość 0 wojskowym wyglądzie i chłopiec od piekarza wysunęli się naprzód, przyjmując tak groźną postawę, że sługa musiał się wycofać. Pan skinął z kabrioletu i lokaj, zaniechawszy ataku, wskoczył na kozioł. Zelia szybko uprowadziła dygoczącą Melę, która bez przerwy powtarzała:
— To on, to on. On kazał zabrać mamusię. I mnie zabierze.
1 mnie.
— Nie zabierze — powiedziała Zelia przez zaciśnięte zęby, oglądając się, czy nie są śledzone.
Dopiero w domu Mela poczuła się bezpieczna, ale i tam podchodziła parę razy pod drzwi wejściowe, jak gdyby nasłuchiwała wrogich kroków.
— Nigdy nie wyjdę na ulicę — oświadczyła. — Nigdy.
— Przekonałaś mnie — powiedziała Zelia wieczorem do Róży — gdyby ten stryj miał dobre zamiary, sam podszedłby do mnie, a nie wysyłał lokaja. To jakiś łajdak. Niech Bóg strzeże to dziecko.
— Doprawdy nie wiem, co robić — Róża nerwowo splatała palce. — On z pewnością was śledził. Zna adres. Należy oczekiwać wizyty policji.
— O nie — zaprzeczyła żywo Zelia — jeżeli dotąd nie zawiadomił policji, to i teraz tego nie zrobi. Będzie starał się odzyskać Melę własnymi siłami. Ma przecież do dyspozycji tego draba o zbójeckiej gębie.
Rzeczywiście, drab był niebezpieczny. Mela bała się go, owego
47

Fabiana, stryjowskiego lokaja, cieszącego się zaufaniem młodego pana. Bała się go zresztą cała służba, nawet Aneta.
— Nie otwieraj nikomu — upominała Róża wychodząc.
— Najgorsze, że nie można wierzyć dozorczyni — utyskiwała Zelia. — Za pieniądze wpuści do domu każdego obwiesia. A ten panek z pewnością sypnie złotem, jak zajdzie potrzeba.
— Na co mu to dziecko? — biadała Róża. — Pani Grabska mówiła przecież, że to dla niego kłopot. Miał się żenić.

— Jaki kłopot? — zaperzyła się Zelia. — A miliony to nic? Wraz z małą trzyma w garści fortunę brata, która dziecku się należy. Po to mu ono. potrzebne. A gdyby małej, broń Boże, przydarzyło się co złego...
— Zelio, jak możesz!
— Młoda jesteś i nie znasz ludzi. Mówiłam ci, że to łajdak.
Miesiąc przeżyły w niepokoju. Mela, zamknięta w domu, przybladła i posmutniała. Nawet cotygodniowe wizyty Antosia nie potrafiły jej rozweselić. Kroki na schodach przyprawiały ją o ataki lęku. Chroniła się wówczas w pokoju Dziadusia. Tylko tam, skulona na niskim podnóżku, czuła się jako tako bezpieczna pod strażą napoleońskiego talerza.
Zelia ani na chwilę nie zostawiała jej samej, wszelkie sprawunki załatwiając, dopóki Róża była w domu. Mela chodziła za nią krok w krok, z kuchni do jadalni, do sypialni, asystując przy słaniu łóżek, sprzątaniu, przygotowywaniu obiadu czy kolacji. Obecność Zelii pomagała dziewczynce pokonać strach, a zdeterminowana mina i zacięte usta służącej wyraźnie wskazywały, że była gotowa na wszystko.
— Na wszystko — powiedziała raz do Róży, gdy rozmawiały 0 ewentualnym najściu na ich mieszkanie, i wskazała przy tym ciężki kuchenny pogrzebacz.
Myślały, że Mela tego nie słyszy, ale Melę uradowały te słowa 1 znowu poczuła się bezpieczna. Z Zelią przecież nie mogło jej się przydarzyć nic naprawdę złego.
Zazwyczaj w czerwcu całe tak zwane „towarzystwo" opuszczało Paryż. Jedni jechali spędzić lato w starym zamku, który w spadku pozostawili im przodkowie, inni woleli bardziej nowoczesne roz-

rywki: pobyt w jakiejś modnej nadmorskiej miejscowości, Trou-ville, Dieppe, Arcachon czy Etretat. A gdy cesarzowa Eugenia udawała się do Biarritz, naj świetniej sza socjeta uważała sobie za punkt honoru przenieść się na ten czas nad hiszpańską granicę.
Pustoszały wówczas Pola Elizejskie. Między piątą a szóstą po południu nie spotkałeś tam ani jednego ekwipażu. Tylko wieczorem, po kolacji, w Lasku Bulońskim tłoczyli się ci wszyscy, którym ważne jakieś zajęcia kazały pozostać w stolicy. Podziwiano więc najpiękniejsze konie, powozy no i świetne damy w olśniewających toaletach, niedbale oparte o poduszki, wdzięczną pozą uwydatniające doskonałą linię kibici, wykwitającej z szeroko rozłożonej krynoliny. Spódnice zdobne w riusze i

falbany wypełniały wnętrza wytwornych Wiktorii nie pozostawiając miejsca dla małżonków.
Panowie zresztą inne mieli o tej porze rozrywki, odpoczywali }.o zajęciach dnia w klubie czy w kawiarni, nieliczni tylko lornetowali rozparte w powozach piękności.
Tak bywało dotychczas, ale czerwiec tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego roku różnił się od poprzednich, rok 1867 wsławił się w świecie jako rok Wystawy Powszechnej, ściągającej do Paryża wszystko, co godne podziwu, cokolwiek wydała ziemia, oraz wszystkich, którym fortuna pozwoliła pokonać największe nawet odległości i przybyć nad Sekwanę.
Wobec atrakcji, jakich dostarczała Wystawa, bladły najbardziej nawet wyszukane rozrywki modnej plaży czy starego zamku. Pary-żanie nie opuszczali więc stolicy, oczekując z niecierpliwością przybycia głów koronowanych oraz innych osobistości, poza tym mieli jedyną w życiu okazję, nie ruszając się z miejsca, poznać egzotykę dalekich lądów, zobaczyć stroje wszystkich nieledwie krajów, skosztować potraw, jakich nie znała francuska kuchnia, no i podziwiać urodę dziewcząt reprezentujących geograficzny atlas świata.
Wystawa 1867 roku nie była pierwszą tego typu imprezą we Francji. Już Dyrektoriat otworzył Wystawę Przemysłu jako namiastkę tradycyjnych jarmarków Świętego Hermana i Świętego Wawrzyńca, z których słynął przedrewolucyjny Paryż.
Potem, po wojnach napoleońskich, po jakiej takiej ekonomicznej stabilizacji, wystaw było więcej. Były to jednak imprezy krajowe,

bez rozmachu. Dopiero Drugie Cesarstwo doceni rolę przeglądu światowego dorobku na każdym polu ludzkiej działalności, a już wystawa 1867 roku nie miała sobie równej na całej kuli ziemskiej.
Cztery lata przed jej otwarciem dekret cesarski określił teren i organizację tej gigantycznej zaprawdę imprezy.
Paryż miał jedno tylko miejsce, zdolne pomieścić czterdzieści tysięcy wystawców i tłumy zwiedzających, a było nim Pole Marsowe, pozostające w zarządzie ministra wojny, przeznaczone w czasach pokoju dla rewii wojskowych i musztry paryskiego garnizonu.

Szkoła Wojenna z jednej strony, wzgórza Chaillot z drugiej zamykają perspektywę tego olbrzymiego placu obsadzonego drzewami, który jednym bokiem dotyka Sekwany.
Pole Marsowe bogatą ma historię. Iluż widziało ono ludzi i ile zdarzeń! Jeszcze przed rewolucją stąd właśnie uczony fizyk Charles wzniósł się balonem, po raz pierwszy napełnionym wodorem. Tutaj - świętowano rocznicę zdobycia Bastylii, tu stanął Ołtarz Ojczyzny. W okresie Terroru zastąpiono go co prawda gilotyną — łatwo było wówczas stracić głowę — a i sam Robespierre, mistrz ceremonii obchodu święta Najwyższej Istoty, nowej państwowej religii, nie uniknął losu, jaki gotował innym.
Już w roku 1865 na Polu Marsowym zaczęto roboty przygotowawcze pod przyszłą wystawę. Należało przysposobić czterdzieści hektarów terenu, zaopatrzyć go w gaz i wodę, a więc przekopać specjalne kanały, kędy rurami popłynie gaz z fabryk w Grenelle, a woda z pobliskiej Sekwany. Pośrodku wzniesiono olbrzymi pałac, dokoła którego pojawiły się najróżniejszego typu budowle, obrazujące wszelkie style i wszelkie epoki. Były tam wieże i latarnie morskie, kopuły i minarety, dzwonnice i hutnicze piece. Redaktor „Monitora" porównał Wystawę Powszechną 1867 roku do „Mekki, dokąd pielgrzymują wszystkie narody świata". I miał rację. Na Polu Marsowym wyrosło bowiem kosmopolityczne miasto, miniatura ludzkiej społeczności z gmachami, ogrodami, nawet z kaskadą, wieczorem oświetlone gazem, otwarte do północy.
Było tam wszystko — chińskie restauracje i włoskie pizzerie, wiedeńskie piwo i hiszpańska czekolada. Do kawiarni i cukierni zapraszała uśmiechnięta służba w ludowych strojach każdego

kraju. Fontanny biły wodą kolońską, a przechodnie maczali w nich chusteczki, zanosząc do domu zapach dalekiego świata.
Antoś wraz ze swoją szkołą miał już możność obejrzeć te wspaniałości. W sobotę przy kolacji tylko o Wystawie mówiono w domu przy ulicy Świętego Rocha. Chłopiec pełen był podziwu, sypał liczbami, podawał dane o wystawcach. Jeden z inżynierów oprowadzał uczniów, udzielając im koniecznych wyjaśnień. Meli błyszczały oczy z podniecenia i ciekawości, takie cuda usłyszała o zabawkach, które prezentowali Niemcy i Rosjanie.
— Chcę to zobaczyć! — wołała, ale Zelia szybko ochłodziła te zapały.

— Mela na Wystawę nie pójdzie — oświadczyła kategorycznie. — W takim miejscu wszystko może się zdarzyć i łatwo o wypadek.
— Co mówisz, Zelio! — Róża wystąpiła w obronie dziewczynki. — Właśnie w tłumie najbezpieczniej. W takim miejscu nikt się nie poważy...
— Powtarzam, to nie dla Meli — ucięła Zelia. — I w ogóle lepiej od takich miejsc z daleka. Czy zapomniałaś, co ostatnio napisali w „La Presse"?
Róża czytała artykuł pana Baragnon, utalentowanego żurnalisty, który domagał się skuteczniejszej obrony obywateli przed bandytami, w ostatnich bowiem miesiącach namnożyło się wiele tajemniczych zbrodni, których sprawców policji nie udało się ująć. Należały do nicn chociażby nie wyjaśnione dotąd zaginięcia.
— Wyobrażasz sobie, ilu złoczyńców ściągnęła Wystawa ze wszystkich stron świata? — Zelia potoczyła wzrokiem po siedzących. — Najgorsze męty hulają po Paryżu, a w ogóle to cesarz upadł chyba na głowę, że na to pozwolił.
Wbrew tak ponurym przeczuciom Zelii, Paryż bawił się wyśmienicie i o niczym innym nie mówiono. Wystawa była na ustach wszystkich.
Antoś co tydzień przynosił nowe wiadomości z Pola Marsowego. Widział już wiele, o reszcie Róża dowiadywała się w pałacowej szwalni.
„Jest tam winda — opowiadał chłopiec — zabiera dziesięć osób na wysokość dwudziestu pięciu metrów nad ziemią!"

„Żebyście widziały sale z damską konfekcją — wzdychała panna Wirginia. — Można umrzeć z zachwytu!"
„A meble? Czy obejrzałyście, jak tam urządzono pokazowe pokoje?" — Sabince błyszczały oczy.
„Najciekawsze są maszyny — stwierdził Antoś. — Najnowsze wagony kolei żelaznej, maszyny do szycia, aparaty fotograficzne, nawet drukarnia! Taki tam hałas, wszystko w ruchu, nie można wcale rozmawiać!"
Tak, Wystawa Powszechna 1867 roku olśniła paryżan. Na ulicach co dzień witano nowych przybyszów. Największe zaciekawienie budził car Aleksander II i sułtan Abdul-Aziz-Khan. Pierwszy jako od dawna we Francji zapomniany gatunek tyrana, drugi przez egzotykę stroju i czerwony fez, którego nigdy nie zdejmował.

Wizyta cara Aleksandra wzburzyła Polaków przebywających w Paryżu. Wielu z nich doznało na sobie mściwych represji, gdy zalewano krwią tlące się jeszcze do niedawna powstanie. Carowi nie udało się ujarzmić Polaków, choć nękał ich różnego rodzaju „ukazami", konfiskował mienie, odbierał ziemię i nadawał ją Rosjanom. Nadawał nawet niekiedy szlachectwo i mieszczanom, byle tylko nabywali dobra „polskich buntowników".

Gdy będąc w Paryżu przybył raz do Pałacu Sprawiedliwości, zgromadzony tłum przywitał go okrzykiem: „Niech żyje Polska!".

Dziewiątego czerwca w Lasku Bulońskim urządzono rewię wojskową na cześć cara i króla pruskiego. Po defiladzie gospodarze i goście dwoma powozami wracali do miasta. W pierwszym jechał Napoleon Trzeci z carem i carewiczami — carowi towarzyszyli dwaj jego synowie: następca tronu i wielki książę Władimir — w drugim cesarzowa Eugenia z królem pruskim i jego synem.

Konie szły stępa z powodu napierającego tłumu, ciekawego własnych i cudzych władców. Komentowano ordery zdobiące galowy mundur cara, wzruszano się dziecinną buzią wielkiego księcia Władimira, kobiety podziwiały suknię i kapelusz cesarzowej Eugenii, rzucając śmiałe spojrzenia na następcę pruskiego tronu. Cesarz miał jak zwykle nieprzeniknioną twarz i coś jakby cień uśmiechu na wargach.

Gdy mijano kaskadę, z grupy drzew buchnął strzał.

Pan Raimbault z dworu cesarzowej Eugenii, towarzyszący konno powozom, ujrzał jakiegoś mężczyznę, który z wyciągniętą ręką

kierował się ku przejeżdżającym. Sądząc, że człowiek ów chce podać pisemną prośbę do cesarza, ruszył w jego stronę, by usunąć natręta. W tej właśnie chwili mężczyzna strzelił. Kula przeszyła nozdrza konia pana Raimbault, raniąc kobietę stojącą po drugiej stronie alei.

Zamachowiec nie uciekał. Stał z opuszczoną ręką, trzymając ciągle dymiący pistolet, który za drugim strzałem zdruzgotał mu palce. Zatrzymał go jakiś angielski sierżant, znajdujący się tam wśród innych widzów. Gromada tajnej policji, winnej przecież wypadkowi, omal nie zmasakrowała nieszczęśliwca, dopiero wojsku z trudem udało się wyrwać zamachowca z rąk rozwścieczonych agentów.

Wieść o zamachu lotem ptaka obleciała Paryż.

— Popatrz, popatrz — słychać było na ulicy — taki despekt dla cesarza! Na co idą nasze pieniądze, jeżeli policja...
— Do kogo właściwie strzelano? — zapytywali niektórzy — do Napoleona, do cara czy do króla pruskiego?
Dopiero wieczorna prasa podała wiadomość wyjaśniając, że celem zamachowca był car Aleksander.
Pierwsze przesłuchanie przeprowadzili pan de Marmas, generalny prokurator, pan Gonet, sędzia śledczy, i prefekt policji Pietri. Winowajca odmówił zeznań, nie podając nawet swego nazwiska ani narodowości. Wiedziano tylko, że był cudzoziemcem.
Drugie przesłuchanie odbyło się już w obecności hrabiego Szuwałowa, szefa rosyjskiej służby bezpieczeństwa, którego wyćwiczonemu uchu nie uszedł słowiański akcent zamachowca.
— To Polak — stwierdził zimno hrabia Szuwałow — buntownik i bandyta.
Oskarżony przyznał się do wszystkiego: zarówno do zbrodni, jak i do przynależności do polskiego narodu.
Nazywał się Antoni Berezowski i miał dwadzieścia lat.
Narodowość, a przede wszystkim wiek oskarżonego wstrząsnęły opinią publiczną Paryża.
Berezowski wyznał, że nie miał wspólników, działał sam, a motywem zbrodni była chęć pomszczenia krzywd i ucisku nieszczęśliwej Ojczyzny.
Postawiony przed sądem przysięgłych z początku odrzucił propozycję obrony, jury jednak, wzruszone jego młodością, skłoniło
.
go do skorzystania z usług adwokata. Berezowski wybrał mecenasa Emanuela Arago, syna słynnego astronoma, który z właściwą sobie elokwencją w porywającej mowie obrończej rozwinął taki kunszt oratorski, że sędziowie przysięgli z uwagi na młody wiek oskarżonego i czystość jego życia przyznali mu okoliczności łagodzące i wydali wyrok skazujący tylko na dwadzieścia lat ciężkich robót.
Łagodność wyroku wobec ogromu zbrodni oburzyła cara i jego świtę, a rosyjskie gazety pisały z pogardą o nieudolności francuskiej policji, która nie potrafi zapewnić bezpieczeństwa koronowanym gościom swego kraju.
Gratulacyjne listy od Senatu oraz Izby Deputowanych złagodziły nieco gniew cara. W prawosławnej cerkwi w Paryżu odprawiono dziękczynne

nabożeństwo wraz z odśpiewaniem „Te Deum". Oprócz cara zaszczycili je obecnością cesarz Napoleon i jego małżonka.
Wkrótce car opuścił Paryż i wszystko wróciłoby do porządku, gdyby nie osoba zamachowca, który pozostał we Francji jako memento, a także jako wyrzut sumienia.
Antoni Berezowski. Kim był Antoni Berezowski?
Cała Francja zadała sobie to pytanie, cała emigracja polska poszukała na nie odpowiedzi.
Antoni Berezowski przybył do Paryża na dwa lata przed tragicznym wydarzeniem. Bez grosza, bez listów polecających do możnych protektorów, ze słabą znajomością języka. Mimo tak młodego wieku nie bał się ani biedy, ani ciężkiej pracy. Został robotnikiem, a ponieważ miał talent do mechaniki, znalazł zatrudnienie w pewnym warsztacie.
Po półtorarocznej egzystencji pełnej trudów i wyrzeczeń, żyjąc nieledwie na skraju nędzy, zdołał zaoszczędzić tyle, by ostatnie sześć miesięcy wolności poświęcić na poważną naukę francuskiego.
Aż oto prasa podała wiadomość o przybyciu na Wystawę cara, a więc tyrana i ciemiężcy jego Ojczyzny.
Myśl o zamachu zrodziła się nagle i gwałtownie popchnęła go do czynu. Nie potrafił oprzeć się pokusie ratowania tego, co w jego mniemaniu można było jeszcze ocalić. Nie zastanawiał się, co się z nim stanie, nie troszczył się o własne życie. Cóż to zresztą było za życie? Samotność i niedostatek, i nikogo... I tylko dwadzieścia lat!

Róża płakała, czytając te wszystkie szczegóły, jakich teraz nie szczędziła prasa.
— Dlaczego nic o nim nie wiedziałam? — skarżyła się Zelii. — Zabrałabym go do nas, wyperswadowałabym ten czyn szalony. Boże, co go czeka?
— Galery — burknęła Zelia, równie jak Róża poruszona całą tą tragiczną sprawą.
„Monitor" sypał szczegółami dotyczącymi więźnia.
Berezowski pragnął zachować incognito, obawiał się bowiem represji, jakie dosięgłyby jego ojca i resztę rodziny mieszkających w Polsce.
— Co teraz będzie z jego ojcem? — martwiła się Róża. — Czy i on także odpowie za czyn syna? Dlaczego po przybyciu do Paryża młody

Berezowski nie zgłosił się do hrabiego Walewskie-go? Z pewnością nie pozostałby bez pomocy.
Tak, dlaczego? Były minister wycofał się już co prawda z publicznego życia, mieszkał na wsi, bywał jednak w stolicy i z tego, co Róża wiedziała od Dziadusia, nie odwróciłby się od potrzebującego.
A jeżeli nie on, to ktoś inny z emigracji, tylu tu było Polaków, niektórzy z nich nawet bogaci.
Niestety, Berezowski nie szukał oparcia u rodaków. Żył cicho i samotnie. Nie miał nikogo, przed kim mógłby odkryć serce. Nikogo. A teraz czekały go galery.
— Przestań o nim myśleć — upomniała wreszcie Zelia. — Nic przecież nie poradzisz.
Tak, doprawdy, nic na to nie mogła poradzić. Na jakikolwiek ratunek było już przecież za późno.

A tymczasem młody Berezowski gotował się w więzieniu do czekającej go pieszej podróży do Tulonu. Na żywot galernika.

III

Niezapomniany rok Wystawy Powszechnej był doprawdy niezwykle bogaty w wydarzenia. Żurnaliści nie narzekali na brak roboty. Zaczerniali całe szpalty gazet podniecającymi nowinami — nareszcie mieli o czym pisać! — pracowali całe noce, tyle tematów każdego dnia cisnęło się pod pióra.
Podczas gdy paryżanie hucznie witali przybyłych na Wystawę sympatycznego księcia Walii jak i wyniosłego pana Bismarcka, hen, precz za oceanem, w dalekim Meksyku, padał pod kulami egzekucyjnego plutonu młody cesarz Maksymilian.
Ludzie szeptali, że winę za tę przedwczesną i tragiczną śmierć ponosi cesarzowa Eugenia, bo któż, jak nie ona pchnęła Francję do zbrojnej interwencji w meksykańskiej wojnie? *
Wiadomość o rozstrzelaniu Maksymiliana dotarła do Paryża w dniu, kiedy wystawcy mieli otrzymać nagrody z rąk cesarzowej Eugenii, i wzbudziła konsternację nie tylko wśród koronowanych gości.
Książę von Bismarck, wszechwładny minister króla Prus, którego lodowata grzeczność maskowała groźne jakieś zamiary, pozwolił sobie tym razem na skrzywienie warg w ironicznym ćwierćuśmie-chu, a

spojrzenie — szybkie niczym błysk — jakim objął świetne towarzystwo, wyrażało najoczywistszą wzgardę.
W saloniku pani Carette, lektorki cesarzowej Eugenii, Róża zastała kilka osób z dworu i z miasta. Wpadła właśnie przynosząc obiecane wzory haftów, a widząc gości, z przyjemnością zasiadła w wygodnym fotelu, przysłuchując się rozmowie.
— Niepotrzebna nam była wojna w Meksyku — mówił jakiś starszy pan, zdaje się kuzyn pani Carette.
— Chodziło przecież o obronę interesów obywateli francus-

kich, którzy inaczej potraciliby tam fortuny — zaoponował ktoś z dworskiego kręgu.
— Co tam fortuny — żachnął się ów starszy jegomość — i tak je potracili. Żal mi Maksymiliana.
— To straszne! — westchnęła przyjaciółka pani Carette, którą Róża już u niej widywała. — Miał dopiero trzydzieści pięć lat! Ten Indianin, Benito Juarez, to potwór!
— Benito Juarez to meksykański patriota — sprostował kuzyn pani domu. — Jest rzeczywiście czystej krwi Indianinem z plemienia Zapoteków i do dwunastego roku życia nie umiał nawet mówić po hiszpańsku. Ale cóż to ma do rzeczy? Ucywilizował się, odbył studia . prawnicze, został gubernatorem prowincji, wreszcie prezydentem. My chcieliśmy temu krajowi narzucić cesarza, a oni wolą republikę. Czy im nie wolno rządzić się według własnego wyboru?
— Oczywiście, że wolno — podchwycił pan reprezentujący koła dworskie. — Po co jednak mord na powalonym przeciwniku?
— W tym jednym zgadzam się z panem — skinął głową obrońca indiańskiego prezydenta. — Krew Maksymiliana splamiła ręce ' Juareza. To było rzeczywiście niepotrzebne. Wystarczyło doprowadzić cesarza pod eskortą do Veracruz i tam wsadzić na pierwszy statek odpływający do Europy. Tego właśnie pragnął Juarez, uległ jednak naciskowi swego rządu. A szkoda.
— Podobno cesarzowa Charlotta zwariowała — przyjaciółka pani Carette zniżyła głos. — Nie dziwiłabym się, gdyby to okazało się prawdą.
Róża pamiętała wizytę w Paryżu ówczesnego arcyksięcia Ferdynanda i jego młodziutkiej żony, którym dwór w Tuileriach zgotował świetne przyjęcie.

Arcyksiążę Ferdynand Józef Maksymilian, młodszy brat cesarza Franciszka Józefa, wysoki blondyn o łagodnym spojrzeniu, wszystkim się spodobał. Jego żonę, nie mającą wówczas jeszcze dwudziestu lat, córkę Leopolda, króla Belgów, mimo tak młodego wieku paliła niezdrowa jakaś ambicja. Wydawali się dziwnie niedobraną parą, choć połączyła ich prawdziwa miłość, rzadkie zjawisko pod baldachimem tronowego krzesła. Char lotta, rozczarowana i niezadowolona ze skromnej pozycji arcyksięznej, mimo wszystko uwielbiała męża.
57
Dotychczasowe jego funkcje — dowództwo austriackiej floty, a następnie zarząd królestwem Lombardzko -Weneckim z siedzibą w Mediolanie, nie dorastały do ambitnych wymagań młodej kobiety. Dopiero miraż meksykańskiego tronu zapalił błyski w oczach Char-lotty, czyniąc z niej najgorliwszą zwolenniczkę tragicznego w skutkach projektu.
Właściwie u podstawy całej tej „meksykańskiej awantury" — tak przeciwnicy polityki Napoleona III nazywali francuską interwencję w tym zamorskim kraju — leżała sprawa szwajcarskiego bankiera, niejakiego Jeckera, i jego bonów. Ten przedsiębiorczy jegomość, od lat osiadły w Meksyku, z powodzeniem prowadził rozliczne interesy. Wkrótce w jego rękach znalazły się kopalnie oraz wiele gałęzi miejscowego przemysłu. A Jecker potrafił wycisnąć z tych przedsięwzięć nie lada zyski.
Już na kilka lat przed wybuchem wojny domowej ówczesny prezydent Miramón podpisał ze Szwajcarem układ, mocą którego wszystkie bony narodowego długu wypuszczone za jego kadencji zostałyby zastąpione bonami Jeckera na sumę siedemdziesięciu pięciu milionów franków. Nie trzeba dodawać, że Meksyk grubo straciłby na tej transakcji, która panu Jeckerowi przyniosłaby krocie.
Wkrótce jednak Miramóna na prezydenckim fotelu zastąpił Benito Juarez. Ten nieugięty republikanin nie uznał zawartego* na takich warunkach układu. Jecker nie dał za wygraną i ruszył do Paryża. Tam tak długo kołatał do różnych drzwi, aż otrzymał to, o co mu chodziło, a mianowicie porękę Francji, co do wypełnienia skandalicznej umowy. Lecz choć poseł francuski w Meksyku użył całej swojej wymowy i dyplomatycznego nacisku, „Indianin" nie ustąpił. Wolał raczej na dwa lata zawiesić wypłatę sum, stanowiących odszkodowanie należne

francuskim obywatelom, którzy ulokowali swoje kapitały w meksykańskim przemyśle.
W odpowiedzi rząd Napoleona III poważył się na śmiały krok: oto za ocean wysłano tak zwany „korpus ekspedycyjny", by ukarać krnąbrnego „dzikusa".
W taki to sposób Francja uwikłała się w długą i kosztowną wojnę, która przyniosła jej same klęski, wciągając przy tym w tę bezprzykładną „wojenną przygodę" Bogu ducha winnego austriackiego arcyksięcia.
58
Ferdynand długo wahał się. Nie nęciła go bynajmniej zamorska korona. Uległ jednak namowom Charlotty, która nie mogła strawić, że parweniuszka, Eugenia de Montijo, rozpiera się na cesarskim tronie, podczas gdy ona, królewska córka, ginie w anonimowym tłumie austriackich arcyksiężniczek.
Decydującą, być może, rolę odegrały tu jednak namowy francuskiego dworu, który właśnie Ferdynanda upatrzył sobie na ofiarę nierozsądnej polityki.
Wyraziwszy zgodę, arcyksiążę musiał zrzec się ewentualnych praw do austriackiego tronu i pod imieniem Maksymiliana został uznany przez Francję i posłuszne jej stronnictwo konserwatystów cesarzem Meksyku.
Czternastego kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiątego czwartego roku pożegnał na zawsze europejskie brzegi i wstąpił na pokład austriackiej fregaty „Novara", by po sześciotygodniowej żegludze przybić do meksykańskiego lądu. Port Veracruz zgotował przybyszowi lodowate przyjęcie.
Od tej chwili Meksyk co dnia dopisywał jedną literę do wyroku śmierci na niepożądanego władcę.
, Wszystko zaczęło dziać się jak w greckiej tragedii. Okłamany przez meksykańskich popleczników, zdradzony i opuszczony przez Francję, Maksymilian zrozumiał, że nie ma dla niego ratunku.
— Oszukano mnie! — zawołał na wieść o ewakuacji wojsk francuskich.
— Zawarłem formalną umowę z Napoleonem III. Cesarz gwarantował mi pomoc pieniężną i wojskową do końca 1868 roku. Inaćfcej nigdy nie przyjąłbym tej korony!
Prawdę powiedziawszy najbardziej kochająca go istota przyczyniła się w największym stopniu do jego zguby.

Gdy Maksymilian na rok przed katastrofą pragnął abdykować, Charlotta nie dopuściła do karygodnej w jej mniemaniu „słabości".
Ostatni akt tragedii rozegrał się bez jej udziału — odpłynęła właśnie do Europy, by wymusić pomoc i poparcie dla przegranej już sprawy. Naturalnie niczego nie zdziałała. Nie potrafiła jednak znieść klęski, a wiadomość o śmierci męża na zawsze pogrążyła jej umysł w mrokach szaleństwa.
Maksymilian tymczasem dorastał do rangi bohatera tragedii.

Walczył właściwie samotnie przeciw narodowi, nad którym miał panować.
Jego plany uszczęśliwienia przybranej ojczyzny pozostały wyłącznie na gęsto zapisanych arkusikach: budowa dróg i mostów, a także kolei żelaznej, uporządkowanie finansów, oświata dla wszystkich bezpłatna i obowiązkowa, reorganizacja armii. Tyle nad tym rozmyślał, tyle pracował, ale Meksyk nie chciał jego dobrodziejstw, nie chciał amnestii dla więźniów politycznych, odrzucił ducha tolerancji i liberalizmu tylko dlatego, że pochodziły od cesarza narzuconego wbrew woli, siłą obcych wojsk.
Po kilku latach bezowocnych poczynań Maksymilian zrozumiał. Pozostały mu teraz dwie drogi: ustąpić lub walczyć. Pierwszą zamknęła przed nim Charlotta, musiał więc wybrać tę trudniejszą, wiodącą na śmierć. O tym też wiedział.
Do walki rzucił się z zaciśniętymi zębami, przywołując na pomoc dumę swego rodu. Na opłacenie wojska wydał cały osobisty majątek, to wszystko, co przywiózł z ojczyzny: cenne meble, srebra. Iluż jednak miał żołnierzy? Kilkanaście tysięcy Meksykan i garść ochotników z Europy. Z tą armią zamknął się w mieście Queretaro, które natychmiast otoczyły wojska republikańskie. Oblężenie trwało sześćdziesiąt osiem dni i choć zaczynało brakować żywności, ' załoga nie traciła ducha. Trudno zgadnąć, czym skończyłaby się ta wojna, gdyby nie zdrada.
Judasz, jak wiadomo, jest nieśmiertelny, a jego czyn pomaga zazwyczaj do rozwiązania tragicznego węzła.
Czarujący pułkownik Miguel Lopez, obdarzony zaufaniem cesarza, podjął się tej mało zaszczytnej roli. Pewnej majowej nocy wydał republikanom fort Świętego Krzyża, broniący dostępu do miasta.
Dla Maksymiliana nie było już ratunku.

Więzienie zniósł tak samo mężnie, jak znosił trudy żołnierskiego życia. Spał przecież na derce rozłożonej na ziemi, narażał się bardziej od swoich żołnierzy. Niestety, nie poległ w walce, przeznaczono mu bowiem inny rodzaj śmierci, który wymagał dużo więcej odwagi.
Los jego podzielili wierni do końca generałowie Miramón i Mejia.
W miesiąc później, postawieni przed sądem wojennym, zostali
60
skazani na śmierć. Rozstrzelano ich dziewiętnastego czerwca o godzinie siódmej rano w miejscu zwanym Wzgórze Dzwonów. Wszyscy trzej potrafili umrzeć godnie. Zabalsamowane ciało Maksymiliana wydano później austriackiemu wiceadmirałowi, by je zawiózł do Wiednia.
Lato zapowiadało się suche i upalne. Róża gorączkowo wykańczała hafty na dwóch sukniach i na peniuarze, aby zdążyć oddać robotę przed wyjazdem cesarzowej Eugenii. Dwór — jak zwykle
0 tej porze roku — przenosił się na wilegiature do Compiegne. Tuilerie przycichły i posmutniały. Na dziedzińcach nie słychać było rżenia koni ani turkotu powozów, nie widać było barwnych mundurów gwardii cesarskiej, z pałacowych ogrodów nie dolatywał ani śmiech małego księcia, ani tupot dziecięcych nóg na wygracowanych alejkach. Fontanny tylko nie przerywały pracy, szum spadającej do basenu wody wypełniał dzwoniącą, zdawałoby się, ciszę, a świergot rozzuchwalonego ptactwa zastępował ludzkie głosy.
Pani Benoit zamykała szwalnię, zarówno jej panny jak i hafciar-ka rozpoczynały wakacje.
Ostatniego dnia, gdy Róża zatrzasnęła za sobą drzwi pracowni
1 zeszła na dziedziniec, przy bramie natknęła się na hiszpańskiego lokaja.
Wydawał się tak pochłonięty lekturą — czytał jakiś list — że ledwie ją zauważył. Stał z pochyloną głową, a czoło przecinała mu pionowa zmarszczka.
Wyminęła szybko czytającego, a on skłonił się, nie odrywając prawie oczu od trzymanej kartki.
Wyszła zawiedziona obojętnością, z jaką ją przywitał — nie widzieli się od trzech miesięcy, a rozstali się wówczas w nieprzyjaznej z jej winy atmosferze. Gdyby odwróciła głowę, zobaczyłaby jednak, że patrzył za nią tak długo, dopóki jej ciemna suknia nie zniknęła za zakrętem ulicy.

Potem schował kartkę i z westchnieniem podążył w przeciwnym kierunku.
Była więc wolna. Szła prędko, nierada z takiego spotkania, karcąc się za własną ghrpotę i te jakieś zupełnie niestosowne na-

dzieje. Jeżeli ona jest na tyle nierozsądna, że zaprząta sobie głowę lokajem, to on, o wiele rozsądniejszy, zdał sobie nareszcie sprawę, że choć hafciarka, ale nie jest panną dla niego.
W domu dzieci hałaśliwie objawiły radość, gdy oznajmiła, że i ona ma wakacje.
Po paru dniach posłaniec przyniósł list od pani Carette.
Lektorka cesarzowej Eugenii, która wraz z dworem przeniosła się na lato do Compiegne, zapraszała Różę „na śniadanie do lasu" — jak pisała. W ubiegłym roku wraz z Antosiem spędzili uroczy dzień u pani Carette, Róża postanowiła więc i tego lata skorzystać z tak miłego zaproszenia i zabrać do lasu nie tylko Antosia, ale i Melę.
Zelia zdecydowanie była temu przeciwna.
— A nuż nas śledzą — mówiła. — W razie czego w Paryżu łatwiej się obronić, są ludzie-, zaraz robi się zbiegowisko, a tam co? Las i pustkowie. Co poczniesz sama wobec przemocy?
— Ależ, Zelio — perswadowała Róża. — Compiegne to nie żadne pustkowie! Latem rojno tam niczym w Tuileriach. Jak jest cesarz i dwór, pełno gwardzistów i policji. Nic nam zatem nie grozi. A w taką pogodę żal siedzieć w Paryżu. Popatrz, jak Mela przybladła. Niech choć jeden dzień spędzi w lesie.
Zelia, acz niechętnie, musiała ustąpić, tym bardziej że dzieci paliły się wprost do tej wycieczki. Mela z początku niespokojna, podzieliła wkrótce pewność Róży o całkowitym bezpieczeństwie takiej wyprawy. Las! Czy mogło być coś cudowniejszego nad to miejsce podczas letnich upałów? A Compiegne to przede wszystkim las.
Dawny zamek, przebudowany w ubiegłym wieku modą innych osiemnastowiecznych pałaców, stał się ulubioną rezydencją Napoleona Pierwszego. Nic dziwnego, że bratanek przejął stryjowskie gusta i w okresie lata stamtąd rządził Francją.
Paryż zresztą leżał blisko, tylko o siedemdziesiąt kilometrów, a cóż to znaczyło w wieku pary i żelaza? Najwyżej kilka godzin podróży koleją.

Miasteczko było ludne. Obok nowych domostw wabiło zabytkami dawnej architektury. Wokół pałacu rozpościerał się park przechodzący w las, a las Compiegne słynął ze starego drzewostanu i pokrywał zielenią piętnaście tysięcy hektarów.

dzieje. Jeżeli ona jest na tyle nierozsądna, że zaprząta sobie głowę lokajem, to on, o wiele rozsądniejszy, zdał sobie nareszcie sprawę, że choć hafciarka, ale nie jest panną dla niego.
W domu dzieci hałaśliwie objawiły radość, gdy oznajmiła, że i ona ma wakacje.
Po paru dniach posłaniec przyniósł list od pani Carette.
Lektorka cesarzowej Eugenii, która wraz z dworem przeniosła się na lato do Compiegne, zapraszała Różę „na śniadanie do lasu" — jak pisała. W ubiegłym roku wraz z Antosiem spędzili uroczy dzień u pani Carette, Róża postanowiła więc i tego lata skorzystać z tak miłego zaproszenia i zabrać do lasu nie tylko Antosia, ale i Melę.
Zelia zdecydowanie była temu przeciwna.
— A nuż nas śledzą — mówiła. — W razie czego w Paryżu łatwiej się obronić, są ludzie-, zaraz robi się zbiegowisko, a tam co? Las i pustkowie. Co poczniesz sama wobec przemocy?
— Ależ, Zelio — perswadowała Róża. — Compiegne to nie żadne pustkowie! Latem rojno tam niczym w Tuileriach. Jak jest cesarz i dwór, pełno gwardzistów i policji. Nic nam zatem nie grozi. A w taką pogodę żal siedzieć w Paryżu. Popatrz, jak Mela przybladła. Niech choć jeden dzień spędzi w lesie.
Zelia, acz niechętnie, musiała ustąpić, tym bardziej że dzieci paliły się wprost do tej wycieczki. Mela z początku niespokojna, podzieliła wkrótce pewność Róży o całkowitym bezpieczeństwie takiej wyprawy. Las! Czy mogło być coś cudowniejszego nad to miejsce podczas letnich upałów? A Compiegne to przede wszystkim las.
Dawny zamek, przebudowany w ubiegłym wieku modą innych osiemnastowiecznych pałaców, stał się ulubioną rezydencją Napoleona Pierwszego. Nic dziwnego, że bratanek przejął stryjowskie gusta i w okresie lata stamtąd rządził Francją.
Paryż zresztą leżał blisko, tylko o siedemdziesiąt kilometrów, a cóż to znaczyło w wieku pary i żelaza? Najwyżej kilka godzin podróży koleją.

Miasteczko było ludne. Obok nowych domostw wabiło zabytkami dawnej architektury. Wokół pałacu rozpościerał się park przechodzący w las, a las Compiegne słynął ze starego drzewostanu i pokrywał zielenią piętnaście tysięcy hektarów.

62

Wystarczyło raniutko wyjechać z Paryża, północną linią drogi żelaznej na Senlis, i w kilka godzin znaleźć się w najprawdziwszym lesie.

Mela po raz pierwszy w życiu podróżowała pociągiem, a zawrotna szybkość jazdy oszałamiała dziewczynkę. Antoś, dumny doświadczeniem jedenastoletniego chłopca, udzielał jej potrzebnych wyjaśnień.

Pani Carette wysłała na stację służącego, któremu Róża powierzyła koszyk z naszykowanym przez Zelię drugim śniadaniem. Miano je zjeść na trawie w rozkosznym cieniu olbrzymich dębów, z dala od upału, kurzu i wielkomiejskiego gwaru.

Lektorka cesarzowej oczekiwała gości w bocznym skrzydle pałacu, skąd wszyscy razem mieli wyruszyć do lasu. Niestety, przybyszów czekał zawód.

— Kochana panno Różo — pani Carette była szczerze strapiona. — Tak się złożyło, że nie mogę wam towarzyszyć. Pani rozumie, obowiązki... Czy mi pani wybaczy? Służący zaniesie koszyki i zaprowadzi was na miejsce, a ja, mam nadzieję, przyjdę niedługo. t Pani Carette była osobą uroczą i w jej towarzystwie śniadanie na trawie stanowiłoby dodatkową atrakcję. Dzieci jednak nie od-* czuły jej nieobecności. Lokaj rozesłał serwetę, rozłożył przyniesione wiktuały, po czym oddalił się, życząc dobrego apetytu. Było to zresztą zbyteczne, bo po podróży apetyt wszystkim dopisał znakomicie.

Słońce przesiane przez gęste listowie utraciło południowy żar raniący oczy ostrością blasku. Zalewało polanę seledynowym światłem łagodnej buduarowej ampli. Trawa była gęsta i miękka, bardziej puszysta niż perskie dywany w Tuileriach. Lśniła gładką zielenią jedwabiu, którym Róża haftowała listki i łodyżki owych fiołków, rozrzuconych bukiecikami po serwetach i poduszkach błękitnego salonu cesarzowej.

Po śniadaniu dzieci zapragnęły ruchu. Polana to przecież wymarzone miejsce zabaw i gonitwy. Ale wkrótce przestała im wystarczać. Las coraz silniej wabił mroczną głębią tajemnicy, i z początku lękliwie, później już śmiało Antoś i Mela zapuszczali się między śmigające w górę drzewa.

Róża oparta o pień olbrzymiego wiązu wspominała ostatnie za życia rodziców wakacje spędzone na wsi, niedaleko Fontaine-

bleau. W ciszy słychać było nawoływania się dzieci, śmiech Meli, a chwilami szum jak gdyby rozkołysanego morza, zwykłe odgłosy pałacowego życia, tłumione odległością i listowiem.
Ścieżka, którą przyszli, okrążała polanę, ginąc drugim końcem w zielonych głębokościach lasu.
Z tej właśnie strony Róża posłyszała kroki. Zerwała się niepewna, ale uspokoił ją widok liberyjnej kurtki, migającej czerwienią między drzewami. Człowiek tak odziany należał do cesarskiej służby i przez to samo nie wzbudzał nieufności, Róża nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby nie fakt, że wyraźnie zmierzał w jej stronę.
— Przysyła mnie pani Carette — powiedział zbliżywszy się. — Zaprowadzę panią.
— Pani Carette czeka na nas w pałacu? — Róży nie podobała się dziwnie nieprzyjemna twarz lokaja.
— Nie, w lesie — odpowiedział wskazując przeciwny pałacowi kierunek. — Jest w towarzystwie innych gości.
— Ach, ma jeszcze gości? To może lepiej pozostaniemy tutaj. Nie chciałabym przeszkadzać...
— Pani Carette specjalnie prosi — pomimo układnej miny lokaj pozwolił sobie na niedwuznaczny gest zniecierpliwienia.
Róża poczuła niepokój, a nawet lęk. W tym służącym było coś, co mimo cesarskiej liberii kazało mieć się na baczności. Zelia prze-* cięż ostrzegała, a tu rzeczywiście znalazła się sama w lesie, z dala od pałacu. Czy mogła być pewna, że w razie czego ktokolwiek usłyszy jej wołanie? Lokaj coraz natarczywiej przynaglał ją do drogi.
— Trzeba zabrać serwetę i koszyki — powiedziała Wreszcie, chcąc zyskać na czasie.
— To potem — machnął lekceważąco ręką. — Teraz proszę za mną. Gdzie są dzieci? — rozejrzał się po polanie.
I właśnie w tej chwili Róża posłyszała głos Antosia:
— Zobacz, Melu, tu są wiewiórki! — wołał chłopiec.
— Anto! — krzyknęła w desperacji — Zabieraj Melę i czym prędzej biegnijcie do pałacu! Uciekajcie!
— Co się stało?

Lokaj odwrócił się błyskawicznie, szukając wzrokiem dzieci, po czym ze złością kopnął koszyk, aż przewróciła się butelka

z resztką lemoniady. Z jego zachowania zniknęła wszelka układność.
— Ostrzegłaś ich, ty... — targnął Różę za ramię. — Bądź lepiej posłuszna i używaj ludzkiej mowy.
Nagle odezwały się jakieś głosy i zza zasłony drzew wkroczyło na polanę dwóch mężczyzn pogrążonych w rozmowie. Wyglądali na pałacowych gości.
— Na pomoc! — krzyknęła Róża, na próżno usiłując wyswobodzić ramię z żelaznych palców napastnika.
Mężczyźni stanęli, po czym pośpieszyli ku szamoczącej się z lokajem dziewczynie.
— To .złodziejka — powiedział dysząc służący. — Właśnie ją złapałem.
— Och, ratujcie mnie, panowie — Róża miała nadzieję, że dzieci są już poza zasięgiem złoczyńcy. — Jestem gościem pani Carette, lektorki cesarzowej. Ten lokaj napadł mnie...
— Ona kłamie! To pałacowa złodziejka.
— Proszę, zaprowadźcie mnie do pani Carette. Ona wyjaśni...
— Chodźmy — powiedział starszy mężczyzna biorąc Różę pod ramię.
— A ty, przyjacielu, też pójdziesz z nami. Tymczasem odczep się od tej panienki.
Zawrócili w stronę pałacu, a gdy weszli już na ścieżkę, lokaj dał susa w bok i przepadł wśród gęstego tu poszycia lasu.
— Najlepszy to dowód, że fagas kłamał — zauważył ów prowadzący Różę mężczyzna. — Biedactwo, najadła się pani strachu, co, panienko?
— Bardzo mnie przestraszył...
— Tak młodej osobie nie należy samej spacerować po lesie. Nawet w Compiegne.
— Nie byłam sama — Róża nie zdążyła wyjaśnić sytuacji, gdy ujrzała biegnących naprzeciw Antosia i owego lokaja, który przyprowadził ich na polanę. — Gdzie Mela? — krzyknęła.
— U pani Carette — Antoś ledwie mógł złapać oddech. — Powiedz, co się stało?
Lokaj miał niewyraźną minę. Czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za przygodę, która spotkała tę miłą panienkę, bo przecież człowiek w

cesarskiej liberii zagadnął go o gości pani Carette mówiąc, że ma dla owej panienki ważną wiadomość. Nie znał go, ale tylu teraz służących kręciło się w Compiegne, że trudno było

wszystkich zapamiętać... Co prawda, człowieka z gębą obwiesia nie przyjęto by chyba do służby w pałacu, niemniej wielki prestiż dworskiej liberii pokrywał nawet mankamenty fizjonomii.
Mela siedziała w saloniku pani Carette, wyczekując niecierpliwie powrotu opiekunki. Po okrzyku Róży oboje z Antosiem pobiegli do pałacu. Lektorka cesarzowej, zaniepokojona wieściami, wysłała na pomoc tego samego lokaja, który zaprowadził ich na polanę. Chwyciła też Różę w objęcia, całując ją i przepraszając za przykre zdarzenie.
— Okazuje się, że nawet w pobliżu dworu tak śliczna dziewczyna nie może znajdować się bez opieki. A to wszystko przeze mnie — dodała z żalem. — Gdybym mogła dysponować moim czasem... niestety, nie byłam wolna — zakończyła wzdychając.
Róża nie uważała za potrzebne wtajemniczać ją w dzieje Meli, zaakceptowała więc wersję „panienki napadniętej przez lokaja". Pani Carette postanowiła poskarżyć się cesarzowej i spowodować ukaranie winnego. Lokaj miał rozpoznać napastnika. Róża jednak była pewna, że człowiek ten wcale nie wchodził w skład cesarskiej służby, był więc właściwie nieuchwytny.
Wracali przygaszeni, zawiedzeni w nadziei na spędzenie uroczego dnia, skrócono bowiem czas wycieczki. Róża jak najszybciej pragnęła znaleźć się w domu, jedynie tam było bezpiecznie. Na szczęście Mela nie powiązała tego incydentu ze swoją osobą, Antoś tylko — wtajemniczony w losy małej przyjaciółki — spoglądał na siostrę pytająco, nie doczekał się jednak żadnych wyjaśnień.
Zelia triumfowała.
— Mówiłam ci, że nas śledzą — wybuchnęła wysłuchawszy relacji wydarzeń. — Wystarczy, jak Mela co dzień wyjdzie z nami na spacer. We czworo, na ludnej ulicy, nic nam nie grozi.
Po tygodniu pani Carette przysłała liścik. Raz jeszcze wyraziła żal z powodu nieudanej wycieczki. Pisała, że przyjechała na parę dni do Paryża w sprawach rodzinnych i bardzo chciałaby zobaczyć Różę.

Dziewczyna z przyjemnością przyjęła zaproszenie. Dowiedziała się, że lektorka powiadomiła cesarzową o przykrym zajściu, niestety, sprawcy nie ujęto. Przypuszcza się, że był to ktoś z zewnątrz, kto wkradł się — dzięki liberii — w szeregi pałacowej służby.
66

— Nie ulega wątpliwości, że człowiek ów to przestępca. Bez wątpienia miał złe zamiary, a samotna dziewczyna wydała mu się łatwą ofiarą. Cesarzowa Eugenia bardzo się tym przejęła, kazała przeszukać las w okolicy pałacu. Nie spotkano jednak nikogo podejrzanego.
Naturalnie, tego należało się spodziewać. Bandyta dawno już był daleko od Compiegne, krył się gdzieś tu, w Paryżu. Ta myśl mogła przejąć dreszczem najodważniejsze serce, i w powrotnej drodze Róża nieraz oglądała się za siebie, przyspieszając kroku.
Bulwar Madeleine był zatłoczony. Słonce stało jeszcze dość wysoko i gdyby nie przykre wspomnienie, wywołane rozmową z panią Carette, Róża cieszyłaby się spacerem. Zawsze podziwiała te eleganckie domy, przed którymi stały wyczekująco nowiutkie powozy, lśniące świeżym jeszcze lakierem, z kosztownym zaprzęgiem i służbą w liberii. Było stąd niedaleko do opery i do Cafe* de la Paix, gdzie po przedstawieniu zbierało się zazwyczaj na późnej kolacji wytworne towarzystwo.
Właśnie gdy mijała jeden z takich domów, zatrzymał się przy chodniku powóz, który zwrócił jej uwagę brakiem herbu na drzwiczkach, a jednocześnie dyskretną liberią woźnicy i lokaja. Służący siedział obok stangreta, ale zeskoczył z kozła, by otworzyć drzwiczki. Z wnętrza ekwipażu wysiadł młody człowiek, a gdy znalazł się naprzeciw dziewczyny, omal nie krzyknęła „Miguel Toreno", tak ów młody pan przypominał hiszpańskiego lokaja. Właściwie był z nim identyczny, tyle że twarz miał ściągniętą i poszarzałą, jak gdyby bólem czy chorobą, no i zamiast szkarłatnej liberii nosił wytworny ciemny garnitur i wyglądał tak, jak powinien był wyglądać tamten, gdyby nie był lokajem.
Pasażer powozu w przelocie musnął wzrokiem Różę, której wpółotwarte usta świadczyły aż nadto wymownie o wrażeniu z tego spotkania, po czym znikł w głębi westybulu wyłożonego marmurem, co zdążyła zauważyć, gdy zgięty w ukłonie portier szeroko otworzył drzwi przed znacznym widać gościem.

Młodego człowieka dawno już wchłonął elegancki dom, a Róża wciąż tkwiła na chodniku, nie mogąc przyjść do siebie ze zdumienia. To przecież Miguel Toreno — myślała — z cesarskiej służby, by po chwili karcić się prawie głośno: — głupia, skąd takiemu lokajowi...

Służący, który otworzył panu drzwiczki powozu, stał oparty 0 pudło karety i skręcał papierosa. Od czasu do czasu spoglądał na piękną dziewczynę, zastygłą jak gdyby na chodniku, potrącaną przez spieszących się przechodniów.
Nie ulegało wątpliwości, że był Hiszpanem. Równie śniady 1 czarnowłosy jak jego pan, rzucał w stronę Róży coraz ognistsze spojrzenia i najwyraźniej zachęcające uśmiechy.
Nie od razu zauważyła te awanse, a gdy wreszcie zdała sobie sprawę, że jej zachowanie ośmiela służącego, z rumieńcem zakłopotania wtopiła się w tłum, by jak najszybciej zniknąć z obserwujących ją oczu.
Po chwili była już na placu, pozostawiając za sobą grecką świątynię, otoczoną majestatyczną kolumnadą w korynckim stylu dwudziestometrowej wysokości, którą wzniósł niegdyś Napoleon ku chwale Wielkiej Armii, a jego następca, Ludwik XVIII, uczynił kościołem pod wezwaniem Świętej Magdaleny.
Pilno jej teraz było do domu podzielić się z Zelią wrażeniem z dziwnego spotkania. Biegła prawie ulicą Królewską, nie patrząc nawet na wspaniałe wystawy, zaledwie zauważyła powóz unoszący cesarza, który od placu Zgody podążał ku Bulwarom. Gdy skręciła w długą i dobrze znaną ulicę Świętego Honoriusza, 'poczuła się już u siebie.
W domu, niestety, nie od razu mogła przystąpić do zwierzeń. Dozorczyni miała dziwny wyraz twarzy, jak gdyby niepewności czy obawy, który starała się pokryć sztuczną wesołością. Siedziała jak zwykle w loży za firanką, robiąc na drutach pończochę, ale Róża widziała jej drżące ręce i latające źrenice.
— Piękny mamy dzień, nieprawdaż, panno Różo? — zagaiła z obłudną dobrodusznością. — Przydałby się pani wyjazd na wieś.
— Rzeczywiście, wyjątkowo piękny dzień, pani Cordier. Jak się posuwa robota? — wskazała druty. — Skończy pani tę parę do jesieni?
— O tak, to pończochy dla Augustyny. Będzie miała na zimę. Po tym krótkim dialogu Róża mogła już bez przeszkód dotrzeć na

trzecie piętro. Próżno jednak dzwoniła. Zelia nie przychodziła otworzyć. W mieszkaniu panowała głucha cisza, odzywał się jedynie jękliwy dźwięk targanego coraz niecierpliwiej dzwonka.

Dopiero po paru minutach wyczekiwania i niepokoju, gdy Róża chciała już zbiec na dół i wypytać dozorczynię, usłyszała ostrożne otwieranie drzwi do jadalni i skradające się jak gdyby kroki.
— Zelio! — krzyknęła. — Czemu nie otwierasz?
— Już idę — odpowiedziała Zelia i Róża odetchnęła. Przedpokój wyglądał jak arsenał: pogrzebacz, szczypce do węgli, szczotka do zamiatania, nawet ciężki przycisk do papierów z Dziadusiowego biurka stały w rzędzie przygotowane do odparcia ataku.
— Co to znaczy? — Róża pobladła.
— To znaczy, że ta wiedźma Cordier dała się przekupić — odpowiedziała Zelia z posępnym błyskiem w oczach. — Ledwie wytrzymaliśmy i gdyby nie sąsiedzi, wyłamaliby drzwi.
— Co mówisz? W biały dzień?...
— Tak, w biały dzień.
— D"7.orczyni wyglądała podejrzanie. Zagadnęła mnie...
— Łotrz/ca. Nie ujdzie to jej bezkarnie. Poskarżę się właścicielowi domu.
— Och, Zelio, nie rób tego, będzie się na nas mściła.
— Czego się boisz? Tym lepiej dla nas, jeśli ją wyrzucą!
— Jak możesz? Co pocznie, gdy straci pracę i zarobek?
— Wpuściła do domu bandytów, a ty się nad nią litujesz. Dwóch ich było. Walili w drzwi, że omal nie leciały drzazgi. „Proszę otworzyć, mamy do pani interes". Na szczęście państwo Pommier posłyszeli na górze i zbiegli zobaczyć. Spłoszyli ich, gdy już próbowali wytrychów. „Pani Zelio — pytają — co tu się dzieje?" „Złodzieje — odpowiadam. — Państwo nas uratowali". — Zelia przesunęła dłonią po deskach. — Stare drzwi — dodała — długo by nie wytrzymały takiego łomotania. Pójdę rozmówić się z dozorczynią.
— Poczekaj...
— Nie ma na co czekać — przerwała Zelia i wyszła trzasnąwszy drzwiami.
— Bądź ostrożna — wołała za nią Róża, ale Zelia tego nie słyszała.

Mela blada i zapłakana siedziała na Dziadusiowym podnóżku.
— Dobrze, że już jesteś — Antoś poskoczył ku siostrze. — Martwiłem się o ciebie.

— Co tu się działo? — Róża przytuliła rozdygotaną dziewczynkę.
— Odparliśmy natarcie wroga — odpowiedział chełpliwie. — Widziałaś naszą broń?
Zelia wróciła czerwona i zła.
— Powiedziałam babie, co o niej myślę — oznajmiła. — I pogroziłam, że jeżeli jeszcze raz wpuści tych bandytów, to jej Karo-lek skończy w kryminale.
— Dlaczego w kryminale? — zainteresował się Antoś.
— Bo to nicpoń — warknęła Zelia i zaryglowawszy drzwi wejściowe, poszła do kuchni.
— Co mamy robić? — gdy dzieci już spały, Róża z Zelią raz jeszcze omówiły całe wydarzenie. — Temu stryjowi widać bardzo na Meli zależy.
— Pewnie, że zależy! — prychnęła Zelia. — I wiedz jedno — dodała proroczo — on nie spocznie, póki nie dostanie małej. Ale jej nie dostanie — zakończyła z ponurą jakąś determinacją.
— Boże, Boże — Róża ścisnęła głowę. — Do kogo iść? U kogo szukać pomocy? Nie udało mu się trzy razy, ale za czwartym...
— Uspokój się, nie będzie czwartego razu — Zelia wyprostowała się z godnością. — A jeżeli znowu skusi go licho, nie bój §ię, potrafię dotrzeć i do samego cesarza!
— Do cesarza?
— A co myślałaś? Że będziemy siedzieć z założonymi rękami i jak po nas przyjdą, damy się zaprowadzić do rzeźni jak cielęta?
— Och, Zelio...
— Tak. Niech cesarz wie, co się święci. A jak będzie trzeba, to i my trafimy do policji.
— Chcesz prosić policję?...
— A od czego ona jest? Wreszcie tę sprawę wyprowadzimy na czyste wody. Niech pan Narzymski powie, co zamierza, dlaczego nie zawiadomił o zniknięciu dziecka, a teraz, zamiast przyjść do nas, jak pożądny i uczciwy człowiek, nasyła bandytów.

Chyba Zelia nie myliła się, ale Róża nie była jakoś przekonana. Może należało rozmówić się szczerze z panem Narzymskim? Gdyby do tego doszło, komu jednak policja przyznałaby rację? Ubogiej hafciarce czy raczej bogatemu paniczowi, który — choć cudzoziemiec — z pewnością miał w Paryżu wielu wpływowych przyjaciół.

I co by się stało z Melą, gdyby wyrok w tym sporze wypadł po myśli bądź co bądź prawowitego opiekuna?

Zelia obawia się, ale czy słusznie? Może to po prostu nieporozumienie? Pan Narzymski to przecież stryj dziewczynki, a wszystko, co Zelia przypuszcza, zakrawa na jakiś ponury melodramat. Podobne sztuki grywano niegdyś w teatrach na nie istniejącym od niedawna bulwarze Tempie, zwanym wówczas „bulwarem Zbrodni". Baron Haussmann wykreślił całą tę dzielnicę z planu Paryża. Tak samo trzeba wykreślić złe proroctwa Zelii. Takie historie działy się w dawnych czasach, nie dziś. Tym razem Zelia myliła się, to było oczywiste.

— Biedny mały książę! — westchnęła któregoś dnia Róża, wspominając smutną twarz cesarskiego dziecka.

— Czemu biedny? — obruszyła się Zelia. — Książę, a po ojcu będzie panował.

— Co tam panowanie! Czy sądzisz, że królowie są szczęśliwi?

— Są królami.

— To chyba nieważne. Ja myślę o jego matce.

— Uważasz, że cesarzowa Eugenia jest złą matką?

— Nie, tylko czegoś jej brak... chyba ciepła, miękkości. Taka piękna, a taka przy tym zimna. Nie wiem, może się mylę, ale robi na mnie takie wrażenie... Matka powinna być czuła.

— Może — Zelia pokręciła głową. — Moja matka umarła przy porodzie, a macocha tłukła mnie regularnie trzy razy w tygodniu.

— Wiem, Zelio, wiem, opowiadała mi . mamusia. Ale to już minęło. Pamiętaj, że tamto twoje życie jest skończone. Na zawsze. Wówczas nikomu nie byłaś potrzebna, a teraz ja ciebie potrzebuję. Chyba zdajesz sobie sprawę, czym dla mnie jesteś.

— Mały książę ma guwernantki i nauczycieli — Zelia wróciła do pierwotnego tematu i zakaszlała, żeby pokryć wzruszenie. — A cesarz kocha go nad życie.
— O tak, cesarz kocha go szalenie — przytaknęła Róża. — Ale jak go kocha piękna Eugenia de Montijo?
— Trudno ją rozgryźć, to Hiszpanka. W każdym razie o wiele za dużo myśli o strojach i zabawach.
72
— Właśnie, Hiszpanka, a czy zauważyłaś, że nie ma w niej nic hiszpańskiego? Ani wewnątrz, ani zewnątrz. Blondynka, niebieskie oczy, jasna cera, zimne serce i, jak mówią, pozbawiona temperamentu.
— Księżniczki pękały z zazdrości, kiedy cesarz wybrał ją na małżonkę — mruknęła Zelia z dezaprobatą. — Zwykła panna de Montijo, a .została cesarzową. Nie lada gratka dla takiej dziewczyny.
— Zapominasz, jaka była piękna. Jeszcze i dziś...
G tak, cesarzowa Eugenia była obok Elżbiety austriackiej najpiękniejszą kobietą na tronie. Portrety Winterhaltera najwierniej chyba oddawały jej olśniewającą urodę. Czyż można winić Napoleona Trzeciego, że zakochał się do szaleństwa w takiej właśnie piękności?
Do czterdziestego piątego roku życia cesarz pozostał kawalerem, choć wiele małżeńskich projektów snuto dokoła jego osoby, wiele było kobiet, które darzył miłością, a niektóre z nich pragnął obdarzyć koroną. Jako prezydent Republiki Francuskiej między innymi pretendował do ręki księżniczki z rodu Wazów. Wszystkie te jednak dotychczasowe uniesienia zbladły, gdy pierwszy raz ujrzał pannę Eugenię de Montijo, Hiszpankę, która z owdowiałą matką osiadła w Paryżu.
Panna de Montijo była córką hiszpańskiego granda, urodzoną w legendarnej Grenadzie, wychowaną na paryskiej pensji Sacrś* Coeur, gdzie wraz z innymi wytwornymi pannami z tak zwanego „towarzystwa" otrzymała stosowną do przyszłego życia edukację. Potem zamieszkała z matką w skromnym apartamencie przy placu Vendóme i zaczęła — jak się to mówiło — bywać.
Widywano ją wszędzie: na Polach Elizejskich i w Lasku, w teatrze i w operze, na balach w Tuileriach i na piknikach w Com-piegne, jednym słowem tam, gdzie bywał książę prezydent, a następnie cesarz.
Wszyscy widzieli, jak Napoleon III pożera wzrokiem piękną Hiszpankę, śledzili fazy niewinnego flirtu, który jedno tylko mógł mieć rozwiązanie:

błogosławieństwo arcybiskupa Paryża przed głównym ołtarzem katedry Notre-Dame. Mylili się więc ci, którzy w pannie de Montijo upatrywali przyszłą faworytę. Nie nadawała się zresztą do tej roli: dobrze urodzona, religijna i cnotli-

wa pasowała wyłącznie do korony, nawet cesarskiej. Od czasów nieszczęsnej Marii Antoniny nie było na francuskim tronie równie pięknej władczyni.
Wszystko zdawało się dzielić tę niezbyt dobraną parę: wiek — cesarz był o osiemnaście lat starszy od narzeczonej, charakter, upodobania, połączyła ich jednak miłość, być może raczej jednostronna, Eugenia przecież mimo późniejszych miłostek cesarza pozostała do końca wierną żoną. Związek ich rozerwała dopiero śmierć, po dwudziestu latach pożycia.
Oświadczając się, cesarz lojalnie uprzedził młodą Hiszpankę 0 czekających ją trudach, a może i niebezpieczeństwach. Znał życie i ludzi, wiedział, jak wrogo odnosiła się do niego stara arystokracja, marząca o powrocie Burbonów i upadku „uzurpatora 1 parweniusza".
Nic jednak nie odstraszyło panny de Montijo, nawet perspektywa zbrodniczego zamachu czy skrytobójczej śmierci z ręki płatnego zbira. Dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego trzeciego roku o ósmej wieczorem stawili się w Marszałkowskiej sali tuileryjskiego pałacu przedstawiciele rządu, Senatu i człon-, kowie rodziny Bonaparte, aby być świadkami cywilnego ślubu cesarskiej pary. Ów doniosły akt wpisano do historycznego rejestru, oprawnego w zielony aksamit usiany w złote pszczoły, gdzie wpisywano wszystkie śluby, chrzty i zgony członków napoleońskiej dynastii. Następnego dnia małżonkowie zostali połączeni nierozerwalnym węzłem w katedrze Notre-Dame.
Panna de Montijo, zostawszy cesarzową Eugenią, objęła w posiadanie salony Tuileriów, jedynie godną oprawę dla jej królewskiej urody.
Jak ten pałac pałacem, nigdy nie wydawano tam tak wspaniałych balów, a przecież przez Tuilerie, podobnie jak przez Wersal, przetoczyła się historia nie tylko Francji.

W 1564 roku królowa matka Katarzyna Medycejska zleciła słynnemu budowniczemu Filibertowi Delorme, by na zachód od Luwru, na terenie dawnej fabryki dachówek — po francusku tuilerie — wystawił jej pałac godny królewskiej rezydencji.
74
Filibert Delorme sporządził plany prawdziwie architektonicznego arcydzieła, zrealizować jednak zdążył tylko zachodnie skrzydło tej swojej artystycznej wizji, gdzie jońskie kolumny podtrzymywały bogato rzeźbione portyki, a z głębi nisz wychylały się posągi rzymskich bohaterów, gdzie niezrównany Jean Goujon ustawił swoje kariatydy, a filary pokrył koronką z kamienia.
Po nich wielu jeszcze artystów uzupełniało obraz całości zgodnie z własnym talentem i gustem epoki, między innymi nawet wielki Le Vau, jeden z twórców Wersalu.
Także dla Katarzyny Medycejskiej założono ogród wzorowany na najpiękniejszych ogrodach Italii. Wśród kwietników szemrały tam fontanny, płynęły strumyki, w kępach drzew kryły się wymyślne pawilony, był nawet modny labirynt i obowiązkowy w takim ogrodzie zwierzyniec. Potem wraz ze zmianą stylu pan Le N6tre nadał bardziej francuski kształt tym włoskim ogrodom, które Ludwik XIV otworzył dla publiczności. Jedynie „lokaje i liberyj-na służba" nie mieli tam prawa wstępu.
Ludwik XIV opuścił jednak Paryż dla Wersalu, całe swoje zainteresowanie skupiając na tej ostatniej rezydencji. Popadłszy więc w niełaskę Tuilerie popadały powoli w zniszczenie, przez następne bowiem sto lat trzej królowie z dynastii Burbonów z rzadka tylko zaszczycali pałac krótką obecnością.
Rewolucja zdegradowała tę jedną z najpiękniejszych rezydencji Europy do roli więzienia, przetrzymując tam Ludwika XVI i jego rodzinę.
Cały ten królewski zespół architektoniczny, nazywany wówczas „Pałacem Ludu", miał — według planów epoki — pomieścić muzeum i bibliotekę narodową, a podczas Drugiej Republiki Wiktor Hugo gorąco popierał projekt przekształcenia siedziby monarchii — jak mówił — w „Mekkę rozumu".
Już Katarzyna Medycejska zamyśla o połączeniu Tuileriów — nazwa dawnej fabryki dachówek przeszła na pałac — z Luwrem, i na jej życzenie Piotr Lescot stawia Małą Galerię. Dopiero jednak Henryk IV

pełniej realizuje ten śmiały zamiar, prowadząc wzdłuż Sekwany długie boczne skrzydło nazwane potem Wielką Galerią, łączącą oba pałace. Jest to piękne dzieło późnego renesansu i triumfalny powrót stylu neoklasycznego.
Ta najdłuższa galeria na świecie liczy blisko pół kilometra,

wnętrze jej godne jest zaprawdę majestatu, a posadzkę pokrywają wspaniałe kobierce z królewskiej manufaktury la Savonnerie.
Wszyscy następni władcy będą dążyli do coraz ściślejszego zespolenia obu pałaców, co dokona się ostatecznie za Napoleona Trzeciego. Wówczas to zamknie się ów monumentalny Czworobok, kryjący serce Paryża, a więc i Francji.
W XVII i XVIII wieku między pałacami wyrasta — mimo zakazów — cała dzielnica: domy mieszczan i rezydencje arystokracji, stłoczone wokół kościołów — Świętego Mikołaja i Świętego Tomasza. Dopiero Napoleon I zacznie oczyszczać „królewski teren" z tych natrętów, a Napoleon III dokończy dzieła. Ponieważ Napoleon I upodobał sobie to miejsce i właśnie Tuilerie obrał za siedzibę cesarskiego splendoru, Napoleon III utrzymał rodzinną i narodową tradycję.
W lutym 1852 roku dotychczasowy książę prezydent — zostawszy cesarzem — opuścił Pałac Elizejski i przeniósł się do Tuileriów. Po ślubie cesarza architekt Lefuel urządził na pierwszym piętrze apartament dla cesarzowej Eugenii, z trzema słynnymi salonami: zielonym, różowym i błękitnym, gabinetem, sypialnią, garderobą i buduarem. Cesarz zamieszkał na parterze, w południowym skrzydle wychodzącym na ogrody, a jego gabinet uderzał prostotą,-kontrastującą z przepychem tronowej sali. Apartament małego księcia leżał w tym samym skrzydle, niedaleko pokojów ojca, z tą tylko różnicą, że okna wychodziły na pałacowy dziedziniec. W wielkim salonie stała dotąd oficjalna kołyska tego, który w przyszłości miał zostać Napoleonem IV.
Róża dobrze znała te splendory, znała również dzieje pałacu. Dziaduś zawsze interesował się przeszłością i uczył ją nie tylko historii Polski, ale i historii przybranej ojczyzny. Póki jeszcze czuł się dobrze, ileż odbyli spacerów po Paryżu, ile zwiedzili kościołów oraz innych miejsc poświęconych rozpamiętywaniu tego, co minęło!
„Nie tylko mężczyzna musi być wykształcony — mawiał często — umysł kobiecy także należy formować i oświecać. Jaką bowiem towarzyszką

będzie dla męża ta, co jedynie plotki domowe powtarzać potrafi, a świat jej zamknie się między kuchnią a kredensem?"

Dziaduś bolał nad tym, że Róża nie miała odpowiedniego towarzystwa, nie bywała w domach, gdzie mogłaby nabrać manier, jakimi powinna odznaczać się panna z jej urodzeniem. Urodzenie! Cóż to teraz znaczyło? Dziaduś żebrak i uchodźca, pozbawiony Ojczyzny i swego miejsca w świecie i ona, wyrobnica, naftem zarabiająca na życie.
Wszystko to jakoś nie dotykało jej tak boleśnie, póki nie poznała hiszpańskiego lokaja. Myśl o nim sprawiała jej przykrość, a nie myśleć o nim nie mogła. Gdybyż był tym młodym panem, tak łudząco do niego podobnym, który wysiadł z powozu na bulwarze Madeleine! Gdyby nim był, nie spojrzałby nawet w jej stronę — dopowiadał rozsądek.
O tak, ludzie z jej sfery nie zwracali na nią uwagi, była przecież niczym. I tym też gryzł się Dziaduś.
— Jak ja ciebie zostawię — powiedział kiedyś, gdy siedzieli przy kominku. — Jak zostawię samą, bez żadnej opieki!
— Przecież jesteśmy razem — zaprotestowała gorąco — i nigdy się nie rozstaniemy.
— Rozstaniemy się, dziecko, może nawet wcześniej, niż przy-puszczam. Śmierć jest na tym świecie ostatecznym rozstaniem. A nie mamy nikogo.
— Dlaczego Dziaduś o tym mówi? — zdławił ją lęk.
— Dlatego, że o tym myślę, stale myślę — odpowiedział potrząsając głową. — Gdybym odnalazł Zygmunta...
Wiedziała, że gdyby odnalazł się ów przyjaciel, nie byliby sami i Dziaduś o nic nie potrzebowałby się martwić.
— Po co o tym myśleć? — szepnęła. — Tak mi z Dziadusiem dobrze.
— Kobieta musi mieć męża, opiekuna i przyjaciela. A ty kogo masz?
— Mam Dziadusia.
— I co z tego? Stary dziad do niczego. Myślę o kimś zupełnie innym i nie widzę nikogo. Zresztą, gdzie mamy go szukać, tego opatrznościowego człowieka? Nigdzie nie bywamy... Opiece boskiej co dzień ciebie polecam i w tym cała moja nadzieja.
Ze śmiercią Dziadusia świat — dotąd dobry i przyjazny — upodobnił się nagle do jakiejś przerażającej czarnej pustyni. Po

raz pierwszy zdała sobie wówczas sprawę, że choć ma obok Zelię, została właściwie sama — Antoś był jeszcze dzieckiem i na niego liczyć nie mogła. Jak więc teraz podejmować ważne może decyzje, jak prowadzić dom i zapewnić bratu konieczną edukację? Na szczęście Zelia była mądra i kochała Różę. I życie — mimo smutku i żałoby — potoczyło się dosyć gładko i spokojnie.

Dopiero przybycie Meli naruszyło porządek, wniosło niepokój i poczucie zagrożenia, bo przecież nawet dom przestał być nienaruszalnym azylem, a i ona, Róża, raz już znalazła się w niebezpieczeństwie.

I w tym wszystkim była sama, bez żadnej silnej ręki do pomocy. I znowu wbrew woli pomyślała o hiszpańskim lokaju, o jego śmiałym spojrzeniu i niskim głosie, który raczej pasował do wydawania rozkazów niż do uniżonej prośby.

Gdyby mu tak powiedzieć?... Cóż jednak mógłby poradzić? Zwykły lokaj...

Nie rozmawiała z nim od owego dnia, gdy zjawił się w pracowni z poleceniem od cesarzowej Eugenii. Pewnie się obraził, unikał jej potem, a i teraz, gdy się spotkali, ledwie na nią spojrzał.

•

To dobrze — przytakiwała w myśli — przynajmniej pozbyłam się go raz na zawsze. Zarozumialec.

Nie była ze sobą szczera. Bo tak naprawdę, to żałowała tych wypowiedzianych w gniewie słów i dałaby wiele, by móc je odwołać. Co prawda lokaj zachował się niewłaściwie, te jego pytania zupełnie były nie na miejscu. Ale miał pewnie dobre intencje. Troszczył się o nią.

Troszczył się? — Róża aż usiadła na łóżku. — Rzeczywiście, te wszystkie pytania świadczyły najwyraźniej o zainteresowaniu jej osobą. Inaczej niepodobna było wytłumaczyć tej niewczesnej ciekawości. Pytał, czy ma rodziców... Może gdyby wiedział o jej sieroctwie...

Czego się po nim spodziewam? — zgromiła siebie surowo. — To przecież tylko lokaj, hiszpański lokaj.

Zanim zasnęła, przywołała raz jeszcze przed oczy wytworną sylwetkę młodego człowieka z bulwaru Madeleine. Patrzył na nią ciemnymi oczami Miguela Toreno i przemawiał niskim głosem Hiszpana.

IV

Druga połowa sierpnia była już w Paryżu mniej uciążliwa. Zmierzch wcześniej zapadał, a z nim ochładzało się rozpalone upałem powietrze. Róża z Zelią i z dziećmi wychodziła na spacer przed kolacją. Mela szła w środku, Antoś przodem, niczym żołnierz w awangardzie.

Wybierali zazwyczaj bardziej uczęszczane ulice. Gdy mijali kościół, Róża opowiadała Meli o jego patronie, owym świętym Rochu, który w dawnych czasach i w dalekiej Italii niósł pomoc zadżumionym, nie dbając o własne życie. Towarzyszył mu wierny j>ies, dlatego świętego Rocha wybrano na patrona zwierząt.

Pierwszy kamień pod budowę świątyni położył sam Ludwik XIV, potem w czasach rewolucji, pamiętnego dnia trzynastego ven-demiaire'a stopnie kościoła zbryzgała krew rojalistów. Usiłow.ali oni wedrzeć się w ulicę prowadzącą do bram Tuileriów, gdzie obradował Konwent. Obroną dowodził młody Korsykanin, Napoleon Bonaparte. Powstańców, zwanych wówczas buntownikami, zmiotły ze stopni kościoła celne pociski artyleryjskie, a ślady kul Antoś pokazywał Meli na gładkim niegdyś murze.

Kościół Świętego Rocha był także związany z Ojczyzną. Tu — jak opowiadał Dziaduś — zbierali się na niedzielnym nabożeństwie pan Mickiewicz i jego przyjaciele, tu złotousty kaznodzieja, ksiądz Kajsiewicz, grzmiał z ambony przeciw nauce Towiańskiego.

Dziaduś ukryty za firanką swego pokoju śledził przybywających do kościoła rodaków. Ale sam bywał na mszy o innej godzinie. Ze wzruszeniem jednak wspominał pana Adama, gdy tak stał w słońcu przed drzwiami kościoła, wysoko podnosząc piękną, lwią głowę.

Dziś poszli w stronę placu Vendome, który — jeden z nielicz-

nych — zachował dotąd powagę Złotego Wieku, a konny posąg Ludwika Wielkiego mówił niegdyś o równie wielkich dziełach dokonanych za tego monarchy.

Rewolucja zwaliła króla, spiżowy Ludwik dotknął czołem błota ulicy. W piętnaście lat potem Napoleon każe przetopić tysiąc armat zdobytych pod Austerlitz, by z tego materiału wznieść nieśmiertelną kolumnę, tak wysoką, że paryski ludek ochrzci ją mianem „świecy".
Dziaduś wiedział wszystko o otaczających plac domach i Róża usiłuje przypomnieć co ważniejsze osoby i wydarzenia, związane z tym miejscem. Antoś prowadzi je prosto pod numer dwunasty, gdzie było ostatnie na tej ziemi mieszkanie Fryderyka Chopina.
Słońca już nie widać, skryło się za równą linię domów zamykających wysoki horyzont, ale niebo zachowało jeszcze blaski zachodu.
Szli wolno wzdłuż stylowych fasad, rozkoszując się — dzięki rozległości miejsca — jak gdyby większą swobodą oddechu.
Przed gmachem Ministerstwa Sprawiedliwości stał ciemny powóz, a służący, w którym Róża od razu poznała lokaja z bulwaru Madeleine, zajęty był, jak wówczas, skręcaniem papierosa.
Nie zauważył jej, a ona przyspieszyła nieco kroku, choć obejrzała się parę razy, tak była ciekawa pasażera.
Gdy obeszli plac i wrócili przed gmach Ministerstwa, powóz stał tam jeszcze, a służący — oparty o pudło karety — czytał „Figara".
— Obejdźmy plac jeszcze raz — zaproponowała Róża, zdecydowana przyjrzeć się uważniej sobowtórowi Miguela Toreno.
Gdy więc po raz trzeci znaleźli się przed Pałacem Sprawiedliwości, z gmachu wychodził właśnie młody pan, wydając po hiszpańsku rozkaz służącemu.
Lokaj otworzył drzwiczki, a Róża śmiało spojrzała na człowieka, który ukradł chyba twarz cesarskiemu lokajowi.
Nieznajomy bez mrugnięcia wytrzymał jej wzrok, choć intensywność spojrzenia wywołała lekki rumieniec oraz wyraz jak gdyby zakłopotania na jego twarzy, bladej i wymizerowanej, jak po ciężkiej chorobie.
Myliła się więc, a tak jej się zdawało... To nie był Miguel Toreno, bo i skądże?

Młody pan zniknął w głębi powozu, a konie natychmiast ruszyły.
— Widziałaś? — spytała Zelię zdławionym głosem. — Widziałaś tego pana, co wsiadł do powozu?
— Widziałam — odparła Zelia obojętnie. — I co z tego? Ale również widziałam, jak jego lokaj bezczelnie strzelał oczami w twoją

stronę. To Hiszpan — dodała z pogardą. — Od razu poznałam. Tylko Hiszpan pozwala sobie na podobne miny.
— Nie mówię o służącym — zniecierpliwiła się Róża. — Ale ten pan, czy zauważyłaś?
— Zauważyłam — pokiwała głową Zelia, aż zatrzęsły się kwiaty na jej kapeluszu. — Dobrze widziałam. Wpatrywałaś się w niego jak urzeczona. Damie tak nie przystoi — zganiła surowo.
— Ależ, Zelio, nic nie rozumiesz. Ten pan to właśnie mój lokaj!
— Twój lokaj? — Zelia przystanęła. — Jaki lokaj? Czy ten, co cię napadł?
— Ach nie, nie pamiętasz? Przecież ci mówiłam, ten z bulwaru Madeleine, taki podobny do...
— Pamiętam — Zelia wzrokiem wskazała dzieci. — Porozmawiamy o tym w domu. A ten pan — dodała z przekonaniem — to prawdziwy pan, nie żaden lokaj. I wybij to sobie z głowy raz na zawsze.
Czy Zelia domyślała się czego? Czy miała jakieś podejrzenia? Cały wieczór Róża napotykała jej badawczy wzrok, usiłujący jak gdyby przewiercić ją na wylot. Było to nad wyraz irytujące.
— Słuchaj, Zelio — powiedziała, gdy jak zwykle wieczorem mogły swobodnie rozmawiać. — Co ty sobie właściwie wyobrażasz?
Zelia nigdy nie siedziała bezczynnie. Teraz też miała na kolanach koszyk z szyciem i reperacją.
— O czym mówisz? — spytała niewinnie, udając, że zajęta jest nawlekaniem igły.
— Dlaczego tak mi się przyglądasz, jak gdybym popełniła coś złego?
— Wiesz dobrze, dlaczego. — Zelia opuściła ręce z robotą i przystąpiła do ataku. — Mów wszystko o tym Hiszpanie — rozkazała. — Muszę wiedzieć.
— Co chcesz wiedzieć?...

— Co ciebie z nim łączy?
— Mnie z nim?
— Tak.
— A cóż mnie może łączyć z lokajem?

— Tak i ja myślałam. Jednakże teraz obawiam się...
— Czego się obawiasz?
— Zawrócił ci głowę, ot co. Żeby państwo żyli...
— Doprawdy, Zelio, nie wiesz chyba, co mówisz!
— Wiem dobrze. Widziałam, jak na niego patrzyłaś.
— Przecież to nie on.
— Wszystko jedno, ale jak powiedziałaś, zupełnie do niego podobny.
— Taki sam, tylko że to nie on. Tamten jest lokajem — głos Róży drgnął żalem. — Poza tym jest między nimi pewna różnica: lokaj doskonale wygląda, a ten pan jak gdyby chory czy cierpiący.
— Bardzo mizerny — przyznała Zelia. — Więc mogę być spokojna?
— Czy obawiasz się, że zachowam się niewłaściwie lub popełnię jakieś głupstwo?
— Wszystkiego się obawiam, jeśli chodzi o ciebie. Państwo by mi nie wybaczyli... Mężczyźni są podli, a ty nieświadoma ich podstępów.
— Daj pokój, Zelio, mężczyźni wcale nie tacy straszni. Zresztą, nic mnie oni nie obchodzą.
Przez następne dni Zelia była smutna i zatroskana. Większą część dnia spędzała w kuchni, nieskora do rozmowy czy do zabawy z Melą.
Antoś powoli wracał do swoich książek. Z początkiem września Róża zajrzała do pracowni w Tuileriach.
Pani Benoit krzątała się w szwalni, rozdając pannom robotę. Dziewczęta rozgadane bez zapału zabierały się do szycia.
Na wystawie zakupiono trzy maszyny, nowe ulepszone modele.
Specjalny mechanik miał pouczyć panny, jak się z nimi obchodzić.
W pracowni hafciarki wszystko znalazła tak, jak zostawiła. Róża otworzyła okna, by przewietrzyć pokój, dotknęła tamborka, wyjęła koszyk z jedwabiem. Wkrótce zacznie się praca, będzie

tu spędzała wiele godzin. Ręce zajęte haftem, ale swobodna myśl poszybuje daleko stąd, ku jakimś nieznanym pejzażom, do ziemi, której może nigdy nie zobaczy.
Trzynastego września Antoni Berezowski powrócił na pierwsze strony gazet.
Przez ten czas dużo o nim myślała, usiłowała wyobrazić sobie jego bytowanie w więzieniu i to coś strasznego, co kryło słowo „galery".

Prasa francuska doniosła, że jedenastego września Berezowski, który przed trzema miesiącami targnął się na życie cara, przybył do Tulonu. Wyczerpany długim marszem — pieszo z Paryża na miejsce kaźni — nogi miał poranione i spuchnięte.
Zamieniono tam jego szaro-żółty strój więzienny na czerwony kaftan i zieloną czapkę galernika. Zgolono mu głowę, jak nakazuje regulamin — jedną połowę czaszki do skóry, na drugiej pozostawiając włosy centymetrowej długości.
W kuźni prawą nogę więźnia zakuto w żelazną obręcz. Nie połączono go jednak — jak innych — wspólnym łańcuchem z drugim galernikiem, jego kara miała być sroższa: oto przykuty do pryczy, mógł się poruszać tylko tyle, na ile pozwalała długość łańcucha.
— Boże, Boże — łkała Róża. — Jak można skazywać ludzi na podobne męczarnie!
— Czytaj dalej — Zelia przysiadła na kuchennym stołku. — Te pismaki nie mają serca. Dla nich to zwykła rzecz, takie okropności.
Dalej opisywano tragiczną scenę zamiany żywego człowieka w wyryty na blasze numer.
Podkreślano przy tym rezygnację i spokój, z jakim więzień zniósł bolesną operację, następnie dziwiono się, że mimo upodlającego stroju i koafiury, Berezowskiego cechowała pewna dystynkcja, a wyraz jego twarzy znaczyła inteligencja i łagodność.
— Głupcy! — wołała Róża — przecież to szlachcic! Berezowscy pochodzą z Podola. Dziaduś miał tam znajomych, bo czasem wspominał to nazwisko.
Zelia tylko ponuro kiwała głową.

Całą tę przerażającą inicjację w galerniczy żywot opowiedziano ze szczegółami zdolnymi pozbawić snu niejednego tak zwanego porządnego człowieka, rozsmakowując się jak gdyby w opisie świata, o którego istnieniu zdawali się nic nie wiedzieć ci wszyscy żyjący w zwykłej ludzkiej wygodzie.
A więc była tam rozmowa Berezowskiego z dozorcą — więzień pokazywał rękę wyjaśniając, że zranił ją strzał z pistoletu, a przez trzy tygodnie sam kurował się okładami z zimnej wody.

Gdy skuwano parami przybyłych z nim razem do Tulonu skazańców, stał spokojnie w kącie kuźni, nie odzywając się do nikogo, jakby niepomny strasznego miejsca.
Gazeta z lubością nieledwie przedstawiała warunki oczekującej go egzystencji. Czy opis ten potrafi jednak obudzić litość w czytelniku? Czy nie skłoni go raczej do poszukania na tej samej stronie mniej ponurych obrazów? Na pewno o wiele bardziej zaciekawi go małżeński skandal w rodzinie hrabiego de Givry, ploteczki zza kulis opery czy baletu, a może odkrycie o historycznym znaczeniu? Odnaleziono właśnie psałterz należący przed wiekami do świętego króla Ludwika. Cóż Francuzów obchodził Berezowski? Dużo ważniejsza była wiadomość, że po trzydziestu z górą latach triumfalnie wznowiono „Hernaniego" w Komedii Francuskiej. Dobrowolny wygnaniec, Wiktor Hugo, znowu był na ustach wszystkich. Młodzież szalała, krytycy używali wyłącznie superlatywów.
Czy w tej samej gazecie obok nazwiska pierwszego poety Francji godziło się podawać imię polskiego zamachowca?
Najstraszniejsze jednak było zakończenie artykułu. Zapominając jak gdyby o człowieku, autor dodawał: „Jeżeli w ciągu miesiąca Berezowski nie zwariuje, zostanie zesłany do Nowej Kaledonii".
Berezowski nie zwariował.
Miguela Toreno Róża zobaczyła dopiero w październiku, w piękny słoneczny ranek złocący odziane jesienią drzewa.
Akurat otworzyła okno i wyjrzała na królewskie ogrody, i właśnie zobaczyła, jak szedł dziedzińcem.
Guziki u liberyjnej kurtki skrzyły się niczym diamentowe guzy przy kontuszu, a połyskujący srebrem galon na kołnierzu upodabniał do wojskowego munduru ów jakże pacyfistyczny strój.

Lokaj szedł szybko, widać z jakimś poleceniem, do drugiego skrzydła pałacu, ale czy odczuł jej wzrok, czy z innego powodu, w pewnej chwili podniósł głowę i zobaczył ją.
Skłonił się, jak zwykle, a ona, pchnięta nagłym impulsem, pomachała ręką, po czym zdawszy sobie sprawę z familiarności tego gestu, który mógł przecież oznaczać zbyt wiele, zatrzasnęła okno i zarumieniona skryła się za firanką.

Gdyby Zelia widziała! Tym razem słusznie byłaby niezadowolona. Zachowała się przecież głupio i niewłaściwie. Jak mogła zapomnieć się do tego stopnia, żeby z okna dawać znaki lokajowi, zupełnie jak pokojówka! Czuła niesmak i obawę, że Hiszpan gest ten zrozumie opacznie, to znaczy właściwie z jego pozycji. Pukanie do drzwi zdawało się potwierdzać te obawy.
Jego widok zaskoczył Różę. Toreno wyglądał źle, wydawał się jeszcze bardziej podobny do owego pana, spotkanego dwukrotnie.
— Czy pan chorował? — pytanie wyrwało się samo, wbrew jej woli.
— Nie — uśmiech był bladym odbiciem dawnego uśmiechu. — Ale odbyłem długą i męczącą podróż. Czy aż tak źle wyglądam?
— Jak po chorobie.
Pokiwał głową, po czym rozejrzał się po pracowni, jak gdyby pragnął pokryć zakłopotanie.
— Jeździł pan z jakimś poleceniem?
— Tak, z poleceniem. A co u pani?
— U mnie... Właściwie nic nowego — wskazała pokój. — Roboty, jak pan widzi, nie brakuje. To chyba wszystko.
— Wszystko?
— No, niezupełnie, są inne sprawy...
Rozmowa nie szła, coś ich dzieliło, jakaś niespotykana dotąd nieśmiałość z jego strony, a u niej — trudne do wytłumaczenia skrępowanie. Jak można czuć się skrępowaną wobec lokaja? A przecież, pomimo nierówności ich pozycji, rozmawiali jak ludzie sobie równi. W jego obecności Róża zapominała jakoś o niskiej kondycji tego człowieka, choć strój mówił o tym nadto wyraźnie. Chciała też powiedzieć mu o Berezowskim, wyrzucić z siebie całe oburzenie i gniew. Ale cóż Polak i zamachowiec mógł obchodzić Hiszpana?
— Pani ma zmartwienie? — postąpił bliżej.

— Mam — spojrzała prosto w ciemne błyszczące oczy, utkwione w niej z wyrazem niepokoju czy zapytania. — Nie chodzi o mnie — dodała prędko. — Boli mnie los kogoś, kogo nawet nie znam, a wiem, że jest bardzo nieszczęśliwy. I nic mu nie mogę pomóc.
— O kim pani mówi?
— O Berezowskim.

— O Berezowskim? — twarz mu pociemniała, jak pod nagłym napływem krwi.
— Chyba pan wie... — zniecierpliwiła się.
— Wiem — skinął głową. — Ale pani...?
— To mój rodak — przerwała. — Ja też jestem Polką. Przecho-rowałam całą tę sprawę. Wprost nie mogę przestać o nim myśleć.
— Jest pani Polką — powtórzył powoli. — Teraz rozumiem.
— Co pan rozumie? — spytała zaczepnie, znowu nieufna i bojąca się nietaktu z jego strony.
— Że choć hafciarka, jest pani damą — odparł swobodnie. — A więc tak pani, jak i ja, oboje jesteśmy tu obcy.
Znowu porównywał ich sytuację, jak gdyby i to, że nie byli Francuzami, wiązało ich w jakiś szczególny sposób, łączyło wspólną niską kondycję obojga.
Poruszył ją gniew na jego zuchwalstwo, zapomniała przy tym, że to ona pierwsza zaczepiła go tym razem, upoważniając do tak poufałej rozmowy. Po co mówiła o Berezowskim, o sobie? Jak mogła? Należało za wszelką cenę przywrócić dzielące ich bariery, przywołując do porządku człowieka, będącego tylko lokajem. Niczym więcej. Ona, choć teraz hafciarka, była przecież osobą z innej sfery.
Żaden hiszpański hidalgo, choćby najbardziej zubożały, nie poszedłby na służbę. Duma tego narodu znana była w świecie i raczej strzeliłby sobie w łeb lub umarł z głodu w ogołoconym ze sprzętów pałacu przodków, niż zhańbił się przywdzianiem liberii! Miguel Toreno urodził się lokajem, tylko lokajem, i nie wolno jej o tym zapominać.
Czy zdradził ją wyraz twarzy, czy też on był dostatecznie wyczulony na tego rodzaju reakcję, bo cofnął się ku drzwiom, a ona znowu odczuła przykrość.
— Do widzenia pani — powiedział układnie, schylając głowę.

Cicho, jak przystało na dobrze wyszkolonego lokaja, zamknął za sobą drzwi.
Po chwili zobaczyła go na dziedzińcu, gdy wracał spełniwszy polecenie. Tym razem nie obejrzał się na jej okno, a Różę ogarnął smutek tak wielki, że nie potrafiła powstrzymać łez.
Ranek szarością przypominał wczesny zmierzch. Dął wschodni wiatr, a po nocnej ulewie w nierównościach bruku stała woda.

Ze stopni Świętego Rocha schodził powoli wysoki starzec w zapiętej pod szyję czamarze, opierając się na masywnej lasce. Gdy dotykał stopą chodnika, laska wymknęła mu się z ręki i ze stukotem upadła na kamienie.
Róża właśnie mijała kościół, mogła więc natychmiast podnieść niesforną podporę.
— Dziękuję, dziękuję, panienko — starzec wyciągnął rękę, ale zaledwie spojrzał na dziewczynę, zamrugał nerwowo. — Przepraszam — głos miał stłumiony, jak gdyby pękły w nim jakieś dawno nie używane struny. — Czy... panna Ordężanka? — tym razem mówił po polsku.
Róża zlękła się, przypomniawszy sobie obawy Dziadusia. O tym, że starzec był Polakiem, wiedziała od pierwszego rzutu oka na podniszczoną czamarę. Teraz przyjrzała się uważniej mówiącemu, a jego smutna, mizerna twarz z wyrazem bolesnej rezygnacji budziła wyłącznie współczucie.
— Tak — powiedziała niepewnie. — Pan mnie zna?
— Znałem pani Dziadka, a panią pamiętam dzieckiem. Mało się pani zmieniła.
— Pan Hutorowicz? — wypłynęło nagle z pamięci słyszane dawniej nazwisko.
— Właśnie. Stary Hutorowicz — ucieszył się. — Rodzice pani Dziadka i moi rodzice byli sąsiadami. Tam, daleko, w nowogródzkiej ziemi — dodał kiwając głową.
— Pamiętam, Dziaduś mówił...
— To już trzeci rok, jak nie żyje, prawda?
— Trzeci.
— Nie byłem na pogrzebie, długo wówczas chorowałem. Ale

na krótko przed śmiercią Kazio mnie odwiedził. A pani ciągle tu mieszka? — wskazał przeciwległy dom.
— Tu mieszkam, choć na innym piętrze.
— Ja też zmieniłem mieszkanie — westchnął. — Coraz trudniej związać koniec z końcem, a takim jak ja, starym i nikomu niepotrzebnym, najlepiej na cmentarzu — dokończył ciszej.
— Nie ma pan rodziny? — zainteresowała się.

— Nikogo. A z dawnych przyjaciół i znajomych co rusz któryś odchodzi i coraz puściej... A pani? Jak pani sobie radzi?
— Nieźle. Mam pracę w pałacu. Haftuję.
— Haftuje pani... — mocniej wsparł się na lasce. — Zdaje się, ma pani jeszcze rodzeństwo?
— Tylko młodszego brata. Bywa pan w naszym kościele?
— Czasem przychodzę. Ciągnie do starych wspomnień. Siadam sobie w ławce i rozmawiam z umarłymi. Nikogo już prawie nie zostało. Jeszcze młodzi... Ale młodym teraz co innego w głowie. Nic zresztą dziwnego, nie znali Ojczyzny.
— Co pan powie o Berezowskim? — podniosła na niego wzrok w oczekiwaniu na najsłabszą choćby pociechę.
— Galernik — stwierdził krótko. — Straszny los. I nie wiadomo, co gorsze, lody Sybiru czy żar Nowej Kaledonii. Zresztą i tu, i tam kajdany i jednakowa niewola.
— I nie ma dla niego ratunku?
— Nie ma — przytaknął ponuro. — Ale ja pewnie panią zatrzymuję? — zaniepokoił się nagle.
— Bardzo mi przyjemnie — uśmiechnęła się serdecznie. — Nic nie szkodzi, jak raz się trochę spóźnię. Daleko pan mieszka?
— Dość daleko. Na ulicy Clovisa numer pięć. Wie pani, gdzie to jest?
— Gdzieś chyba w okolicy kościoła Świętego Szczepana.
— Tak, mój dom stoi bliżej resztek dawnych murów miejskich.
— Rada jestem, że pana spotkałam. Teraz, niestety, muszę już iść. Może pan nas odwiedzi?
— Dziękuję — pochylił głowę. — Może się kiedyś i wybiorę. Nie chciałbym tylko sprawić kłopotu...
— Jakiż kłopot? — oburzyła się. — W którąś niedzielę. Wówczas jestem w domu. Do widzenia panu.
Otworzył usta, jak gdyby chciał coś powiedzieć, o coś zapytać,

rozmyślił się jednak i potrząsnął głową patrząc, jak oddalała się szybko w stronę ulicy Rivoli.
W drodze do pałacu Róża przypominała sobie kilkakrotne wizyty Dziadusiowego sąsiada. Była wówczas mała, a pan Hutorowicz przyniósł jej kiedyś lalkę, złotowłosą Kasieńkę w niebieskiej sukni, z wiecznym uśmiechem na woskowej twarzy. Pozostawiła ją raz zbyt blisko kominka

i stopniała uroda Kasieńki. Lalka utraciła rumieńce, buzia jej wydłużyła się, porcelanowe oczy wpadły w zbyt głębokie orbity. Róża pamięta, jak wówczas płakała.
Pan Hutorowicz znał również zaginionego przyjaciela, słyszała często powtarzane w rozmowach imię Zygmunt.
Biedny pan Hutorowicz — myślała pochylona nad haftem. — Stary i zupełnie sam. I pewnie ma mało pieniędzy, jeśli musiał zmienić mieszkanie.
Cały ten dzień, zajęta pracowicie wyszywaniem, przeżyła we wspomnieniach. Sprawy wielkie i ważne dla tych, co odeszli, stawały się z powrotem wielkie i ważne również i dla niej.
— Różyczko, opowiedz o talerzu — Antoś ujął szczypce i zaczął grzebać w palenisku.
Za oknem szalała listopadowa zawierucha, chłoszcząc szyby biczami deszczu, strasząc poświstem i pojękiwaniem huraganu, który przelatywał opustoszałymi ulicami Paryża.
Jakże przy kominku ciepło i przytulnie! Róża w Dziadusiowym fotelu, przy niej na niskim stołeczku Mela z łokciami opartymi o kolana opiekunki. Zelia jak zawsze czynna nad stertą dziecinnych pończoch i bielizny. Antoś przykucnął przed ogniem, ze szczypcami w ręku, wpatrzony w rozżarzone węgle, na których piekły się kasztany.
— Czy można sobie wyobrazić przyjemniejszy sobotni wieczór? — Róża odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła oczy.
— Opowiedz o talerzu — powtórzył Antoś, przenosząc wzrok z paleniska na siostrę. — Już tak dawno nie rozmawialiśmy o tym.
— Przecież wiesz wszystko — westchnęła Róża. — Chyba nie zapomniałeś, co opowiadał Dziaduś.

— Tak, tak, o talerzu — poparła chłopca Mela, przytulając policzek do ręki dziewczyny.
— Dziaduś miał przyjaciela — zaczęła Róża.
¦-- To Zygmunt Żeran — wyrwał się Antoś. — Żeby go Dziaduś odnalazł, wszystko byłoby inaczej.
— Tak, wszystko by się zmieniło.
— Ale nie odnalazł go?
— Nie odnalazł.

— A talerz? — dopytywała się Mela.
— Dziaduś i jego przyjaciel, jako młodzi chłopcy, kupili w Warszawie takie same talerze z Napoleonem. Cesarz był w Polsce kilkakrotnie, ludzie wiązali z nim największe nadzieje.
— I co?
— Dziaduś i jego przyjaciel złożyli sobie uroczystą przysięgę. — Róża dotknęła włosów dziewczynki. — Talerz miał być znakiem rozpoznawczym.
— A po co przysięga? — Mela podniosła głowę.
— Po to, żeby oni sami albo ich spadkobiercy czy potomkowie mogli się rozpoznać i w razie potrzeby udzielić sobie nawzajem pomocy.
— Ale Zygmunt zaginął — uzupełnił Antoś.
— Tak. Było to w czasie powstania tysiąc osiemset trzydziestego pierwszego roku.
— Dziaduś i Zygmunt walczyli o wolność Ojczyzny — wyjaśnił Antoś z dumą.
— Jak wszyscy wówczas, jak wszyscy.
Silniejszy niż inne podmuch wichury załopotał drewnianą żaluzją, aż Zelia wstała i podeszła do okna.
— Obawiam się o szyby — mruknęła. — Za moich czasów takiej wichury jeszcze nie było.
— Mów o talerzu — prosiła Mela.
— Gdy po upadku powstania Dziaduś uchodził z kraju, wśród nielicznych pamiątek, które zabierał, znalazł się i talerz. W Paryżu szukał Zygmunta. Na próżno. Nikt o nim nawet nie słyszał. Może zginął, a może popędzono go na Sybir. Nie wiadomo. Dziaduś jednak nie tracił nadziei.
— A może talerz Meli to talerz Zygmunta? — zaryzykował Antoś.

fp
— Taki samiutki — przytaknęła Mela.
,— Melu, jak nazywała się twoja mamusia? — spytała Róża.
— Jadwinia.
— Ale nazwisko.
— Przecież wiesz — odparła Mela niechętnie.

— Chodzi o nazwisko panieńskie. Jak nazywała się, zanim wyszła za mąż?
— Czy nazywała się inaczej?
— Inaczej, dziecko. Ty też, gdy wyjdziesz za mąż, zmienisz nazwisko.
— Nie wiem. Tatuś mówił „Jadwiniu" — Meli zadrżały wargi i pochyliła twarz na kolana Róży.
— Kasztany gotowe — Antoś postawił na stoliku dymiącą tackę. — Doskonale upieczone, żaden się nie przypalił.
Zapomniano o talerzu i o Dziadusiowym przyjacielu. Kasztany nęciły smakowitym zapachem, nawet Zelia odłożyła na tę chwilę robotę i zajęła ręce kruszeniem łupiny.
Tego wieczoru nie wrócono już do poprzedniego tematu. Kasztany pchnęły rozmowę w weselsze rejony. Dzieci i młodzi nie mogą przecież wiecznie przebywać wśród mogił.
Ale od tego dnia Róża zaczęła myśleć o talerzu Meli.
A gdyby był identyczny z talerzem Dziadusia?
Zelia co prawda twierdzi, że takich talerzy są setki i tysiące i że w każdym sklepie... Takiego samego Róża jednak nigdy na żadnej wystawie nie widziała.
Przez następne tygodnie odwiedziła wszystkie magazyny z porcelaną w okolicy ulicy Świętego Rocha, Świętego Honoriusza, Rivoli, zapuściła się nawet dalej, na drugi brzeg Sekwany bulwarem Świętego Michała, w głąb Dzielnicy Łacińskiej. Wszędzie pytała o sewrskie talerze z Napoleonem. Obejrzała ich rzeczywiście setki. Dziadusiowego wśród nich nie było.
— Wiele bym dała, żeby choć rzucić okiem na talerz Meli — zwierzyła się Zelii.
— Nie zaprzątaj sobie głowy talerzem. Skąd dziecko może dokładnie zapamiętać szczegóły? Na talerzu jest Napoleon, dla niej to wystarczy, by upierać się, że jej talerz jest taki sam jak twój. A przecież widziałaś teraz całe góry takich talerzy.
— I żaden nie był podobny do Dziadusiowego.

— To dlaczego jej talerz ma być podobny?
— A jeżeli jest taki sam? Słuchaj, Zelio, co zrobić, żeby dostać talerz Meli?

s— Bój się Boga! Czy mówisz poważnie?
— Muszę mieć ten talerz, muszę.
Ta myśl opanowała Różę tak zupełnie, jak gdyby od owego talerza zależało jej życie. A talerz znajdował się przecież niedaleko, tu, w Paryżu, nieledwie w zasięgu ręki, w białym pałacyku pana Narzymskiego w alei Cesarzowej.
Pochylona nad tamborkiem snuła coraz bardziej nieprawdopodobne plany: w wyobraźni pokonywała wszelkie przeszkody, wdzierała się na nieznane pokoje, zdejmowała ze ściany talerz.
Czy był podobny do Dziadusiowego?
Róża potrząsa głową, odpędza natrętne obrazy. Należy skupić się na robocie, na tym monogramie małego Lulu, jak nazywali rodzice cesarskiego księcia.
Przed tygodniem do pracowni hafciarki przyszła cesarzowa Eugenia w towarzystwie pani Pepy, swojej intendentki.
Pani Pepa niosła pudło chustek do nosa z angielskiego batystu.
— Kochana panno Różo — powiedziała cesarzowa łaskawie — poproszę panią o piękny monogram na chustkach dla Lulu. Będzie to jeden z prezentów gwiazdkowych. Mam nadzieję, że pani braciszek przyjdzie zobaczyć naszą choinkę — dodała ze ślicznym uśmiechem. Naturalnie, że Antoś przyjdzie do Tuileriów, gdzie w jednym z salonów stanie olbrzymi świerk obwieszony łakociami, migocący światłem. Cesarz, cesarzowa i Lulu będą przyjmować małych gości — rówieśników następcy tronu.
Nie wszystkie dzieci zapraszano w święta Bożego Narodzenia na cesarskie salony, ale Antoś i Lulu urodzili słę tego samego dnia, w Niedzielę Palmową tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego roku. Wówczas to, owego pamiętnego szesnastego marca, sto jeden strzałów armatnich zapewniło Paryż i Francję o- ciągłości młodej dynastii Bonaparte.
O tak, Lulu był wyczekiwany nie tylko przez cesarza. Jego przyjścia na świat wyglądał cały naród. Maleńka kruszyna ginąca

nieledwie w paradnej kołysce zwieńczonej skrzydlatą Wiktorią zapowiadała przecież ład i porządek, spokój, rozkwit przemysłu i handlu, a więc wzrost dobrobytu. Francja miała dość wojen, przewrotów i rewolucji, gilotyna pomogła jej wyładować gniew na władców obcinając

królom głowy. Teraz pragnęła wyłącznie dostatniego życia, rozrywek i wygody, a tego wszystkiego dostarczały pieniądze.
Gorączka robienia pieniędzy ogarnęła Francuzów. Nowe, coraz większe fortuny pojawiały się z dnia na dzień. Giełda, banki, operacje finansowe zaprzątały myśli, kierowały poczynaniami milionów obywateli. Czyż istniało coś ważniejszego niż złoto? Wszystko jedno jakie nosiło miano: ludwiki, napoleony, to nie miało znaczenia. Byle tylko brzęczące krągłością monet zapełniało kasy i zamczyste kufry bankierów, misterne szkatułki i sepety wykwintnych dam. Takie oto były ideały epoki.
W Tuileriach już w dzień poprzedzający Wielkie Wydarzenie zebrał się Senat i Rada Stanu, władze miejskie Paryża, dygnitarze kościelni i wojskowi. Salony parteru nie mogły pomieścić tak licznego a świetnego zgromadzenia.
Na placu i na ulicy tłoczyli się paryżanie, doświadczone matro-ny komentowały głośno ciężki poród cesarzowej.
Całą noc widziano na firankach cień cesarza, który chodził niespokojny z komnaty do komnaty. Starym przypomniało to podobne oczekiwanie sprzed czterdziestu pięciu lat, gdy Maria Luiza, żona Napoleona Pierwszego, równie ciężko rodziła nieszczęsne Orlątko.
Powtarzano sobie z ust do ust słynne wówczas powiedzenie cesarza, który tymi słowami zwrócił się do doktora Corvisarta: „Niech pan sobie wyobrazi, doktorze, że położnica to przekupka z ulicy Saint-Denis. Nic tu pan nie może więcej zrobić. W każdym razie, proszę ratować matkę".
O godzinie trzeciej piętnaście nad ranem cesarzowa Eugenia urodziła syna.
Cesarz czekał w przyległym salonie. Pierwszy raz w życiu utracił owe zwykłe dla niego opanowanie i zimną krew: zapłakał i ucałował pana Abbatucci, który przyniósł tak wyczekiwaną wiadomość. Potem powiedział zebranym: „Nie mogę uścisnąć was wszystkich, panowie".

Na pierwszym piętrze kamienicy naprzeciw kościoła Świętego Rocha wszystko odbyło się podobnie, a jednak inaczej.
Zamiast słynnego lekarza była tam akuszerka, wspomagana przez służącą, a mąż oczekiwał w jadalni na szczęśliwe rozwiązanie. Syn urodził się w dwie godziny po cesarskim księciu, ale radość rodziców z ulicy Świętego Rocha nie ustępowała radości mieszkańców tuileryjskiego pałacu.

Noworodka złożono w wiklinowym koszu wybitym błękitnym atłasem, na pięknie haftowanej pościeli. To skromne łóżeczko wcale nie było mniej wygodne od bogato rzeźbionej kołyski, ustawionej w sąsiedztwie tronowej sali, a będącej darem miasta Paryża. Ocieniały ją brokatowe firanki spływające spod cesarskiej korony, wezgłowia strzegły anioły, a w nogach przysiadł orzeł, mocnymi pazurami uczepiony złoconej krawędzi.
Paryżanie omawiali teraz sprawę wyboru chrzestnych rodziców. Jedni głosowali za królem Hieronimem, bratem Napoleona I, inni za Wiktorem Emanuelem, wiernym sojusznikiem Francji. Rozczarowali się i jedni, i drudzy. Oto „Monitor" ogłosił, że Jego Świętobliwość papież Pius IX i królowa Szwecji i Norwegii zgodzili się trzymać do chrztu małego Napoleonidę.
Chrzest odbył się dopiero w trzy miesiące potem. Była to uroczystość tak wzniosła, że wymagała odpowiednich przygotowań.
Na placu przed katedrą Notre-Dame tłoczył się nie lud, lecz Osoby, a raczej Osobistości. Bogato szamerowane mundury Drugiego Pułku Woltyżerów tworzyły barwne hafty na falującej szarości tła. Od nadbrzeża Sekwany po drzwi katedry wił się ów lśniący wąż, a między jego splotami sunęły karety wiozące naj-świetniej szych gości: królewskie korony, tytuły co najmniej książęce, ambasadorów akredytowanych w Paryżu, delegacje z całej niemal Europy. Eleganckiemu generałowi Cler, jednemu z bohaterów wojny krymskiej, zgotowano spontaniczną owację.
Potem kareta zaprzężona w osiem koni przywiozła Główną Osobę Uroczystości. Małego księcia w asyście nianiek i gwardzistów wniesiono do wnętrza katedry.
Na koniec przy dźwiękach hymnu cesarstwa pojawili się rodzice.

Cesarz w mundurze generała dywizji, cesarzowa Eugenia w olśniewającej jasnej toalecie. W drzwiach Notre-Dame witał ich arcybiskup Paryża, podając wodę święconą.
Ojca chrzestnego, papieża Piusa IX, reprezentował kardynał Patrizzi, a królową szwedzką — wielka księżna Stefania Badeń-ska.
Po ceremonii cesarz wziął dziecko i podnosząc je wysoko, ukazał dziedzica urbi et orbi. Chłodne zazwyczaj źrenice błyszczały dumą i

szczęściem, blade policzki pałały. Pierwszy raz. Cesarzowa, piękna jak zwykle, była tak wzruszona, że nie potrafiła powstrzymać łez.
Mimo szacunku dla świętego miejsca, w pociemniałe od starości i od dymu setek tysięcy świec sklepienie katedry uderzył okrzyk: „Niech żyje cesarz!"
Kardynał legat zaintonował „Te Deum" i na zakończenie udzielił zebranym apostolskiego błogosławieństwa.
Małego bohatera dnia odwieziono do Tuileriów, gdzie mógł wreszcie spokojnie zasnąć w swojej paradnej kolebce.
Dziecko zapisano w cesarskim rejestrze pod imionami Napoleon Eugeniusz Ludwik Jan Józef, a chwilowo po prostu Lulu.
Chrzest małego Antosia Ordęgi miał zupełnie inną oprawę oraz inny przebieg.
Miejscem był kościół Świętego Rocha, parafia rodziców, gości żadnych nie zaproszono. Byli więc tylko państwo, Dziaduś, mała Róża i służąca. Ale najbardziej zaskakiwał brak chrzestnego ojca i chrzestnej matki. Taka jednak była wola Dziadusia.
Gdy przyszli do kościoła, Dziaduś zatrzymał się w kruchcie, gdzie w kącie siedziało paru żebraków i jedna baba.
Byli starzy, nieledwie zgrzybiali, żebraczce oczy zachodziły bielmem, a żebrakom ręce trzęsły się na sękatych kosturach.
Dziaduś wiódł wzrokiem po tej ludzkiej nędzy, wreszcie zatrzymał spojrzenie na najstarszym chyba i najnędzniejszym spośród gromady.
— Jak ci na imię? — pochylił się nad kupą łachmanów.
— Joachim, panie — głos był słaby i drżący, jak gdyby dochodził już z tamtego świata.
— A ty? — zwrócił się do kobiety.

— Anna — szepnęła zaciskając podartą chustkę pod wyschłą szyją.
— Chodźcie — ruchem ręki nakazał, by poszli za nim.
Żebracy dźwignęli się z trudem, rozprostowując obolałe członki. Pochyleni do przodu, trzęsąc głowami i postukując kijem posunęli się za Dziadusiem.
Wprowadził ich do zakrystii.
— Oto chrzestni rodzice, księże proboszczu — wskazał dwa poruszające się tłomoki ze starych szmat.

— Chrzestni?... — ksiądz doprawdy nie wiedział, co powiedzieć. Młodzi Ordęgowie nie okazali zdziwienia. Ojciec przygotował ich do tej niespodzianki. Po pewnych oporach uznali jego projekt za na tyle niezwykły, by wart był zastosowania, tym bardziej że miał przecież przynieść noworodkowi szczęście.

— Czy wie ksiądz proboszcz, pod jakimi imionami zapisze ich w swoim rejestrze? — Dziaduś wskazał parę żebraków.

Ksiądz spoglądał to na młodych Ordęgów, to na Dziadusia, jak gdyby dziwił się, że z takim spokojem ulegają dziwactwu starego ojca.

— Zowią się Joachim i Anna.

' — Joachim i Anna — powtórzył ksiądz, a żebracy przytaknęli skwapliwie.

— Rozumie ksiądz teraz? — dopytywał się Dziaduś.

— Rozumiem — ksiądz pochylił głowę. — Jest pan bardzo mądry, panie Ordęga, możnych protektorów wybrał pan w niebie dla wnuka. Wierzę, że mu wymodlą szczęście. Ale jak to się stało, że akurat ci ludzie noszą imiona rodziców Matki Boskiej?

— Czekałem na jakiś znak — odparł Dziaduś poważnie. — Nie wiedziałem tylko, że tak dobrze utrafię. Mój wnuk musi być szczęśliwy — dodał gorąco.

— Będzie szczęśliwy — powiedzieli żebracy jednocześnie, zbliżając się do nowo narodzonego.

Ojciec i matka nie od razu przystali na pomysł Dziadusia. W wyborze chrzestnych rodziców każdy wysoko mierzy, wyżej od własnego stanu, by kiedyś dziecko miało pomoc i oparcie w tych, którzy trzymali je nad chrzcielnicą.

Młoda pani Ordężyna była takiego właśnie zdania, szczególnie, że jako sierota nie miała nikogo bliskiego. Podporządkowała

się jednak — podobnie jak mąż — woli teścia, który okazywał jej zawsze iście ojcowską serdeczność.

Siad tego wydarzenia pozostał w kościelnym rejestrze, gdzie Antoniego Ordęgę zapisano pod jednym tylko imieniem, a jego chrzestnych rodziców, Joachima i Annę, nieznanych z nazwiska, Dziaduś wspierał do końca ich dni.

Drogi cesarskiego księcia i małego Polaka może nigdy by się nie skrzyżowały, gdyby nie owo tragiczne wydarzenie z czternastego stycznia tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to wiele osób postradało życie, a cesarz — cel zamachu — wyszedł z niego cało. Nie pierwszy to raz organizowano spisek na życie Napoleona III — zazwyczaj parali się tym Włosi, mistrzowie niegdyś trucizny i sztyletu. W dziewiętnastym wieku zmieniły się jednak narzędzia politycznego mordu, mniej może skuteczne, za to bardziej spektakularne, pociągające za sobą wiele Bogu ducha winnych ofiar.

Tego właśnie pamiętnego czternastego stycznia w operze żegnano słynnego śpiewaka Massola, przechodzącego w stan zasłużonego spoczynku. Wieczór mieli uświetnić cesarz i cesarzowa Eugenia, niecierpliwie wyczekiwani przez galową publiczność.

Opera mieściła się wówczas jeszcze przy ulicy Le Peletier, zanim przeniosła się do wspaniałego gmachu na placu specjalnie dla niej wydzielonym przez barona Haussmanna.

Na parę minut przed godziną ósmą kareta wioząca Najjaśniejszych Gości w asyście plutonu lansjerów zbliżyła się do bocznego wejścia, zarezerwowanego dla dworu, gdy straszliwy huk wstrząsnął ulicą, jak gdyby podziemne jakieś moce miały pochłonąć wszystko, co znajdowało się na powierzchni.

Tłum zebrany przed operą buchnął wrzaskiem. Rżenie rozszalałych koni, wołanie o pomoc, jęki rannych zamieniły spokojną zazwyczaj ulicę Le Peletier w jakieś gigantyczne pole bitwy rozpętanych żywiołów. Detonacje mieszają się z tętentem koni unoszonych szaleństwem, gasną rozbite gazowe latarnie, ciemności zwiększają grozę, ludzie zapominają, że to paryska ulica, a nie jakiś górski wąwóz, skąd z zasadzki rażą ich gromy niewidzialnego wroga.

Ponad dwadzieścia koni rannych lub zabitych tarasuje ulicę. Wśród lansjerów nie ma ani jednego, który nie doznałby szwanku.

Pierwsza z rzuconych bomb wybuchła pod kopytami koni zaprzężonych do cesarskiej karety. Powóz pchnięty naprzód, ze strzaskanym dyszlem, uderzył o jeden z filarów podjazdu.

Wielu przechodniów, ludzi spieszących do opery oraz zwykłych gapiów zostało rannych lub straciło życie. Wypadły wszystkie szyby w

okolicznych domach aż do czwartego piętra, zniszczone zostały wystawy sklepowe.
Osobom siedzącym w karecie nic się jednak nie stało.
Cesarz wyskoczył, gdy tylko otworzono drzwiczki, i zwykłym, chłodnym spojrzeniem omiótł straszliwe pobojowisko. Jezdnia i chodniki zasłane były odłamkami szkła, ciałami ludzi i koni.
— Proszę natychmiast odnieść rannych do najbliższej apteki — rozkazał — i wezwać lekarzy. Zaraz tam przyjdę.
— Sire — zauważył nieśmiało pan Hebert z policji miejskiej — sprawcy zamachu nie zostali dotąd ujęci. Byłoby wysoce niebezpiecznie...
— To nieważne.
— Jeżeli publiczność w operze nie zobaczy Waszej Cesarskiej Mości — pozwolił sobie na uwagę komisarz Lanet — kto wie, co mogą pomyśleć.
— Ma pan rację — poddał się cesarz. — Wrócę tu niedługo. Przez cały czas trwania kanonady cesarzowa Eugenia wykazała
rzadką doprawdy u kobiety zimną krew i opanowanie. Przytulona do ramienia męża, zastygła jak gdyby w niemym przerażeniu, nie wydała głosu i nie uczyniła ani jednego gestu. Ocknęła się dopiero wówczas, gdy cesarz, wysiadłszy dla zbadania sytuacji, wsunął głowę do wnętrza karety mówiąc głośno:
— Racz, pani, wysiąść. — A ciszej dodał: — Spokojnie, patrzą na nas.
Wtedy to cesarzowa Eugenia spostrzegła plamę krwi na białej sukni i pierwszy raz krzyknęła.
Była to krew lansjera jadącego przy drzwiczkach karety, który odniósł trzy rany, a koń pod nim padł z przebitą piersią.
Gdy Napoleon III i jego małżonka ukazali się w cesarskiej loży, publiczność przyjęła ich okrzykiem: „Niech żyje cesarz! Niech żyje cesarzowa!".

Po kwadransie cesarscy goście opuścili operę, cesarzowa Eugenia dość dała dowodów siły charakteru, dłużej nie można jej było wystawiać na tak ciężką próbę.
Generał Soumain, gubernator Paryża, sam dowodził szwadronem kirasjerów, eskortujących cesarską karetę do bram Tuileriów.
Konie szły stępa, tak wielki tłum zalegał bulwary. Ludzie wiwatowali, wyrażali głośno radość i oburzenie. Cesarzowa, powoli wracająca do

siebie po przeżytych emocjach, wychylona z okna karety, ręką i uśmiechem dziękowała za te dowody sympatii.
Sprawcy zamachu zostali ujęci. Było ich czterech. Sami Włosi. Przewodził Feliks Orsini, urodzony w Meldoli. Po głośnym prooesie, w którym jako obrońca wystąpił znakomity adwokat Jules Favre, republikanin, a więc przeciwnik cesarstwa, sąd skazał Orsiniego i jednego z jego towarzyszy na śmierć. Na obu spiskowcach wyrok wykonano. Dwaj pozostali mieli szczęście. Jednemu karę śmierci zamieniono na dożywotnie ciężkie roboty, drugi wyszedł jeszcze bardziej obronną ręką.
Choć sam nie ucierpiał, cesarz jednak nie skorzystał z prawa łaski. Opinię publiczną zbyt poruszyła wielka liczba ofiar: sto pięćdziesiąt sześć osób rannych, a osiem zabitych.
W kilka dni po tych tragicznych wydarzeniach, w przemówieniu wygłoszonym na otwarcie sesji Senatu, cesarz powiedział:
„— Dziękuję Bogu za ocalenie, lecz boleję nad tym, że tyle trzeba ofiar, by dosięgnąć jednego człowieka. Nigdy zresztą morderstwo nie przyniosło korzyści tym, którzy uzbroili rękę zbira. Zabójcy Cezara czy Henryka IV nie skorzystali z owoców zbrodni. Nie obawiam się zamachowca. Jestem tu z woli Opatrzności. Dopóki nie wypełnię mojej misji, nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo".
Rodzice Róży i Antosia byli muzykalni i kochali teatr. Benefis znakomitego Massola zapowiadał się jako jedna z ważniejszych imprez artystycznych sezonu.
Młodzi Ordęgowie przybyli do opery trochę wcześniej — pani Marianna pragnęła być świadkiem przyjazdu cesarza. Stanęli na rogu ulicy Le Peletier, koło owocarni — wszędzie tłoczyli się ludzie. Drzwi sklepów upodobniły się do parterowych lóż opery, tak szczelnie zapełnili je ci wszyscy, dla których zabrakło biletów.

Na krótko przed godziną ósmą policja odsunęła zbyt blisko stojących, pozostawiając wolną jezdnię dla karety Ich Cesarskich Mości — słychać już było tupot kopyt plutonu lansjerow eskortujących Najjaśniejszych Państwa.
Pani Marianna, uczepiona ramienia męża, uniosła się na palce, by lepiej widzieć. Kareta właśnie mijała owocarnię. Za szybą mignęła biała suknia, zalśnił brylantowy diadem na jasnych włosach cesarzowej Eugenii. I

natychmiast rozpętało się piekło. Pani Marianna, odrzucona wybuchem wiele metrów dalej, przyszła do siebie dopiero w aptece. Pochylał się nad nią lekarz, obok stał Napoleon III.
— Co ta kobieta, doktorze? — pytał niespokojnie cesarz.
— Nic poważnego, Sire. Lekkie zadrapania i stłuczenia. Poza tym ogólny wstrząs. Zaraz ją opatrzę. Będzie mogła wrócić do domu.
Pani Marianna nie bardzo rozumiała, co się z nią stało. Po chwili zauważyła nieobecność męża, z którym przecież przyjechała do opery.
— Gdzie mój mąż? — pytanie skierowała zarówno do cesarza, jak i do tego nieznajomego, który właśnie badał jej puls.
— Znajdziemy go, niech pani będzie spokojna.
Stanisława Ordęgę znaleziono tuż pod witryną owocarni. Zginął na miejscu, zanim zdążył zdać sobie sprawę, że umiera.
Panią Mariannę odwieziono do domu zapewniając, że mąż chwilowo pozostanie w szpitalu. Młody porucznik kirasjerów, który jej towarzyszył, Dziadusiowi powiedział prawdę.
Nazajutrz Dziaduś musiał rozpoznać zwłoki syna.
Pani Marianna długo chorowała, bardziej zresztą bolała ją dusza niż ciało. Obwiniała siebie o śmierć męża. „Gdyby nie moja ciekawość, Stach żyłby! To ja jestem winna, ja go zabiłam!" — wołała.
Próżno Dziaduś, sam złamany, odwodził ją od tych strasznych myśli. Próżno Róża pieszczotą zwracała jej uwagę na siebie i na małego Antosia. Nie odzyskała już pogody, nie potrafiła śmiać się jak niegdyś. Była już tylko cieniem dawnej wesołej Marianki.
Od roku Zelia prowadziła gospodarstwo u Ordęgów, przeżywając razem z państwem wszystkie ich niedole. Zelia była nieoceniona i nie wiadomo, jak bez niej dano by sobie radę.
Cesarz nie zapomniał o ofiarach zamachu, szczególnie o rodzi-

nach tych ośmiu osób, które zginęły lub zmarły wskutek odniesionych ran.
Pani Mariannie i jej dzieciom przyznano pensję z cesarskiej szkatuły. Czyż mogło to jednak zastąpić nieżyjącego męża i ojca?
Mieszkańcy Tuileriów okazali również zainteresowanie losem małego Antosia, tym bardziej że data jego urodzenia zbiegała się z datą przyjścia

na świat następcy tronu. W święta zapraszano chłopca do pałacu. Dziaduś odrzucił jednak łaskawą propozycję umieszczenia wnuka na koszt cesarski w jednym z paryskich liceów. Pragnął, by Antoś uczył się w Narodowej Szkole Polskiej na Batignolles i odebrał tam patriotyczne wychowanie.

Los — mimo różnicy pozycji i warunków życia obu chłopców — zetknął ich ze sobą.

A pozycja ta jak i warunki były zgoła różne.

Wybrawszy papieża na chrzestnego ojca małego księcia, cesarz oddał go jak gdyby w opiekę Kościoła. Nie zapomniał jednak i o innym patronie, któremu zlecił pieczę nad synem: o armii.

Ledwie wyszedł z pieluszek, Lulu przywdział więc mundur grenadiera Pierwszego Pułku Gwardii: czerwone spodenki i błękitną kurteczkę z czerwonymi wyłogami. W takim stroju występował podczas oficjalnych uroczystości, gdy cesarz sadzał syna przed sobą na siodle, odbierając wojskową defiladę.

Lulu miał guwernantki i wychowawczynie, od dziecka uczono go angielskiego — od tego właśnie była Miss Schow, specjalnie wybrana przez królową Wiktorię, która wielką sympatią darzyła cesarską parę.

Mały książę nie miał jeszcze pięciu lat, gdy napisał swój pierwszy list do ojca. Cesarz nie rozstawał się z tą nieudolnie nagryzmoloną kartką, do śmierci nosił ją w portfelu. Lulu zapewniał w niej papę o swym przywiązaniu i dodawał, że bardzo tęskni i czeka na jego powrót — cesarz walczył wówczas w Italii, były to czasy Magenty i Solferino.

O tak, Lulu bardzo kochał ojca, ale ojciec kochał go o wiele bardziej. Do szaleństwa. Jak nigdy nikogo w życiu. Tak, jak tylko potrafi kochać matka, to znaczy z niewyczerpanym zasobem wyrozumiałości i pobłażania.

Wybaczał dziecku wszystko, nawet tę największą przykrość, jaką mu wyrządził Lulu, gdy stłukł filiżankę Napoleona I.

Najciekawszym miejscem w pałacu był naturalnie gabinet ojca. Cesarz siedział przy biurku, a chłopczyk wdrapywał się mu na kolana. Cóż to były wówczas za zabawy! Malec musiał dotknąć wszystkiego, co stało lub leżało w zasięgu jego rączek. Słowa „nie wolno" nie przeszły nigdy przez usta cesarza. Wtedy właśnie Lulu pochwycił filiżankę pozostałą z sewrskiego serwisu, który służył Napoleonowi na wyspie Świętej Heleny,

i naturalnie upuścił cenną pamiątkę. Nie zrobił tego umyślnie, o nie, ale cesarz głęboko odczuł stratę tej nieledwie relikwii. Nie wybuchnął jednak gniewem, nie podniósł głosu. Sam zebrał cienkie porcelanowe skorupki, stwierdzając z bólem, że są zbyt drobne, by dały się skleić. Tylko lokajowi, który zjawił się wezwany dzwonkiem, powiedział spokojnie: „Proszę zabrać księcia".

Matka była zupełnie, ale to zupełnie inna. Dbała o wychowanie syna i o wyrobienie jego charakteru. Nie pochwalała pedagogicznych metod cesarza w postępowaniu z jedynakiem. A Lulu często bywał uparty i nieposłuszny, a nawet niegrzeczny, i zasługiwał na karę. Cesarz jednak na wszystko pozwalał, ufał szlachetności natury i wrodzonej prawości dziecka i nie zawiódł się.

Pierwszymi kolegami Lulu byli synowie doktora Conneau, generałów Fleury i Espinasse oraz synek wychowawczyni, pani Bizot.

Podobnie jak Ludwik Filip, który posłał synów do publicznej szkoły, by na przyszłość mieli kolegów i przyjaciół zarówno wśród mężów stanu, jak i wśród bogatych sklepikarzy, Napoleon III także pragnął i z tej strony zabezpieczyć jedynaka, zwłaszcza że Lulu nie chodził do publicznej szkoły, a uczył się w domu z kilkoma rówieśnikami, pod kierunkiem znakomitych profesorów.

Przyjaźń Lulu z Antoine'em — jak nazywano Antosia w Tui-leriach — miała dość burzliwe początki — obaj chłopcy, jednakowo uparci, sięgali zawsze po te same zabawki i żaden nie chciał drugiemu ustąpić.

Za każdym jednak spotkaniem smutna twarz Lulu coraz bardziej pociągała Antosia, budząc w nim coraz większy podziw i sympatię.

Bo Lulu był smutny. Mimo zbytku, jaki go otaczał, mimo pałacu, mimo przyszłej korony wyraz jego bladej twarzyczki, tak pięknej, bo tak podobnej do twarzy matki, poruszał każdego. Cóż więc mówić o chłopcu w wieku Antosia? Dla niego „mały książę"

przeistaczał się powoli w jakiegoś baśniowego bohatera czy zaklętego królewicza.

Z biegiem czasu dla Lulu mali Conneau i generalątka odsunęli się na dalszy plan, a polski przyjaciel zajmował coraz bliższe miejsce.

Kłócili się też coraz rzadziej, za to coraz częściej odstępowali sobie wzajemnie ulubione zabawki, a potem — nie wiadomo właściwie, jak do

tego doszło — zgadzali się prawie we wszystkim i było im ze sobą dobrze.
Antoś spędzał w Tuileriach wolne od lekcji czwartkowe popołudnia. Cesarski powóz zabierał go ze Szkoły Polskiej na Batignolles i odwoził po podwieczorku. Chłopcy uczyli się wówczas konnej jazdy — Lulu o wiele przewyższał Antosia w tej sztuce — bawili się, a przede wszystkim rozmawiali.
Letnie wakacje przerywały te czwartkowe spotkania, gdyż Dziaduś — tak samo jak odrzucił propozycję umieszczenia wnuka w paryskiej szkole na koszt cesarza — podziękował za zaproszenie na lato do Compiegne.
— Lepiej nie przyzwyczajać się do pałaców — powiedział wówczas chłopcu. — Twój dom jest i pozostanie bardzo skromny. A nawet jeśli Bóg pozwoli i wrócisz do Ojczyzny, możesz tam zastać zgliszcza. Pamiętaj, żeś Polak, a Polak, choć ubogi, nie będzie wieszał się u klamki możnych. Zadowoli się tym, co ma, i to mu wystarczy.
Róża i Antoś te słowa Dziadusia zachowali wiernie w pamięci.

V

rozkazała Róża, obracając brata jak krawiec-
— Opuść ręce ki manekin.
Antoś, z godną podziwu cierpliwością, wykonywał polecenia siostry. Warto przecież było trochę się pomęczyć, oczekujący go wieczór miał wynagrodzić wszelkie niewygody.
Róża podniosła się z klęczek i odstąpiła kilka kroków, by z pewnej odległości ocenić dzieło swoich rąk — nowe ubranko Antosia uszyła sama przy pomocy Zelii. Właściwie trudno byłoby nazwać je nowym, ten odświętny garniturek skrojono bowiem z aksamitnej matczynej sukni, którą Zelia przez te wszystkie lata pieczołowicie przechowywała w szafie.
Stary aksamit połyskiwał w świetle lampy ciemnym granatem, podnosząc wytworność skromnego stroju szlachetnością barwy i gatunkiem tkaniny. Mela aż usta otworzyła z podziwienia, a i Zelia pokiwała głową z wyraźną aprobatą.
Tak, w tym stroju Antoś mógł się pokazać nawet w salonach cesarskiego pałacu.
Na Boże Narodzenie przybywali zazwyczaj do Tuileriów wszyscy mali znajomi Lulu. Książę i Antoś nie byli wówczas sami, przyjęcie — mimo serdeczności cesarskich gospodarzy — miało bardziej oficjalny charakter. Gdy Antoś i Róża przekroczyli monumentalną bramę, z westybulu dobiegał aż tutaj gwar dziecięcych głosów.
Trzy salony parteru, rzęsiście oświetlone, zapełniali niecodzienni goście. Pani admirałowa Bruat, główna wychowawczyni cesarskiego

księcia, wspomagana przez panie Bizot i de Brancion, utrzymywała z trudem jaką taką karność wśród młodego towarzystwa.
Róża pozostawiła Antosia pod ich opieką i wróciła do domu. Zawsze w tym dniu odprowadzał chłopca — jak i inne dzieci — ktoś z pałacowej służby.

Mela z wypiekami na twarzy wybiegła do przedpokoju na powitanie opiekunki.
— No i co? — nie spuszczała z Róży rozbłysłych ciekawością oczu. — Widziałaś małego księcia? Jak wygląda?
— Mały książę wygląda pięknie. Ma też aksamitne ubranko i koszulę z . plisowanym kołnierzykiem i mankietami. Dostał chusteczki z monogramem mojej roboty. Podziękował mi. Cesarzowa Eugenia przyprowadziła go do mnie.
— Podziękował ci? Co powiedział?
— Powiedział: „Dziękuję pani, nigdy jeszcze nie miałem tak pięknie haftowanych chusteczek".
— A co ty odpowiedziałaś?
— „Bardzo mi było przyjemnie haftować monogram dla Waszej Cesarskiej Wysokości".
— Tak powiedziałaś?
— Tak trzeba.
— Ja bym powiedziała do niego „Lulu".
— Tak go nazywa Antoś i jego koledzy. Ale dla wszystkich innych jest on Cesarską Wysokością.
— Cesarską Wysokością — Mela wydęła usta. — Wcale mi się to nie podoba. Jestem pewna, że i on tego nie lubi.
— Może i nie lubi — przyznała Róża. — Ale musiał się przyzwyczaić.
O tak, Lulu musiał przyzwyczaić się do wielu rzeczy, które wcale mu nie odpowiadały. Tego jednak świątecznego popołudnia w gronie rówieśników był ożywiony i czuł się szczęśliwy.
Wspaniała choinka obwieszona słodyczami, płonąca setką kolorowych świec, wywołała okrzyk zachwytu zgromadzonej dzieciarni. W ostatnim salonie ustawiono stoły do podwieczorku. Goście zasiadali swobodnie, gdzie kto chciał, oswoiwszy się już z powagą miejsca, jakże różniącego się od domowych kątów.
Na każdego oczekiwała filiżanka czekolady, od której ciemnego wnętrza pięknie odbijała śnieżna biel bitej śmietany. Na ogromnych

srebrnych paterach piętrzyły się ciasta, orzechy i owoce. Lokaje w galowej liberii z godnością obsługiwali małych biesiadników. Cesarz i cesarzowa Eugenia obchodzili salę, zachęcając najbardziej nieśmiałych

do sięgania po upragnione łakocie, uśmiechnięci, dumni z prezydującego u szczytu stołu syna.
Antoś siedział po prawej ręce małego gospodarza, obok jednego z synów doktora Conneau, starego przyjaciela Napoleona III.
— Wiesz co, Lulu — zwrócił się do księcia — przyglądam się wszystkiemu, bo będę musiał opowiedzieć Meli...
— Kiedy wreszcie Mela przyjdzie? — mały książę znał dobrze dziewczynkę z opowiadań przyjaciela. — Ciągle obiecujesz...
— Poproszę Różę — odparł wymijająco Antoś, wiedząc z góry, że siostra nie pozwoli Meli pokazać się publicznie w obawie, by dziewczynka nie spotkała znajomych dzieci.
— Po co nam dziewuchy? — wmieszał się do rozmowy młodszy Conneau. — To beksy. Nie umieją się bawić.
Antoś nie miał przed Lulu tajemnic. Dzieje Meli były więc dobrze księciu znane. Lulu płonął ciekawością, za wszelką cenę pragnął poznać dziewczynkę znalezioną na cmentarzu.
Róża zganiła brata za jego — jak się wyraziła — długi język. Ale Antoś był spokojny. Lulu nie zdradzi nikomu powierzonej mu tajemnicy. Zresztą czyż on, Antoś, nie znał wielu sekretów małego księcia? Przyjaciół obowiązuje wzajemna szczerość, inaczej cóż by to była za przyjaźń, gdyby należało liczyć się z każdym słowem?
Gdy nadeszła pora powrotu do domu, pani de Brancion podzieliła dzieci na grupy według ich adresów. Najmłodszych i najdalej mieszkających miały odwieźć dworskie ekwipaże, resztę oddano pod opiekę kilku lokajom, polecając odprowadzić je do rodziców.
W taki to sposób Antoś, wraz z czterema chłopcami, znalazł się na ulicy obok wysokiego mężczyzny o śniadej twarzy i kruczoczarnej głowie, którego szkarłatna liberia błyskająca srebrem ogromnie onieśmielała tych, co nieczęsto mieli do czynienia z człowiekiem w tak imponującym stroju.
Dwaj chłopcy mieszkali najbliżej, bo na ulicy Rivoli, jeden przy placu Piramid, jeden tuż za rogiem ulicy Świętego Honoriusza. Wreszcie Antoś został sam z lokajem.
— Mieszkam naprzeciw kościoła — powiedział, gdy weszli

w ulicę Świętego Rocha. — To już bardzo blisko i właściwie mógłbym sam...

— Polecono mi odprowadzić was do domu i oddać w ręce rodziców — zauwdżył z uśmiechem lokaj.
— Dziękuję panu. Znam tu co prawda każdy kamień, ale wieczorem dużo raźniej w towarzystwie.
— Doskonale. W takim razie idźmy dalej.
Wkrótce po prawej ręce zaczerniała masywna bryła kościoła, wystrzelająca ponad sąsiednie domy. W dole połyskiwał blado jaśniejszy od murów kamień szerokich schodów portyku. Ulica, w tym miejscu nieco rozszerzona, ukazywała niewyraźne zarysy przeciwległej kamienicy.
— To tutaj — Antoś pchnął mocne dębowe drzwi.
Lokaj jak gdyby zawahał się, popatrzył na dom, zanim zdecydował się wejść.
Zagłębili się w wąską sień.
— Czy to panicz Antoine? — dozorczyni odchyliła firankę, zafascynowana wysoką postacią w cesarskiej liberii.
— Tak, to ja. Dobry wieczór, pani Cordier. Właśnie wracam z Tuileriów.
— Widzę, widzę — skrzywiła w najbardziej miodowym uśmiechu wąskie wargi.
Gdy mijali drzwi pierwszego piętra, Antoś objaśnił, że tu mieszkali do śmierci ojca, dopiero potem przenieśli się wyżej. Otworzyła Zelia.
— Przyprowadziłem pani syna.
— To Zelia — pośpieszył z wyjaśnieniem Antoś, ale nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo już Mela stała w drzwiach, zniecierpliwiona długą nieobecnością chłopca.
Zelia — pierwszy chyba raz w życiu — zapomniała się do tego stopnia, że ani nie przywitała gościa, ani nie poprosiła go do pokoju. Co prawda gość w liberyjnej kurtce nie wymagał aż takich ceremonii, a w ogóle człowiek w tym stroju po raz pierwszy przekroczył próg mieszkania sierot. Jednakże trzeba przyznać, że Zelia zachowała się wyjątkowo dziwnie. Po prostu stała i wpatrywała się w przybysza.
Tę niezręczną dla lokaja sytuację przerwała Róża.
— Co tu się dzieje? Czy to Antoś wrócił? — szła do przed-

pokoju i nagle stanęła, zobaczywszy czerwony strój Miguela Toreno.
Lokaj także nie potrafił ukryć zdumienia.
— Dzień dobry pani — złożył ukłon, jakim przywitałby wielką damę bywającą w Tuileriach.
— Pan mnie odprowadził — Antoś podbiegł do siostry.
— Dziękuję panu — Róża zdążyła przez tę chwilę ochłonąć. — To mój brat — wskazała chłopca. — Proszę, może pan wejdzie.
— Przypuszczam, że moje miejsce jest tutaj — powiedział wahaj ąco.
— Ależ nie — wmieszała się do rozmowy Zelia, która odzyskała już zwykłą dla niej równowagę. — Proszę wejść. Muszę zadać panu jedno pytanie.
Lokaj poprzedzany przez Różę i przez dzieci przestąpił próg jadalni. W kącie pokoju niewielka choinka zaznaczała świąteczny charakter owego dnia.
Wszystko to było zbyt nieoczekiwane i Róża nie wiedziała, czy wskazać gościowi Dziadusiowy fotel przy kominku, czy potraktować go w sposób, do jakiego przywykł z racji swojego stanu.
Przybysz sam rozwiązał ten problem, nie posuwając się w głąb pokoju, lecz zostając przy drzwiach.
Mela dawała Antosiowi znaki, nie mogła już doczekać się relacji z przyjęcia.
— Czy możemy pójść do pokoju Dziadusia? — Antoś spojrzał na siostrę prosząco, po czym zwrócił się z podziękowaniem do lokaja.
— Idźcie — skinęła Róża z ulgą, chcąc jak najszybciej pozbyć się świadków swojego trudnego do wytłumaczenia zakłopotania.
Zelia, niestety, nie okazała najmniejszej chęci pozostawienia jej sam na sam z gościem.
— Chciałabym się dowiedzieć — była już jak zwykle rezolutna — czy ma pan sobowtóra?
— Sobowtóra? — powtórzył jak gdyby nie rozumiejąc pytania. Zelia nie spuszczała z niego oczu.
— Tak, sobowtóra — przytaknęła. — Widziałam kogoś, do kogo jest pan uderzająco podobny. Ale to nie był lokaj — dodała znacząco.
— Doprawdy?

— O tak.
— Zostaw, Zelio — Róża nie mogła dłużej pozwolić na taką indagację. — Każdemu z nas zdarza się czasem zobaczyć kogoś podobnego do innego człowieka.
— Nie chodzi o zwykłe podobieństwo. Chodzi o sobowtóra.
— Jeżeli mam tu jakiego sobowtóra — Miguel Toreno rozłożył ręce — to nic o nim nie wiem.
Zelia trzęsła głową, spoglądając to na Różę, to na lokaja, po czym widząc, że dziewczyna nie zamierza wdać się w dyskusję
0 sobowtórze, zrezygnowana mruknęła niewyraźne „przepraszam"
1 wyszła do kuchni.
Lokaj jak gdyby tylko na to czekał, oderwał się od drzwi, podszedł szybko do kominka, ujął szczypce i z wprawą zgarnął rozsypujące się głownie.
Klęcząc przed ogniem i nie patrząc na dziewczynę powiedział:
— A więc to jest pani dom.
— Mój dom — potwierdziła z nagle obudzoną nieufnością.
— Pamiętam, kiedyś tu panią odprowadziłem. Wiele razy starałem się wyobrazić sobie pani mieszkanie.
— Niepodobne do Tuileriów, prawda? — ogarnęła ją niewytłumaczona irytacja.
Nadal klęczał przed paleniskiem, ze szczypcami w ręku, a pełgający nisko płomień rozpalał krwawe błyski w srebrnym galonie, pogłębiając groźny szkarłat liberii.
Szukała w myśli złych, raniących słów, jakie rzuciłaby w odpowiedzi na jego zuchwałą pewnie uwagę. Ale on milczał.
Z pokoju Dziadusia dolatywał podniecony głos Meli i śmiech Antosia. W kuchni Zelia głośno stukała garnkami. Ale w jadalni było zupełnie cicho, tylko chwilami trzaskały dopalające się polana.
Czarna głowa Miguela Toreno oświetlona ogniem kominka wydawała się tu na swoim miejscu, nisko pochylona, równie nisko, jak niska była kondycja tego człowieka.
— Czy pani też widziała mego sobowtóra? — nie odrywał oczu od ognia.
— Widziałam. >

— Nie był lokajem, jak powiedziała służąca — westchnął.
— Nie był.

— O tak.
— Zostaw, Zelio — Róża nie mogła dłużej pozwolić na taką indagację. — Każdemu z nas zdarza się czasem zobaczyć kogoś podobnego do innego człowieka.
— Nie chodzi o zwykłe podobieństwo. Chodzi o sobowtóra.
— Jeżeli mam tu jakiego sobowtóra — Miguel Toreno rozłożył ręce — to nic o nim nie wiem.
Zelia trzęsła głową, spoglądając to na Różę, to na lokaja, po czym widząc, że dziewczyna nie zamierza wdać się w dyskusję
0 sobowtórze, zrezygnowana mruknęła niewyraźne „przepraszam"
1 wyszła do kuchni.
Lokaj jak gdyby tylko na to czekał, oderwał się od drzwi, podszedł szybko do kominka, ujął szczypce i z wprawą zgarnął rozsypujące się głownie.
Klęcząc przed ogniem i nie patrząc na dziewczynę powiedział:
— A więc to jest pani dom.
— Mój dom — potwierdziła z nagle obudzoną nieufnością.
— Pamiętam, kiedyś tu panią odprowadziłem. Wiele razy starałem się wyobrazić sobie pani mieszkanie.
— Niepodobne do Tuileriów, prawda? — ogarnęła ją niewytłumaczona irytacja.
Nadal klęczał przed paleniskiem, ze szczypcami w ręku, a pełgający nisko płomień rozpalał krwawe błyski w srebrnym galonie, pogłębiając groźny szkarłat liberii.
Szukała w myśli złych, raniących słów, jakie rzuciłaby w odpowiedzi na jego zuchwałą pewnie uwagę. Ale on milczał.
Z pokoju Dziadusia dolatywał podniecony głos Meli i śmiech Antosia. W kuchni Zelia głośno stukała garnkami. Ale w jadalni było zupełnie cicho, tylko chwilami trzaskały dopalające się polana.
Czarna głowa Miguela Toreno oświetlona ogniem kominka wydawała się tu na swoim miejscu, nisko pochylona, równie nisko, jak niska była kondycja tego człowieka.
— Czy pani też widziała mego sobowtóra? — nie odrywał oczi:

od ognia.
— Widziałam.
— Nie był lokajem, jak powiedziała służąca — westchnął.
— Nie był.

— Czy... żałowała pani, że to nie ja?
— Dlaczego miałabym żałować?
— Bo lokaj to bardzo pośledni gatunek człowieka.
Nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy trochę z niej żartuje.
— Gdyby zamiast liberii nosił pan elegancki garnitur, jak ów pański sobowtór — powiedziała zaczepnie — czy sądzi pan, że zwracałby wówczas uwagę na hafciarkę?
— Gdyby tą hafciarką była pani...
— Nie wierzę — nie dała mu dokończyć. — Panowie ze służbą i ekwipażem mierzą o wiele wyżej.
— Po co właściwie ciągle przypominać o naszej skromnej pozycji? — uśmiechnął się. — Czy to takie ważne, co człowiek ma na sobie? Liberia, mundur, elegancki garnitur to wszystko ubranie, a więc tylko pozór. Bardzo pani jeszcze młoda — dodał wyrozumiale.
Ogarnął ją gniew. Znowu pozwalał sobie na to niestosowne porównanie, przymierzał jak gdyby lokaja do hafciarki. Czyż ten człowiek nigdy nie zrozumie?
Zrozumiał, i to od razu. Odstawił szczypce i wstał.
— Ogromnie pani łaskawa — powiedział tonem dobrze wyćwiczonego lokaja. — Zachowałem się doprawdy niewłaściwie. Ale tak tu ślicznie — rozejrzał się po pokoju. — Tuilerie w porównaniu z pani domem to bezduszny bazar, gdzie nagromadzono wiele bogactw, które nikogo nie cieszą. Tutaj — spojrzał na fotel przy kominku — chciałoby się żyć i być szczęśliwym — dokończył ciszej.
W pokoju Dziadusia dobrze się bawiono, świadczył o tym śmiech Meli i wesoły głos Antosia. W kuchni coraz głośniej stukały rondle, brzęczała patelnia. Zelia widać była bardzo niezadowolona. Tylko z kogo? Z siebie, z Róży czy z Miguela Toreno?
— To dobrze, że nie jest pani sama — podszedł do drzwi. — Ma pani rodzeństwo i tę oddaną służącą. To bardzo wiele. Raz jeszcze zechce pani wybaczyć — popatrzył na choinkę. Wyglądał, jak gdyby trudno mu było oderwać się od tego wnętrza.

Różę ogarniał coraz większy gniew. Irytował wesoły śmiech dzieci, zły humor Zelii.
A właśnie w tym momencie Zelia wkroczyła do pokoju.
— Podaję kolację — oznajmiła od progu. — Już późno —

spojrzała z naganą na niefortunnego gościa. — A pana proszę do kuchni. Zje pan ze mną.
— Ależ, Zelio...
— Pani Zelio — Miguel Toreno przerwał jej w pół słowa, a czarne jego oczy błysnęły podejrzanie, gniewem czy wesołością, Róża nie wiedziała. — Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt.
— Jaki tam zaszczyt — mruknęła Zelia. — Jeżeli nie ma pan dziś służby...
— Jestem wolny — odpowiedział skwapliwie.
— W takim razie proszę za mną. Poczeka pan nieco. Najpierw muszę obsłużyć panienkę. — Słowo „panienka" powiedziała z naciskiem.
— Słuchaj, Zelio — zaczęła Róża niepewnie. — Czy nie uważasz...
Ale Zelia nawet jej nie słuchała. Potrząsnęła głową i dalej nakrywała do stołu. Jak zwykle na trzy osoby: dla Róży, dla Meli i dla Antosia.
Wszelkie zresztą perswazje nie miały żadnych widoków powodzenia. Gdy Zelia podjęła decyzję, nic nie odwiodłoby jej od wykonania zamiaru. A tym razem mina Zelii świadczyła, że zamiar ten był nieodwołalny.
Z Różą działo się coś dziwnego. Nie mogła znieść myśli o Miguelu Toreno jedzącym kolację w kuchni. Liberyjna kurtka predestynowała go do tego miejsca, to prawda, ale on sam jakoś do kuchni nie pasował. Może dlatego, że cesarska liberia kojarzyła się ze splendorem pałacowych sal, z wykwintem koronowanych mieszkańców Tuileriów. Miguel Toreno uznał jednak to zaproszenie za rzecz zupełnie naturalną, więcej, za wielki fawor, bo posławszy Zelii porozumiewawczy uśmiech, wyszedł posłusznie do kuchni.
— Melu, Anto — zawołała Zelia. — Kolacja na stole.
Róża jadła milcząc, bez apetytu, głównie po to, aby Zelia nie gderała. Dzieciom za to nie zamykały się usta, aż trzeba było przywołać je do porządku.

Z kuchni nie dochodził żaden dźwięk, jak gdyby nie było tam nikogo obcego. Zelia z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podsuwała półmisek z pieczenia, podawała salaterkę z jarzynami.

Kolacja była prawdziwie świąteczna, cóż kiedy Róży nic jakoś tego wieczoru nie smakowało. j
Potem, gdy Zelia znikła w kuchni, zgaszono lampę i zapalono świeczki na choince. Antoś i Mela usiedli na podłodze, oglądając otrzymane poprzedniego wieczoru podarunki.
Róża wytężała słuch. Z kuchni dobiegał szmer rozmowy, odróżniała wyraźnie niski głos Miguela Toreno i — o dziwo — śmiech Zelii. Słów jednak nie zdołała pochwycić. Trwało to długo, zbyt długo jak na skromną kolację. Zelia zapomniała widać o wieczornych obowiązkach, a lokaj nie spieszył się do domu.
Ułożywszy Melę i powiedziawszy Antosiowi dobranoc, wróciła do jadalni. Zelia krzątała się koło stołu, zbierając naczynia.
— Zmieniłam zdanie o Hiszpanach — powiedziała ujrzawszy wchodzącą Różę. — To całkiem porządni ludzie.
— Gdzie on jest?
— Poszedł. Przecież już bardzo późno.
— O czym tak długo rozmawialiście?
— O wszystkim — Zelia wykonała ręką okrągły gest i spod oka popatrzyła na dziewczynę. — Ten człowiek zna swoje miejsce i nie pcha się tam, gdzie mu nie należy.
— Nie wiem, czy dobrze wyszło...
— Co takiego?
— Ta kolacja w kuchni.
— W kuchni? Ja zawsze jadam w kuchni i wcale nie narzekam.
— Ty, Zelio, dziwaczysz. Ale gość...
— Cóż to za gość? A zresztą dostał dobrą kolację. Myślisz, że w Tuileriach służba jada nadzwyczajne frykasy? To samo, co na cesarskim stole? A wiesz, że i cesarz nie bardzo zadowolony. Lokaj mówi, że słyszał, jak raz' powiedział: „Dlaczego nie mogę zjeść równie dobrego chleba, jak byle paryski mieszczuch? Mnie tu dają niejadalne wióry. A rosół... To jakaś lura. O, moi poddani jadają dużo lepiej ode mnie".
— Wiem, że to tylko lokaj, ale zawsze...
— Więc czego się dręczysz? Napiwku mu przecież nie dałam.

— Zelio, jak możesz?
— A co myślisz? Taki sługus to tylko patrzy na ręce. A franka każdy chętnie schowa do kieszeni.
— Zelio, proszę cię.

— Dobrze, dobrze, nie masz czego tak się irytować. W każdym razie wyjaśniłam mu, kim jesteś. Mam nadzieję, że zapamięta.
— Byłaś chyba grzeczna?
— Ja zawsze jestem grzeczna. A teraz idź spać, mam dużo zmywania.
Mela dawno już zasnęła, a Róża długo siedziała na łóżku, nie mogąc jakoś uporać się z wrażeniami tego dnia. Boże Narodzenie! Choinka w tuileryjskim salonie, cesarzowa Eugenia i mały książę, tajemnicza jak zwykle twarz cesarza. I Miguel Toreno. „Tutaj chciałoby się żyć i być szczęśliwym" — szeptał niski głos, a ciemne oczy błyszczały jak gdyby obietnicą. Czego? Bała się odgadywać.
Karnawał, jak co roku, zapowiadał szereg świetnych balów: w Tuileriach, na ratuszu, w operze, u księcia de Morny, u barona Haussmanna, u pani de La Pagerie, u księżny de Bassano. Tańczono właściwie wszędzie i śmiało można powiedzieć, że Drugie Cesarstwo tanecznym krokiem szło przez historię Francji, w takt galopów pana Offenbacha, szumiąc sutą krynoliną, błyskając ogniem drogich kamieni.
Ludzi poważnych gorszyła płochość dworu. „Cesarz jest za dobry, za pobłażliwy — mówiono — na wszystko żonie pozwala". A cesarzowa Eugenia lubiła się bawić, lubiła błyszczeć jako ta najpiękniejsza wśród najpiękniejszych.
Bo też nigdy chyba dotąd żaden dwór nie zgromadził tyle urodziwych kobiet, jakie przewinęły się przez salony Tuileriów. W tej królewskiej oprawie uroda takich dam, jak hrabina Cas-tiglione czy księżna de Persigny, markiza Gallifet czy hrabina Wa-lewska, jaśniała właściwym blaskiem.
Cóż stąd, że wielu mieszkańcom dalekich zaułków Paryża często brakowało chleba, że z nędzy i chorób umierały dzieci, że głód wypędzał młode dziewczęta na ulicę.
Cesarzowa Eugenia słynęła z dobroczynności, z powagą spełniała miłosierne uczynki. Widywano ją na poddaszu biedaka, zstępowała do

najuboższych suteren. Zamiłowania jednak do zabaw i do zbytku nie dało się zabić widokiem ludzkiej nędzy. Śpiew skrzy-

piec głuszył płacz nieszczęśliwych, a brokatowe kotary przesłaniały tragiczne obrazy.
Cesarzowa Eugenia wciąż była piękna, jubilerzy z ulicy de la Paix wystawiali coraz wspanialsze kolie i diademy; krawcy, szwaczki i bieliźniarki szyli olśniewające toalety, suknie, peniuary. Czyż można było oprzeć się pokusie okrywania posągowych ciągle kształtów aksamitem, taftą czy koronkami? Któż mógł wymagać poświęcenia od pięknej kobiety i zmuszać ją, by zamiast jedwabiu nosiła barchany? Byłoby to wręcz nieludzkie, a cesarz — jak wiadomo — miał miękkie serce.
Dopóki książę prezydent zamieszkiwał Pałac Elizejski, stara arystokracja raczyła łaskawie przyjmować zaproszenia na oficjalne przyjęcia, podczas których z protekcjonalną miną poklepywała po ramieniu tak zwanych „parweniuszy".
Ludwik Napoleon był przecież tylko pionkiem na politycznej szachownicy, „człowiekiem przejściowego okresu", jak o nim mówiono, tym, co miał przygotować drogę do tronu dla najgodniejszej, bo jedynie prawowitej dynastii. Dla legitymistów byli to Burboni, dla orleanistów — książęta z Orleańskiego domu.
Kukła, która w mniemaniu „błękitnej krwi" winna była wdzięczność za wyświadczony jej zaszczyt, przejęła nagle inicjatywę w swoje ręce, ze zręcznością i odwagą, o jakie mieszkańcy starych pałaców z bulwaru Saint-Germain nigdy by jej nie posądzili.
Zamach stanu z drugiego grudnia całkowicie odmienił sytuację. Książę prezydvrt. zostawszy Napoleonem III, ujrzał wokół siebie pustkę. Bywalcy prezydenckiego pałacu przemienili się w zaciekłych wrogów cesarskich Tuileriów.
Cesarz musiał pogodzić się ze srogością utytułowanych przeciwników.
— Ci ludzie — powiedział — nie mają pojęcia o polityce i właściwie do niczego nie byliby mi potrzebni. Są, owszem, dekoracyjni i nadają się wyłącznie do noszenia orderów.
W rzeczywistości poniósł jednak pewnego rodzaju porażkę. Stara arystokracja dodałaby wiele blasku tronowej sali, a młode cesarstwo zyskałoby na prestiżu poza granicami Francji.

Niestety, trzeba było obyć się bez splendoru starych rodów z ich dumnie brzmiącymi nazwiskami, które ozdabiał tytuł książęcy 1'ub przynajmniej hrabiowski.
115
Jednakże każdego władcę, jak wiadomo, musi otaczać dwór, tak więc i Napoleon III przyciągnął do Tuileriów wszystko, co Francja miała najznamienitszego, jeśli chodzi o zasługi czy talenty mężczyzn, o urodę i elegancję kobiet.
Niedługo trwał koronowany celibat cesarza. Miłość do panny de Montijo na tyle zmąciła mu rozum, że pchnęła go na ślubny kobierzec wówczas, gdy mógł ubiegać się o prawdziwie królewskie koligacje. Ale dwór cesarski wymagał pani.
Z początku życie tego dworu nie rozwijało się tak bujnie, jak to nastąpiło w dalszych latach. Wojna krymska i narodziny dziedzica, potem kampania włoska skierowały zainteresowania w patriotyczne i rodzinne rejony. Dopiero z biegiem lat życie dworskie nabrało właściwych rumieńców, skupiając dokoła cesarza i jego małżonki kosmopolityczne towarzystwo spragnione uciech i zabawy, mające na względzie intrygę czy zaspokojenie własnych ambicji.
Poniedziałki cesarzowej Eugenii gromadziły w różowym lub zielonym salonie najpiękniejsze damy owego świata, które pędzel Winterhaltera uwiecznił na słynnych płótnach. Tym pięknościom służyła za tło nie tylko zieleń parkowego krajobrazu, ale i czerń fraków lub błękit mundurów, podnosząc wdzięk i urodę pierwszoplanowych postaci.
Cesarzowa Eugenia miała też swój dwór. Każdego dnia wyznaczano kilka dam dla towarzyszenia cesarzowej podczas audiencji, wizyt lub po prostu na spacerze. Wybierano się zazwyczaj na miasto, by zajrzeć zarówno do paru wytwornych magazynów, jak i na poddasze biedaków. Ta chwila swobody, tak konieczna dla dawnej panny de Montijo, pozwalała obecnej cesarzowej Eugenii nieść ciężar dworskiej reprezentacji.
Drugie Cesarstwo było bezsprzecznie królestwem kobiet. Czy to w Tuileriach, czy na wilegiaturze w Compiegne lub w Fon-tainebleau, u wód w Vichy czy w morskich kąpielach w Biar-ritz, na przejażdżce w Lasku czy w loży w operze, wszędzie cesarzową otaczały najbardziej urodziwe, słynące przymiotami ciała i umysłu kobiety. Dzięki obwodowi krynoliny zajmowały zawsze najwięcej miejsca w berżerce tuileryjskiego

salonu, w powozie a la Daumont, na parkowej ławce czy po prostu na trawie, podobne wszędzie do wielkich kwiatów, które szeroko rozpościerały korony z kosztownych płatków.

A już bal był jedyną i najdoskonalszą okazją do olśniewania dla tych wszystkich, których celem życia było olśniewanie innych.
Echa tego nadzwyczajnego wydarzenia docierały także na drugie piętro bocznego skrzydła, do szwalni i do pracowni hafciarki.
Przygotowania do balu dawały się odczuć w całym pałacu, szczególnie zaś na pierwszym piętrze głównego trzonu, gdzie w najbardziej reprezentacyjnych salonach zwijano dywany, zdejmowano pokrowce z kanap i z foteli, a froterzy woskowali wzorzyste posadzki, nim staną na nich świetne pary.
Cały sztab służby zatrudniono przy tych porządkach. Odkurzano obrazy, portiery i zasłony, czyszczono klamki, miotełki z piór migały w rękach lokai, przywracając blask i żywość barw wszystkim przedmiotom.
Jednego z takich właśnie dni przed balem Róża zajrzała z ciekawości do głównego westybulu, skąd paradne marmurowe schody dwoma ramionami obejmowały wsparty na kolumnach podest pierwszego piętra. Wszystkich tam teraz ciągnęło, była to bowiem wielka okazja podziwiania cesarskich apartamentów w przeddzień ich największego splendoru. Co prawda kryształowym pająkom brakowało błysku setek świec, brakowało też strojnego tłumu gości, zamiast orkiestry słychać było rzucane służbie rozkazy. Czegóż jednak nie dopowie rozgorączkowana wyobraźnia? I bez tego było na co popatrzyć.
Pani Benoit zapomniała tym razem o strofowaniu i panny co rusz wymykały się ze szwalni, by choć rzucić okiem na te wszystkie cuda.
Panna Wirginia wstąpiła do pracowni hafciarki.
— Nie idzie pani zobaczyć? — zapytała od progu. — Wszystkie już tam były. Ja to za każdym razem... — dodała wyjaśniająco. — Chodźmy, doprawdy warto.
Róża wstała z ociąganiem.
— Mam tyle roboty — zaczęła.
Ale panna Wirginia nie dała dokończyć. Nie słuchała nawet, tak jej było pilno.

Podwórzem przeszły na główny dziedziniec. Szeroko otwarte drzwi westybulu zdawały się zapraszać, nawet tę skromną i nie-reprezentacyjną, byle jak odzianą, gromadkę nieśmiałych kobiet,

którym aż w oczach płonęło od tego, co spodziewały się podziwiać. Nikt zresztą nie zwracał na nie uwagi.

Paradnymi schodami, które nazajutrz będą deptać najzgrabniejsze stopy obute w atłasowe trzewiczki, godne chyba nóżki kopciuszka, weszły na piętro, skąd wysokie biało-złote dwuskrzydłowe drzwi wiodły do salonów.

Wszędzie panował wielki ruch.

Nie zatrzymywane zajrzały do pierwszej sali. Panna Wirginia bardziej obeznana z miejscem poszła śmiało naprzód. Róża, zakłopotana niezręczną dla niej sytuacją, bała się zostać sama wśród tylu obcych i chcąc nie chcąc podążyła za przedsiębiorczą dziewczyną.

Grzmiący głos generała Rollin, głównego intendenta Tuileriów, przykuł ją do miejsca.

Osobistość ta, której obawiał się kto żyw w pałacu, nadchodziła z głębi salonów w towarzystwie generała Lepie, adiutanta Napoleona III, a jednocześnie nadintendenta cesarskich rezydencji.

O ile za generałem Lepie przepadali wszyscy mieszkańcy Tuileriów, od cesarza po ostatniego kuchcika, o tyle generał Rollin był powszechnie nie lubiany. A miał przecież jedną niezawodną cechę: był ślepo, duszą i ciałem oddany cesarzowi. Ale to swoje przywiązanie objawiał w tak niezręczny sposób, narażając się wszystkim, że cesarz, który dobrze go znał i wysoko cenił, nieraz przeżył przez niego niemiłą chwilę.

Generał Rollin nie znosił cesarzowej Eugenii, która nie pozostawała mu dłużna. Przykry charakter starego żołnierza dał się we znaki nawet małemu Lulu.

Pewnego dnia, gdy chłopiec bawił się z psem w prywatnym ogrodzie cesarza, nadszedł generał Rollin i ostrym tonem kazał mu iść bawić się gdzie indziej. Lulu ze łzami pobiegł na skargę do matki. Cesarzowa Eugenia, dbała o wyrobienie charakteru syna, przyznała rację generałowi. Wówczas Lulu rozżalony wykrzyknął: „Jesteś, mamo, niedobra, ta stara bestia mnie skrzywdziła".

Za te słowa Lulu został ukarany i miał przeprosić generała.
Chłopiec w towarzystwie Miss Cholt zjawił się w jadalni, gdy domownicy siedzieli przy kolacji, i zbliżył się do generała.

— Panie generale — powiedział rezolutnie — bardzo pana przepraszam.
— Za co, Wasza Cesarska Wysokość? — zdziwił się generał, który zapomniał już o porannym incydencie.
— Za to, że powiedziałem mamie, że pan wypędził mnie z ogrodu i że jest pan starą bestią — wyrecytował posłusznie Lulu.
Generał Lepie, nie zatrzymując się, poszedł szybko do wyjścia, a budzący postrach generał Rollin zbliżał się z plikiem papierów w ręku. Mówił przy tym coś do drepczącego za nim małego jegomościa w czerni.
— Tak jest, panie generale — odpowiadał ów człowiek za każdym razem, gdy generał przestawał mówić.
Panna Wirginia wcale się nie przejęła nadejściem tak groźnej osoby. Róża za .to ledwie zdołała opanować chęć ucieczki.
Po chwili było już po strachu. Generał Rollin wyminął dziewczęta, nie okazując najmniejszego zainteresowania ich obecnością. Zatrzymał się przy drzwiach i, kładąc papiery na złoconym stoliku, powiedział wyraźnie:
— Zostawiam listę zaproszonych. Reszty pan dopilnuje.
I poszedł, a czarno ubrany jegomość pospieszył za nim schodami do westybulu.
Róża widziała przez okno, jak wyszli na dziedziniec.
Na złoconym gerydonie pozostał po nich plik papierów. Lista zaproszonych.
Ciekawość kazała jej podejść do stolika. Od panny Wirginii dzieliły ją dwa salony. W pobliżu nie było nikogo. Schyliła się i przeczytała pięknie wykaligrafowany napis: „Goście Ich Cesarskich Mości zaproszeni na bal do Tuileriów..."
Nazwiska wypisano w porządku alfabetycznym starannym okrągłym pismem. Listę otwierała pani d'Abrantes.
Róża dotknęła gładkich kart, przebiegając wzrokiem czerniejące na nich litery. Gdy odwróciła ostatnią stronicę, na samym końcu długiego spisu widniało: Pan Ryszard Żeran.
Krzyknęła i upuściła papiery, aż kartki rozsypały się po posadzce.
Z rumieńcem podniecenia schyliła się, czując szum w uszach

i obezwładniające wzruszenie. Ryszard Żeran! A więc jest ktoś z rodziny zaginionego przyjaciela, żyje, mieszka tu, w Paryżu! Boże, Boże, dlaczego Dziaduś nie doczekał?
Panna Wirginia zaspokoiwszy ciekawość wracała z ostatniego salonu. Różę za to przestał interesować teren jutrzejszego balu. Zajmowała ją jedna tylko myśl: jak zobaczyć Ryszarda Żerana? Musi przecież dowiedzieć się, czy jest krewnym Dziadusiowego przyjaciela.
— Wszystko obejrzałam — paplała panna Wirginia — te brokatowe obicia są wprost prześliczne. Zauważyła pani? A przybranie kominka? Wyobrażam sobie, jak bym się czuła mieszkając w takim pałacu!
Róża prawie nie słyszała jej gadaniny. Jakie właściwie miała widoki na spotkanie człowieka bądź co bądź górującego nad nią pozycją towarzyską i majątkiem? Jest to zapewne ktoś znaczny, jeśli zaproszono go na bal do Tuileriów.
Panna Wirginia nie przestawała unosić się nad przepychem cesarskich apartamentów, a temat ten wystarczył na całą powrotną drogę do bocznego skrzydła. Rozstały się wreszcie i Róża z ulgą znalazła się w swojej pracowni.
Co robić?
I nagle zdała sobie sprawę, że tylko jeden człowiek może jej pomóc, a tym człowiekiem jest Miguel Toreno.
Należało jak najspieszniej odszukać lokaja i zasięgnąć jego rady. W tym celu trzeba było raz jeszcze pofatygować się do głównego westybulu. Gdy tam weszła, wiele osób kręciło się po ogromnej sieni. Ogrodnicy wnosili właśnie z oranżerii olbrzymie donice z pomarańczowymi krzewami i ustawiali je na stopniach monumentalnych schodów. Tym pachnącym szpalerem wejdą nazajutrz zar proszeni.
Róża zręcznie wyminęła niosących ozdobne rośliny ogrodników i podeszła do starszego lokaja, który dyrygował całą operacją.
— Czy może mi pan wskazać, gdzie znajdę Miguela Toreno?
Służący poznał widać hafciarkę, bo zamiast odpowiedzieć zawołał do wchodzącego na schody lokaja:
— Hej, ty, niech tu przyjdzie Miguel Toreno. Dama na niego czeka.

Róża usunęła się z drogi ogrodnikom onieśmielona całym tym rozgardiaszem, czując się nie na miejscu wśród zaaferowanej służby. Po kwadransie odszukała owego starszego lokaja i poprosiła, by przekazał jej polecenie młodemu Hiszpanowi.
— Powtórzę mu — odrzekł z domyślnym uśmiechem służący. — Pani ze szwalni, prawda?
— Nie... Tak... moja pracownia jest obok... On będzie wiedział.
Odetchnęła, gdy znalazła się znowu u siebie.
Ryszard Żeran — huczało w głowie. — Boże, Boże!
Niezdolna do jakiejkolwiek roboty siedziała z twarzą wtuloną w dłonie, rozdygotana, bliska płaczu.
Minęła godzina. Miguel Toreno nie dał znaku życia. Nadeszła pora obiadu i Róża z ociąganiem poszła do domu.
— Co się stało? — Zelia od razu poznała, że dziewczynę spotkało coś złego.
— Ryszard Żeran — wyjąkała Róża — jest na liście gości zaproszonych na jutrzejszy bal.
— To czegoś taka zmartwiona? Odnalazł się Żeran. Bardzo dobrze. Najwyższy już czas.
— Nie wiadomo, czy to ten, którego szukamy.
— Dowiemy się.
— Jak?
— Przez Hiszpana — ucięła Zelia. — Chodź teraz na obiad. A więc Zelia też pomyślała o Hiszpanie.
Wracając do pałacu Róża pokręciła się chwilę po dziedzińcu, podeszła nawet do głównego wejścia, ale hiszpańskiego lokaja nigdzie nie było.
Godziny popołudnia wlokły się niemiłosiernie. Wyczekiwany gość nie przychodził.
Kilkakrotnie wstawała, podchodziła do okna, wyglądała na schody. W bocznym skrzydle panowała cisza, ze szwalni tylko dobiegały chwilami głosy dziewcząt rozprawiających o jutrzejszym balu.
Ledwie dosiedziała do szóstej, dłużej nie potrafiła znieść denerwu-jącej niepewności.
Ubrała się i zeszła na dziedziniec.
Całe życie dworu skupiło się dziś wokół głównego trzonu pałacu.

Boczne skrzydła, z rzadka oświetlone, wydawały się opustoszałe, niemal wymarłe.
Róża straciła nadzieję. Zrezygnowana poszła w stronę bramy. Wszystko układało się fatalnie. Gorączkowo szukała w myśli osoby, która z braku Miguela Toreno przyszłaby jej z pomocą. Nie znajdowała jednak nikogo, komu bez obawy mogłaby wyznać dość śmiałe w jej sytuacji życzenie. Pozostawała wprawdzie wszystkowiedząca pani Grabska, ale pani Grabska w ogóle nie wchodziła w rachubę. Pomyślała nawet o panu Hutorowiczu, ale pana Hutorowicza starość i ubóstwo odsunęły od wielkoświatowego życia.
Już w bramie zderzyła się nieledwie z powracającym z miasta lokajem. Przywitał ją ze zwykłym szacunkiem, a ona zwróciła ku niemu twarz, na której ze zdziwieniem wyczytał radość.
— Od rana pana szukam — powiedziała z wyrzutem. — Czy nikt panu nie przekazał?
— Od rana jestem na mieście — odpowiedział z uśmiechem, wyraźnie rad z takiego powitania. — W czym mogę być pani użyteczny?
— Mam prośbę — zawahała się, spoglądając na strażnika.
— Chodźmy na górę — zaproponował biorąc ją delikatnie pod ramię, natychmiast jednak uświadomił sobie niestosowność tego gestu, bo pośpieszył przodem otwierając przed nią drzwi.
Długo zastanawiała się, co może, a czego nie powinna wyjawić formułując niecodzienne życzenie. Obawiała się, by nie posądził jej o wulgarną ciekawość i ze zgrozą przyłapała się na stwierdzeniu, jak bardzo jej zależy na jego o niej opinii.
Miguel Toreno, jak dobrze ułożony lokaj, nie zaczynał rozmowy. Czekał w postawie, jaka przystoi służącemu.
— Panie Toreno — zaczęła z trudem dobierając słowa — to, co teraz powiem, może się panu wyda dziwne, ale chciałabym zobaczyć jutrzejszy bal.
— Chce pani zobaczyć bal? — powtórzył pytanie nie patrząc na nią.
— Widzi pa.n — czuła, że się rumieni — przypadkowo wpadła mi w ręce lista zaproszonych... Jest tam ktoś, kogo koniecznie muszę spotkać. Nie mam innego sposobu...

Podniósł na nią wzrok z wyraźną naganą, a ona zmieszała się jeszcze bardziej, jak gdyby słuszne i niewinne pragnienie w jego oczach okazywało się czymś zdrożnym i wstydliwym.
— Żałuję — powiedział po chwili. — Jutro nie mam służby. I właściwie nie widzę, jak mógłbym pani pomóc.
— Och, w takim razie proszę o wszystkim zapomnieć. To nic ważnego.
— Nic ważnego? — podchwycił marszcząc brwi. — Przecież przed chwilą powiedziała pani...
— Tak, tak — przerwała szybko — ale, jeżeli pana jutro tu nie będzie... Nie mogę zwracać się do nikogo innego.
— Czy... wstydzi się pani swojej ciekawości? — uśmiechnął się lekko.
— To nie ciekawość — odpowiedziała z żywością. — Sam bal nic mnie nie obchodzi, ale osoba, której poszukuję...
— To mężczyzna, prawda?
— Tak. Nosi nazwisko przyjaciela mego Dziadusia. Dziaduś poszukiwał go bezskutecznie. Może ten człowiek jest jego synem, wnukiem, nie wiem...
— Rozumiem. Niestety, jutro nie mam służby — powtórzył, a po chwili dodał, jak gdyby tknięty nagłą myślą: — Jeżeli powie pani, o kogo chodzi, postarałbym się dowiedzieć... Może adres tego pana...
— Ryszard Żeran — wyszeptała pełna obawy, czy dobrze czyni zdradzając tę jakby rodzinną tajemnicę.
— Zapamiętam to nazwisko — obiecał. — Zrobię, co będę mógł.
— Dziękuję — podniosła oczy. — Tak na pewno będzie najlepiej .
— Tak będzie najlepiej — przytaknął. — Inaczej znalazłaby się pani w fałszywej sytuacji.
Miał naturalnie rację. Jakże była mu wdzięczna za delikatną atencję, za zrozumienie, za wzięcie w obronę jej własnych interesów. Wymagało to z jej strony pewnej choćby szczerości.
— Jestem panu winna wyjaśnienie...
— Nie, nie — zaprzeczył gwałtownie. — Nic mi pani nie jest winna. Czyż damie wypada tłumaczyć się przed lokajem? — dokończył z uśmiechem.

— To nie tłumaczenie — żachnęła się. — Nie chcę, by pan sądził mnie fałszywie. Nie mam nikogo i cała moja nadzieja w Dzia-dusiowym przyjacielu. Ja... bardzo potrzebuję pomocy.
— Jestem na pani rozkazy — przerwał. — Zanim odnajdzie się ów... pan Żeran, proszę mną dysponować.
— Bardzo to ładnie z pana strony, ale mnie potrzebny ktoś bliski.
— Przecież pani go nie zna?
— Nie znam i nawet nie wiem, czy to człowiek, którego poszukuję. Może myli mnie zbieżność nazwiska? — zamilkła, po czym dorzuciła prędko: — Pójdę już.
Zeszli na dziedziniec.
— Raz jeszcze dziękuję za pyszną kolację — uśmiechnął się szeroko. — Pani Zelia to nadzwyczajna kobieta.
— O tak, Zelia jest wspaniała. Dobranoc panu — pierwszy raz spojrzała w błyszczące oczy Hiszpana, po czym szybko zagłębiła się pod sklepienie bramy.
Wracała rozczarowana. Właściwie czego spodziewała się po lokaju? Że ukryje ją za jakąś firanką czy kotarą i w odpowiednim momencie wskaże: „Oto pan Żeran", a potem przyprowadzi do niej owego pana, który naturalnie okaże się potomkiem Dziadusio-wego Zygmunta? A wszystko odbywałoby się przy dźwiękach balowej orkiestry, na oczach tłumu strojnych gości?
Chyba rozum straciła, jeśli uważała podobne rzeczy za możliwe.
Zelia oczywiście przyznała rację Hiszpanowi.
— Bardzo rozsądnie poradzi^ — oświadczyła, gdy wieczorem zostały same w jadalni. — Dowie się o tym panu, co potrzeba, pozna jego adres, a wówczas my będziemy działać.
— I co zrobimy?
— Postaramy się z nim zobaczyć i zapytać, czy jest krewnym Zygmunta. To wszystko.
— Nie zapominaj o talerzu.
— O talerzu... — Zelia z powątpiewaniem trzęsła głową.
— To bardzo ważne. Dziaduś przykazywał.
— Może i ważne — westchnęła Zelia niezbyt jednak przekonana.
— To będzie decydujące. Jak inaczej uwierzyłby, że jestem wnuczką Kazimierza Ordęgi?

Następnego dnia nikt chyba nie pracował w szwalni, a i hafciar-ka mało zrobiła ściegów. Pani Benoit dwa razy była wzywana do cesarzowej Eugenii — chodziło o drobne poprawki przy balowej toalecie. Za każdym razem towarzyszyła jej panna Wirginia, która z wypiekami na policzkach dzieliła się wrażeniami z mniej uprzywilejowaną resztą szwaczek.
Po południu Róża nie poszła do pałacu. Czuła się dziwnie rozbita i zdenerwowana. Siedziała przy kominku, w Dziadusiowym fotelu, wyobrażając sobie, jak wszystko się odbędzie.
Ryszard Żeran wysiądzie z karety, w westybulu lokaje odbiorą od niego płaszcz i kapelusz, potem wejdzie schodami na pierwsze piętro, wśród krzewów mirtu i pomarańczy. W wysokich drzwiach sali marszałek dworu zaanonsuje: „Pan Żeran". Wszystkie oczy skierują się na nowo przybyłego. Ten zbliży się do cesarskiej pary, gdzie zostanie przedstawiony lub — jeśli znają go — złoży ukłon przed cesarzową Eugenią, a cesarz wyciągnie do niego rękę. Tak się to zazwyczaj odbywało.
W tym miejscu wyobraźnia jakoś ją zawodziła. Bo jak ma wyglądać ów tajemniczy Ryszard Żeran? Czy to starszy pan z siwymi wąsami, a może jegomość w średnim wieku z lekko szpakowatą głową albo człowiek zupełnie młody, o jasnych włosach, jak większość Polaków, ze szczerą otwartą twarzą, w nienagannym fraku i z sygnetem na palcu?
— Nie dręcz się — upomniała Zelia, gdy podzieliła się z nią myślami.
— Wkrótce dowiesz się wszystkiego.
— Dlaczego Miguel Toreno nie ma dzisiaj służby? — spytała nagle.
— W takim dniu, kiedy wszyscy lokaje tracą głowy z nadmiaru obowiązków?
— Widocznie nie jest potrzebny — ucięła Zelia i poszła do kuchni.
Tej nocy Róża źle spała. Po wielekroć zadawała sobie pytanie, czego oczekuje od Ryszarda Żerana.
Odpowiedź zawsze była jednakowa: przede wszystkim uregulowania spraw Meli. To było najważniejsze. Nic dotąd nie zrobiła, a przecież należy dowiedzieć się, odszukać nieszczęśliwą matkę dziewczynki. No i stryj... Nie wahał się użyć siły, żeby odzyskać bratanicę. Róża przez swoją nieudolność nie ma prawa pozbawiać dziecka należnego mu dziedzictwa.

Po trzech nieudanych próbach wydawało się, że młody pan Na-rzymski zrezygnował. Czy jednak na długo?
— Przyczaił się — zauważyła któregoś dnia Zelia. — Czeka na sposobną okazję,
— Tak myślisz? — przestraszyła się Róża.
Zelia bez słowa pokiwała głową, jej zacięte usta nie wróżyły powodzenia niecnym zamiarom.
A biedna pani Narzymska zamknięta w jakimś „domu zdrowia"? Pani Grabska wspomniała o podobnym zakładzie w Passy czy w Auteuil. Jak ją odszukać? Jak zmusić lekarzy, by otworzyli drzwi do normalnego życia kobiecie, którą szwagier skazał na wieczne może odosobnienie? Jeżeli Ryszard Żeran okaże się tym, na którego czekał Dziaduś, złoży w jego ręce wszystkie te nie załatwione dotąd sprawy. Poprosi go o pomoc. Nie odmówi jej, jeśli jest tym od talerza. Jeżeli zaś nie...
Wstała z silnym bólem głowy.
— Nie pójdę do Tuileriów — oświadczyła przy śniadaniu. — Niech pani Benoit myśli, co chce. Nic mnie to nie obchodzi.
Takie ukrywanie się i unikanie rzeczywistości nie mogło trwać długo. Następnego dnia trzeba było podjąć zwykłe obowiązki.
Po balowej burzy życie dworskie wracało do pogodnej codzienności. Jedynym urozmaiceniem stały się kaprysy zimy, która albo sypała śniegiem, albo dokuczała mrozem.
Dopiero po tygodniu Miguel Toreno zapukał do pracowni haf-ciarki. Róża z trudem opanowała podniecenie, zmuszając się do ukrycia niepokoju i niecierpliwości.
— Zebrałem nieco informacji o wiadomej osobie — zaczął, a na pytający wzrok dziewczyny dodał: — służący pana Żerana jest Hiszpanem, pojmuje więc pani, między rodakami szybko dochodzi się do porozumienia.
— Czego się pan dowiedział?
— Przede wszystkim pan Żeran nie był na balu — spojrzał na nią spod oka. — Wybierał się właśnie w dłuższą podróż, jak mówił służący, a nagle otrzymana wiadomość przyspieszyła wyjazd.
— Więc wyjechał...
— Wyjechał — przytaknął.
Spuściła głowę. Nie chciała, żeby zobaczył jej rozczarowanie, a może i łzy.

— Dowiedziałem się ponadto, że pan Żeran jest młody i dość zamożny. Niedawno przybył do Paryża. Mieszkał dłuższy czas w Hiszpanii i stamtąd przywiózł sobie służącego. Zaprosiłem mego rodaka do winiarni. Z początku wyrażał się zbyt lakonicznie o swoim chlebodawcy, po kilku jednak szklaneczkach stał się bardziej wylewny. Okazało się przy tym, że obaj pochodzimy z Segowii, ta okoliczność skutecznie rozwiązała mu język.
— Wspomniał może, jak długo pan Żeran zamierza podróżować? — zmusiła się, by podnieść oczy na Hiszpana.
— Służący nie wie... Przypuszcza, że dość długo.
— Ach, Boże!
Miguel Toreno posunął się w głąb pokoju.
— Niech pani tymczasem skorzysta z moich usług — powiedział zachęcająco.
— Czy zna pan jakieś kliniki dla umysłowo chorych? — spytała nieoczekiwanie.
— Dla umysłowo chorych? — zdumiał się.
— Podobno są takie w Passy czy w Auteuil.
— Są, owszem. Najlepsza, to tak zwany „dom zdrowia" doktora Blanche'a. Ale po co to pani?
— Muszę kogoś odszukać.
— Znowu?
— Ach, niechże pan przestanie.
— Przepraszam. Dziwne są pani tajemnice. Nie wystarczy jeden pan Żeran, a już poszukuje pani jakiegoś wariata.
— To nie wariat, to kobieta. I może wcale nie jest tak chora, jak chciano by w nią wmówić.
— I do tego potrzebny jest pan Żeran?
— A któż inny mi pomoże? To moja wina. Byłam zbyt opieszała. Dawno już należało zająć się tym... Tylko nie wiem jak... Do kogo się zwrócić...
— Dlaczego nie chce mi pani zaufać? — spytał łagodnie.
— Cóż pan? To sprawy dla pana obce. Tylko pan Żeran...
— Do diabła z panem Żeranem — wybuchnął zapominając o winnym damie szacunku. — Jeśli podoba mu się podróżować wówczas, gdy jest pani potrzebny, niech sobie jedzie z Bogiem. Chętnie go zastąpię.

— Co też pan...
— Nie wierzy pani? Z przyjemnością poznam się z wariatami, jeżeli takie pani życzenie. Czekam na rozkazy...
— Jest pan niegodziwy! — wykrzyknęła rozżalona. — Jak można obracać w żart tak poważne sprawy?
— Dotąd w nic mnie pani nie wtajemniczyła. Jedynie pan Żeran...
— Właśnie, pan Żeran... I tak zbytnio już pana trudziłam — opamiętała się nagle. — Poczekam na powrót pana Żerana. Nie będzie chyba wiecznie podróżował. Za wszystko panu dziękuję.
Zrozumiał, że przekroczył dozwolone granice i że choć zaszczycono go jakim takim zaufaniem, nie ma jednak prawa do narzucania się z radą i pomocą, o które go nie proszą. Może najwyżej spełnić jedno czy dwa polecenia, nic więcej.
Mimo tych gorzkich doznań, coś, jak gdyby uśmiech, drżało na wargach Hiszpana, gdy opuszczał pracownię hafciarki.
Róża znowu została z przykrym uczuciem, że postąpiła nie tak, jak należało. Dlaczego nie potrafi raz na zawsze ułożyć swoich stosunków z lokajem na właściwej stopie? Za każdym razem albo dopuszcza do zbytniej poufałości, albo raniącą wyniosłością podkreśla jego niską kondycję. Wiedziała, że go krzywdzi. Dziaduś chyba nie byłby z niej zadowolony. Powiedziałby pewnie, że to „nie po chrześcijańsku", że wszyscy ludzie są braćmi, i miałby rację.
Po dłuższej dopiero chwili uświadomiła sobie, że zapomniała zapytać o adres pana Żerana. Zachodziła więc konieczność ponownej rozmowy z Hiszpanem, a pragnęła tego uniknąć. Nie może przecież wtajemniczać obcego w swoje sprawy. Co innego pan Żeran. To człowiek z jej świata, z nim każdy będzie się liczył, czy to lekarze w „domu zdrowia", czy młody pan Narzymski. Z lokajem nikt nie zechce rozmawiać, a stryj Meli po prostu wyrzuci go za drzwi.
— Wiesz co, Zelio — poskarżyła się w domu. — Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Pan Żeran był tuż, a teraz znowu jest daleko. Wyjechał w podróż i nie wiadomo, kiedy wróci. I w dalszym ciągu nie mam adresu, o który nam tak chodziło.
— Ciągle czymś się dręczysz — stwierdziła Zelia bez odrobiny

współczucia. — Pora, byś się nauczyła cierpliwości. Wszystko przyjdzie we właściwym czasie. Żeran też się znajdzie.
— A tymczasem matka Meli...
— Czekałyśmy dotąd, poczekamy jeszcze trochę. A właściwie, dlaczego nie chcesz poprosić o pomoc Hiszpana?
— Doprawdy, Zelio, nie rozumiem...
— Myślę, że wywiązałby się z zadania równie dobrze, jak ów nieuchwytny Żeran — prychnęła Zelia i aby położyć kres niepotrzebnej w jej mniemaniu rozmowie, wyszła do kuchni.
Róża została z nową porcją obaw i niepewności, ale z tym — niestety — musiała już uporać się sama.

•

,

¦
¦

VI
— Panno Różo! Panno Różo! — głos pani Carette był zdyszany i lekko drżał.
Róża obejrzała się, a widząc nadchodzącą, pospieszyła jej na spotkanie.
— Właśnie szłam do pani — pani Carette oddychała szybko. — Chciałam panią zaprosić na wieczór. Dziś poniedziałek — dodała wyjaśniająco — cesarzowa Eugenia ma gości i ja jestem wolna. Przyjdzie pani? Prosto ze szwalni, dobrze? Zrobi mi pani prawdziwą przyjemność.
Róża rada była z zaproszenia. Co prawda Zelia niezbyt lubiła, gdy dziewczyna wracała nieco później. Zawsze była o nią niespokojna.

— Wieczorem włóczą się po mieście podejrzane figury — mówiła. — Porządni ludzie o tej porze siedzą w domu.
— Nie zabawię długo — zapewniła Róża, gdy wychodziła po obiedzie. — Lubię panią Carette, jest dla mnie taka życzliwa i nie zapominaj, że to dzięki niej dostałam pracę w Tuileriach.
— Obeszłoby się bez protekcji, i tak poznano by się na tobie — mruknęła Zelia, ryglując za wychodzącą drzwi.
Popołudnie zbiegło nad stosem bielizny pościelowej. Pracowały nad nią wszystkie panny ze szwalni. Pani Benoit własnoręcznie skrajała najcieńsze holenderskie płótno. Na powłoczkach, na których spoczną Najjaśniejsze Głowy, wśród falban, riusz i koronek, pyszniła się białym wypukłym haftem cesarska korona. Taki sam haft zdobił nocne kaftaniki cesarzowej Eugenii.
Róża była zadowolona ze swego dzieła. Poskładała równiutko gotowe sztuki w szufladzie starej komody, po czym przed lustrem poprawiła włosy.
131
Pani Carette zajmowała dwa małe pokoiki w bocznym skrzydle pałacu, po drugiej stronie głównego trzonu, z widokiem na rzekę. Miała poza tym w mieście swoje pFywatne mieszkanie, ale tu była, jak to się mówi, „pod ręką", a i jej samej bliskość ta ułatwiała wykonywanie codziennych obowiązków.
Tego wieczoru pani Carette humor nie dopisywał i Róża od razu odgadła, że coś ją dręczy.
Rozmawiały o tym i o owym i dopiero gdy po kolacji pani domu podała herbatę, Róża poznała przyczynę zmartwienia.
— Ulżyło mi, jak się przed panią wyżaliłam, kochana panno Różo — pani Carette westchnęła i przysunęła gościowi anyżowe ciasteczka. — Nie mam prawa winić cesarzowej, zawsze okazywała mi wielkie względy. Dużo jej zawdzięczam, ale teraz, przyznaję...
— Droga pani — Róża sięgnęła po ciasteczko — jestem pewna, że cesarzowa Eugenia wysoko panią ceni. A to, że pani Lebreton...
— Pani Lebreton to bardzo dystyngowana osoba, przy tym siostra generała Bourbaki. No i jest protegowaną pani Pepy... Cóż, cesarzowa nie ^mie odmówić. Pani rozumie...

O tak, Róża rozumiała doskonale. Protekcja pani Pepy otwierała wszystkie drzwi. Nawet takie, nad którymi rozkładał skrzydła cesarski orzeł.
Pani Carette należało naturalnie okazać współczucie i wylać nieco pociechy na jej zbolałe serce. Zaangażowanie przez cesarzową Eugenię drugiej lektorki mogło oznaczać tylko jedno: usługi pani Carette przestały wystarczać i zadowalać koronowaną chlebo-dawczynię. Przypuszczalnie zadecydował o tym ostry głos pani Pepy, która w potwornej francuszczyźnie wydawała zazwyczaj nader osobiste i arbitralne sądy.
— Odczuje pani ulgę — powiedziała Róża po chwili. — Praca lektorki jest męcząca.
— Wydawało mi się, że darzy mnie przyjaźnią — pani Carette dalej snuła swoje żale. — A tu taki despekt!
— Żaden despekt — pospieszyła z pociechą Róża. — Po prostu chce pani ulżyć.
— O nie, chce dogodzić Pepie. To jasne. A ja myślałam, że mnie lubi. Nieraz rozmawiałyśmy... sądziłam, że jestem jej potrzebna nie tylko jako lektorka, że zawiązała się między nami pewna zażyłość. Ja... wiele bym dla niej zrobiła. Chyba ją kochałam...
— Doprawdy, nie powinna pani tak brać tego do serca. Cesarzowa Eugenia z pewnością nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo pani to odczuła.
Pani Carette trzęsła z powątpiewaniem głową.
— Dużo dla mnie zrobiła, to prawda. Obsypywała mnie prezentami. Winnam jej wdzięczność. Nigdy nie powiem na nią złego słowa, tylko przed panią... Nie chciałabym wtajemniczać moich krewnych. Nie mam własnych funduszów, mogliby się obawiać...
Róża z ciężkim sercem opuszczała mieszkanko pani Carette w Tuileriach. Żal jej było niemłodej już lektorki, żal cesarzowej Eugenii, która przez własną słabość krzywdziła tak jej oddaną osobę.
Gdy znalazła się na głównym dziedzińcu, porywisty podmuch wichru z taką siłą uderzył ją w twarz, że musiała odwrócić się i przystanąć. Była akurat przy bocznym wejściu do pałacu. Wiedziała, że te drzwi prowadzą do prywatnych apartamentów cesarza i nikt inny ich nie używa. Gdy je mijała, drzwi otworzyły się i choć na dworze było ciemno, w oświetlonym wnętrzu wyraźnie ujrzała Napoleona Trzeciego. Cesarz osobiście wypuszczał gościa.
— Raz jeszcze panu dziękuję — posłyszała.

Gość odpowiedział coś stłumionym głosem i szybko się oddalił. Nie zdążyła zauważyć jego twarzy, zresztą było ciemno, ale postać i chód wydały się jej znajome.
Gdy wyszła na ulicę, sprzed bramy ruszał powóz, a wiatr dął z taką mocą, że aby nie upaść, chwyciła się muru.
Miguela Toreno zobaczyła dopiero po kilku dniach, ale nie mogła zamienić z nim ani słowa, gdyż nie był sam.
Spotkała go na schodach, gdy szła już do domu, a on właśnie wchodził w towarzystwie pani Pepy, intendentki cesarzowej Eugenii.
Lokaj ukłonił się, pani Pepa skrzywiła wąskie wargi. Rozmawia-

li z ożywieniem, naturalnie po hiszpańsku, a pani Pepa wyraźnie była zachwycona towarzystwem.
Róża szybko zbiegła na dół i jeszcze na dziedzińcu słyszała skrzekliwy śmiech starej Hiszpanki.
Pani Pepa była obok generała Rollina drugim postrachem Tuileriów, i jeżeli cesarzowa Eugenia trzęsła dworem, pani Pepa trzęsła cesarzową Eugenią.
Może się to wydać dziwne, że kobieta tak samodzielna, a nawet samowolna, jak dawna panna de Montijo, wyniesiona na pierwszy tron w Europie, od której uśmiechu czy zmarszczenia brwi zależał humor dworu, była posłuszną niewolnicą, nieledwie igraszką w rękach prostej chłopki, zwykłej sługi, oddanej i wiernej na swój sposób, lecz chciwej, samolubnej i po hiszpańsku okrutnej.
Pepa była jedną ze służących hrabiny de Montijo, matki przyszłej cesarzowej. Brzydka, chuda, drobna, czarnowłosa, o ciemnej cerze i świdrujących oczach miała oschłe serce i nie lada jaki sprvt.
Na początku swojej „kariery", jak każda służąca, w skromnym czepku i w fartuchu chodziła z koszykiem na targ, jadała w kuchni i nic nie zapowiadało jej przyszłego wyniesienia.
Widząc urodę panienki nie wątpiła, że królewicz z bajki nie da na siebie długo czekać. Podsycała też te nadzieje i w ten sposób zrodziła się pewnego rodzaju zażyłość między panną de Montijo a Pepą.
Gdy spełniły się przepowiednie sługi, panienka, przestąpiwszy progi Tuileriów, zapragnęła mieć Pepę przy sobie. I tak Pepa awansowała na pierwszą pokojową Jej Cesarskiej Mości.

Wkrótce dała się wszystkim poznać z jak najgorszej strony, jedynie cesarzowa Eugenia była ślepa na jej przywary. Nie powzięła żadnej decyzji nie naradziwszy się wprzód z Pepą, a gdy cesarz — widząc fatalny wpływ sługi na panią — zapragnął pozbyć się jej z pałacu, burza, jaka wówczas wybuchła, godna była o wiele poważniejszej przyczyny. Pepa dobrze dbała o swoje interesy. Skąpa dla drugich, gromadziła, ile się dało. Ta subretka, pasująca raczej na szarą eminencję pałacowych kulis, zebrała na swojej drodze jedynie nienawiść, lęk i pogardę. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że skutecznie oddaliła od swojej pani wszelką ludzką przychylność i sympatię, że

zabiła w zarodku przywiązanie i miłość, jakie dawna panna de Montijo potrafiłaby wzbudzić do swojej osoby. Ona sprawiła, że cesarzowa Eugenia przeszła przez życie otoczona tłumem dworzan i wielbicieli, a mimo to samotna, bez jednej prawdziwie oddanej istoty, zachowując zimne serce, które Pepa chroniła nawet przed zbyt gorącymi — w jej mniemaniu — objawami zwykłej matczynej czułości.

O tak, bo wszelkie tkliwe uczucia obce były Pepie, gardziła nimi, jako niegodną słabością.

Wkrótce pierwsza pokojowa, coraz pewniejsza siebie, zapragnęła wyższego urzędu na dworze i cesarzowa Eugenia, nie potrafiąca niczego odmówić ulubienicy, podniosła jej funkcje do rangi intendentki. Odtąd więc Pepa objęła zarząd nad osobistą dotacją cesarzowej i choć niepiśmienna doskonale wywiązywała się ze swej roli: umiała liczyć, potrafiła także wyciągnąć dla siebie nie lada korzyści.

Wielkie musiały być zalety nowej intendentki, bo mimo że brzydka i niemłoda, znalazła sobie męża jak się patrzy. Romans ten wzbudził zrozumiałe zdumienie wśród mieszkańców Tuileriów, którzy daremnie zadawali sobie pytanie, jak ta godna para doszła do porozumienia. Ale to już pozostało na wieczne czasy tajemnicą.

Wybraniec był podoficerem gwardii i nazywał się Pollet, a na formalne życzenie cesarzowej Eugenii awansowano go do rangi podporucznika. Od dnia ślubu zaszczyty i awanse spadały na szczęśliwego małżonka Pepy niczym wiosenna ulewa. Nie wystarczyły mu już podporucznikowskie epolety, mierzył teraz dużo wyżej. Żaden więc oficer we francuskiej armii nie awansował tak szybko i tak skutecznie, jak pan Pollet, który w krótkim czasie przeskoczył wszystkie szczeble

wojskowej drabiny i doczekał się upragnionej nominacji na pułkownika woltyżerów gwardii.
Wówczas to pani pułkownikowa Pollet pokazała, co potrafi. Próżno cesarzowa Eugenia, mówiąc o niej, dodawała: „Moja biedna Pepa". Wzruszano po kryjomu ramionami na takie bezsensowne gadanie, zżymając się na bezczelność starej Hiszpanki, przechodzącą już wszelkie dozwolone granice.
Pewnego dnia Pepa zapragnęła wziąć udział w balu, który miał się wkrótce odbyć w Tuileriach. Cesarzowa Eugenia, wbrew zdro-

wemu rozsądkowi, jak zwykle pospieszyła spełnić to życzenie. Na kilka więc dni przed balem zaczepiła młodego pana de Caux:
— Oczekuję od pana przysługi, drogi przyjacielu — powiedziała z uśmiechem. — Moja biedna Pepa będzie na balu i proszę, by pan służył jej ramieniem i wprowadził ją na salony.
Pan de Caux nie wierzył własnym uszom i cesarzowa musiała powtórzyć swoje życzenie. Młody człowiek odmówił, czym naraził się na długotrwałe dąsy i gniew Jej Cesarskiej Mości.
Ponieważ nie znalazł się żaden „kawaler" dla Pepy, intendentka zjawiła się na balu wsparta na ramieniu generała Rollin.
Cała ta sprawa wywołała swego rodzaju skandal na dworze i w dyplomatycznym świecie, a gdy cesarz poskarżył się pewnego dnia przed generałem Lepie na zuchwałość bezczelnej sługi, stary przyjaciel odpowiedział szczerze:
— Sire, w czasach gdy królowie poślubiają pasterki, nie powinni dziwić się sabotom, jeśli się na nie natkną w swoim domu.
Cesarz szarpnął wąsa, ale nie obraził się na wiernego druha. W duchu przyznał mu rację.
Osoby znające cesarzową Eugenię nie mogły się nadziwić jej zaślepieniu.
— Jak można rzucać takie kalumnie na moją biedną Pepę! — to była zwykła śpiewka dawnej panny de Montijo w razie, nie daj Boże, jakiej skargi. — Jeśli chce pan, żebyśmy pozostali przyjaciółmi — dodawała zazwyczaj ze smutnym uśmiechem — proszę nigdy nic złego na nią nie mówić.
Któż mógł się oprzeć takim nakazom, któż pragnął własnowolnie pozbawić się łaskawej przychylności?

A tymczasem, jako strażniczka szkatuły, „biedna Pepa" dobrze dała się we znaki dostawcom oraz tym wszystkim, których łączyły z cesarzową Eugenią finansowe interesy.
Przez jej to ręce szły zamówienia dla krawców, szewców i mody-stek, a do każdego wyciągała chciwe palce po „prezenty", wyznaczając pewną sumę, jaka za tytuł „dostawcy Jej Cesarskiej Mości" należała się intendentce.
Artystów Pepa traktowała niczym najpodlejszy gatunek służby, targując się z nimi w paskudnej francuszczyźnie, rada upokorzyć tych, którzy w jej mniemaniu za bardzo zadzierali nosa.
Wiele świetnych nazwisk figurowało w rachunkowej księdze

starej Hiszpanki, przy tym nie obchodził jej ani ich talent, ani sztuka — dla niej byli to wyłącznie „ludzie przychodzący po pieniądze", a więc coś w rodzaju żebraków. W stosunkach z nimi nie potrzebowała silić się na uprzejmość i chętnie dawała odczuć „pacykarzom" swoją władzę. W tych warunkach wiele znakomitości wolało zrezygnować z cesarskich zamówień.
„Biedna Pepa" ma nie lada spryt, a pieniądze potrafiłaby chyba wydusić z najtwardszej skały.
To ona miała pieczę nad garderobą swojej pani i także z tego tytułu ciągnęła niezłe zyski. Wszystko to, czego nie nosiła już cesarzowa Eugenia — z wyjątkiem cennych futer i biżuterii — stawało się łupem Pepy, która miała prawo dysponować tą olbrzymią masą sukien, okryć i toalet. Były to rzeczy piękne, pochodzące z naj wytworniej szych magazynów, w doskonałym stanie, które jeszcze długo nadawały się do noszenia.
Pepa wpadła więc na pomysł, by te stosy garderoby służyły innym klientkom, może nie z tak wielkiego świata, dostatecznie jednak wykwintnym, a co najważniejsze — nie za bardzo liczącym się z groszem.
W położonym na najwyższym piętrze pawilonu Flory apartamencie intendentki odbywała się więc regularnie swego rodzaju giełda, a raczej wyprzedaż strojów, na której spotykały się damy z największego świata z damami z półświatka, jednym słowem wszystkie kobiety spragnione pięknych toalet za względnie niską cenę.

Przedstawicielki starej arystokracji, która pogardziła splendorem cesarstwa, także bywały u pani Pollet. Zjawiały się zazwyczaj wieczorem, z gęstą woalką na twarzy, kryjącą ironiczny uśmiech. Im również dogadzało nabyć za sześćset franków to, za co „par-weniuszka" zapłaciła cztery tysiące, a przy okazji mogły sobie pozwolić na pogardliwe uwagi o „dworze uzurpatora".
Nagła śmierć pułkownika Pollet, stając się katastrofą dla Pepy, przed rodziną zmarłego otworzyła olśniewające perspektywy.
Byli to normandzcy chłopi, skąpi i zaborczy, którzy od dawna ostrzyli zęby na schedę po znakomitym krewniaku.
Pepa wpadła w istną furię, aż cesarzowa Eugenia musiała użyć swoich wpływów, by nie dać jej oskubać chciwym spadkobiercom męża.
Obarczyła tą sprawą notariusza, pana Mocąuart, który, owszem, uratował Pepę od ruiny, ale gdy po raz setny

usłyszał, jak cesarzowa Eugenia użala się nad losem swojej in-tendentki, mówiąc o niej jak zwykle „moja biedna Pepa", nie wytrzymał i zauważył cierpko:
— Nie taka znowu biedna, Madame. Pani Pollet ma w Banku Francuskim prawie dwa miliony, nie licząc zdeponowanej tam biżuterii, której wartość sięga ośmiuset tysięcy franków.
Miguel Toreno ciągle był niewidzialny, a tymczasem Róża ułożyła cały plan działania. Postanowiła udać się do mieszkania pana Żerana i u służącego zostawić list. Z pewnością dostarczano podróżującemu pocztę, która przychodziła pod jego paryskim adresem, a lokaj musiał otrzymać odpowiednie instrukcje.
Zelia uznała ten pomysł za dobry i ofiarowała się być posłańcem.
— Cóż stąd — narzekała Róża — kiedy Hiszpan nieuchwytny! Nadszedł jednak dzień, kiedy Hiszpan się odnalazł. Może nie zbliżyłby się do Róży, gdyby dziewczyna nie zachęciła go spojrzeniem. Spotkali się na ulicy Rivoli, gdy Róża spieszyła na obiad.
— Zapomniał pan dać mi adres pana Żerana — powiedziała z wyrzutem.
— Pan Żeran jeszcze nie wrócił — odparł śmiało.
— To nic. Chcę zostawić u niego list. Służący z pewnością przesyła mu pocztę.

— Dobra myśl — pochwalił. — Proszę przygotować pismo, a ja doręczę.
— Po cóż ma się pan fatygować? Wystarczy adres.
— Nie, nie — zaprotestował. — Sam to załatwię. Ten służący...
— Och, Zelia zaniesie list.
— Powiadam pani, że ten służący to Hiszpan.
— Tym lepiej. Po pańskiej wizycie Zelia zmieniła zdanie o Hiszpanach. Teraz nie ma wprost dla nich słów pochwały.
— Bardzo mi to pochlebia — skłonił się, a jego uśmiech wprawił Różę w zakłopotanie. — Wolałbym jednak, gdyby pani mnie wręczyła ten list.
— Słowo „mnie" powiedział z naciskiem.
— Jak pan chce — odparła niepewnie, niezadowolona z takiego obrotu rozmowy.
138
Nazajutrz przyszedł po list.
Róża napisała krótko. Wyjaśniła, kim jest, pytała, czy pana Ryszarda Żerana łączy pokrewieństwo z Zygmuntem. Prosiła też o wiadomości o Dziadusiowym przyjacielu. O talerzu chwilowo nie wspominała.
Na odpowiedź trzeba było poczekać, gdyż adresat podróżował.
Upragniony list nadszedł dopiero w przeddzień imienin Dziadu-sia. Róża poczytała to za dobry znak.
Gdy Miguel Toreno zjawił się w pracowni, wiedziała od razu, z czym przychodzi. Obawiała się podnieść na niego wzrok, by nie odgadł, jak bardzo jej zależało na tej wiadomości.
— Służący pana Zerana dostał list — Hiszpan zbliżył się do pochylonej nad tamborkiem dziewczyny i położył pismo na stoliku.
Nie miała nawet siły podziękować. Skinęła tylko głową, a on — rozumiejąc widać jej wzruszenie — dyskretnie wyszedł z pracowni.
Odpowiedź pana Żerana była równie krótka jak jej list. Autor przyznawał się do pokrewieństwa z Zygmuntem, nie precyzując jednak bliżej związku krwi, jaki łączył go z Dziadusiowym przyjacielem. O Zygmuncie napisał tylko, że nie żyje. Po powrocie do Paryża obiecywał stawić się na ulicy Świętego Rocha, by osobiście zapewnić adresatkę o swoim szacunku i o radości, jaką sprawił mu jej list. O dacie jednak powrotu nie wspominał. Przepraszał, że nie pisze pod jej adresem — nadarzyła mu się niespodziewana okazja przesłania listów do Paryża. Oddawca miał odnieść je wszystkie do jego mieszkania.

Róża odczytała list trzy razy, po czym złożyła papier i wstała. Nie potrafi dziś skupić uwagi na hafcie. Musi iść do domu i wy-wnętrzyć się przed Zelią z różnorodności wrażeń.
Pan Żeran zdecydowanie ją rozczarował.
— A cóż ty myślałaś? — ofuknęła ją Zelia, gdy wzburzona podzieliła się z nią zawodem. — On też jest ostrożny. Bada teren. Podobnie jak ty. Przypomnij sobie, co do niego napisałaś. — A po chwili dodała wzdychając: — Widać nie obejdzie się bez talerza.
— Mówiłam ci przecież. Talerz jest najważniejszy. Zelia trzęsła głową z powątpiewaniem.
— Gdy zobaczy talerz Dziadusia...

— I pokaże nam swój — przerwała porywczo Zelia. — My też chcemy mieć pewność.
Chwilowo list pana Żerana niczego nie wyjaśniał. Ryszard Żeran mógł być jednym z krewnych Zygmunta, wcale nie tym, którego oczekiwała, i może nie słyszał nawet o talerzu.
Miguel Toreno spodziewał się widać jakichś z jej strony wynurzeń. Spotkała go kilkakrotnie i za każdym razem wydawało jej się, że pilnie ją obserwuje. Był jak zwykle uprzejmy i uważający, to prawda, i nigdy nie pozwolił sobie na taką niedelikatność, jak zapytanie wręcz, czy pan Żeran okazał się poszukiwanym przez nią przyjacielem. Była mu za to wdzięczna. W ogóle niczego nie mogła mu zarzucić, a to, że się jej przyglądał, było przypuszczalnie grą jej wyczulonej wyobraźni. Należało cierpliwie czekać na powrót podróżnika i na zapowiedzianą wizytę. Ona dopiero położy kres domysłom i niepewności.
— Nawet jeśli nie jest tym od talerza — powiedziała raz Zelia, jak gdyby przenikając jej myśli — może będzie na tyle przyzwoity, że zajmie się sprawami Meli.
— O tak — podchwyciła skwapliwie Róża. — Jeśli jest krewnym Zygmunta, z pewnością nie odmówi.
Więcej o tym nie mówiły, ale Róża nie przestawała myśleć o przebywającym gdzieś na dalekim świecie rodaku. Godziny spędzane nad tamborkiem nie dłużyły się teraz jak dawniej. Wypełniały je przewidywania i nadzieje, dzięki nim nie odczuwała już tak boleśnie sierocej bezradności.

Tak się szczęśliwie złożyło, że pierwsza komunia Lulu i Antosia wypadła ósmego maja, w dzień świętego Stanisława, patrona Polski. W tym zbiegu okoliczności Róża upatrywała nieledwie Dziadusio-wej interwencji zza grobu.
Uroczystość odbyła się w kaplicy tuileryjskiego pałacu, a chłopców przygotowywał do niej przez ostatni rok ksiądz Deguerry, proboszcz Świętej Magdaleny, niegdyś oficer, który zrzucił mundur, by przywdziać sutannę.
Ceremonia miała charakter prywatny i rodzinny, niemniej Kościół

okrył ją splendorem, jaki należy się w tej podniosłej chwili każdemu dziecku, nie tylko następcy cesarskiego tronu.
Purpura i fiolety zapełniły stalle i klęczniki, a złotousty biskup Orleanu — widząc zalaną łzami twarz cesarzowej Eugenii — skierował do niej następujące życzenie: „Oby nigdy inne łzy, jak te czyste łzy wzruszenia, nie zmąciły, Pani, Twoich oczu".
Dzień ten zakończył jak gdyby dzieciństwo „cesarskiego księcia". Panią admirałową Bruat, główną dotychczas wychowawczynię chłopca, zastąpił generał Frossard, wybrany przez cesarza na odpowiedzialne stanowisko guwernera.
Profesorowie paryskiego uniwersytetu mieli odtąd kierować wykształceniem następcy tronu, a sympatyczny pan Filon, który od razu pozyskał serce Lulu, czuwał nad starannym odrabianiem zadanych lekcji.
Życie chłopca uległo teraz zasadniczej zmianie, wchodząc niejako w nową fazę przedwczesnej dojrzałości. Z cichego apartamentu odległego skrzydła pałacu, z prywatnej i domowej egzystencji przenosiło się na publiczny plac wielkiej polityki Drugiego Cesarstwa.
Nie stało się to jednak nagle. Już od paru lat powoli wdrażano „cesarskiego księcia" w jego przyszłe obowiązki.
Przypadająca w tysiąc osiemset sześćdziesiątym szóstym roku rocznica wcielenia Lotaryngii do Francji była okazją do pierwszej politycznej podróży następcy tronu, który reprezentował cesarza podczas uroczystości w Nancy.
Chłopcu towarzyszyła matka, a udekorowana na tę uroczystość stolica Lotaryngii przypominała wypadki sprzed stu lat, gdy wraz ze śmiercią „dobrego króla Stanisława" prowincja ta związała się już nierozerwalnie z Francją.

Tuż przed pierwszą komunią książę zwiedził dwa porty wojenne, Cherbourg i Brest, podróż tę odbył z generałem Frossard, przyszłym wychowawcą, który przy okazji poznawał charakter pupila, a Lulu oswajał się z człowiekiem, mającym otrzymać nad nim nieledwie ojcowską władzę.
Dla cesarza ten przełomowy moment w życiu syna, gdy tak doroślał przed czasem pod nieubłaganym nakazem wysokiej pozycji, skracającej szczęśliwe dzieciństwo, był ciężkim przejściem.
Niepokój o przyszłość Francji, a więc i losy dziedzica korony,

potęgował smutek wspomnień, bo wspomnienia Napoleona III z własnego dzieciństwa były raczej smutne.
W tych tak bardzo odległych latach jedna tylko osoba darzyła go tym, co niezbędne dla dziecka, a więc miłością, a była to matka. Tylko przy niej czuł się szczęśliwy i bezpieczny, zawsze było mu z nią dobrze. Z ojcem — różnie bywało. W ojcu tkwiła niewytłumaczona wrogość, a przyczynę owej ledwie maskowanej niechęci zrozumiał o wiele później, gdy dorósł. Rodzice stali na przeciwległych jak gdyby biegunach, rozdzieleni wzajemnym chłodem. W tym układzie o miłości małżeńskiej nie było co i marzyć. Nic zresztą dziwnego. Połączyło ich nie uczucie, nie namiętność czy nawet interes, lecz żelazna wola człowieka rządzącego światem, nie licząca się z wolą tych, którzy mu w jakiś sposób podlegali.
Ludwika Bonaparte, młodszego brata Napoleona, i Hortensji de Beauharnais, pasierbicy cesarza, nie pytano, czy chcą, czy mają „wolną, nieprzymuszoną wolę". Pożeniono ich, bo tak pragnął ten, którego wszyscy słuchali, wyczekując za swe posłuszeństwo łask i przywilejów. Ludwik uczynił to raczej dla „świętego spokoju", tak przynajmniej tłumaczył później swój krok.
Nie tylko zresztą zgodził się na nienawistne mu małżeństwo, wymuszono jeszcze na nim, by przyjął koronę Holandii. Posłusznie więc pozwolił się wciągnąć w orbitę politycznych planów wielkiego brata, co jednak nie przyniosło mu szczęścia, a doprowadziło jedynie do niechlubnej abdykacji.
Po upadku cesarza we wszystkich uzdrowiskach Europy próżno szukał lekarstwa tak na prawdziwe, jak i na urojone dolegliwości, ciągnąc wszędzie za sobą nudę, rozczarowanie i brak nadziei.
Nie lepszy był los królowej Hortensji.

Dziewiętnastoletnią dziewczynę wydano za niemiłego jej mężczyznę, każąc dzielić z nim „stół i łoże" — jak wówczas mówiono, a potem i tron Holandii. Dopiero po abdykacji Ludwika, Napoleon pozwolił jej usunąć się z małżeńskiego życia i nareszcie pokierować własną egzystencją według własnej woli.
To tak niedobrane stadło wydało jednak na świat trzech synów, z których przyszły Napoleon III był najmłodszy.
Dwaj starsi cieszyli się miłością i wszelkimi względami ojca. Pierworodny, Napoleon Karol, żył krótko, bo tylko pięć lat.

Urodził się w Paryżu, jako syn skromnego generała dywizji, umarł w Hadze już jako przypuszczalny następca holenderskiego tronu, a w przyszłości może i dziedzic cesarstwa, z braku potomstwa wielkiego stryja.
Niestety, choć przeznaczono chłopca do tak wysokich godności, krup nie patrzył, kogo zabiera, atakując tchawicę królewskiego dziecka z taką samą zaciekłością, jak czynił to z dzieckiem naj-nędzniejszego z poddanych.
Odtąd cała nadzieja króla Ludwika skupiła się na średnim synu, Napoleonie Ludwiku.
Był to pierwszy z Bonapartych zapisany w państwowych rejestrach jako „książę Francji". Chrztu udzielił mu sam papież Pius VII, a cesarz Napoleon i pani Letycja, matka rodu, trzymali go nad chrzcielnicą.
Gdy malec miał pięć lat, stryj nadał mu tytuł „wielkiego księcia Bergu i Klewii", a w rok później, po abdykacji Ludwika, Holendrzy w chłopcu uznali swego króla.
Takie rozwiązanie nie było jednak po myśli cesarza. Matka re-gentka i obaj synowie musieli zjechać do Paryża. Pozostali tam do końca napoleońskiej epopei.
Dla chłopców były to może najszczęśliwsze lata. Niczego im nie brakowało. Otoczono ich zbytkiem, jaki przystoi królewskim dzieciom. Hortensji wyznaczono na mieszkanie pałacyk przy ulicy Cerutti oraz zamek Saint Leu w bliskości Paryża wraz z dotacją miliona franków rocznie. Na utrzymanie chłopców doliczono dodatkowo siedemset pięćdziesiąt tysięcy.

Chcąc odzyskać starszego syna, król Ludwik musiał zwrócić się do sądu. Trybunał przyznał mu wreszcie opiekę nad chłopcem i tak zakończyło się wspólne dzieciństwo obu braci.
Ojciec wywiózł Napoleona Ludwika do Rzymu.
Dorósłszy, książę zbliżył się do włoskich kół rewolucyjnych, przygotowujących powstanie przeciwko Austrii.
Potem ożeniono go z kuzynką i małżeństwo to na jakiś czas położyło kres politycznej działalności młodego człowieka, kierując jego zainteresowania ku mechanice. Do tych studiów predestynowały go zresztą wybitne zdolności.
Napoleon Ludwik niedługo jednak wytrwał w tak rozsądnych

zamiarach. Gdy tylko nadarzyła się sposobność, duch awanturniczy pchnął go do czynu.
Powstanie w Romanii, do którego pospieszył i najmłodszy syn byłego króla Ludwika, znowu zbliżyło obu braci rozdzielonych niezgodą rodziców.
Niestety, Napoleon Ludwik — nadzieja rodu Bonapartych — nie doznał nawet zaszczytu, by paść na polu walki jak bohater, zginąć za słuszną i szlachetną sprawę. Oto najzwyczajniej umarł w łóżku, nabawiwszy się spóźnionej, a złośliwej odry.
Król Ludwik stracił więc wszystko to, co stanowi o szczęściu człowieka na tej ziemi: żonę, synów, koronę, a ponieważ, opuściwszy Holandię wbrew woli cesarza, udał się do Austrii, utracił więc i życzliwość możnego brata.
Napoleon III, wspominając te odległe lata dzieciństwa i młodości, ze współczuciem myśli o tym ojcu, którego właściwie prawie nie znał. Dlaczego? Przecież on i Lulu...
Spojrzenie cesarza dotyka jasnej głowy syna. Jaki poważny! I jaki smutny! Znowu boleśnie uderza ojca smutek tej dziecinnej twarzy. Nawet dziś, w takim dniu... Czy to przeczucie? Czego?
Cichną ostatnie tony „Te Deum". To chłopięcy chór z Sainte Chapelle uświetnia uroczystość.
Cesarzowa Eugenia podnosi się z klęcznika. Czerwona poduszka ze złotą frędzlą dłuższą chwilę zatrzymuje odcisk jej kolan.
Cesarz patrzy na żonę. Ciągle piękna, Eugenia de Montijo, jasnowłosa Hiszpanka o urodzie greckiego posągu.

Czuje się winny wobec niej. Zawiódł jej nadzieje. Nie zawsze był wiernym mężem. Kiedyś chciała nawet opuścić go. Ledwie ją wówczas ubłagał. Żeby ją zatrzymać, potrzebował nie tylko żaru zakochanego mężczyzny, ale i autorytetu władcy. Przebaczyła. A teraz Lulu... To chyba najważniejsze. Najmocniejsza więź między nimi. Nigdy nie może być zerwana, tylko śmierć...
Biskup od ołtarza udziela ostatniego błogosławieństwa. „Ite, missa est". Obecni wstają.
Cesarz otacza syna ramieniem i mocno przytula go do piersi.
Lulu podnosi wzrok na ojca.
Chyba wszystko rozumie — myśli cesarz. — Kocha mnie przecież i wie, czym jest dla mnie.
10 — Talerz z Napoleonem
145
Gdzieś około połowy czerwca straszny skandal zatrząsł Paryżem. Oto policja wykryła niewiarygodny wprost a zbrodniczy proceder zamykania w tak zwanym „domu zdrowia" osób określanych mianem „szaleńców", a w rzeczywistości zupełnie zdrowych na umyśle.
Na zachodnim krańcu Paryża, gdzie dawne bramy Maillot, Auteuil czy Passy wyznaczały niegdyś granice stolicy, przybierając nazwy podmiejskich wiosek, w ustronnych pałacykach, zagłębionych w gąszczu starych parków, zagnieździło się wiele tych szpitalnych instytucji, przeznaczonych wyłącznie dla majętnej klienteli.
Wyjątkiem jest naturalnie położony przy ulicy Berton zakład doktora Blanche'a, słynnego specjalisty chorób nerwowych, który od przeszło dwudziestu lat cieszy się nie tylko zasłużoną sławą, ale szacunkiem i zaufaniem licznych pacjentów.
Auteuil, Neuilly, Passy, do niedawna samodzielne podparyskie okolice, połączyły Lasek Buloński ze stolicą Francji, czyniąc z niego jak gdyby jeszcze jeden wielki park miejski ku uciesze i rozrywce pieszych czy konnych spacerowiczów.
Auteuil mimo miejskiej teraz przynależności uprawia jeszcze winnice, a jego wino ma wysoką ocenę u smakoszów.
Już Molier i La Fontaine przyjeżdżali tu na letnisko, potem bywali tam Wolter i encyklopedyści. Wielkie damy do Auteuil jeździły na wilegiaturę. Stąd znaczna liczba willi i pałacyków, a obrzeżone wysokimi

murami ciche ulice po obu stronach kryją mniej lub bardziej romantyczne samotnie.
Tak samo i Passy, znana już w średniowieczu podparyska wioska. Gdy odkryto tam żelaziste źródła i postawiono łazienki, lecznicze kąpiele ściągnęły do Passy kuracjuszów z całego Paryża.
Ustronne te miejsca oddalone od miejskiego gwaru, zatopione w ogrodach, ocienione starodrzewiem, zdawały się usposabiać raczej do idyllicznej zadumy niż do zbrodni.
A jednak właśnie tu, w tym rajskim nieledwie zakątku Auteuil przy ulicy des Fontis, za wysokim murem, z którego spływały błękitne grona glicynii i pachnące kiście kapryfolium znajdowało

się siedlisko niedoli, o której istnieniu nikomu nawet się nie śniło.
Tabliczka obok zamczystej bramy wśród festonów wiecznie zielonego bluszczu głosiła mosiężnymi literami: „Dom zdrowia doktora Lariviere".
W tym to leczniczym zakładzie między powierzonymi opiece kilku lekarzy pacjentami, obsługiwanymi przez milczących pielęgniarzy, wydarzył się tragiczny wypadek, który otworzył szczelnie dotąd zamknięte bramy „domu zdrowia" przed policją.
Dwie pensjonariuszki doktora Lariviere, matka i córka, obie dotknięte obłędem, mimo najściślejszego dozoru targnęły się na życie.
Przypadek ten tak przeraził służbę, że wejście komisarza policji na pilnie strzeżony teren „domu zdrowia" stało się nie tylko możliwe, ale i konieczne.
Wyszło wówczas na jaw, że dwie nieszczęśliwe ofiary próbowały kilkakrotnie ucieczki. Niestety, łatwiej chyba opuścić niepostrzeżenie więzienie La Force niż wydostać się z tego służącego poprawie zdrowia przybytku.
Śledztwo wydobyło na wierzch przerażające szczegóły z życia pacjentów. Rejestry doktora Lariviere, na których spoczęła ciężka dłoń Sprawiedliwości, zdradziły sekrety godne najbardziej ponurych zbrodni dawnych wieków.
Gazety skwapliwie podchwyciły drastyczny temat, komentując w nieskończoność nieludzkie warunki, w jakich trzymano pensjonariuszy, podkreślając przede wszystkim traktowanie jako szaleńców osób zdrowych, które dopiero pobyt w zakładzie doktora Lariviere wtrącał w otchłań obłędu.

Wywleczono na światło dzienne haniebne tajemnice niejednego tak zwanego wielkiego rodu, gdy to spadkobierca tracił cierpliwość w oczekiwaniu na schedę po ojcu czy po matce. Doktor Lariviere dyskretnie ofiarowywał wówczas pomoc, każąc sobie naturalnie słono płacić za tak ryzykowną przysługę.
Gdy Róża pierwszy raz posłyszała o sprawie, o której huczał cały Paryż, zdjęta paniką wyobraziła sobie matkę Meli przez jej, Róży, opieszałość poddaną okrutnemu losowi.
Po bezsennej nocy i naradzie z Zelią postanowiła zwrócić się do Miguela Toreno — pan Żeran ciągle podróżował — a nie wy-

jaśniona dotąd pozycja Meli nie pozwalała szukać pomocy u rodaków. Nie znała zresztą nikogo, komu mogłaby powierzyć nie swoją tajemnicę. Hrabia Walewski, do którego mogłaby się ewentualnie zwrócić, zamieszkał na wsi, usunąwszy się zupełnie z życia publicznego.
Przy najbliższym, przypadkowym jak zwykle spotkaniu, napomknęła lokajowi o przysłudze, jakiej od niego oczekiwała, i umówiła się z nim na następne popołudnie w swojej pracowni.
Miguel Toreno stawił się punktualnie, od progu badając wzrokiem zarumienione policzki dziewczyny. Róża gorączkowo układała w myśli zdania trudnej opowieści.
Hiszpan pierwszy wybawił ją z kłopotu.
— Potrzebuje pani pomocy — zaczął poważnie. — Jestem na rozkazy.
— Widzi pan — zawahała się — ta dziewczynka, która u mnie mieszka, to nie jest moja siostra, jak pan sądził. Znalazłam ją przed rokiem na cmentarzu. Umarł jej ojciec, a matka... — urwała niepewna.
Hiszpan słuchał uważnie ze spuszczonymi oczami, jak gdyby obawiał się, że jego wzrok powstrzyma wynurzenia młodej Polki.
— Jej matkę zamknięto w „domu zdrowia" — dokończyła prędko.
— Rozumiem — przytaknął. — Jest pani pod wrażeniem ostatniego skandalu. Nie ma jednak powodów do obaw. Klinika doktora Lariviere nie jest jedyną w Paryżu. Może tę panią oddano pod opiekę doktora Blanche'a? W takim razie nic jej nie grozi.
— Nie wiem, gdzie jest — wyrzuciła gwałtownie. — Właśnie liczę na pana... Tylko... — znowu zawahała się.

— O co chodzi? — zapytał spokojnie, a nikły uśmiech, jaki błąkał się po jego wargach, zdawał się świadczyć, że lokaj domyśla się powodów strapienia.
— Proszę mnie źle nie zrozumieć — coraz trudniej było jej mówić. — Nie wiem doprawdy, jak lepiej...
— Co panią tak nęka? — spojrzał uważnie na dziewczynę. — Czy to... moja liberia?
— Pańska liberia — wybuchnęła, rada, że ma już za sobą to wstydliwe wyznanie.

— Nie jest do mnie przyrośnięta — zauważył łagodnie. — Muszę znać nazwisko tej pani — dodał innym tonem.
— Jadwiga Narzymska — wykrztusiła.
— Jadwiga... — urwał, a ciemny rumieniec opłynął śniade policzki.
— Zaraz panu napiszę, to trudne nazwisko.
Hiszpan odetchnął głęboko i wsunął kartkę do kieszeni.
— Do „domu zdrowia" oddał ją po śmierci męża jego brat — dorzuciła wyjaśniająco. — Nie wiem, czy panu się uda...
— Postaram się — odparł krótko.
— Mela obawia się stryja, dlatego uciekła, gdy matkę zabrano. Nie wie naturalnie, co z nią zrobiono. O tym, że jest w jakimś „domu zdrowia", dowiedziałam się od mojej znajomej rodaczki. Dawno już powinnam była... — zacisnęła z rozpaczą ręce.
— I stryj nie szukał małej?
— Właśnie to mnie zastanowiło. Nie zawiadomił policji. Trzykrotnie starał się siłą odzyskać dziecko. — Wzdrygnęła się. — Nasyłał bandytów... Doprawdy, jeżeli się panu powiedzie...
— Powiedzie się — uspokoił ją poważnie.
— Czekałam na powrót pana Żerana, ale, pan rozumie, dłużej nie mogę czekać. Obciąża to moje sumienie.
— Więc dobrze — dotknął kieszeni, gdzie spoczywała kartka z trudnym polskim nazwiskiem. — Dziś jeszcze wyruszę do Au-teuil.
— Mela jest bogata, bardzo bogata — Róża podniosła głowę. — Nie mam prawa ukrywać jej, pozbawiać dziedzictwa. Mieszkała w pałacyku w alei Cesarzowej, a teraz u mnie... co ma?
— Opiekę i serce. To chyba ważniejsze niż złoto.

— Kocha mnie, wiem, a ja i mój brat... Przywiązałam się do niej. Z początku rozpaczała, obiecałam, że odszukam mamusię. I nic nie zrobiłam. Pani Narzymska z pewnością jest zdrowa. To ten brat męża... Zelia ma o nim jak najgorsze mniemanie.
— Pani Zelia jest bardzo mądra. Zobaczymy, co mi się uda załatwić. Niech się pani już tym nie trapi.
— Nie wątpię, że zostanie pan sowicie wynagrodzony — ogarnęło ją nagle niezrozumiałe zakłopotanie.
Zaśmiał się i postąpił ku drzwiom.
149
— Wiem, że będę wynagrodzony — powiedział lekko. — Liczę na to.
— Nie ma pan do mnie żalu? — nie śmiała na niego spojrzeć.
— Żalu? Za co?
— Za... no... za moją niedelikatność.
— Przeciwnie, jest pani bardzo delikatna. Ciągle stara się pani nie urazić mojej „hiszpańskiej dumy", jeśli można tak to określić. — Znowu zaśmiał się. — A teraz, jeżeli pani pozwoli, to już pójdę. Dziękuję za zaufanie.
— Panie Toreno... — zatrzymała go, przypomniawszy sobie 0 jeszcze jednej przeszkodzie. — W ciągu tych poszukiwań może pan mieć wydatki... Nie chciałabym pana narażać...
Zaśmiał się po raz trzeci, pokazując równe białe zęby.
— Dam sobie radę — powiedział kłaniając się. — My, służba, mamy swoje sposoby. — Wyglądał na rozbawionego. — Zresztą, ponieważ mam być wynagrodzony, wszystkie koszta wstawię do rachunku.
— O tak, tak — przytaknęła skwapliwie. — Koniecznie proszę wszystko zapisywać. Będę panu bardzo zobowiązana — dodała niepewnie.
— Nie ma za co — zauważył i spojrzał na nią wyczekująco, jak gdyby spodziewał się jakichś innych słów czy nawet gestu.
— Nie zatrzymuję pana — szepnęła, pochylając twarz nad tam-borkiem.
Wracała do domu nieco uspokojona, a jednocześnie — jak zawsze po rozmowie z nim — nierada z siebie. Chwilami pełna nadziei, że ten człowiek dokona, czego obiecywał, by zaraz popaść w zwątpienie, jak bowiem lokaj, pozbawiony przecież stosunków i koneksji, może odszukać ukrytą za murami groźnego „domu zdrowia"
1 pilnie strzeżoną kobietę.

— Uspokój się — powiedziała wieczorem Zelia. — Jestem pewna, że Hiszpan załatwi, co potrzeba.
— Takie masz do niego zaufanie? — zapytała z przekąsem.
— Mam — Zelia wydobyła z koszyka nową porcję pończoch i bielizny do cerowania.
Od tego dnia Róża zaczęła wyglądać wieści z jeszcze może większą niecierpliwością, niż oczekiwała tak niedawno odpowiedzi pana Żerana.

Lokaj znowu był niewidzialny. Raz tylko na dziedzińcu mignęła jej czarna głowa i czerwona kurtka lamowana srebrnym galonem, ale znajdował się zbyt daleko, by mogła zawołać.
Tydzień zaczął się źle.
W poniedziałek Zelię rozbolał ząb. We wtorek Mela rozdarła dobrą jeszcze sukienkę. We środę, gdy Róża wracała na obiad, pani Cordier z usłużnym uśmiechem podała jej list.
— Ktoś przyniósł — powiedziała zagadkowo. — Dla panienki.
— Kto? — Róża obracała w palcach zmiętoszoną kartkę zaklejoną opłatkiem.
— Nie wiem — dozorczyni wzruszyła ramionami. — Jakiś chłopiec.
— Co mówił?
— Nic. Że to dla pani.
— Dziękuję. — Róża weszła na schody, odczytując adres: panna Róża Ordęga, ulica Świętego Rocha...
— Co tam trzymasz? — Zelia wskazała kartkę.
— List. Do mnie. Ktoś zostawił u pani Cordier.
Okazało się, że autorem listu był pan Hutorowicz. Pisał, że od tygodnia choruje, że bardzo pragnąłby ją, Różę, zobaczyć. Przepraszał za kłopot i przypominał adres.
— Sama pójdę — oświadczyła Zelia. — Jeszcze dzisiaj. Przez ten czas Mela posiedzi u państwa Pommier.
— Ach, nie, Zelio — zaprotestowała Róża. — Pan Hutorowicz mnie przecież pragnie widzieć.
— Zaniosę mu obiad i zobaczę, co to za dom — upierała się Zelia. — Jeżeli przyzwoity, pójdziesz tam jutro.
— W takim razie chodźmy — zadecydowała Róża. — Po drodze uprzedzę panią Benoit.

Gdy za mostem zagłębiły się w długi, pnący się ku Wzgórzu Świętej Genowefy bulwar Świętego Michała, Róża doznała wrażenia, że weszły do innego miasta, tak tu wszystko było różne od świata, w którym żyły, między ulicą Świętego Rocha a Tuile-riami.
Tu panowała młodość i jakaś swawolna beztroska. Mijały grupki studentów, każdy z paczką książek, ściągniętych rzemykiem,

na ramieniu. Uśmiechnięte gryzetki w kokieteryjnych czapeczkach otaczały przenośny piecyk przekupnia kasztanów. Witryny księgarń wabiły spragnioną wiedzy młodzież, a z otwartych drzwi restauracji buchały zapachy nie zawsze wykwintriej, lecz smacznej i zdrowej kuchni.
Mieszkańcy Dzielnicy Łacińskiej ubierali się nawet inaczej. Pełni fantazji lubili gorszyć paryskich mieszczuchów. Bez względu na modę nosili wielkie czerwone berety zsunięte na ucho, kraciaste spodnie i fontaż pod szyją.
Przed kopulastą fasadą Sorbony kłębił się tłum studentów spieszących na wykłady, a gdy doszły do ulicy Soufflot, otworzyła się przed nimi perspektywa Panteonu.
Jest to sam szczyt dawnego Wzgórza Świętej Genowefy, a ulica Clovisa już blisko. Wystarczy minąć plac i oto między kościołem Świętego Szczepana a Liceum Henryka IV wąska szczelina obrzeżona z jednej strony resztką dawnych murów miejskich.
— Solidnie wówczas budowano — wzdycha Zelia, podziwiając grubość i wysokość tej kamiennej zapory, broniącej niegdyś Paryża przed najazdem wrogów.
— O tu, widzisz, numer piąty — Róża wskazuje drzwi, za którymi natykają się na dozorczynię w podartym czepku i w brudnej spódnicy.
— Czy tu mieszka pan Hutorowicz? — Zelia odgradza Różę od odrażającej baby.
— Polak? — Od dozór czyni bije zapach czosnku i kwaśnego wina. — Na samej górze — dodaje pogardliwie. — Z lewej strony.
Na samej górze, czyli na czwartym piętrze, zasapana Zelia usunęła się robiąc miejsce Róży na ciasnym podeście.
— Proszę — głos pana Hutorowicza odpowiadający na pukanie był schrypnięty.

Drzwi, nie zamknięte na klucz, wpuściły je do małej izdebki, gdzie oprócz żelaznego łóżka, stolika, krzesła, umywalki i kuferka nie było nic więcej. Zresztą na nic więcej nie starczyłoby miejsca.
Zelia, ulokowawszy Różę na jedynym krześle, zakrzątnęła się, by nakarmić chorego.
— Dlaczego tak późno mnie pan zawiadomił? — zgromiła Róża starego rodaka. — Czy był doktor?

na ramieniu. Uśmiechnięte gryzetki w kokieteryjnych czapeczkach otaczały przenośny piecyk przekupnia kasztanów. Witryny księgarń wabiły spragnioną wiedzy młodzież, a z otwartych drzwi restauracji buchały zapachy nie zawsze wykwintnej, lecz smacznej i zdrowej kuchni. Mieszkańcy Dzielnicy Łacińskiej ubierali się nawet inaczej. Pełni fantazji lubili gorszyć paryskich mieszczuchów. Bez względu na modę nosili wielkie czerwone berety zsunięte na ucho, kraciaste spodnie i fontaż pod szyją.
Przed kopulastą fasadą Sorbony kłębił się tłum studentów spieszących na wykłady, a gdy doszły do ulicy Soufflot, otworzyła się przed nimi perspektywa Panteonu.
Jest to sam szczyt dawnego Wzgórza Świętej Genowefy, a ulica Clovisa już blisko. Wystarczy minąć plac i oto między kościołem Świętego Szczepana a Liceum Henryka IV wąska szczelina obrzeżona z jednej strony resztką dawnych murów miejskich.
— Solidnie wówczas budowano — wzdycha Zelia, podziwiając grubość i wysokość tej kamiennej zapory, broniącej niegdyś Paryża przed najazdem wrogów.
1 — O tu, widzisz, numer piąty — Róża wskazuje drzwi, za którymi natykają się na dozorczynię w podartym czepku i w brudnej spódnicy.
— Czy tu mieszka pan Hutorowicz? — Zelia odgradza Różę od odrażającej baby.
— Polak? — Od dozorczyni bije zapach czosnku i kwaśnego wina.
— Na samej górze — dodaje pogardliwie. — Z lewej strony.
Na samej górze, czyli na czwartym piętrze, zasapana Zelia usunęła się robiąc miejsce Róży na ciasnym podeście.
— Proszę — głos pana Hutorowicza odpowiadający na pukanie był schrypnięty.

Drzwi, nie zamknięte na klucz, wpuściły je do małej izdebki, gdzie oprócz żelaznego łóżka, stolika, krzesła, umywalki i kuferka nie było nic więcej. Zresztą na nic więcej nie starczyłoby miejsca.
Zelia, ulokowawszy Różę na jedynym krześle, zakrzątnęła się, by nakarmić chorego.
— Dlaczego tak późno mnie pan zawiadomił? — zgromiła Róża starego rodaka. — Czy był doktor?

— Doktor niepotrzebny — zaprotestował pan Hutorowicz. — Czuję się już lepiej.
— Niedługo wracam — Zelia odstawiła pusty garnuszek i popatrzyła znacząco na Różę.
— Dobrze, idź. Chciał mnie pan widzieć — zwróciła się do chorego po wyjściu służącej. — Czy mam coś panu załatwić?
— O tak, bardzo bym prosił. W razie mojej śmierci trzeba natychmiast zabrać stąd kuferek. Tam są różne papiery...
— Dobrze — przyrzekła Róża. — Ale pan przecież niedługo wyzdrowieje.
— Nic nie wiadomo. — Uśmiech pana Hutorowicza był tak smutny, że Róża poczuła napływające do oczu łzy. — Pani pracuje w Tuileriach, prawda?
— Tak.
— Wobec tego to, o co chcę panią prosić, nie będzie zbyt uciążliwe — głos chorego przeszedł w szept. — Tę karteczkę — wyciągnął spod poduszki zmięty świstek — należałoby oddać pewnej osobie. To lokaj...
— Lokaj? — zdziwiła się.
— Tak, znajdzie go pani w pałacu. Nazywa się Miguel To reno.
— Zna go pan? — pochyliła się nad leżącym.
— Nie, ale muszę mu to doręczyć. Jak najprędzej. A że sam nie mogę...
— Doręczę mu — obiecała. — Być może jeszcze dzisiaj. Znam tego lokaja. To Hiszpan.
— Tym lepiej, tym lepiej — odetchnął jak gdyby z ulgą. — Więc w razie mojej śmierci proszę mu i ten kuferek... On już będzie wiedział, komu przekazać.

Pan Hutorowicz, zmęczony mówieniem, zamknął oczy. Wyglądał tak źle, że Róża przeraziła się. Niespokojna wyczekiwała powrotu Zelii, pewna, że z nią przyjdzie doktor.
Na Zelii można było polegać. Doktor osłuchał chorego, a jego stan określił jako bardzo poważny. Wypisał receptę i obiecał przyjść nazajutrz.
Pan Hutorowicz narzekał co prawda na niepotrzebne wydatki, Róża jednak serdeczną troskliwością rozwiała jego niepokoje.
— Dozorczyni przyjdzie rano i wieczorem — dorzuciła Zelia — a ja co dzień przyniosę obiad.

— Tyle kłopotu, tyle kłopotu — martwił się chory, ale widać było, jaką odczuł ulgę w tej swojej, jakże bliskiej nędzy, samotności.
Dozorczyni przy pożegnaniu okazała „damom" należny szacunek.
— Dałam babie dziesięć franków — powiedziała Zelia, gdy znalazły się na ulicy. — Przykazałam, by miała o chorego staranie.
Rozstały się przed bramą Tuileriów.
Róża spieszyła do pracowni, chcąc wreszcie zapoznać się z treścią intrygującej kartki. Nie miała żadnych skrupułów, kartka nie była zaklejona, a musiała dowiedzieć się, jaką wiadomość lokaj miał przekazać. Komu? — To pozostawało chwilowo tajemnicą.
Od razu poznała pismo pana Hutorowicza. Kartka była równie lakoniczna, jak otrzymany przez nią liścik.
„D. znowu w Paryżu. Widziałem go koło Panteonu. Chyba mnie nie poznał. Węszy jak dawniej. Proszę ostrzec, kogo należy".
Nie było podpisu. Najdziwniejsze jednak, że pan Hutorowicz użył polskiego języka. Kogo ostrzegał? I co z tym wspólnego miał Miguel Toreno?
Ponieważ sprawa była pilna, postanowiła niezwłocznie poszukać lokaja. Spotkana na schodach panna Regina ze szwalni powiedziała, że widziała Hiszpana na głównym dziedzińcu.
Róża pospieszyła wzdłuż złoconych sztachet zamykających cesarski ogórd. Miguel Toreno stał niedaleko bocznego wejścia do apartamentów Napoleona III i rozmawiał z oficerem w bogato szamerowanym mundurze.

Zatrzymała się, zdecydowana czekać do końca rozmowy. Wreszcie oficer skinął głową, lokaj skłonił się i coś wsunął do kieszeni szkarłatnego kabata.
— Panie Toreno! — zawołała półgłosem. Odwrócił się błyskawicznie.
— Proszę, niech pan przyjdzie do mojej pracowni — powiedziała prędko. — Czekam na pana.
Nie zamknęła za sobą drzwi, byle szybciej wszedł i odebrał powierzoną jej wiadomość.
— Odwiedziłam dziś pana Hutorowicza — odpowiedziała na jego pytające spojrzenie. — To stary znajomy mego Dziadusia. Jest chory i prosił, bym to panu oddała. — Wyciągnęła rękę z kartką. — Powiedział, że pan wie, komu to przekazać.

Rozwinął liścik i wpatrywał się w niezrozumiałe słowa.
— Tak, wiem — odparł krótko.
— Panie Toreno — zaczęła. — Co to znaczy?
— Rozumiem pani zdziwienie — patrzył prosto w jej oczy. — Ale w tej sprawie także powinna mi pani zaufać.
— Ufam panu, skąd jednak pan Hutorowicz...
— Nie znam pana Hutorowicza — przerwał.
— On też pana nie widział, choć zna pańskie nazwisko. Co pana z nim łączy?
— Z nim właściwie nic.
— To dlaczego prosił, by w razie jego śmierci pan zabrał kuferek z papierami?
— Gdzie mieszka pan Hutorowicz? — odpowiedział pytaniem.
— Za Panteonem, na ulicy Clovisa. Byłyśmy dziś u niego. Jest prawie w nędzy.
— W nędzy — powtórzył spuszczając oczy.
— I chory, a doktor, którego wezwała Zelia, nie ukrywa, że jego stan jest bardzo poważny.
— Proszę się już o niego nie martwić — powiedział miękko. — Załatwię, co trzeba. A teraz czas na mnie.
— Panie Toreno — zatrzymała go w progu i wyciągnęła rękę. Lokaj nie ośmielił się skorzystać z chwilowej słabości. I choć
popatrzył na pokłute igłą paluszki, potrząsnął głową i ujął klamkę. Znał swoje miejsce.

VII

— To czyste kpiny! — Zelia aż poczerwieniała ze złości. — Niosę w koszyku obiad: zupa jarzynowa, dwa plastry pieczeni, sałata... Wszystko dobrze opatulone, żeby nie wystygło. I co? Klatka pusta. Ptaszek wyleciał.

— Kto wyleciał? — Róża zdjęła kapelusz i poprawiła włosy. — 0 kim ty, Zelio, mówisz?

— O kimże, jak nie o tym starym hipokrycie, twoim rodaku.

— Masz na myśli pana Hutorowicza?

— A kogóż by, jak nie biednego, chorego pana Hutorowicza.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nie ma go.

— Nie ma?

— Nie ma. Wyjechał.

— Doprawdy, Zelio, nic z tego nie rozumiem.

— A czy sądzisz, że ja coś rozumiem? — Zelia wzruszyła ramionami. — Dozorczyni czekała na mnie i od razu mówi: „Nie ma Polaka, wyjechał". „Jak to wyjechał?" — pytam. A ona: „Zabrali go do karety, a jakże, dwóch lokai pomogło zejść ze schodów 1 jazda". „Co pani plecie — ja na to. — Jacy lokaje!", a ona: „Wiadomo, sługusy młodego pana". „Jakiego pana?" — krzyczę. „To prawdziwy pan — ona też krzyczy. — Ze służbą i z ekwi-pażem, a nie jakiś tam oszust". I patrzy na mnie tak, jak gdybym to ja była owym oszustem. Chcę lecieć na górę, a ona: „Nie ma po co. Drzwi zamknięte. Pan zabrał klucz".

— O Boże! — Róża załamała ręce. — Pan Hutorowicz prosił mnie...

— O co cię prosił?

— Żeby w razie jego śmierci zabrać kuferek.

— Przecież nie umarł, a kuferek fagasy zniosły do karety. Tak przynajmniej powiedziała ta stara jędza. Natrząsała się ze mnie, łotrzyca, a ja, głupia, dałam jej dziesięć franków.

— Słuchaj, Zelio, musisz tam pójść i wypytać dozorczynię...

— Nigdzie nie pójdę. Noga moja nie postanie w tamtym domu.

— Jeśli ty nie chcesz, to ja pójdę.

— Nie pójdziesz, nie pozwalam. — Zelia trzęsła się z gniewu. — Po co chcesz tam iść?
— Muszę dowiedzieć się, co to za ludzie i dokąd zabrali pana Hutorowicza.
— Niczego się nie dowiesz. Dozorczyni powiedziała wszystko, jak było, więcej nic nie wie.
— Ale kuferek...
— Przecież ci mówię, że zabrali razem z chorym. Widać prosił o to.
— A jeżeli go porwano?
— Porwano? Tego starego pryka?
— Nic nie rozumiesz...
— Pewno, że nie rozumiem, jeśli masz przede mną sekrety. Dozorczyni mówi, że Polak był uszczęśliwiony, opuszczając taką norę. Wcale mu się nie dziwię, a z tym panem, co po niego przyjechał, rozmawiał w jakimś nieznanym języku, tak mówi dozorczyni. Pewnie po polsku.
— Po polsku — Róża odetchnęła, ale po chwili poraziła ją straszna myśl: Może to był ten wróg, przed którym pan Hutoro-wicz ostrzegał nieznanego adresata, ktoś, kto pragnął zawładnąć kuferkiem? Należało natychmiast odszukać Hiszpana.
Obiad jadła bez zwykłego apetytu, zaprzątnięta jedną myślą. Zelia rzucała na „panienkę" niespokojne spojrzenia, ale o nic nie pytała.
Tego popołudnia Róża biegła do Tuileriów. Prosto do głównego westybulu, gdzie najłatwiej było o informację. Niestety, do wieczora nie udało się jej znaleźć Hiszpana.
Dopiero nazajutrz rano spotkała go na dziedzińcu.
— Co pani? — spytał ujrzawszy jej podkrążone oczy i pobladłe policzki.

— Gdzie pan Hutorowicz? — wyrzuciła gwałtownie. — Oka nie zmrużyłam, tak jestem niespokojna.
— U przyjaciół — odparł zdziwiony. — Przesyła pani pozdrowienia i dziękuje za wszystko.
— A kuferek?
— Razem z nim. Rozumiem. Przykro mi, że naraziłem panią na niepokój. Gdy przekazałem wiadomość, te osoby postanowiły umieścić pana Hutorowicza w bezpiecznym i wygodnym miejscu. Razem z kuferkiem — uśmiechnął się. — Ma teraz zapewnioną opiekę.

— Dzięki Bogu — westchnęła Róża. — Więc mogę być o niego spokojna?
— Najzupełniej.
Nie chciała zadawać więcej pytań, obawiała się wprawić go w zakłopotanie. Jeśli nic nie mówił, znaczy, że nie mógł powiedzieć.
Cały dzień dręczyło ją nowe pytanie: Co ma wspólnego z polskimi spiskowcami Miguel Toreno, Hiszpan, lokaj w cesarskiej liberii? Bo to chyba byli spiskowcy, ci przyjaciele pana Hutorowicza. A i sam pan Hutorowicz...
Na początku lipca w Szkole Narodowej Polskiej na Batignolles urządzono, jak co roku, uroczyste rozdanie nagród dla najlepszych uczniów.
Róża bywała tam regularnie — Antoś zazwyczaj dostawał pięknie oprawny tom ze złoconymi brzegami, z tłoczonym na okładce orłem i ze starannie wykaligrafowanym napisem: „Antoniemu Ordędze — nagroda za pilność i postępy w nauce".
Ceremonia zazwyczaj bywała wzruszająca: przemówienie pana dyrektora, deklamacje uczniów, śpiew chóralny polskich pieśni patriotycznych.
Rodzice i krewni zapełniali ustawione rzędami krzesła sporej sali.
Róża znała wiele z tych osób, spotykając je co roku, pomna jednak niezrozumiałego uporu Dziadusia nie nawiązywała z nikim bliższej znajomości, choć niektórzy z obecnych pociągali ją sympatyczną twarzą i ujmującym obejściem.
Po uroczystościach rodzeństwo znalazło się na dziedzińcu szkoły

w tłumie zaproszonych. Przed bramę zajeżdżały fiakry i powozy. Róża z Antosiem przybyli tu dorożką, teraz wypadło im wracać piechotą, z nadzieją jednak, że po drodze spotkają wolny pojazd.
Popołudnie było parne, chmury rozwieszone nisko nad miastem niczym gęste pajęczyny zapowiadały deszcz, a może i burzę.
Znajdowali się daleko od domu, prawie poza Paryżem. Ulice, podobne raczej do wiejskiej drogi, obrzeżone murem, zza którego chwieją teraz czubami wielkie drzewa, prowadziły — zdawało by się — w pustkę pozbawioną mieszkańców. Wiatr trzepotał muślinową spódnicą Róży, a coraz silniejsze, chwilami huraganowe podmuchy zwiastow.ały zbliżanie się nawałnicy.

Dzielnicę tę od kilku zaledwie lat wcielono do miejskiej aglomeracji Paryża, pachniało tu jeszcze prowincją. Idących mijały z rzadka pyszne zaprzęgi, ginąc w przepastnych bramach pańskich rezydencji. Pieszych przechodniów nie spotykali.
Róża coraz niespokojniej spoglądała na ciemniejące niebo, ale Antoś nie odczuwał lęku. Ściskał otrzymaną w nagrodę książkę, nie troszcząc się zupełnie o tak przyziemne sprawy, jak deszcz czy burza.
Najpierw po niebie zadudnił grzmot w oświetleniu błyskawic, a zaraz potem lunęło. Muślinowa suknia Róży w jednej chwili utraciła nakrochmaloną sztywność, rondo kapelusza opadło, a po wstążkach spłynęły strumyki. Antoś, jak mógł, chronił pod kurteczką cenną nagrodę. Gładki mur nie dawał najmniejszego schronienia, wydani byli na pastwę deszczu i wichury, która bez litości szarpała długimi pędami bluszczu, okrywającego nagość kamienia zieloną tapetą. Te żywe bicze chłostały twarze, owijały biegnących jak liany, czepiały się mokrego ubrania, utrudniając dostatecznie już trudne posuwanie się naprzód.
Oślepieni strugami deszczu nie wiedzieli już nawet, gdzie się znajdują. Antoś z rozpaczą przyciskał do piersi książkę, której nic nie mogło uchronić przed ulewą.
— Prędzej! — Róża chwyciła brata za rękę. — Widzisz, tam jest brama!
Czego właściwie oczekiwali od bramy szczelnie zawartej? Bo taka właśnie była ta niegościnna brama, która przerwała monotonię

szarego muru nieprzeniknioną grubością nabijanych ozdobnymi gwoździami desek.
Wieńczył ją daszek, tak jednak wąski, że przypadkowi przechodnie nie mieli z niego żadnego pożytku w razie ulewy.
Róża z Antosiem powitali tę problematyczną osłonę z entuzjazmem. Ociekający wodą i zziębnięci przylgnęli do twardych desek, łudząc się nadzieją jakiej takiej osłony, wyglądając końca ulewy, która tymczasem zdawała się osiągać kulminacyjny punkt swego nasilenia.
— Spójrz — Antoś wskazał mosiężną tabliczkę chłostaną teraz zwisającym bluszczem. — To jakiś „dom zdrowia". Może nas tu wpuszczą?
— „Dom zdrowia"? — Róża wychyliła się, by odczytać napis.

A więc to tu, „Dom zdrowia doktora Lariviere". Straszne miejsce, o którym pisały gazety. Czego dowiedział się Miguel Toreno i czemu milczy, narażając ją na nieznośną udrękę?
Stan ich wzbudził widać litość w martwym drewnie, gdyż nagle brama drgnęła i rozwarła szeroko obie połowy. Róża i Antoś odskoczyli przestraszeni, a w alei prowadzącej w głąb parku ukazał się powóz z otulonym w ceratowy płaszcz stangretem.
Deszcz zadudnił o dach karety, kopyta zastukały na brukowanym wjeździe. Przy bramie stanął odźwierny czekając, aż kareta wytoczy się na ulicę.
— Panie — krzyknęła Róża do tego człowieka — proszę nam pozwolić przeczekać ulewę!
Domek odźwiernego stał o parę kroków pod gęstymi drzewami. Dozorca zdawał się nie słyszeć prośby, ale jadący w powozie młody pan pochwycił wołanie dziewczyny i zastukał w szybę, oddzielającą go od woźnicy.
Powóz stanął tarasując bramę. Uchyliły się drzwiczki.
— Wsiadajcie — rzucił jadący.
Róża popchnęła Antosia, po czym sama wspięła się na stopień.
— Zamoczymy panu karetę — powiedziała przepraszająco, opadając na miękkie poduszki obok młodego człowieka.
— Tak — przyznał nieznajomy. — Zaleje mi pani powóz, ale przynajmniej uniknie może zapalenia płuc — dodał wyraźnie zainteresowany urodą dziewczyny. — Dokąd panią odwieźć? — Antosia ignorował.

— Ulica Świętego Rocha — Róża niemile odczuła ten wzrok, szacujący ją jak gdyby przez przemoczoną suknię. — Nie chcieii-byśmy sprawiać panu kłopotu i gdy tylko ulewa ustanie...
— Jadę w tamtym kierunku — przerwał. — Odwiozę panią do samego domu.
Antoś, siedzący na przedniej ławeczce, nie spuszczał oczu z młodego pana. Nie podobał mu się ten wybawca, a już najbardziej irytowała go uporczywość, z jaką wpatrywał się w Różę.
— Cóż tak ukrywasz pod kurtką? — spytał w pewnej chwili nieznajomy, zwracając się do chłopca.

Antoś wydobył książkę. Ociekała wodą, ale nic się jej poważniejszego nie stało. Dedykacja tylko rozpłynęła się ciemnymi smugami, w których trudno już było dopatrzyć się wzorowej kaligrafii pana Juliana.
— To nagroda za postępy w nauce — wyjaśniła Róża.
— Rozumiem — uśmiechnął się nieznajomy. — Nie wiedziałem, że w tych okolicach jest jakaś szkoła.
— Narodowa Szkoła Polska na Batignolles — wyrecytował z dumą Antoś.
— Jesteście Polakami? — czoło młodego człowieka pofałdowało się, jak gdyby to odkrycie niemile usposobiło go do przygodnych gości.
Od tej chwili rozmowny dotąd pasażer karety, zapatrzony w zmywaną deszczem szybę, zapadł w milczenie, jeszcze bardziej przykre i krępujące od poprzedniej natrętnej ciekawości jego oczu.
Róża zastanawiała się, kim był człowiek wyjeżdżający z domu o tak ponurej sławie. Wyrzucała sobie nieostrożność, powrót jednak do ruchliwych i znanych ulic uspokajał jej lęki. Gdy kareta stanęła wreszcie przed kościołem Świętego Rocha, Antoś wyskoczył pierwszy, a i Róża wolała deszcz i kałuże od niemiłego towarzystwa.
— Dziękujemy panu — powiedziała chłodno i szybko pobiegła do drzwi.
— Do widzenia — nieznajomy jak gdyby ocknął się. — Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy — zawołał, ale go już nie słyszeli.
— Ohydny człowiek — wybuchnął Antoś, gdy bezpieczni skryli się w dobrze znanej sieni.

— Widać nie lubi Polaków — stwierdziła Róża - - dlatego był taki niegrzeczny.
Zelia, niespokojna i zdenerwowana, na ich widok załamała ręce.
— Nie wiedziałam, co robić — wołała, pomagając Róży zdejmować przemoczoną suknię. — Taka ulewa! Kapelusz na nic. Dlaczego nie zaczekaliście w szkole, aż minie?
— Gdy wychodziliśmy, jeszcze nie padało. Miałam nadzieję na fiakra.
— Żebyś się tylko nie rozchorowała — biadała dalej, zbierając mokrą bieliznę. — Wszystko jak wyciągnięte z balii. Można wyżymać. Zaraz przyniosę gorącego mleka.

Książka Antosia, otwarta, leżała na stoliku koło kominka, by przesychały mokre kartki.
Mela z przejęciem słuchała opowieści o szkolnej uroczystości, ale nade wszystko ciekawiła ją wędrówka podczas ulewy.
— I co? — pytała. — Biegliście i nigdzie nie było domu?
— Nigdzie — opowiadał Antoś. — Wszędzie mur i mur.
O wybawcy z karety mówił niechętnie, a wieczorem wyznał Róży, że lepiej było jeszcze bardziej zmoknąć, niż skorzystać z pomocy tak niesympatycznego człowieka.
— Nie myśl o nim — uspokoiła siostra. — Nigdy go już nie spotkamy.
Gdy dzieci spały, opowiedziała Zelii o tym, jak zauważyła przy bramie fatalną tabliczkę.
— Może to jaki lekarz — mówiła — a może krewny samego doktora Lariviere.
— Prędzej jeden z tych niecierpliwych, co to oddawali na męki swoich dobrodziejów — wzruszyła ramionami Zelia. — Byle doktor nie jeździ własną karetą.
— Bałam się okropnie. Chciałam go nawet zapytać...
— Lepiej od takich z daleka — mruknęła Zelia, zabierając się do cerowania.
I znowu nadchodziły wakacje dla panien i dla hafciarki, pani Benoit zamykała szwalnię.
Te ostatnie dni dla Róży były wyjątkowo pracowite, należało

wykończyć hafty na serwecie, którą cesarzowa Eugenia zabierała na wilegiaturę do Compiegne.
— W sam raz do porcelanowego serwisu z Limoges — powiedziała oglądając z zadowoleniem robotę hafciarki. — Na talerzach są takie same fiołki. Doskonale udało się pani przenieść je na płótno.
Rzeczywiście, serweta była piękna, kosztowała wiele miesięcy pracy, pasowała do serwisu, który manufaktura w Limoges wyprodukowała na specjalne zamówienie cesarzowej. Każda sztuka
0 delikatnie złoconych brzegach lśniła porcelanową bielą tła

1 fioletem rozrzuconych artystycznie kwiatów. Był to serwis obiadowy na dwadzieścia cztery osoby, a więc przeznaczony raczej dla niewielkiego grona najbliższych bywalców tuileryjskiego pałacu.
Trzeba teraz było jak najspieszniej wykończyć to, co pozostało jeszcze do zrobienia. Furgony z rzeczami co dzień odjeżdżały z głównego dziedzińca, zabierając wszystko, czego potrzebowano w Compiegne dla wygody i przyjemności wakacyjnych mieszkańców.
Lulu pożegnał się już z Antosiem.
— Nigdy nie chcesz do mnie przyjechać — poskarżył się podczas ostatniej wizyty przyjaciela. — Wiosłowalibyśmy, jeździlibyśmy konno...
— Nie mogę — Antoś mężnie odrzucił jakże nęcącą perspektywę lata, zazwyczaj ogromnie zakłopotany podczas podobnej rozmowy, powtarzającej się u progu każdych wakacji. — Proszę cię, nie miej do mnie żalu.
Smutna twarz małego księcia była bledsza niż zwykle i Antoś dałby wiele, by móc pojechać z nim razem. Właściwie sam dobrze nie wiedział, co mu kazało odpowiadać odmownie na tak serdeczne zaproszenie. Pamiętał oczywiście słowa Dziadusia, które Róża przypominała co roku — wolę zmarłego należało uszanować.
Po wyjściu cesarzowej Eugenii, która lubiła czasem w towarzystwie pani Pepy zajrzeć do szwalni i do pracowni hafciarki, nawiedził Różę inny gość, nie tak świetny, niemniej o wiele niecierpliwiej wyczekiwany.

Miguel Toreno zapukał i jak zwykle zatrzymał się przy drzwiach, czekając na zaproszenie dziewczyny.
— Dzień doory panu — powiedziała składając pospiesznie ogromne holenderskie płótno z gotową już girlandą fiołków, gdzieniegdzie tylko wymagającą muśnięcia igłą.
— Pan Hutorowicz ma się lepiej — zaanonsował spoglądając z podziwem na hafty. — I to pani sama? — wskazał wzrokiem serwetę.
— Sama — przytaknęła z zadowoleniem. — Rozmieszczenie kwiatów też jest mego pomysłu. Tylko wzór fiołków wzięłam z serwisu z Limoges. Ale to przecież nieważne — dodała niecierpliwie. — Proszę, niech pan mówi. Co z panią Narzymską?
— Pani Narzymską przebywa w bezpiecznym miejscu.
— Gdzie?

— W klinice doktora Blanche'a.
— Czy tam na pewno nic jej nie grozi?
— Nie. Jest pod doskonałą opieką.
— A czy... — Róża bała się zapytać o poprzednie miejsce pobytu nieszczęśliwej matki Meli.
— Tak — skinął głową. — Była w „domu zdrowia" doktora Lariviere. Okazało się, że wpisano ją tam pod fałszywym nazwiskiem. Stąd trudności z identyfikacją. Trwało to dostatecznie długo. Doktor Lariviere zbiegł, a personel kliniki nie we wszystko był wtaj emniczony.
— I... widział ją pan?
— Widziałem.
— Jak ona? Jak się czuje?
•— Teraz już dobrze. Jest równie zdrowa na umyśle, jak pani i ja. Jednakże nagła śmierć męża, rozdzielenie z córką i zamknięcie w zakładzie podobnym do więzienia wstrząsnęło jej nerwami. Doktor Blanche ręczy za jej szybki powrót do równowagi.
— Doprawdy, dokonał pan chyba cudu!
— O nie — uśmiechnął się spuszczając oczy. — Natrafiłem na wielkie trudności. Wspomniałem już, że w rejestrze doktora Lariviere pani Narzymską figurowała jako Madame Vittel. Na szczęście zjawił się brat cioteczny.
— Brat? Czyj brat?
— Oczywiście pani Narzymskiej.

— Pani Narzymska ma brata?
— Czy to panią dziwi?
— Nie przypuszczałam... — Róża podniosła ręce do skroni.
— Brat, choćby cioteczny, ma większe prawa do opieki nad chorą niż szwagier — zauważył. — Policja z miejsca udzieliła mu wszelkiej pomocy.
— I powiedział pan o Meli?
— Powiedziałem. Pani Narzymska bardzo jest wdzięczna. Prosi, aby dziewczynka chwilowo została u pani.
— A... brat pani Narzymskiej?
— Wyjechał. Był w Paryżu przejazdem. Polecił mi, naturalnie za pani zgodą, bym przekazywał siostrze wiadomości o dziecku. Gdyby więc coś zaszło...

Róża była tak oszołomiona i szczęśliwa, a jednocześnie przybita nieuchronną już utratą Meli, że nie bardzo słuchała ostatnich słów Hiszpana.
Więc Mela miała wkrótce odejść, wyjść z ich życia. Co powie Antoś na rozłąkę z małą siostrzyczką? Rozłąkę, która prawdopodobnie będzie rozstaniem na zawsze.
Pani Narzymska jest bogata. Niedługo wróci do swego pięknego domu, wejdzie w posiadanie majątku po mężu i zacznie normalne życie. Razem ze swoją córeczką. Z pewnością od czasu do czasu będą widywali dziewczynkę. Potem Mela pójdzie do szkoły, do jakiejś eleganckiej pensji dla panien, zaprzyjaźni się z rówieśnicami i powoli zapomni. A oni? Czy zdołają wyrzucić z pamięci znalezione na cmentarzu dziecko? Nawet Zelia, która z początku tak nalegała, by zawiadomić policję... Teraz dla Meli dałaby się posiekać.
Hiszpan uszanował milczenie dziewczyny. Zrozumiał widać, o czym myślała.
— Utracimy Melę — stwierdziła Róża z bólem. — Wiem, że dla dziewczynki to będzie szczęście — dodała prędko. — Ale my...
— Przecież Mela zostanie jeszcze u pani — przypomniał. — Właśnie mówiłem...
— Tak, tak, wiem. Nie zmieni to jednak faktu, że nadejdzie dzień, gdy Mela nas opuści — ostatnie słowa wymówiła ciszej, jak gdyby tylko dla siebie.

— Pani Narzymska uważa, że chwilowo lepiej nic małej nie mówić. Zachowanie szwagra jest dwuznaczne.
— A jeżeli Mela zapyta o matkę?
— Wówczas można jej powiedzieć. Naturalnie nie wszystko. Róża obracała na palcu pierścionek z turkusem, który jej zostawiła niegdyś babunia.
— Wiem, że Mela nas opuści — powiedziała wreszcie. — To nieuniknione. Wszyscy tak nas opuszczali. — Dłużej nie zdołała powstrzymać łez.
— Proszę, niech pani nie płacze — Hiszpan podszedł do dziewczyny, jak gdyby powziął nagle jakieś postanowienie. — Pani Narzymska nie ma wprost słów wdzięczności. Gdyby nie pani...

— Mela jest wyjątkowo dobrym dzieckiem — Róża opanowała się z trudem i wytarła oczy. — Proszę przekazać pani Narzym-skiej, jak bardzo cieszę się i jakie robię sobie wyrzuty. Przez moją głupotę i opieszałość cierpiała tak długo. Pan dokazał tego,
0 czym bałam się nawet myśleć.
— Moja zasługa jest niewielka — stwierdził skromnie. — To pani wskazała mi trop, którym należało iść. Reszty dokonał brat pani Narzymskiej. To on prowadził wszelkie rozmowy z policją
1 z prokuratorem.
— Nie wie pan — zawahała się — czy widział się ze stryjem Meli?
— Owszem. To młody człowiek, któremu brak chyba zasad moralnych. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, słuchając jego rozmowy z bratem pani Narzymskiej. Z pewnością nie jest zły, tylko zepsuty powodzeniem i słabego charakteru. Nie znam go jednak i właściwie nie powinienem osądzać. Może po prostu ulega jakimś niedobrym wpływom. To zdarza się młodym a bogatym i próżnym paniczom.
— Mela boi się stryja — szepnęła.
— Brat pani Narzymskiej zapytał go, dlaczego oddał bratową do „domu zdrowia", podając przy tym fałszywe nazwisko. Tłumaczył się, że uczynił to dla jej dobra, widząc stan, w jakim się znajdowała po nagłej śmierci męża. Zapisał ją pod fałszywym nazwiskiem, by później nie ciążył na jej reputacji pobyt w takim zakładzie.
— Czy mówił coś o Meli?

— Powiedział, że dziewczynka miewa się dobrze i jest na wsi pod opieką guwernantKi.
— Jak to? 1 pan pozwolił?...
— Cóż ja? Jeżeli pani Narzymska i jej brat milczeli... Mają widać swoje powody.
— Trudno doprawdy pojąć...
— To jakaś skomplikowana sprawa rodzinna — przerwał. — Z chwilą jednak, gdy brat pani Narzymskiej ujął wszystko w swoje ręce, może pani już być spokojna.
— Tak, zapewne — przyznała z wahaniem. — Więc Mela...
— Mela pozostanie u pani. — Przypomniał łagodnie. — I wszystko będzie tak jak dotąd.

— A jeżeli... pan Narzymski...
— Obawia się pani pana Narzymskiego?
— Tak.
— Nie przypuszczam, by w obecnej sytuacji poważył się na jakiś gwałtowny krok. Wobec bratowej wydawał się skonfundowany, przepraszał ją...
— A dlaczego kłamał?
— Tak, to zastanawiające — przyznał. — Ale i to można wytłumaczyć. Dziecka nie ma i nie wie, co zrobi, gdy pani Narzymska zechce zobaczyć córkę. Obawia się tego. Jak najdłużej musi ukrywać prawdę. Nie powie przecież, że nie wie, co się z dziewczynką stało.
— Pan Narzymski wie, gdzie jest Mela — powiedziała twardo. — By ją odzyskać, nasyłał zbirów. Co pocznę, gdy przyciśnięty koniecznością użyje siły?
— Da mi pani znać — odrzekł bez namysłu, po czym na skrawku papieru wypisał adres. — Tu mieszkam — położył kartkę na stole. — Pani Zelia zawsze będzie mogła zostawić wiadomość.
— Dziękuję panu — powiedziała cicho, usiłując powstrzymać łzy. Zrozumiał, że nie miała więcej pytań i pragnęła, by już sobie poszedł. O tak, Róża musiała zostać sama. Choć na chwilę odłożyć igłę, odstawić koszyk z jedwabiem i posiedzieć bezczynnie z rękami na kolanach, i pozwolić wreszcie swobodnie płynąć łzom.

Do domu wróciła tak roztrzęsiona, że Zelia przestraszyła się zobaczywszy, w jakim jest stanie.
— Spać dzieci — zawołała, gdy już sprzątnęła ze stołu. Chciała jak najszybciej pozostać sama ze swoją młodą „panią".
— To nic, Zelio — mówiła Róża raz po raz ocierając oczy mokrą chusteczką. — Sama nie wiem, dlaczego tak się przejęłam. Przecież to szczęście dla Meli. Wróci do domu, do dawnego dobrego życia ze swoją mamusią. Czy może być coś cudowniej szego? Gdy jednak pomyślę, że ją utracimy...
— Nie utracimy jej — zaprotestowała Zelia. — Będziemy ją widywać. Mela też nas kocha.
— Kocha nas — Róża głośno wytarła nos — ale to przecież dziecko, a dzieci szybko zapominają.
— Mela nas nie zapomni.

— Skąd wiesz? O rodzicach nie mówi już od dawna.
— Nie mówi, ale o nich pamięta. Nieraz,, gdy weszłam do pokoju, a Mela siedziała na podłodze ze swymi zabawkami, słyszałam, jak szeptała: tatuś, mamusia... O, Mela ma dobrą pamięć i dobre serce.
— Och, Zelio, tak mi ciężko!
— Wiem. Ale Hiszpan powiedział, że chwilowo nic się nie zmieni.
Nic się nie zmieniło. Do czwartku.
We czwartek, gdy dzieci bawiły się w jadalni, Róża poszła do pokoju Dziadusia po pieniądze. Tam, w starym sekretarzyku, przechowywała swój majątek.
Szufladka zacięła się i nie można jej było wyciągnąć. Gdy szarpnęła mocniej, wypadła, a wraz z nią odskoczył kawałek inkrustowanego drewna obudowy, maskujący utajone drzwiczki.
Malutki zameczek lśnił prowokująco, udaremniając dostęp do nie znanej dziewczynie skrytki.
Teraz dopiero zrozumiała, do czego służył pozłacany kluczyk, który nie opuszczał Dziadusiowej dewizki, ukryty zazwyczaj — wraz z zegarkiem — w kieszonce kamizelki.
Cenne te pamiątki przechowywano w komódce.
Cichy szczęk, jaki towarzyszył obracającemu się w zameczku kluczykowi, potwierdził jej przypuszczenia.
Róża pochyliła się i zajrzała do ciemnego wnętrza. Coś tam leżało. Wsunęła rękę i wydobyła plik luźnych kartek. Poznała pismo Dziadusia.
Kartki były ponumerowane i oznaczone datą. O tym odkryciu nie powiedziała Zelii. Drugi raz coś przed nią zataiła. Ale to nie był jej sekret, lecz tajemnica Dziadusia. W pierwszej chwili chciała uszanować wolę zmarłego i nie czytając schować zapiski. Po namyśle doszła jednak do wniosku, że powinna poznać to jakieś nieznane niebezpieczeństwo grożące Dziadusiowi, bo może ono mieć związek z zaginionym przyjacielem.
Długo tej nocy paliła się świeca w jej sypialni. Na szczęście Zelia spała mocno i nic nie przeszkodziło Róży w zapoznaniu się z Dziadusiową przeszłością.

Gdy skończyła i zgasiła świecę, zadała sobie pytanie, dlaczego Dziaduś ukrył przed nią to, co powinna była wiedzieć? Dlaczego umierając nie powiedział wnuczce o istnieniu skrytki?
Pytań zresztą było o wiele więcej. Nurtowały ją także i nazajutrz, ale tylko jedna osoba mogła odpowiedzieć przynajmniej na niektóre z nich: pan Hutorowicz. Ale pan Hutorowicz nie mieszkał już na ulicy Clovisa, a droga do jego nowego miejsca pobytu wiodła przez Miguela Toreno.
I nagle stwierdziła ze zdumieniem, że coraz bardziej uzależnia się od Hiszpana. We wszystko był już wtajemniczony: Ryszard Żeran, Mela, pani Narzymska, a teraz i pan Hutorowicz. Stary rodak okazał się jednak tak potrzebny, że i w tym wypadku musiała prosić o pomoc lokaja. On jeden wiedział, gdzie go szukać.
Wzdrygnęła się i rozłożyła na stole ogromne płótno. Serweta właściwie była gotowa, cesarzowa Eugenia mogła ją zabierać. Nic więcej nie miała tu do roboty. Czekała jedynie na Miguela Toreno. Wiedziała, że przyjdzie.
Przyszedł, gdy z zegarowej wieży rozległo się dwunaste uderzenie.
— Muszę koniecznie zobaczyć się z panem Hutorowiczem — powiedziała bez wstępu. — Może mi pan poda jego nowy adres.
— Zawiozę tam panią — popatrzył na nią uważnie, ale o nic nie zapytał.
— Zawiezie mnie pan? — zdziwiła się. — Czy to tak daleko?
— Daleko.

— Chciałabym jeszcze dzisiaj... !— Czy coś się stało?
— Nie... Tak... Sama nie wiem. Znalazłam zapiski Dziadusia i potrzebuję rady pana Hutorowicza.
— Wstąpię po panią koło piątej. Czy będzie pani tutaj?
— Będę.
Nie mogła dłużej trzymać przed Zelią w tajemnicy swojego odkrycia. Po obiedzie więc, w sypialni, opowiedziała jej o Dziadu-siowym przekazie.
— Miguel Toreno zawiezie mnie do pana Hutorowicza — zakończyła.
— Dowiem się może czego o Zygmuncie Żeranie.
Zelia nie oponowała, nie zadawała zbędnych pytań, uspokojona obecnością Hiszpana, który miał towarzyszyć Róży.
Punktualnie o piątej dziewczyna wsiadła do fiakra, czekającego na ulicy Rivoli. Miguel Toreno musiał uprzedzić woźnicę o celu podróży, bo nie podał adresu, a konie ruszyły, zaledwie zatrzasnął za sobą drzwiczki.

Dziwny to był fiakier. Zaprzężony w dwa mocne konie, którym nie żałowano widać owsa, w niczym nie przypominał dorożkarskiego, rozklekotanego pudła, jakie zazwyczaj przemierzały bruki Paryża. Konie szły raźno, raczej mknęły, a powóz kołysał się miękko, dobrze zawieszony na resorach. Wnętrze wyglądało raczej na pańską karetę niż na zniszczone długim użyciem, zrudziałe sukno publicznej lokomocji, a strój woźnicy bliższy był liberii aniżeli kapoty miejskiego automedona. Lustrzane szyby chroniły jadących przed kurzem ulicy, potęgując wrażenie odosobnienia i jak gdyby odcięcia od zewnętrznego świata. Róża wyglądała oknem, starając się nie patrzeć na siedzącego naprzeciw niej na ławeczce mężczyznę, choć wyraźnie czuła jego obecność, zamknięta z nim w ciasnym wnętrzu pojazdu.

Ta bliskość oddziaływała na oboje, stwarzając nastrój intymności i zrozumienia, niwelując wszelkie różnice, obalając dzielące ich dotąd bariery.

Nie pytała, dokąd wiezie ją ten dziwny lokaj, który teraz nie miał na sobie liberii, lecz ciemny strój, jaki przystoi człowiekowi jego stanu. Pięli się oto bulwarem Świętego Michała, mijając po lewej ręce

kopuły Sorbony i Panteonu, coraz wyżej i dalej od gwaru i ożywienia starej Dzielnicy Łacińskiej. Wreszcie otoczyła ich zieleń i cisza — wjechali na teren obserwatorium, gęsto obsadzony kasztanami.

Konie biegły rączo mało jeszcze uczęszczaną aleją, jak gdyby nie czuły zmęczenia lub spieszyły do przytulnej stajni z pełnym żłobem.

— Proszę, niech pani spojrzy — Miguel Toreno przerwał przedłużające się milczenie. — To pomnik marszałka Neya. Wystawiono go w miejscu egzekucji.

— Neya? — oburzyła się Róża. — Przecież to zdrajca!

— Niekoniecznie — uśmiechnął się Hiszpan. — Po zesłaniu Napoleona na Elbę opowiedział się co prawda za Burbonami, ale gdy cesarz wrócił w triumfie na sto tragicznych dni, jemu zaofiarował swoją szpadę i uzyskał przebaczenie. Ludwik XVIII za to, gdy siadł na opuszczonym przez Napoleona tronie, nie puścił płazem zdrady. Neya postawiono przed sąd wojenny i natychmiast rozstrzelano. Właśnie tu. Nie pozwolił zawiązać sobie oczu i sam podał komendę: „Żołnierze, prosto w serce!" Napoleon III wzniósł mu pomnik. Czy pani zauważyła, jak nasz Paryż ubogi jest w monumenty?

— Nie wiem — zmieszała się. — Nie zastanawiałam się nad tym. Wiele z Dziadusiem zwiedzałam, ale tu jestem po raz pierwszy.
— Oprócz paru monarchów i Napoleona na kolumnie jest tylko Molier, jakiś wojak no i ostatnio marszałek Ney — popatrzył na nią z uśmiechem.
— Niektóre z nich widziałam — Róża rozejrzała się po okolicy i w tej samej chwili konie skręciły w prawo. — Gdzie jesteśmy?
— To bulwar Montparnasse — wyjaśnił. — Zaraz będziemy na miejscu.
— To i cmentarz niedaleko? Byłam kiedyś z Dziadusiem...
— Niedaleko — przytaknął. — To najmłodszy cmentarz Paryża. Dawno umarł pani Dziaduś?
— Trzy lata temu — powiedziała ze smutkiem, — A wydaje mi się, że wiele lat minęło od owego nieszczęścia.
Konie zwolniły i wkrótce stanęły, osadzone mocną ręką tuż przy krawędzi trotuaru. W wyrwie między drzewami, które rosły wzdłuż bulwaru, zabielała ściana wysokiego domu.

— Przyjechaliśmy — Miguel Toreno otworzył drzwiczki, wyskoczył i pomógł Róży wysiąść.
Miejsce było ustronne, dom oddalony nieco od ulicy stał w głębi niewielkiego ogrodu. Poszli wyłożonym płaskimi kamykami chodnikiem do drzwi wejściowych. Miguel Toreno ujął mosiężną kołatkę.
Otworzył stary człowiek wyglądający na służącego.
— Pan w domu? — spytał Hiszpan.
— W domu, w domu — zapewnił skwapliwie stary. — Panienka pozwoli — wskazywał drogę.
Salon był duży, kwadratowy. Zastali tam kilka osób, wśród których Róża z zadowoleniem spostrzegła pana Hutorowicza.
Goście siedzieli dokoła owalnego stołu założonego papierami. Z daleka nawet można było dojrzeć na wierzchu dużą mapę Europy.
Wszystko ją dziwiło, najbardziej jednak zaskoczyło Różę to, że zebrani mówili po polsku.
— Prosimy bliżej — wysoki mężczyzna z siwiejącą bródką podniósł się z fotela.
— Ja do pana Hutorowicza — powiedziała prędko, onieśmielona zgromadzeniem.
— To panna Ordężanka — pan Hutorowicz pośpieszył z prezentacją.

— Wnuczka Kazimierza? — spytał któryś z obecnych.
— Wnuczka Kazimierza — poświadczył pan Hutorowicz, prowadząc dziewczynę do najbliższego fotela.
Nie był już ani tak mizerny, ani beznadziejnie smutny. W tym gustownie, acz skromnie urządzonym salonie wydawał się innym człowiekiem, zgoła niepodobny do nieszczęśliwego nędzarza z ulicy Clovisa.
— Dzięki Bogu wyzdrowiał pan — powiedziała siadając.
— Wyzdrowiałem — pan Hutorowicz krzątał się koło gościa. — A to nasz gospodarz, pan rotmistrz Bracki — przedstawiał starszego pana z bródką.
Skinęła głową i obejrzała się na Hiszpana. Stał ciągle przy drzwiach i milczał. Nie rozumiał przecież po polsku.
— Konie będą czekały — rzekł półgłosem, pochwyciwszy jej spojrzenie — gdy zechce pani wracać. — I znikł za drzwiami.
— Rozmawiamy o polityce — szepnął pan Hutorowicz siadając obok dziewczyny. — Może pani posłucha?

— Przepraszam, że pana niepokoję — zaczęła, ale goście nie zwracali już na nią uwagi, zajęci przerwaną rozmową.
— Jak więc mówiliśmy — podjął pan domu — sytuacja Francji jest niewesoła.
— Niewesoła? — zaperzył się czerwony na twarzy otyły jegomość w cynamonowym ubraniu. — Powiedziałbym wręcz tragiczna, beznadziejna — powiódł wzrokiem po siedzących. — I nie ma żadnego ratunku. Cesarstwo zmierza ku przepaści i nic go nie powstrzyma przed upadkiem.
— Patrzy pan przez czarne okulary, łaskawco — zaprotestował najmłodszy z zebranych. — Z Francją nie jest jeszcze tak źle. Ma ona różne środki i nie zapominajmy, że dysponuje kapitałem. Ogromnym kapitałem — dodał z naciskiem. — A to jest siła nie do pogardzenia — zakończył triumfująco.
— Co to za siła — prychnął cynamonowy jegomość. — Dziś siła to uzbrojenie. Zakłady Kruppa pracują dzień i noc dla Prusaków. Ich szpiedzy rozleźli się po Francji jak robactwo. Toczy ono kraj od wewnątrz. Cesarzowa Eugenia w przyjaźni z wrogami, cesarz nie wie nawet, co się święci.

— Ma pan rację — przytaknął siwy staruszek z ręką przy uchu. — Wszyscy ci ambasadorowie obcych mocarstw obtańcowu-jący francuskie damy na balach w Tuileriach, a szczególnie ich małżonki, które należą do najbliższego kółka cesarzowej, wykonują swoją robotę nieledwie na oczach wszystkich. Raporty idą do Berlina, minister Bismarck ma co czytać. I cesarz to widzi. Nie przypuszczam, żeby był aż tak zaślepiony. Działa tu jednak rodzaj fatum wiszącego nad rodziną Bonapartych.

— Mówiąc o szpiegach ma pan chyba na myśli księżnę Metter-nich — zauważył pan domu. — To przecież ona, działając na szkodę Francji, doprowadziła do wojny meksykańskiej. Potrafiła odpowiednio urobić przyjaciółkę i cesarzowa Eugenia posłusznie wykonała polecenia wiedeńskiego gabinetu, nie domyślając się nawet, że jest narzędziem w ręku wroga.

— Mało który Francuz to rozumie — wtrącił się ksiądz w zniszczonej sutannie. — Zaślepieni bogactwem, chęcią użycia, odeszli daleko od bohaterstwa, poświęcenia i miłości ojczyzny. Ale jeśli zginą, co będzie z nami? — postawił tragiczne pytanie.

Różę z początku zniecierpliwiło to jałowe w jej mniemaniu

roztrząsanie politycznej sytuacji Francji. Przyjechała tu przecież w zupełnie innym celu. Ale powoli, rozwijająca się w jej obecności dyskusja wzbudziła zainteresowanie i niepokój. Rzeczywiście, co z nimi będzie w razie katastrofy? O tych sprawach zresztą nieraz już słyszała. Ludzie gadali. Powszechnie było wiadomo, że dyplomaci zagraniczni zawładnęli cesarzową Eugenią, a więc i polityką Francji.

Przyznać jednak trzeba na obronę cesarskiej pary, że nigdy dotąd żadne obce mocarstwa nie wysłały do Paryża tak świetnych przedstawicieli, jak w owych sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku. Był to — śmiało rzec można — kwiat europejskiej kultury, który pod pozorem zabawy wykonywał swoje mało chwalebne zadania.

Nigdy też obcy dyplomaci na żadnym dworze nie doznali tak entuzjastycznego przyjęcia, jak ci wszyscy ambasadorowie bywają-:y w Tuileriach Drugiego Cesarstwa.

Często nawet owi dygnitarze, traktowani jak bliscy przyjaciele, :zuli się nieswojo spełniając misję, w której byli tu przecież >rzysłani.

Dwór cesarski nie miał przed nimi tajemnic, a oni umieli pa-rzeć i obserwować. I niczego nie zapominali.
Pod powłoką salonowej płochości ukrywali bystre oko i wy-istrzony słuch wytrawnego szpiega. Byli to więc nie tylko wielcy anowie, ale i zręczni agenci, wysoko utytułowani, obleczeni we raki i świetne mundury, o nienagannych manierach światowców, wyćwiczeni w najsubtelniejszych zawiłościach dyplomatycznej ry-
Podobną rolę spełniały ich żony, dopuszczone do bliskiej zagości z władczynią Francji. Umiały spomiędzy buduarowych loteczek wyłuskać przydatne mężom informacje. Wszystkich tych cudzoziemców przygarnęła czule do serca stara ancuska arystokracja, niechętna „uzurpatorowi". Dwie z istniejących wówczas partii politycznych, tak zwana jartia książąt", popierająca kandydaturę do tronu synów Ludwika lipa, i „partia liberałów", preferująca republikę, zjednoczyły 5 w pewnej chwili we wspólnej opozycji przeciw cesarstwu. Obie te partie wydawały własne pisma i zarówno „Dziennik iryski" — organ „partii książąt", jak i „Kurier Niedzielny"

atakowały zaciekle działalność instytucji Drugiego Cesarstwa, krytykując i występując otwarcie przeciw panującemu reżymowi. Arystokracja z „partii książąt" szeroko więc otworzyła drzwi swoich salonów dla dyplomatów akredytowanych przy dworze Napoleona III, łączyła ich przecież wspólnota interesów, a zaślepieni nienawiścią do „parweniusza" stracili z oczu dobro Francji i niebezpieczeństwo, jakie groziło ich ojczyźnie.
W rozmowach nie zostawiano suchej nitki na cesarzu i jego małżonce. Wszystko było powodem do drwiny. Drwiono z balów i przyjęć w „perweniuszowskich Tuileriach", układano satyryczne wierszyki i epigramy, nawet wielcy bankierzy, wzbogaceni przecież dzięki rozkwitowi przemysłu i handlu, pozwalali sobie na obelżywe słówka w ogólnym chórze złośliwości.
Powtarzano słynne powiedzenie pana Thiersa w odpowiedzi na dość chełpliwe stwierdzenie ówczesnego księcia prezydenta: „Gdyby nie Strasburg i Boulogne, nie byłbym tym, czym jestem". Na co pan Thiers odpowiedział: „Wasza Wysokość zapomina o Austerlitz".

Cesarz starał się nie dostrzegać tej wrogiej propagandy, usiłował nawet zjednać przeciwników to fotelem senatora, to dworskim urzędem. Nic jednak nie potrafiło udobruchać tych, co postawili na zgubę cesarstwa. Wśród kosmopolitycznego towarzystwa, od którego roił się Paryż, wśród przedstawicieli obcych mocarstw, olśniewających " Francuzów wykwintem toalet i ekwipaży, prym bezwzględnie wiódł książę Metternich, godnie reprezentujący cesarza Austrii Franciszka Józefa.
Syn wielkiego kanclerza, któremu po upadku Napoleona Święte Przymierze powierzyło uporządkowanie wywróconej do góry nogami Europy, w dobrej szkole miał możność zdobywania potrzebnych w dyplomatycznej służbie wiadomości.
Daleko mu jednak było do talentów ojca. Szedł co prawda jego śladem — choćby jako ambasador w Paryżu — ale na tym kończyło się podobieństwo.
Braki w zdolnościach politycznych kompensował za to jego osobisty urok, czarujące obejście, wielkopański gest, a przede wszystkim niezwykła żona, bo księżna Paulina była kobietą niepospolitej mądrości, a małżonek tylko zyskiwał słuchając jej rad.
Gdy w 1859 roku wybuchła wojna między Austrią a Francją, młody książę Metternich rozpoczynał karierę dyplomatyczną jako sekretarz ambasady w Paryżu. Po traktacie w Villafranca Napoleon III szukał zgody i porozumienia z Franciszkiem Józefem; książę Metternich postawił sobie więc za cel podbić stolicę Francji.
Przy jego wdzięku i umiejętnościach światowca nie sprawiło mu to większego trudu. Doskonale władający językiem, obeznany z francuską literaturą i sztuką, gorący meloman — jeden z pierwszych poznał się na Wagnerze — został szybko ulubieńcem dam, a już mieszkańcy Tuileriów nie wyobrażali sobie bez niego balu, przyjęcia i w ogóle życia.
Czy był szczery wobec cesarza? Czy zapewnienia o wiernej przyjaźni i na każdym kroku okazywana sympatia odpowiadały jego prawdziwym uczuciom?
Księżnę Paulinę, która w krótkim czasie zawładnęła cesarzową Eugenią, dyktując nie tylko styl zabaw i mody, ale i zgubne dla Francji posunięcia polityczne, lud nazywał „złym duchem Tuileriów". Czy mylił się w tej ocenie? Czy pani Metternich aż tak bardzo nienawidziła koronowanej przyjaciółki, by świadomie gotować zgubę jej światu?

Kaprysy księżnej Pauliny szkodziły zresztą nie tylko polityce Francji. To przecież ona w pewien sposób zniszczyła Flandrina, a właśnie spod pędzla tego malarza wyszedł najlepszy chyba portret Napoleona Trzeciego.
Gdy gotowe już dzieło pokazano w Tuileriach, księżna Metternich wydęła wargi i rzuciła lekceważąco:
— Niezłe, ale mogłoby być lepsze.
Te słowa przeważyły zachwyty znawców. Portret uznano za niezbyt udany i odesłano do przyozdobienia Izby Handlowej.
Flandrin, chorobliwie wrażliwy, choć skromny jak na wziętego portrecistę, ciężko przeżył afront wyrządzony jego sztuce. Na to jednak nie było rady. Zdanie księżnej Metternich równało się wyroczni.
Ciekawy stosunek łączył ambasadora Austrii z kawalerem Nigrą, reprezentującym w Paryżu króla Wiktora Emanuela.
Gdy poseł francuski w Turynie wydał raz galowy obiad, na liście gości znalazło się nazwisko kawalera Nigry, wówczas sekretarza ministra Cavoura.

Cavour, dowiedziawszy się o tym honorze, prosił Francuza, by wstrzymał się z tego rodzaju objawami uznania wobec pana Nigry. — Dlaczego tyle uwagi poświęcać memu sekretarzowi? — dodał. — On jeszcze nie jest tego wart.
Włoski minister dobrze wiedział, czego może oczekiwać w przyszłości po swoim sekretarzu i nie pomylił się.
Kawaler Nigra został wkrótce jednym z najwybitniejszych mężów stanu nie tylko młodej Italii, ale i Europy. To dyplomata z urodzenia, doskonały w całym znaczeniu tego słowa, ma konieczną w tym zawodzie zręczność, absolutny zmysł polityczny, znawca ludzi, obdarzony jest ponadto nieomylną intuicją, która
nigdy go nie zawiodła.
Tymi wszystkimi cechami kawaler Nigra górował nad księciem Mettemichem. Jeśli zaś odłożyć na bok jego polityczne zdolności, był równie błyskotliwym światowcem, a jego pojawienie się na paryskim firmamencie wywołało nie lada sensację.
Niezwykle urodziwy od pierwszej wizyty w Tuileriach oczarował cesarzową Eugenię i jej damy. Do wszystkich jego zalet dochodziło

jeszcze i to, że nie był żonaty. Ileż panien zarzucało sieci, by pochwycić tak znakomitego epuzera! Niestety, bez rezultatu.
Kawaler Nigra przeszedł zwycięsko przez ognie spojrzeń najpiękniejszych oczu owej epoki, uosabiając dwa perwersyjne ideały. Don Juana i Machiavellego.
Kawaler Nigra i książę Metternich zostali przyjaciółmi i odtąd widywano ich zawsze i wszędzie razem. ;
Dziwna to była przyjaźń dwóch politycznych przeciwników: Włoch pracował nad zjednoczeniem Italii, wyzwalającej się spod austriackiego panowania, Austriak pragnął za wszelką cenę utrzymać pozycję okupanta na Półwyspie Apenińskim.
Kawaler Nigra, zimny i opanowany, był zbyt wytrawnym graczem dla księcia Metternicha, obaj jednak stanowili ozdobę tuileryjskich salonów, jednakowo rozrywani przez bywające tam
damy.
Nazywano ich nawet „nierozłączni", a ich zdumiewająca doprawdy przyjaźń budziła u niektórych powątpiewanie co do szczerości tego pięknego uczucia. Posądzano ich o hipokryzję i rzecz dziwna, książę Metternich wychodził z tego porównania lepiej
178
niż Włoch, który za to lepiej wydawał się grać dyplomatyczną rolę przy Napoleonie Trzecim.
Obraz bywających w Tuileriach dyplomatów nie byłby pełny bez ambasadora Prus, hrabiego Goltza, który podczas pięciu lat pobytu w Paryżu — od 1863 do 1868 roku — dostąpił największych faworów na dworze, stając się nie tylko jednym z ulubieńców, ale i powiernikiem cesarzowej Eugenii.
Trzeba przyznać, że pragnął się podobać, a spodobał się wszystkim, choć sposobem bycia różnił się od takich czarodziejów, jak książę Metternich czy kawaler Nigra. Hrabia Goltz mówił mało i wydawał się oschły, za to lubił Paryż, a w Tuileriach bawił się
0 wiele lepiej niż w Berlinie.
Naturalnie — jak na prawdziwego Prusaka przystało — był szczerze oddany Bismarckowi, którego podziwiał, lecz ze względu na swoją sympatię do Francji nie pochwalał wszystkich posunięć pruskiego ministra.

Pobiwszy Austrię pod Sadową, Prusy, pewniejsze własnej siły, za enigmatycznym uśmiechem ukrywały plany coraz śmielsze 1 coraz groźniejsze dla pokoju w Europie.
Hrabia Goltz pracował nad umocnieniem przyjaźni francusko--pruskiej i dziwiło go niepokojące milczenie Napoleona Trzeciego, gdy w rozmowie z cesarzem dotykał delikatnych tematów.
Czyż nie przepowiedział szykujących się już wydarzeń? Jak w profetycznej wizji ukazał raz zmiany, które wkrótce miały nastąpić na mapie Starego Świata. „Europa jest stara, bardzo stara — powiedział w porywie jak gdyby mistycznego natchnienia — ugina się pod ciężarem wieków i może umrzeć z braku nowych żywotnych soków. Ci, co mogą ją uratować, są gotowi do czynu".
Gdyby nie śmiertelna choroba — rak, który zaatakował usta dyplomaty — być może udałoby się hrabiemu Goltzowi złagodzić czekający Francję los. Niestety, po bezskutecznej operacji musiał opuścić Paryż. Żegnając się z cecarżową Eugenią powiedział smutno: „Do zobaczenia tam, w górze" — i wskazał niebo.
Nie trzeba dodawać, że podobnie jak książę Metternich i kawaler Nigra, także i hrabia Goltz kochał się w cesarzowej Eugenii. Miłość ich była naturalnie beznadziejna i pełna szacunku, rozkwitała zarówno w słonecznym blasku, jak i przy płonących tysiącem świec żyrandolach. Objawiała się wymową spojrzenia, pochyleniem gło-
12-
179
wy, wyrazem ust. Nigdy słowem: niemy hołd składany co dzień pięknej kobiecie, noszącej na jasnych włosach cesarski diadem.
Ach, jakże przyjemne były te objawy uwielbienia dla dawnej panny de Montijo! Rozgrzewały zimne serce, zatrzymywały przemijającą zbyt szybko młodość. Unicestwiały Czas, zamykając Wieczność w błękitnym salonie.
Z tych trzech wiernych do końca wielbicieli, najmilszy chyba był kawaler Nigra. Czy wiedział o tym? Czy jego uczucie było gorętsze od uczuć rywali? Nie wiadomo. Dyskrecja jest dewizą dyplomaty, a kawalerowi Nigrze przypisywano przecież atrybuty nie tylko Don Juana, ale przede wszystkim Machiavellego.

wy, wyrazem ust. Nigdy słowem: niemy hołd składany co dzień pięknej kobiecie, noszącej na jasnych włosach cesarski diadem.
Ach, jakże przyjemne były te objawy uwielbienia dla dawnej panny de Montijo! Rozgrzewały zimne serce, zatrzymywały przemijającą zbyt szybko młodość. Unicestwiały Czas, zamykając Wieczność w błękitnym salonie.
Z tych trzech wiernych do końca wielbicieli, najmilszy chyba był kawaler Nigra. Czy wiedział o tym? Czy jego uczucie było gorętsze od uczuć rywali? Nie wiadomo. Dyskrecja jest dewizą dyplomaty, a kawalerowi Nigrze przypisywano przecież atrybuty nie tylko Don Juana, ale przede wszystkim Machiavellego.

VIII

— Znowu wychodzisz... — Mela oparta o futrynę drzwi patrzyła nadąsana, jak Róża wkłada kapelusz.
— Nie na długo — Róża uśmiechnęła się do odbitej w lustrze twarzy. W tym kapeluszu wyglądała wyjątkowo ładnie. — Anto, zabierz Melę i siądźcie przy oknie.
— Chcę, żebyś i ty posiedziała z nami — upierała się Mela.
— Chodź — Antoś wychylił się z pokoju Dziadusia, gdzie przez otwarte okno wlewało się słońce.
— Pamiętaj — upominała Zelia. — Jeżeli powozu nie będzie, nie bierz żadnego fiakra i wracaj do domu. Jutro pojedziemy razem.
Powóz będzie — Róża była pewna, a nawet coś jej mówiło, że nie sama pojedzie na bulwar Montparnasse.
Wolno schodziła ze schodów, zapinając po drodze rękawiczki, rada z czekającej ją przejażdżki. Poprzedniego dnia nie udało jej się porozmawiać z panem Hutorowiczem; zostawiła mu Dziadusiowe zapiski, a on obiecał, że następnym popołudniem przyśle po nią konie.
— Jaka piękna suknia — pani Cordier odsunęła firankę, żeby lepiej przyjrzeć się młodej lokatorce. — Ślicznie pani wygląda — westchnęła — aż miło spojrzeć!
Podziękowała uśmiechem — w tak piękny dzień nawet do pani Cordier można się było uśmiechać — i wysunęła się na ulicę.
Po drugiej stronie, przed kościołem, czekał dziwny fiakier.
Niestety, tym razem była jego jedyną pasażerką.

Droga wydała jej się długa i mało ciekawa. Dopiero mijając zadrzewiony teren obserwatorium wychyliła się nieco, by lepiej zobaczyć marszałka Neya na granitowym cokole.
181
Znany już stary służący zaprowadził ją do salonu. Pan Hutoro-wicz był na szczęście sam.
— Witam, witam — mimo wesołego tonu twarz miał poważną, a nawet smutną czy strapioną.
— Przeczytał pan? — wpatrywała się w starego rodaka w oczekiwaniu jakichś — być może — rewelacyjnych, a przez nią nie zauważonych w Dziadusiowym tekście odkryć.
Pan Hutorowicz potwierdzająco pochylił głowę.
— I co?
— Różne sprawy z dawnych lat... Początków tego wszystkiego należy szukać daleko stąd i bardzo dawno temu.
— Ta litera — zaczęła. — To jakieś ,,D", które się przewija przez te kartki — wskazała Dziadusiowe zapiski leżące na stole. —
Kto to?
— Znaliśmy tego człowieka od początku, od dziecka, wydawało się nam, że wszystko o nim wiemy, że tak jak i my, tak samo i on był przezroczysty jak górski kryształ... — Pan Hutorowicz zwiesił głowę i zacisnął palce.
— Widzi pan — Róża przysunęła się do stołu i oparła ręce na lśniącym blacie. — Muszę się do czegoś przyznać. Wówczas, na ulicy Clovisa, dał mi pan kartkę. Zanim wręczyłam ją hiszpańskiemu lokajowi, przeczytałam. Bardzo się tego wstydzę, ale musiałam... — pochyliła się nad stołem. — I tam też był ten człowiek. Pan go nazywa „D" — wstrząsnęła się. — Straszny człowiek,
prawda?
— Straszny — przytaknął pan Hutorowicz. — A był takim ślicznym dzieckiem, a i potem... Taki zdolny, żywy, czarujący. Wyglądał jak młody książę... Któż mógł się spodziewać?
— I dlaczego?
— Właśnie, dlaczego? — pan Hutorowicz rozłożył ręce. — Bogu jednemu wiadomo. On tylko wie, co siedzi w człowieku i co z niego wychodzi w jakiejś chwili, może najważniejszej w życiu.

— „D"... Czy to imię? — spytała lękliwie.
— Imię rzymskiego męczennika, chrześcijanina, straconego za czasów Dioklecjana. Bohatera.
— Jak więc się nazywa?
— Damian — pan Hutorowicz wypowiedział to tak cicho,

jak gdyby głośniejszą intonacją obawiał się przywołać groźną zjawę.
Róża obejrzała się na boki. Salon był jasny, zalany słońcem, lekki wiatr poruszał białe firanki, na marmurze kominka tykał zegar. Tak cicho i tak bezpiecznie. I tak daleko od wszelkiego zła. Od człowieka imieniem Damian.
— Jak to się stało? — mimowolnie zniżyła głos.
— Nie wiadomo. Zło musiało w nim tkwić od urodzenia. Może już ojciec? Nikt go nie znał. Pan Żeran przywiózł żonę z daleka. Była wdową i miała małego synka.
— Pan Żeran? — poderwała się dysząc ciężko, jak po długim biegu.
— Pan Żeran — powtórzył. — Ojciec Zygmunta. Zygmunt był młodszym bratem Damiana. Mieli wspólną matkę.
— Więc to brat Zygmunta — Róża z trudem odzyskiwała równowagę.
— Brat przyrodni. — Pan Hutorowicz zapatrzył się w wymyślny wzór parkietowej podłogi. — Był od niego starszy o dwa lata. Wydaje mi się, że wszystko zaczęło się, gdy dorósł i zdał sobie sprawę z odmienności swojej pozycji. Zygmunt po ojcu dziedziczył majątek. Dla niego przypadłaby jedynie niewielka sumka. Musiałby ponadto opuścić dom, który uważał za własny. Świetny panicz, znany w całej okolicy z urody i elegancji, byłby może zmuszony, żeby żyć, wziąć jaki folwark w dzierżawę. A może poszedłby w świat szukać fortuny? Matka bardzo go kochała, kto wie, czy nie więcej niż Zygmunta. Pan Żeran też był dla niego dobry i nie robił żadnej różnicy między chłopcami. Ale musiała przyjść taka chwila, kiedy Damian zrozumiał.
Zapukano do drzwi i do salonu wsunął się stary służący z tacą.
— Napijemy się herbaty — pan Hutorowicz odłożył na bok Dziadusiowe kartki. — Należy nam się pokrzepić. Ta wycieczka w dawne czasy jest męcząca... i bardzo smutna — dokończył ciszej.
Pili herbatę w milczeniu, zatopieni każde z nich we .własnych myślach. Pan Hutorowicz cofał się we wspomnienia dzieciństwa i młodości. Róża

przeżywała te nowe wrażenia, kompletując jak gdyby obraz Dziadusiowej przeszłości.
Gdy służący zebrał naczynia, znowu zostali sami z tą jakąś przytłaczającą choć niewidzialną obecnością.

— Co zrobił złego? — Róża nie mogła dłużej czekać. Musiała wreszcie wiedzieć.
— Co złego? — w głosie pana Hutorowicza dźwięczał dawny ból. — Sprzedał się wrogowi, ot co — powiedział po chwili gwałtownie. — Tylko w taki sposób mógł zdobyć pieniądze, a wiele ich potrzebował. Młody, piękny i bez grosza. Tacy właśnie dostają się we władzę szatana. Przy tym ambitny i pozbawiony skrupułów. Często zastanawialiśmy się, jak człowiek tak wychowany mógł odrzucić wpajane od dziecka zasady. Okazało się też, że nie kochał nikogo, nawet matki. Ona zresztą umarła pierwsza. Pamiętam pogrzeb. Był początek wiosny. Rozpacz Zygmunta. I Damian... z kamienną twarzą. Myśleliśmy, że oniemiał z bólu. Ale on bał się, po prostu bał się, bo nie wiedział, co z nim będzie. Nikomu widać nie ufał. A przecież pana Żerana nazywał ojcem i pan Żeran był
ojcem dla niego.
— Mówi pan, że był piękny. Czy podobny do matki?
— O nie. Pani Żeranowa miała ciemne włosy, a on był jasny jak cherubin. Jego włosy miały odcień bladego złota, a w słońcu wydawały się aż srebrzyste. Oczy miał zimne jak kawałki lodu, koloru zamarzłej wody, przezroczyste. Ludzie z takimi oczami są niebezpieczni dla drugich, nie ma w nich ani źdźbła serca czy litości. Kochają wyłącznie siebie. Tak i on...
— Biedny.
— Nieszczęśliwy — poprawił pan Hutorowicz. — Widocznie brakowało w nim jakiejś struny, która porusza miłosierdzie. W ogóle obcy mu był sens tego słowa. Dla niego to pusty dźwięk, równie pozbawiony treści jak honor czy lojalność.
— A jego prawdziwy ojciec?
— Nikt nic o nim nie wiedział. Pani Żeranowa wyszła za niego wbrew woli rodziców. Wydziedziczyli ją. Zresztą, jeżeli był tak samo piękny jak syn, nie można się dziwić, że straciła głowę. Podobno zginął

tragicznie od kuli czy w pojedynku, nikt nie słyszał nic pewnego. Wdowa została bez środków do życia. Uratowało ją drugie małżeństwo.
— I pan znał... Damiana od dziecka?
— A tak. Było nas czterech chłopców w sąsiedztwie, zaprzyjaźnionych od najmłodszych lat. Kazio, Zygmunt, Damian i ja. Z początku nie wiedzieliśmy nawet, że Damian nosi inne nazwisko.

— Co zrobił złego? — Róża nie mogła dłużej czekać. Musiała wreszcie wiedzieć.
— Co złego? — w głosie pana Hutorowicza dźwięczał dawny ból. — Sprzedał się wrogowi, ot co — powiedział po chwili gwałtownie. — Tylko w taki sposób mógł zdobyć pieniądze, a wiele ich potrzebował. Młody, piękny i bez grosza. Tacy właśnie dostają się we władzę szatana. Przy tym ambitny i pozbawiony skrupułów. Często zastanawialiśmy się, jak człowiek tak wychowany mógł odrzucić wpajane od dziecka zasady. Okazało się też, że nie kochał nikogo, nawet matki. Ona zresztą umarła pierwsza. Pamiętam pogrzeb. Był początek wiosny. Rozpacz Zygmunta. I Damian... z kamienną twarzą. Myśleliśmy, że oniemiał z bólu. Ale on bał się, po prostu bał się, bo nie wiedział, co z nim będzie. Nikomu widać nie ufał. A przecież pana Żerana nazywał ojcem i pan Żeran był
ojcem dla niego.
— Mówi pan, że był piękny. Czy podobny do matki?
— O nie. Pani Żeranowa miała ciemne włosy, a on był jasny jak cherubin. Jego włosy miały odcień bladego złota, a w słońcu wydawały się aż srebrzyste. Oczy miał zimne jak kawałki lodu, koloru zamarzłej wody, przezroczyste. Ludzie z takimi oczami są niebezpieczni dla drugich, nie ma w nich ani źdźbła serca czy litości. Kochają wyłącznie siebie. Tak i on...
— Biedny.
— Nieszczęśliwy — poprawił pan Hutorowicz. — Widocznie brakowało w nim jakiejś struny, która porusza miłosierdzie. W ogóle obcy mu był sens tego słowa. Dla niego to pusty dźwięk, równie pozbawiony treści jak honor czy lojalność.
— A jego prawdziwy ojciec?
— Nikt nic o nim nie wiedział. Pani Żeranowa wyszła za niego wbrew woli rodziców. Wydziedziczyli ją. Zresztą, jeżeli był tak samo piękny

jak syn, nie można się dziwić, że straciła głowę. Podobno zginął tragicznie od kuli czy w pojedynku, nikt nie słyszał nic pewnego. Wdowa została bez środków do życia. Uratowało ją drugie małżeństwo.
— I pan znał... Damiana od dziecka?
— A tak. Było nas czterech chłopców w sąsiedztwie, zaprzyjaźnionych od najmłodszych lat. Kazio, Zygmunt, Damian i ja. Z początku nie wiedzieliśmy nawet, że Damian nosi inne nazwisko.

— A jak się nazywa?
— Wolałbym nie mówić.
— Dlaczego?
— Lepiej tego nie znać, niech mi pani wierzy. Tak o wiele bezpieczniej.
— Dziaduś... bał się go?
— Wszyscy bali się go, bo zniszczył wielu.
— Podczas powstania, tak?
Pan Hutorowicz milcząco pokiwał głową.
— Sądziliśmy, że już nie żyje — dodał — aż oto spotkałem go koło Panteonu. Należało więc ostrzec, kogo trzeba.
— I poznał go pan? Po tylu latach?
— Poznałem bez trudu. Mało się zmienił. Jasne włosy są teraz białe, oczy zawsze lodowate, twarz jak z marmuru. Za to ja... stary dziad. Nigdy nie rozpoznałby we mnie dawnego Stefka. Panno Różo — pan Hutorowicz pozbierał rozrzucone kartki. — Dość na dziś. Za bardzo panią zmęczyłem. To okropna "sprawa. Nie można bezkarnie zanurzać się w błocie.
— Ale ja chcę...
— Wiem. Chce pani zrozumieć to wszystko, co napisał Kazio. Radzę, odłóżmy to na inny dzień. Oswoi się pani z faktami, będzie pani odporniejsza.
— Czy tam są rzeczy aż tak straszne?
— Wystarczająco straszne, by zburzyć pani spokój. Proszę mnie posłuchać, moje dziecko.
— Jak pan uważa — zgodziła się niechętnie.
W głowie kłębiły się myśli, przed oczy nachodziły obrazy, w uszach szemrały jakieś głosy, a wszystko było rozpaczą i bólem.
Dopiero gdy wstała, poczuła, jak jest słaba.

Pan Hutorowicz otworzył drzwi salonu i wydał polecenie służącemu. Po chwili zawiadomiono, że konie czekają.
W westybulu natknęła się na Miguela Toreno.
— Jak dobrze, że pan jest — chwyciła się ramienia lokaja. — Tak mi ciężko...
Wyprowadził ją na ulicę i pomógł wsiąść do powozu.
— Pojedzie pan ze mną? — obejrzała się, opadając na poduszki.
— Pojadę.

Zanim wsiadł, powiedział coś woźnicy, ale co powiedział, nie dosłyszała.
Zamiast w stronę miasta konie uniosły ich w przeciwnym kierunku. Skręciły z bulwaru Montparnasse na nie brukowaną drogę, przecięły niedawno wytyczoną szeroką ulicę, chwilę biegły wzdłuż cmentarnego muru, by wreszcie zanurzyć się w czystej zieleni podparyskiej wsi.
Róża płakała cicho przytulona do ramienia Hiszpana, który obejmował ją jedną ręką, drugą trzymając jej bezwładne palce. Tym razem usiadł obok niej na wyraźne jej zaproszenie.
Właściwie sama nie wiedziała, co popchnęło ją ku niemu, co kazało szukać schronienia u tego mocnego człowieka, jedynego, który mógł ją obronić przed wszelkimi okropnościami życia.
Nie potrzebowała już dalszych wyjaśnień, wiedziała, kto zgubił Zygmunta. Rozumiała teraz nieufność Dziadusia, jego lęk przed rodakami i wynikające stąd odosobnienie. W obecnej chwili podzielała nawet jego obawy.
Miguel Toręno nie przerywał milczenia, jak gdyby domyślał się, co było przyczyną łez.
— Panie Toreno — Róża mocniej przywarła twarzą do szorstkiej tkaniny. — Żeby pan wiedział...
— Wiem — odparł spokojnie, mocniej otaczając ramieniem jej plecy.
— Dlaczego jest pan dla mnie taki dobry? — wyszlochała w nowym ataku płaczu. — Nie zasługuję na to.
— Pani wie, dlaczego — powiedział cicho przytulając policzek do ronda jej kapelusza.
— I pomimo mojej niegodziwości...

— Proszę tak nie mówić. Nigdy nie była pani niegodziwa. To są po prostu uprzedzenia, które pokutują jeszcze w pani świecie.
— To wcale nie jest mój świat — zaprotestowała gwałtownie. — Mego świata tu nie ma. Pozostał dalekt) stąd, w Ojczyźnie. Wie pan, zawsze myślałam, że tam nie było złych ludzi, że nie znano, co to zdrada, że był to świat bohaterów. Podłość, nikczemność istniały tu, nie tam. A teraz widzę, że i tam wówczas też byli zdrajcy i popełniali zbrodnie.
— Idealizowała pani przeszłość, a przecież ludzie zawsze i wszędzie są jednakowi. Wszystko zależy od okoliczności. Czy

na przykład zechciałaby pani kiedykolwiek przytulić się do mnie, pozwolić, żebym panią objął i trzymał, tak jak teraz, gdyby nie smutek? Jest pani smutna i dlatego zapomina, kim jestem.
— Nie, nie — poruszyła się niespokojnie. — Myli się pan. Zawsze chciałam...
— Co pani chciała, Różo?
Podniosła ku niemu zapłakaną twarz i zapuchnięte oczy.
— Wiem, jaka jestem teraz brzydka — powiedziała mężnie — ale pan i tak...
— Oczywiście — przytaknął. — Dla mnie jest pani najpiękniejsza. Nie potrzebuję chyba mówić.
— Niech pan mówi — poprosiła. — Nigdy dotąd nie powiedział mi pan tego.
— Jakże mogłem? Pani Zelia pouczyła mnie, jak traktować panienkę.
— Zelia... — powiedziała z przekąsem, ponownie chowając twarz w szorstkiej materii.
— Czy pani się wstydzi? — zapytał niespokojnie.
— Tak, bardzo się wstydzę. Jakże byłam głupia! Przecież pan mógł mnie znienawidzić!
— Znienawidzić? — zaśmiał się cicho. — Tego nigdy nie zdołałaby pani dokonać.
— Tak pana krzywdziłam, a pan odpłacał mi dobrocią.
— O nie — zaprzeczył. — Pani wie, że to nie jest dobroć.
— Wiem — szepnęła i zamknęła oczy. Boże, jaka była szczęśliwa!

Zbyt szybko zleciało to cudowne lato, gdy każdy ranek zapowiadał dzień pełen zachwycających wrażeń. Róży zdawało się, że uniesiono ją w jakieś odległe rejony nieziemskiej wręcz szczęśliwości.
Zelia za to była coraz bardziej chmurna, coraz podejrzliwiej przyglądała się dziewczynie, która z każdym tygodniem zyskiwała jak gdyby na urodzie.
Mela i Antoś także dostrzegli zmianę.
— Tak rzadko jesteś teraz w domu — poskarżył się brat, gdy po raz czwarty w nowej błękitnej sukni brała ze stolika rękawiczki.

— Już nas nie kochasz — zawtórowała Mela, patrząc w odbitą w lustrze zarumienioną twarz opiekunki.
— Ależ dzieci — Róża zatrzymała się w progu sypialni — co za głupstwa przychodzą wam do głowy!
— Mają rację — zamruczała Zelia. — Już czwarte popołudnie w tym tygodniu spędzasz poza domem.
— Wiesz przecież, że jadę do pana Hutorowicza — usprawiedliwiała się niezręcznie. — Przysyła po mnie konie.
— Tak, tak — Zelia pokiwała głową. — Powóz czeka pod kościołem, a jakże, widać go aż stąd. Piękny, wygodny powóz.
— Doprawdy, Zełio, o co ci chodzi? Czyż mam odmawiać sobie przyjemności spędzenia paru godzin wśród rodaków? To ludzie starsi i stateczni i wiesz przecież, o czym się tam rozmawia.
— Wiem, wiem, naturalnie. — Zelia zamilkła i spuściła głowę, wyraźnie unikając wzroku „panienki".
Wszystko, co Róża mówiła, było prawdą. Nie mówiła tylko, że w powrotnej drodze towarzyszył jej zazwyczaj kruczowłosy mężczyzna o błyszczących oczach.
W salonie rotmistrza Brackiego na bulwarze Montparnasse rzeczywiście ciekawe roztrząsano sprawy. Ubolewano na przykład, że Prusacy zaleli Paryż, że pełno ich w restauracjach, w teatrach, w operze, na przejażdżce w Lasku. Cała pruska młodzież zjeżdża do Paryża i bawi się do utraty tchu!
— Bardzo dobrze — cieszą się niektórzy. — Niech rzucają pieniędzmi! Pruskie złoto zostanie przynajmniej we Francji.

O tak, dużo pruskiego złota wpadało wówczas we francuskie kiesy. Kobiety, kolacyjki, konie i ekwipaże — to sporo kosztuje, a przy okazji pruscy lejtnanci i bogaci junkrzy ze śląskich puszcz nabierali w Paryżu poloru i światowych manier.
Aż z odległych ziem płynęło to złoto do paryskich traktierni i domów gry, aż ze starego polskiego Śląska, który obsiadły pruskie rody. Najbogatszy wśród tych Ballestremów, Schaffgotschów czy książąt Hohenlohe panoszących się w piastowskiej Pszczynie był bez wątpienia hrabia — obdarzony później tytułem książęcym — Gwidon Henckel von Donnersmarck.
Z hut i kopalń Śląska można było wyciągnąć wiele pieniędzy, kominy dymiły tam dzień i noc. Dzień i noc górnicy opuszczali

— Już nas nie kochasz — zawtórowała Mela, patrząc w odbitą w lustrze zarumienioną twarz opiekunki.
— Ależ dzieci — Róża zatrzymała się w progu sypialni — co za głupstwa przychodzą wam do głowy!
— Mają rację — zamruczała Zelia. — Już czwarte popołudnie w tym tygodniu spędzasz poza domem.
— Wiesz przecież, że jadę do pana Hutorowicza — usprawiedliwiała się niezręcznie. — Przysyła po mnie konie.
— Tak, tak — Zelia pokiwała głową. — Powóz czeka pod kościołem, a jakże, widać go aż stąd. Piękny, wygodny powóz.
— Doprawdy, Zelio, o co ci chodzi? Czyż mam odmawiać sobie przyjemności spędzenia paru godzin wśród rodaków? To ludzie starsi i stateczni i wiesz przecież, o czym się tam rozmawia.
— Wiem, wiem, naturalnie. — Zelia zamilkła i spuściła głowę, wyraźnie unikając wzroku „panienki".
Wszystko, co Róża mówiła, było prawdą. Nie mówiła tylko, że w powrotnej drodze towarzyszył jej zazwyczaj kruczowłosy mężczyzna o błyszczących oczach.
W salonie rotmistrza Brackiego na bulwarze Montparnasse rzeczywiście ciekawe roztrząsano sprawy. Ubolewano na przykład, że Prusacy zaleli Paryż, że pełno ich w restauracjach, w teatrach, w operze, na przejażdżce w Lasku. Cała pruska młodzież zjeżdża do Paryża i bawi się do utraty tchu!

— Bardzo dobrze — cieszą się niektórzy. — Niech rzucają pieniędzmi! Pruskie złoto zostanie przynajmniej we Francji.
O tak, dużo pruskiego złota wpadało wówczas we francuskie kiesy. Kobiety, kolacyjki, konie i ekwipaże — to sporo kosztuje, a przy okazji pruscy lejtnanci i bogaci junkrzy ze śląskich puszcz nabierali w Paryżu poloru i światowych manier.
Aż z odległych ziem płynęło to złoto do paryskich traktierni i domów gry, aż ze starego polskiego Śląska, który obsiadły pruskie rody. Najbogatszy wśród tych Ballestremów, Schaffgotschów czy książąt Hohenlohe panoszących się w piastowskiej Pszczynie był bez wątpienia hrabia — obdarzony później tytułem książęcym — Gwidon Henckel von Donnersmarck.
Z hut i kopalń Śląska można było wyciągnąć wiele pieniędzy, kominy dymiły tam dzień i noc. Dzień i noc górnicy opuszczali

się na dno wyrąbanych kilofem korytarzy, by hrabia Gwidon mógł szaleć w dalekim Paryżu.
Bo Paryż olśniewał tych „wschodnich barbarzyńców" — jak ich tu nazywano — przyciągał niczym magnes drobiny owej stali, z której przyjaciel Donnersmarcka Alfred Krupp odlewał swoje armaty.
O Paryżu śnili zarówno oficerowie garnizonu ponurego Berlina czy osiadli w najeżonych basztami zamkach hreczkosi je, jak i fabrykanci nadający ton przemysłowej Europie.
Trudno przecież okrągły rok tkwić w koszarach, w gotyckich komnatach obronnego zamku lub w kupieckim kantorze. Człowiek musi mieć chwilę wytchnienia i zabawy, a gdzież lepiej zabawić się, jak nie w Paryżu? Wszystko tam służy zaspokojeniu najśmielszych nawet zachcianek, wszystko jest rozkoszą dla oczu, uszu i podniebienia, a już weselszego towarzystwa nie znalazłbyś w żadnej z europejskich stolic!
Nie tylko ci, co mogą szastać złotem, ciągną do Paryża. Spieszą tam i tacy, którzy z tym miastem wiążą największe nadzieje: a więc wszelkiego rodzaju awanturnicy, gracze i oszuści, kobiety, które dawno utraciły wstyd i nie przebierają w środkach, byle trafić na dostatecznie bogatego protektora. Wówczas — jeśli natura nie poskąpiła im urody — porzucają szwalnię czy ladę sklepową, zamieniając skromną lub wręcz ubogą, lecz uczciwą, egzystencję na życie błyskotliwe, próżniacze i wystawne, zepchnięte jednak w rejony tak zwanego półświatka.

Wśród wielu takich istot, co jak olśniewające meteory zajaśniały na chwilę na paryskim niebie Drugiego Cesarstwa, nie można nie wspomnieć pani Paivy, którą jedynie dostawcy tytułowali markizą, a ogół paryżan zwał po prostu Paivą.
Dama owa dobiegała wówczas pięćdziesiątki, miała dwa podbródki, kilka kilogramów kosztowności i pałac przy Polach Elizejskich.
Zanim jednak zdobyła te wymarzone szczyty, zanim obwieszona klejnotami przestąpiła ozdobną bramę własnego pałacu, zaznała najbardziej upadlającej nędzy brudnych zaułków: stolica cywilizowanego świata odkryła przed nią najhaniebniejsze ze swoich tajemnic.
Nędza nie potrafiła jej złamać. Zdumiewająca była doprawdy

odporność tej kobiety. Dzięki temu przetrwała wszystko i osiągnęła cel.
Gdzie się urodziła? W Moskwie, w Nysie czy we Wrocławiu? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że była córką żydowskiego krawca, borykającego się z biedą całe życie i choć nazywała się Sara Lachmann, przybierała sobie w trakcie burzliwej egzystencji tak poetyczne imiona jak Paulina, Teresa, Blanka.
W bardzo młodym wieku porzuciła dom rodzinny, bo nędzne bytowanie w ojcowskim warsztacie nie było po jej myśli.
Pierwszym, który pomógł jej wznieść się na nieco wyższy szczebel społecznej drabiny, był francuski krawiec osiadły w Moskwie. Ożenił się nawet z tą żądną uciech dziewczyną o niebanalnej urodzie i wspaniałych oczach.
Ale i jego dom, i niski stan niedługo jej odpowiadały. Zostawiwszy dziecko i zabrawszy mężowskie oszczędności uciekła do Paryża, nieosiągalnego dotąd celu marzeń podobnych jej istot.
Upadła najniżej, jak tylko można, zanim zjawił się królewicz z bajki, który wyprowadził kopciuszka spod osmolonego komina i triumfalnie ukazał królewnę całemu światu. Rolę tę odegrał — zresztą znakomicie — słynny pianista, Henryk Herz.
Zamieszkali razem, uchodząc za małżeństwo.
Była żona moskiewskiego krawca odkryła w sobie nie podejrzewany nawet talent wydawania pieniędzy. Coraz większe sumy szły na coraz droższe toalety, na coraz wspanialszą biżuterię. W salonie „Madame Herz" bywali najwięksi artyści nie tylko Francji: Aleksander Dumas syn, Teofil Gautier, młody Juliusz Verne, sam nawet Wagner.

Paryż spełnił z nawiązką jej nadzieje. Z małym jednak wyjątkiem, oto Tuilerie ciągle pozostawały przed nią zamknięte. Podobnie jak pozostały zamknięte wszystkie tak zwane przyzwoite domy.'W jej salonie nie bywała też żadna szanująca się kobieta.
Gdy zaproszono raz Herza z koncertem do Tuileriów, uparła się pojechać z nim razem, by wreszcie narzucić opornym niepożądaną dotąd obecność. Niestety! Nie pozwolono jej nawet wysiąść z karety! Wysza-merowany szambelan oznajmił pianiście, że sam jest tylko oczekiwany, bez Madame.
190
odporność tej kobiety. Dzięki temu przetrwała wszystko i osiągnęła cel. Gdzie się urodziła? W Moskwie, w Nysie czy we Wrocławiu? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że była córką żydowskiego krawca, borykającego się z biedą całe życie i choć nazywała się Sara Lachmann, przybierała sobie w trakcie burzliwej egzystencji tak poetyczne imiona jak Paulina, Teresa, Blanka.
W bardzo młodym wieku porzuciła dom rodzinny, bo nędzne bytowanie w ojcowskim warsztacie nie było po jej myśli.
Pierwszym, który pomógł jej wznieść się na nieco wyższy szczebel społecznej drabiny, był francuski krawiec osiadły w Moskwie. Ożenił się nawet z tą żądną uciech dziewczyną o niebanalnej urodzie i wspaniałych oczach.
Ale i jego dom, i niski stan niedługo jej odpowiadały. Zostawiwszy dziecko i zabrawszy mężowskie oszczędności uciekła do Paryża, nieosiągalnego dotąd celu marzeń podobnych jej istot.
Upadła najniżej, jak tylko można, zanim zjawił się królewicz z bajki, który wyprowadził kopciuszka spod osmolonego komina i triumfalnie ukazał królewnę całemu światu. Rolę tę odegrał — zresztą znakomicie — słynny pianista, Henryk Herz.
Zamieszkali razem, uchodząc za małżeństwo.
Była żona moskiewskiego krawca odkryła w sobie nie podejrzewany nawet talent wydawania pieniędzy. Coraz większe sumy szły na coraz droższe toalety, na coraz wspanialszą biżuterię. W salonie „Madame Herz" bywali najwięksi artyści nie tylko Francji: Aleksander Dumas syn, Teofil Gautier, młody Juliusz Verne, sam nawet Wagner.
Paryż spełnił z nawiązką jej nadzieje. Z małym jednak wyjątkiem, oto Tuilerie ciągle pozostawały przed nią zamknięte. Podobnie jak pozostały

zamknięte wszystkie tak zwane przyzwoite domy.'W jej salonie nie bywała też żadna szanująca się kobieta.
Gdy zaproszono raz Herza z koncertem do Tuileriów, uparła się pojechać z nim razem, by wreszcie narzucić opornym niepożądaną dotąd obecność. Niestety! Nie pozwolono jej nawet wysiąść z karety! Wysza-merowany szambelan oznajmił pianiście, że sam jest tylko oczekiwany, bez Madame.
190
Wściekłość omal jej nie zadusiła. Wracała jak niepyszna, za-przysięgając Tuileriom zemstę.
Wkrótce zagrożonego ruiną pianistę oburzona rodzina „wyrwała ze szponów awanturnicy" — jak oświadczono — i tak zakończył się pierwszy etap paryskich triumfów przyszłej markizy.
Potem przygarnął ją Londyn w osobie niejakiego lorda Stanleya, a potem znowu był Paryż, a wszystko już w największym przepychu, wspaniałych apartamentach, wśród służby i wielbicieli.
A potem nagle dowiedziała się o zgonie legalnego małżonka, owego krawca, którego niegdyś poślubiła w Moskwie. Była więc wolna i mogła zawrzeć nowy związek, tym razem postanowiła kupić sobie odpowiedniego męża.
Kandydat trafił się bez trudu, autentyczny portugalski markiz, Jose de Paiva, stary i bez grosza, a więc łatwy do nabycia. Nie był kłopotliwy. Za odpowiednią sumę posłusznie wyniósł się do Portugalii.
Pani markiza sądziła, że teraz uchylą się przed nią drzwi domów nieprzejednanego dotąd „towarzystwa". Pomyliła się jednak i tym razem. Wynagrodziła to sobie w inny sposób, zapraszając wybitnych ludzi owej epoki, których przyciągała do jej domu zarówno uroda i talenty gospodyni, jak i doskonała kuchnia. Mimo wielu kochanków nie natrafiła dotąd na „mężczyznę swego życia". Dopiero młody, bo młodszy od niej o jedenaście lat, hrabia Gwidon Henckel von Donnersmarck okazał się wybrańcem, na którego czekała.
Prusak oszalał. To on wybudował dla niej ów pałac na Polach Elizejskich. Zakochany bez pamięci, pierwszy raz, nie liczył, lecz rzucał złotem jak piaskiem. Mógł sobie na to pozwolić! Złoto z kopalń i hut Śląska zapewniało Paivie iście królewski przepych. Donnersmarck na nic nie żałował.

Z nienawiści do Tuileriów Paiva stanęła po stronie Prus, a stali bywalcy jej salonów bezwiednie pracowali na zgubę własnej ojczyzny, dostarczając wrogowi cennych informacji. Minister Bismarck zacierał ręce. Rosły zasługi Donnersmarcka. Tytuł książęcy był słuszną nagrodą za pruski patriotyzm.

Naturalnie w obecności Róży na bulwarze Montparnasse nie poruszano tak drastycznych tematów, nie mówiono o Paivie, nie wymieniano nawet jej nazwiska. Nie godziło się wobec młodej

dziewczyny rozgrzebywać alkowianych brudów ladacznicy. Jednakże Paiva zbyt wielkim cieszyła się rozgłosem, by Róża o niej nie słyszała. Parę razy minęła pałac przy Polach Elizejskich — zawsze stały przed nim karety i powozy znacznych gości — co skromniejsi zadowalali się zwykłym fiakrem.

Panny ze szwalni także interesowały się Paivą, wzdychając z zazdrością nad „szczęściem" podobnej im przecież wyrobnicy. Jej wygląd, a głównie toalety no i otaczający ją zazwyczaj zbytek roztrząsano długo i szeroko, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu skandalicznego żywota.

— Dosyć, panny, do roboty — pani Benoit zazwyczaj przerywała te ciekawe, acz niestosowne w podobnym miejscu rozmowy.

A roboty było znowu dużo, także i u hafciarki.

Wraz z nadejściem jesieni skończyły się wizyty w gościnnym domu rotmistrza Brackiego. Róża w codziennej ciemnej sukni wbiegała każdego ranka na schody bocznego skrzydła pałacu. Miguel Toreno przestał być pasażerem eleganckiego powozu, znowu przywdział liberię i z rzadka tylko widywała go na dziedzińcu lub wówczas, gdy wpadał na chwilę do jej pracowni.

Jesień była brzydka, dżdżysta i chłodna, ale Róża nie odczuwała smutku, który taka pogoda zazwyczaj w niej wywoływała. Była szczęśliwa, ufna i spokojna, choć on nie powiedział dotąd, że ją kocha. Właściwie nie było to potrzebne, wszystko w nim bowiem mówiło o miłości, ale tych dwóch małych słówek, które tak gorąco pragnęła usłyszeć, nie powiedział nigdy. Usprawiedliwiała go, cóż bowiem mógł jej zaofiarować prócz miłości? Ale czy nie było to wszystko, czego potrzebowała? Bolała ją jego przypuszczalnie zraniona duma, choć nieraz powiedziała mu wyraźnie, że o nic innego jej nie chodzi. Był dla niej jedynym mężczyzną liczącym się w życiu i nawet gdyby jakiś książę krwi poprosił ją o rękę, odmówiłaby

bez chwili wahania, przenosząc lokaja nad największych panów tego świata.
Kochała go i była spokojna, ale jak bardzo go kochała, zrozumiała dopiero wówczas, gdy go miała utracić.
Pewnego wieczoru zapukał do drzwi pracowni, gdy Róża składała robotę, wybierając się do domu.
— Czy mogę panią zatrzymać? — jego poważna twarz i smutne spojrzenie przejęły ją lękiem.

Od razu wiedziała, że czeka ją coś złego.
— Muszę wyjechać — powiedział cicho — na długo, może na bardzo długo.
— Wyjechać? — powtórzyła zdławionym głosem. — Czy... do Hiszpanii?
— Nie — odparł spuszczając oczy — dużo dalej.
— W służbie cesarza, tak? — dopytywała się niespokojnie.
— Nie, nie w służbie cesarza — podniósł na nią wzrok. — Nie będę już nosił liberii — dodał po chwili.
— Czy... ze względu na mnie? Bo jeżeli tak, przecież pan wie, to nie ma żadnego znaczenia... Nic nie ma znaczenia...
— Wiem — przerwał jak gdyby w obawie, by nie powiedziała zbyt wiele. — Jeżeli wrócę, dowie się pani o wszystkim.
— Jeżeli pan wróci? Jak to? Co to znaczy?
— To znaczy, że jeżeli nie wrócę, rodacy pani nie opuszczą. Pan Hutorowicz pozostanie pani wiernym przyjacielem.
— Dlaczego pan Hutorowicz? A co pan? Dokąd pan jedzie? — prawie krzyknęła. — Muszę wiedzieć.
— Będzie pani wiedziała, ale później. — Nagle zmienił ton. — Mój adres pani ma, prawda? W razie czego niech Zelia tam zostawi list. No i pan Hutorowicz. Jemu może pani we wszystkim zaufać.
— Co to znaczy? — powtórzyła. — Chcę wiedzieć.
— Rozumiem — pokiwał głową. — Ma pani prawo wiedzieć, ale ja, niestety, nie mam prawa zdradzić tajemnicy.
— Więc to tajemnica?
— Tak.
— Wszystko w panu jest tajemnicą — stwierdziła z goryczą — pana związek z bulwarem Montparnasse... To przecież są spiskowcy, polscy

spiskowcy. Dlaczego więc pan?... — Chwilę czekała na odpowiedź, która nie nadchodziła. — Czy i tego nie wolno mi wiedzieć?
— Różo — głos mu drżał i drżały ręce, gdy ujmował jej zimne dłonie. — Tak mi ciężko, że muszę mieć przed panią sekrety, ale wiąże mnie przysięga. Pani przecież wie, że nie splamiłbym się hańbiącym czynem, więc i to...
Nie mogła dręczyć go dłużej bezcelową indagacją. Widziała przecież ból w jego oczach, wiedziała, że jeżeli milczy, czyni to

z jakiegoś bardzo ważnego obowiązku. Zresztą, czy to miało znaczenie wobec czekającego ich rozstania? Cóż by jej dało poznanie celu jego podróży, skoro ta podróż i tak jest nieunikniona i nawet jej miłość nie ma dość siły, by go zatrzymać?
Podeszła do niego blisko, tak blisko, że jej włosy musnęły mu policzek.
— Jeżeli tak trzeba — zaczęła.
— Tak trzeba — przerwał. — Są jeszcze nieszczęśliwsi od nas. Ale ja wrócę. Do pani — dokończył szeptem.
Nie opierała się, gdy ją przyciągnął do siebie, gdy ujmował jej ręce, gdy wtulał w nie twarz i całował. Każdy naznaczony igłą palec. A potem oderwał się od niej i postąpił ku drzwiom.
— Z Bogiem — głos miał lekko schrypły. — Zostawiam panią z Bogiem — i szybko wyszedł.
— Z Bogiem — powtórzyła, ale on zbiegał ze schodów i nie słyszał jej pożegnania.
Wszystko było nudą i szarością, ledwie święta Bożego Narodzenia wyrwały Różę ze zwykłej dla niej teraz apatii. Zelia za to odzyskała humor i energię, Mela znowu była rada z opiekunki, a i Antoś, podczas niedzielnej czy świątecznej bytności w domu cieszył się, że siostra, jak dawniej, okazuje zainteresowanie jego sprawami.
W listopadzie poruszyła ją śmiertelna — ostatnia już — choroba Rossiniego. Gazety pisały dużo o włoskim kompozytorze od lat osiadłym w Paryżu. Przed domem w Passy, gdzie dogorywał maestro, gromadziły się tłumy wielbicieli. Co dzień rano marszałek Vaillant w imieniu cesarza fatygował się osobiście po nowiny o stanie chorego. Lekarze nie robili

żadnej nadziei na poprawę. "W wyłożonej w westybulu księdze gości wpisywali się ambasadorzy i ministrowie, sławy świata nauki i sztuki. Piętnastego listopada było po wszystkim. Na własną śmierć Rossi-ni skomponował „Stabat", które artyści opery wykonali podczas żałobnego nabożeństwa. Róża nie mogła docisnąć się do kościoła Świętej Trójcy, gdzie odprawiono mszę za duszę zmarłego i wyśpiewano ostatnie arcydzieło — zamówienie zza grobu.
194
z jakiegoś bardzo ważnego obowiązku. Zresztą, czy to miało znaczenie wobec czekającego ich rozstania? Cóż by jej dało poznanie celu jego podróży, skoro ta podróż i tak jest nieunikniona i nawet jej miłość nie ma dość siły, by go zatrzymać?
Podeszła do niego blisko, tak blisko, że jej włosy musnęły mu policzek.
— Jeżeli tak trzeba — zaczęła.
— Tak trzeba — przerwał. — Są jeszcze nieszczęśliwsi od nas. Ale ja wrócę. Do pani — dokończył szeptem.
Nie opierała się, gdy ją przyciągnął do siebie, gdy ujmował jej ręce, gdy wtulał w nie twarz i całował. Każdy naznaczony igłą palec. A potem oderwał się od niej i postąpił ku drzwiom.
— Z Bogiem — głos miał lekko schrypły. — Zostawiam panią z Bogiem — i szybko wyszedł.
— Z Bogiem — powtórzyła, ale on zbiegał ze schodów i nie słyszał jej pożegnania.
Wszystko było nudą i szarością, ledwie święta Bożego Narodzenia wyrwały Różę ze zwykłej dla niej teraz apatii. Zelia za to odzyskała humor i energię, Mela znowu była rada z opiekunki, a i Antoś, podczas niedzielnej czy świątecznej bytności w domu cieszył się, że siostra, jak dawniej, okazuje zainteresowanie jego sprawami.
W listopadzie poruszyła ją śmiertelna — ostatnia już — choroba Rossiniego. Gazety pisały dużo o włoskim kompozytorze od lat osiadłym w Paryżu. Przed domem w Passy, gdzie dogorywał maestro, gromadziły się tłumy wielbicieli. Co dzień rano marszałek Vaillant w imieniu cesarza fatygował się osobiście po nowiny
0 stanie chorego. Lekarze nie robili żadnej nadziei na poprawę. W wyłożonej w westybulu księdze gości wpisywali się ambasadorzy
1 ministrowie, sławy świata nauki i sztuki.

Piętnastego listopada było po wszystkim. Na własną śmierć Rossi-ni skomponował „Stabat", które artyści opery wykonali podczas żałobnego nabożeństwa. Róża nie mogła docisnąć się do kościoła Świętej Trójcy, gdzie odprawiono mszę za duszę zmarłego i wyśpiewano ostatnie arcydzieło — zamówienie zza grobu.

Święta przerwały monotonię zimowych dni, a już wizyta pana Hutorowicza, który z gwiazdkowymi prezentami zjawił się na ulicy Świętego Rocha, przywróciła blask oczom i rumieniec ożywienia na twarzy dziewczyny.

Antoś — jak zwykle w tym dniu — bawił w Tuileriach, Melę zaprosiła pani Pommier, sąsiadka z góry — jej kotka miała właśnie małe. Róża była uszczęśliwiona przyjmując u siebie starego przyjaciela. Zelia podała herbatę i świąteczny placek, z kominka płynęło ciepło, a przystrojona choinka w kącie pokoju podkreślała uroczysty nastrój owego dnia.

Pan Hutorowicz był teraz dla Róży jak gdyby odbiciem Dziadu-sia. Znał przeszłość i wszystkie zawiłe tajemnice owych strasznych czasów. Wiele o tym rozmawiali w ciągu lata, roztrząsając znalezione w skrytce zapiski. Leżały tam znowu, na starym miejscu, tak, jak je zostawił Zmarły.

— Zygmunt znikł, przepadł jak kamień w wodzie — szemrał głos starego rodaka w salonie rotmistrza Brackiego. — Szukaliśmy go, ale gdzież można było szukać, kiedy wszędzie wojna? Straszne działy się rzeczy, szczęście, że stary pan Żeran tego nie doczekał. A Zygmunt kochał brata, podziwiał go, ufał ślepo i patrzył w niego jak w obraz. Wyobraża sobie pani — starszy brat! A on umiał podejść człowieka, każdego potrafił owinąć dokoła palca. Miał dar wymowy, przekonywania...

— I co z Zygmuntem? — pytała chciwie, Zygmunt bowiem stanowił punkt centralny, wokół którego toczyły się rozmowy.

— Nie wiadomo. — Pan Hutorowicz rozkładał ręce. — Dziś był, a nazajutrz już go nie było. Ot co. Jedno tylko jest pewne: nie poległ w potyczce i nie dostał się do niewoli. Najgorsze, że i my długo nie podejrzewaliśmy Damiana. Nie zmieściłoby się nam w głowie, że brat Zygmunta... Brat Zygmunta — powtórzył ciszej i zamyślił się.

Smutne wiedli tego lata rozmowy. Róża poznawała powoli tragiczną prawdę, którą Dziaduś ukrywał przed nią tyle czasu.

— Dlaczego nic mi o tym nie powiedział? — poskarżyła się raz.

— Nie chciał sączyć jadu w pani młode serce — odparł starzec. — Po cóż przedwcześnie poznawać najciemniejsze zakamarki ludzkiej natury? Życie i tak — prędzej czy później — podejmie

się trudnej roli nauczyciela. Nikt tego, niestety, nie uniknie, chyba że skryje się na pustyni.
Na ponumerowanych i oznaczonych datą kartkach Dziaduś systematycznie zapisywał wszelkie tyczące Damiana wypadki. Najbardziej dramatyczna była wiadomość z piątego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku.
„Widziałem go dziś, koło katedry Notre-Dame. Stał wśród kwiaciarek zapatrzony w pachnące bukiety. Zawsze lubił kwiaty, po prostu za nimi przepadał. Matka podzielała jego gusta. Pamiętam. W domu o każdej porze roku było jak w cieplarni. Gdy go więc zobaczyłem, jak stał oblany słońcem, szczupły i prosty jak młodzieniec, nogi wrosły mi w ziemię, myślałem, że kroku dalej nie zdołam uczynić. Co mnie teraz czeka? — pytałem bezgłośnie. Jego ukazanie się — jak pojawienie się komety — zawsze zwiastowało nieszczęście. Tak było w styczniu pięćdziesiątego ósmego roku, gdy zginął Stach. Tak było i przedtem, na dwa tygodnie zanim zmarła Józia. A teraz, co będzie? Czyja teraz kolej? Czy mo-ja?"
Róża wie, że wkrótce potem umarła jej matka. Co to więc znaczy?
— To znaczy — odpowiadał wówczas pan Hutorowicz — że jest to człowiek przeklęty i nie ma dla niego ratunku.
— O nie — zaprotestowała. — Nawet dla takiego człowieka jest zawsze otwarta droga do poprawy.
Pan Hutorowicz uśmiechał się pobłażliwie.
— Nie wie pani, jakie zbrodnie popełnił i popełnia nadal. Tu też giną ludzie i próżno policja przeszukuje miasto. Przepadają, podobnie jak Zygmunt, choć tu nie ma wojny ani powstania, ani wrogich armii. Jakiś czas piszą o tym gazety, a potem i gazety przestają pisać. A tymczasem człowiek ginie, ot, rozpływa się w powietrzu. Gdzie przepada? Bóg to jeden wie.
— I sądzi pan, że to Damian?
— Nie sądzę, moje dziecko, a wiem. I nie tylko ja. Są na to dowody. W każdym z takich przypadków użyto podstępu, sfałszowany list,

podstawiona osoba. Trudno z tym walczyć. Naj ostrożniej si padali ofiarą. I nie tylko Polacy.
— Jak to? Francuzi także?
— I Francuzi — skinął głową.

się trudnej roli nauczyciela. Nikt tego, niestety, nie uniknie, chyba że skryje się na pustyni.
Na ponumerowanych i oznaczonych datą kartkach Dziaduś systematycznie zapisywał wszelkie tyczące Damiana wypadki. Najbardziej dramatyczna była wiadomość z piątego maja tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego roku.
„Widziałem go dziś, koło katedry Notre-Dame. Stał wśród kwiaciarek zapatrzony w pachnące bukiety. Zawsze lubił kwiaty, po prostu za nimi przepadał. Matka podzielała jego gusta. Pamiętam. W domu o każdej porze roku było jak w cieplarni. Gdy go więc zobaczyłem, jak stał oblany słońcem, szczupły i prosty jak młodzieniec, nogi wrosły mi w ziemię, myślałem, że kroku dalej nie zdołam uczynić. Co mnie teraz czeka? — pytałem bezgłośnie. Jego ukazanie się — jak pojawienie się komety — zawsze zwiastowało nieszczęście. Tak było w styczniu pięćdziesiątego ósmego roku, gdy zginął Stach. Tak było i przedtem, na dwa tygodnie zanim zmarła Józia. A teraz, co będzie? Czyja teraz kolej? Czy mo-ja?"
Róża wie, że wkrótce potem umarła jej matka. Co to więc znaczy?
— To znaczy — odpowiadał wówczas pan Hutorowicz — że jest to człowiek przeklęty i nie ma dla niego ratunku.
— O nie — zaprotestowała. — Nawet dla takiego człowieka jest zawsze otwarta droga do poprawy.
Pan Hutorowicz uśmiechał się pobłażliwie.
— Nie wie pani, jakie zbrodnie popełnił i popełnia nadal. Tu też giną ludzie i próżno policja przeszukuje miasto. Przepadają, podobnie jak Zygmunt, choć tu nie ma wojny ani powstania, ani wrogich armii. Jakiś czas piszą o tym gazety, a potem i gazety przestają pisać. A tymczasem człowiek ginie, ot, rozpływa się w powietrzu. Gdzie przepada? Bóg to jeden wie.
— I sądzi pan, że to Damian?
— Nie sądzę, moje dziecko, a wiem. I nie tylko ja. Są na to dowody. W każdym z takich przypadków użyto podstępu, sfałszowany list,

podstawiona osoba. Trudno z tym walczyć. Najostrożniej si padali ofiarą. I nie tylko Polacy.
— Jak to? Francuzi także?
— I Francuzi — skinął głową.

— Więc skoro zobaczył go pan koło Panteonu...?
— Cały czas czekam na jakiś cios, a tymczasem, wbrew przewidywaniom, spotykają mnie same dobre rzeczy — uśmiechnął się. — Najpierw pani, a potem dawni towarzysze... I tak zostałem uratowany.
— Widzi pan, on wcale nie jest przeklęty. Może coś się w nim zmieniło? Przecież to człowiek.
— Może i człowiek — w głosie pana Hutorowicza czuło się jednak powątpiewanie.
Choć był to temat niewyczerpany — Róża mogłaby godzinami słuchać opowieści o tamtych latach — w Boże Narodzenie nie poruszano tak przykrych spraw. Pan Hutorowicz opowiedział, że do wigilijnej wieczerzy, w jadalni rotmistrza Brackiego zasiadło dwanaście osób — wszyscy jej znajomi, że pan Manczewski, ów cynamonowy jegomość, przed tygodniem złamał rękę, że wnuk pana domu, wraz z młodą żoną, na święta zjechał do Paryża.
— A... Miguel Toreno? Czy pan o nim coś wie? — nie mogła powstrzymać się, by nie zapytać o osobę dla niej najważniejszą.
— Wyjechał — odpowiedź pana Hutorowicza była aż nadto wyraźna.
Nie pytała o nic więcej, nic więcej właściwie jej nie obchodziło.
Pan Hutorowicz doczekał się powrotu dzieci i został na kolacji. Wieczór minął nad podziw przyjemnie. Pierwszy raz od wielu lat wiedziała, że mają kogoś bliskiego, że — w razie czego — mogą liczyć na życzliwość

oddanego przyjaciela. Pozbawieni krewniaków, w nim oto odnaleźli członka rodziny.
Nowy rok zapowiadał się dosyć niespokojnie, polityczne niebo Europy zasnuwały coraz ciemniejsze chmury, grożące nie tylko deszczem, ale i burzą. Stary marszałek Niel robił, co mógł, by wymusić na francuskim Parlamencie uchwalenie ustawy, pozwalającej zreorganizować armię i zwiększyć liczebność wojska.
Walka była zacięta, opozycja tłumiła wszelkie próby reform, koniecznych przecież dla polepszenia obronności kraju.
Republikanin Juliusz Favre rzucał Izbie pytanie: „Co popycha narody do wojny?", i odpowiadał: „To, że nie są one wolne.

— Więc skoro zobaczył go pan koło Panteonu...?
— Cały czas czekam na jakiś cios, a tymczasem, wbrew przewidywaniom, spotykają mnie same dobre rzeczy — uśmiechnął się. — Najpierw pani, a potem dawni towarzysze... I tak zostałem uratowany.
— Widzi pan, on wcale nie jest przeklęty. Może coś się w nim zmieniło? Przecież to człowiek.
— Może i człowiek — w głosie pana Hutorowicza czuło się jednak powątpiewanie.
Choć był to temat niewyczerpany — Róża mogłaby godzinami słuchać opowieści o tamtych latach — w Boże Narodzenie nie poruszano tak przykrych spraw. Pan Hutorowicz opowiedział, że do wigilijnej wieczerzy, w jadalni rotmistrza Brackiego zasiadło dwanaście osób — wszyscy jej znajomi, że pan Manczewski, ów cynamonowy jegomość, przed tygodniem złamał rękę, że wnuk pana domu, wraz z młodą żoną, na święta zjechał do Paryża.
— A... Miguel Toreno? Czy pan o nim coś wie? — nie mogła powstrzymać się, by nie zapytać o osobę dla niej najważniejszą.
— Wyjechał — odpowiedź pana Hutorowicza była aż nadto wyraźna.
Nie pytała o nic więcej, nic więcej właściwie jej nie obchodziło.
Pan Hutorowicz doczekał się powrotu dzieci i został na kolacji. Wieczór minął nad podziw przyjemnie. Pierwszy raz od wielu lat wiedziała, że

mają kogoś bliskiego, że — w razie czego — mogą liczyć na życzliwość oddanego przyjaciela. Pozbawieni krewniaków, w nim oto odnaleźli członka rodziny.
Nowy rok zapowiadał się dosyć niespokojnie, polityczne niebo Europy zasnuwały coraz ciemniejsze chmury, grożące nie tylko deszczem, ale i burzą. Stary marszałek Niel robił, co mógł, by wymusić na francuskim Parlamencie uchwalenie ustawy, pozwalającej zreorganizować armię i zwiększyć liczebność wojska.
Walka była zacięta, opozycja tłumiła wszelkie próby reform, koniecznych przecież dla polepszenia obronności kraju.
Republikanin Juliusz Favre rzucał Izbie pytanie: „Co popycha narody do wojny?", i odpowiadał: „To, że nie są one wolne.

Gdyby nie dynastyczne interesy władców, narody nie miałyby żadnego powodu do prowadzenia wojen. Odrzucam projekt ustawy, aby pokazać Europie, że nasza Izba nie zadowala się jedynie rozprawianiem o pokoju, że deputowani, oddając głos, wiedzą, co czynią".
Inny mówca dodawał: „Militaryzm jest plagą naszej epoki", a jeszcze ktoś wołał: „Precz z armią pretorianów!"
Gdy tak deliberowano w Paryżu, z fabryk Kruppa wychodziło coraz więcej armat, coraz więcej żołnierzy Bismarck powoływał „na ćwiczenia".
Słabe tylko echa światowej polityki ledwie słyszalnym szmerem dobiegały do szwalni i do pracowni hafciarki. Tam też interesowano się sprawami pokoju i wojny, tam też opowiadano o Prusakach, coraz butniej poczynających sobie w Paryżu.
Praca nie dozwalała Róży pobiec po wiadomości na bulwar Montparnasse, a zła pogoda trzymała w domu pana Hutorowicza. Gdzieś jednak w połowie stycznia zasięgnięcie porady przyjaciela stało się koniecznością, wówczas bowiem przyszedł list od pani Narzym-skiej. Matka Meli opuściła klinikę doktora Blanche'a i wróciła do domu, do pięknego pałacyku w alei Cesarzowej. Dziękowała Róży za długotrwałą opiekę nad dziewczynką i pisała, że przeprowadziła szczerą rozmowę ze szwagrem. Młody człowiek uznał swoje błędy, przyznał się do winy i okazał taką skruchę, że nie miała serca zachować jakiejkolwiek wobec niego srogości. Zażądała jedynie, by odprawił lokaja, owego Fabiana,

cieszącego się tak niedobrą sławą. Ponieważ nieporozumienia zostały wyjaśnione, nie było powodu, by Mela przebywała dłużej poza domem. Wobec czego pani Narzymska prosi, by Róża przygotowała dziewczynkę na spotkanie z matką i na powrót do dawnego życia.
Minęły dwa dni, a Róża nie zdecydowała się jeszcze, jak zagai ten temat z Melą. Z Zelią za to o niczym innym nie mówiły. Natychmiast napisała do pana Hutorowicza pod adresem Miguela Toreno — jak ją były lokaj pouczył przed odjazdem — mieszkał bowiem niedaleko, a pan Hutorowicz był naturalnie wtajemniczony w sprawy Meli.
Adres znała na pamięć: ulica Marszałka Catinat, numer jeden.

— Wiesz, gdzie to jest, prawda? — pytała Zelię ubraną już do wyjścia.
— Pewno, że wiem — Zelia wzruszyła ramionami. — To ta krótka uliczka od placu Zwycięstw. Nie denerwuj się. Niedługo wracam.
Czekała z bijącym sercem, niespokojna i roztrzęsiona. Miguel Toreno zapewnił ją, że list zostawiony u jego konsjerżki tego samego dnia dojdzie do rąk pana Hutorowicza.
Zbliżała się pora powrotu do pracy, a Zelii jeszcze nie było.
— Spóźnisz się — Mela spojrzała na zegar. — Mogę zostać sama — zapewniła. — Wcale się nie boję. Naprawdę.
Zelia weszła do pokoju z dziwnym wyrazem twarzy i od razu zabrała Różę do kuchni. Gdy Mela chciała wejść za nimi, powiedziała szorstko:
— Nie, nie, idź się bawić — i zamknęła przed nią drzwi.
— Co się stało?
— To się stało, że Miguel Toreno nigdzie nie wyjechał — warknęła Zelia. — Aż mi się wierzyć nie chce, że to zwyczajny kłamca, taki sam jak inni.
— Co mówisz?
— Mówię, co jest. Uliczka Catinat mała, dom niewielki, owszem, przyzwoity, konsjerżki nie było, ale za firanką siedziała jej siostrzenica, młoda dziewczyna. Daję jej list i mówię, że pan Toreno wyjechał, ale jej ciotka wie, komu przekazać pismo. A ona na to: „Pan Toreno nigdzie nie wyjechał, widziałam go przed godziną, jak wychodził" — i szczerzy do mnie zęby.
— I co zrobiłaś?
— Nic, zostawiłam list i poszłam. Co ty na to?

— Nie rozumiem. Pan Hutorowicz też mówił, że wyjechał... Zapytam go.**
Poszła do Tuileriów z nieznośnym uciskiem w gardle, z szamoczącym się niespokojnie sercem, ze łzami, które zamiast spłynąć, piekły pod powiekami. Prawie nic nie zrobiła tego popołudnia, palce nie mogły utrzymać igły, tamborek wymykał się z ręki, a różnokolorowe motki jedwabiu utraciły nagle barwy, nabierając szarości popiołu.
Rozstanie z Melą było już dostatecznym ciosem, a tu jeszcze
200
jak inni.
i on, Miguel Toreno. Kłamca — powiedziała Zelia Kłamca...
Nie, nie — broniła się przeciwko oczywistej prawdzie. — Ta dziewczyna nie jest konsjerżką, nie zna lokatorów. Przecież wyjechał, pożegnał się i pan Hutorowicz powiedział to samo. Wyjechał.
Wieczorem zastała Melę na kolanach pana Hutorowicza z lalką, którą stary rodak ofiarował jej na gwiazdkę.
Nie mogła doczekać się pory, kiedy dziewczynka zazwyczaj szła spać. Dopiero gdy zamknęły się za nią drzwi sypialni, pokazała gościowi list pani Narzymskiej.
— No cóż, musi pani spełnić życzenie matki — orzekł pan Hutorowicz po przeczytaniu.
— Niepokoi mnie ten młodszy pan Narzymski — powiedziała zatroskana. — Obawiam się, że matka Meli zbyt jest łatwowierna. Zelia uważa, że to łajdak.
— Rzeczywiście nie cieszy się dobrą opinią. Szasta pieniędzmi i prowadzi dość hulaszcze życie. Ale nie on jeden ma pusto w głowie. Ustatkuje się z czasem. Podobno są jakieś projekty matrymonialne...
— I pan sądzi, że Mela może spokojnie wracać do domu?
— A cóż jej grozi?
— Nie wiem.
— Proszę więc nie martwić się niepotrzebnia No, ale ja już pójdę, zrobiło się późno.
— Jeszcze chwilę, bardzo proszę.
— Dobrze, moje dziecko. To chyba wszystko, co miała mi pani do powiedzenia?

— Nie, nie wszystko. — Nie śmiała spojrzeć w oczy przyjacielowi. — Jest jeszcze jedna sprawa. Miguel Toreno...
— O co chodzi? — pochylił ku niej siwą głowę.
— Wcale nie wyjechał — wyrzuciła. — Zelia zaniosła list, a tam powiedziano, że on przed godziną wyszedł. Więc jest w Paryżu. Czy to prawda? Proszę, niech pan powie. Muszę wiedzieć.
— To nieprawda — zaprzeczył stanowczo. — On wyjechał i jest o tysiące mil stari
201
ŻVC2eni

.
Proszę

1 j
miJ
ze]ia
inni.
»¦

stanowczo. __ o
201
— O tysiące mil stąd — powtórzyła, a potem, zawstydzona gwałtownością swojego wybuchu, szepnęła rumieniąc się: — Dziękuję, och, bardzo panu dziękuję.
— Słuchaj, Melu — Róża przygarnęła dziewczynkę, sadowiąc ją przy sobie. — Spotkało cię wielkie szczęście.
— Mamusia? — słówko wionęło tak cicho, że Róża raczej odgadła je z ruchu warg.
— Tak, mamusia. Przyjedzie dziś po południu.
— Wiedziałam, zawsze wiedziałam, że mamusia przyjedzie. I zabierze mnie, prawda?
— Tak, zabierze.
Mela nie dosłyszała smutku w głosie opiekunki. Czyż mogło teraz istnieć coś poza szczęściem?
— Mamusia, moja mamusia! — dziewczynka wstała i zaczęła krążyć po pokoju, zapatrzona w jakieś jej tylko znane obrazy.

— Melu, kochanie, czy o nas nie zapomnisz?
— Co ty? — Róża w jednej chwili znalazła się w uścisku Meli. — Ty jesteś zaraz po mamusi, tuż, tuż, a potem Zelia, no i Anto... Kiedy przyjedzie mamusia?
— O trzeciej.
— Nie pójdziesz dziś do Tuileriów, dobrze? — Mela patrzy na zegar. — Zostaniesz z nami.
— Zostanę. Chodźmy, czas zapakować twoje rzeczy.
Na łóżku Róży piętrzy się równo poskładana bielizna Meli, znaczona starannie wyhaftowanym monogramem, i jej sukienki, zimowe i letnie. Wszystko uszyte przez Różę. Pani Narzymska naturalnie wyrzuci te ubożuchne szmatki i ubierze córkę odpowiednio do jej pozycji i majątku. Róży jednak zależy, by Mela nie opuściła jej domu tylko w tym, co ma na sobie, tak jak tu kiedyś przybyła.
Dwa lata, prawie dwa lata dziewczynka stanowiła istotną część ich rodziny, a oto wychodzi z niej na zawsze. Na próżno Róża mówi sobie, że to przecież wielkie szczęście, że matka... Jakiś głuchy niepokój niczym nie uzasadniony drąży serce jak ból, na który nie ma lekarstwa.

— O tysiące mil stąd — powtórzyła, a potem, zawstydzona gwałtownością swojego wybuchu, szepnęła rumieniąc się: — Dziękuję, och, bardzo panu dziękuję.
— Słuchaj, Melu — Róża przygarnęła dziewczynkę, sadowiąc ją przy sobie. — Spotkało cię wielkie szczęście.
— Mamusia? — słówko wionęło tak cicho, że Róża raczej odgadła je z ruchu warg.
— Tak, mamusia. Przyjedzie dziś po południu.
— Wiedziałam, zawsze wiedziałam, że mamusia przyjedzie. I zabierze mnie, prawda?
— Tak, zabierze.
Mela nie dosłyszała smutku w głosie opiekunki. Czyż mogło teraz istnieć coś poza szczęściem?
— Mamusia, moja mamusia! — dziewczynka wstała i zaczęła krążyć po pokoju, zapatrzona w jakieś jej tylko znane obrazy.
— Melu, kochanie, czy o nas nie zapomnisz?

— Co ty? — Róża w jednej chwili znalazła się w uścisku Meli. — Ty jesteś zaraz po mamusi, tuż, tuż, a potem Zelia, no i Anto... Kiedy przyjedzie mamusia?
— O trzeciej.
— Nie pójdziesz dziś do Tuileriów, dobrze? — Mela patrzy na zegar. — Zostaniesz z nami.
— Zostanę. Chodźmy, czas zapakować twoje rzeczy.
Na łóżku Róży piętrzy się równo poskładana bielizna Meli, znaczona starannie wyhaftowanym monogramem, i jej sukienki, zimowe i letnie. Wszystko uszyte przez Różę. Pani Narzymska naturalnie wyrzuci te ubożuchne szmatki i ubierze córkę odpowiednio do jej pozycji i majątku. Róży jednak zależy, by Mela nie opuściła jej domu tylko w tym, co ma na sobie, tak jak tu kiedyś przybyła.
Dwa lata, prawie dwa lata dziewczynka stanowiła istotną część ich rodziny, a oto wychodzi z niej na zawsze. Na próżno Róża mówi sobie, że to przecież wielkie szczęście, że matka... Jakiś głuchy niepokój niczym nie uzasadniony drąży serce jak ból, na który nie ma lekarstwa.

Mela zbiera zabawki porozkładane w różnych kątach mieszkania — najważniejsza lalka od pana Hutorowicza, no i książki.
— Czy włożyłaś chusteczki z moim monogramem? — zagląda w pewnej chwili do sypialni. — Takie same, jak zrobiłaś dla Lulu.
O tak, naturalnie, Róża pamięta o chusteczkach. To przecież bardzo ważne. Nad monogramem Meli pyszni się identyczna korona, jak na chusteczkach księcia. Jeszcze tylko fartuszki, te dwa nowe, które uszyła na święta, i garderoba Meli spakowana.
Dziewczynka jest tak podniecona, że nie chce jeść.
— Twój ostatni obiad w domu — przypomina z wyrzutem Ze-lia. — Wszystko to, co lubisz.
Mela wstaje i wiesza się jej na szyi.
Po obiedzie nie może usiedzieć, co chwila wysuwa się do przedpokoju, podchodzi pod drzwi wejściowe, nasłuchuje.
— Jeszcze nie ma trzeciej — uspokaja Róża, ale dziewczynka niezdolna jest do pozostania na miejscu.
Z okna Dziadusiowego pokoju widać kościół i kawałek ulicy. Turkot zatrzymującego się pod domem powozu porywa Melę do przedpokoju.

— Prędzej, Zelio, prędzej, otwieraj, przyjechała mamusia, moja mamusia, słyszysz?!
Kroki na schodach, wreszcie dzwonek.
W drzwiach młoda kobieta o cygańskiej urodzie — nie jest sama, za nią stoi wysoki mężczyzna z kapeluszem w ręku.
Pani Narzymska z lekkim okrzykiem porywa Melę w objęcia. Obie na przemian śmieją się i płaczą. Po dłuższej dopiero chwili Mela wprowadza gości do skromnej jadalni.
Pani Narzymska podbiega do Róży, obejmuje dziewczynę, chwyta ją za ręce. Róża stoi jak posąg, pozwala się ściskać i całować tej obcej przecież kobiecie, która zabierze Melę, jej Melę.
— Ach, zapomniałam o prezentacji — pani Narzymska odwraca zarumienioną radością twarz w stronę towarzysza. — Pozwoli pani, panno Różo, mój szwagier.
— Znamy się już — gość swobodnym ruchem wyciąga rękę. — Miałem kiedyś przyjemność przywieźć panią w ulewę do tego domu, nieprawdaż?
Róża czuje się dziwnie skrępowana pod zbyt natarczywym spojrzeniem gościa. Nie podoba jej się pewność siebie i dezyn-

woltura młodego człowieka i w ogóle cały ten stryj... Ale Meła już się stryja nie boi, nie boi się nikogo. Mocno trzyma rękę mamusi. Nie wypuści jej nigdy, za żadne skarby, nie rozstaną się, będą zawsze razem.
Zelia szeroko otwiera drzwi wejściowe, tak szeroko, by zmieściła się w nich krynolina pani Narzymskiej. Stryj Meli niesie za nimi bagaże. Po chwili turkot sprzed domu oznajmia, że powóz odjechał. Róża opada w Dziadusiowy fotel przy kominku. Mimo rozpalonego ognia przenika ją chłód.
Zelia w kuchni stuka rondlami. Co tam jeszcze robi? Przecież już pozmywała po obiedzie. W domu jest cicho, tak cicho, jak po wyniesieniu umarłego. Różą wstrząsa dreszcz.
— Ciekawam, co na to powie Anto — Zelia sadowi się przy stole ze stosem bielizny do reperacji na kolanach.
Właśnie, Anto... Dopiero pojutrze dowie się, że mała siostrzyczka bezpowrotnie wyszła z jego życia. Dzisiejsze wolne od lekcji popołudnie chłopiec spędza w Tuileriach. Róży specjalnie zależało, by dzieci uniknęły pożegnania. Mela opuszczała ich dom idąc w szczęście, dla Antosia jest to swego rodzaju cios i z pewnością nie potrafiłby ukryć

bólu, a po cóż psuć radość Meli smutkiem rozstania, które — wiedziała — będzie ostateczne.
W najniższej szufladzie komody leżała żałobna krynolinka, pracowicie pocerowana na łokciach, i paltocik, z którego Mela dawno już wyrosła. I jeszcze zapinane na guziczki buciki. Tylko to pozostało po dziewczynce, która swoją obecnością, głosem, śmiechem i płaczem wypełniała ich dom. Przez dwa lata.
— Zgaś świecę, już późno — Zelia staje w drzwiach sypialni. — Nie smuć się, nie trzeba. Dla niej to przecież szczęście. A my... No cóż, żyłyśmy kiedyś bez niej i dalej będziemy żyć. Zobaczysz.
— Będziemy żyć — szepce Róża i klęka do wieczornej modlitwy.

woltura młodego człowieka i w ogóle cały ten stryj... Ale Mela już się stryja nie boi, nie boi się nikogo. Mocno trzyma rękę mamusi. Nie wypuści jej nigdy, za żadne skarby, nie rozstaną się, będą zawsze razem.
Zelia szeroko otwiera drzwi wejściowe, tak szeroko, by zmieściła się w nich krynolina pani Narzymskiej. Stryj Meli niesie za nimi bagaże. Po chwili turkot sprzed domu oznajmia, że powóz odjechał. Róża opada w Dziadusiowy fotel przy kominku. Mimo rozpalonego ognia przenika ją chłód.
Zelia w kuchni stuka rondlami. Co tam jeszcze robi? Przecież już pozmywała po obiedzie. W domu jest cicho, tak cicho, jak po wyniesieniu umarłego. Różą wstrząsa dreszcz.
— Ciekawam, co na to powie Anto — Zelia sadowi się przy stole ze stosem bielizny do reperacji na kolanach.
Właśnie, Anto... Dopiero pojutrze dowie się, że mała siostrzyczka bezpowrotnie wyszła z jego życia. Dzisiejsze wolne od lekcji popołudnie chłopiec spędza w Tuileriach. Róży specjalnie zależało, by dzieci uniknęły pożegnania. Mela opuszczała ich dom idąc w szczęście, dla Antosia jest to swego rodzaju cios i z pewnością nie potrafiłby ukryć bólu, a po cóż psuć radość Meli smutkiem rozstania, które — wiedziała — będzie ostateczne.
W najniższej szufladzie komody leżała żałobna krynolinka, pracowicie pocerowana na łokciach, i paltocik, z którego Mela dawno już wyrosła. I jeszcze zapinane na guziczki buciki. Tylko to pozostało po dziewczynce,

która swoją obecnością, głosem, śmiechem i płaczem wypełniała ich dom. Przez dwa lata.
— Zgaś świecę, już późno — Zelia staje w drzwiach sypialni. — Nie smuć się, nie trzeba. Dla niej to przecież szczęście. A my... No cóż, żyłyśmy kiedyś bez niej i dalej będziemy żyć. Zobaczysz.
— Będziemy żyć — szepce Róża i klęka do wieczornej modlitwy.

IX

„Tak więc dzień w dzień ku nowym pchani brzegom, wciąż zapadający w ciemność bezpowrotną dna, czyż nigdy nie zdołamy rzucić niezgłębionym wiekom kotwicy jedynego dnia?
Jezioro — ach! zaledwie rok przeminął w krajobrazie, znów tuż najdroższe fale pod gwiazdami lśnią, spójrz! powracam sam, by usiąść na tym głazie, gdzie siadywałem — widziałoś to — z nią".
Róża przez cały dzień powtarza melodyjne strofy, których nauczył ją Dziaduś — razem przecież czytywali Lamartine'a. Cały dzień, pochylona nad haftem, recytuje półgłosem to wszystko, co tak wiernie zachowała pamięć. A właśnie wczoraj Alfons de La--martine, poeta inaugurujący niegdyś francuski romantyzm, przeniósł się do wieczności.
Umarł, można powiedzieć, w biedzie, a odegrał wielką rolę nie tylko jako poeta, lecz także jako polityk. Poseł do Izby Deputowanych, podczas Drugiej Republiki członek Tymczasowego Rządu, w pamiętnych dniach czterdziestego ósmego roku trzymał w ręku losy Francji. Zamach stanu z drugiego grudnia, kiedy to książę prezydent został Napoleonem Trzecim, położył kres jego publicznej działalności.
Teraz, gdy umarł, rozpisano subskrypcję na wzniesienie pomnika poecie, któremu cesarz przyznał honory pogrzebu na koszt państwa.
Cóż to jednak dawało temu, kto z braku funduszów był zmuszony sprzedać ukochany, rodzinny dom w Milly?

W witrynach księgarń wystawiono portrety zmarłego. Róża kupiła jedną taką grawiurę: młody poeta z dwoma chartami.
Piękny był Lamartine, równie piękny, jak jego wiersze.
Melancholijna rzewność tej poezji nakłada się na szarość zimowych dni. Są znowu same, Róża i Zelia. Wieczorami Róża sięga do Dziadusiowej biblioteczki, Zelia z furią pucuje rondle, sprząta i czyści, a właściwie wyszukuje sobie robotę, byle nie myśleć, nie wspominać.
Cotygodniowe wizyty Antosia niewiele pomagają. Chłopiec . jest chmurny i jak gdyby rozżalony. Mela przyjechała raz specjalnie w niedzielę, żeby się z nim zobaczyć. Ale to spotkanie rozczarowało oboje. Coś się między nimi popsuło, coś pękło, co ich dotąd trzymało spojonych jak gdyby w jedną całość. Mela nie czuła się już u siebie w tych ciasnych pokoikach, Antoś nie potrafił zmusić się do okazania serdeczności wówczas, gdy wszystko w nim wrzało. Po dawnej zażyłości została obcość i pustka.
Odtąd dziewczynka unikała niedzielnych wizyt. Odwiedzała jednak Różę często — widać było, jak bardzo jest do niej przywiązana, Zelię także witała ze zwykłym wylaniem. Miała teraz angielską guwernantkę, Miss Alicję, ale na ulicę Świętego Rocha przyjeżdżała zazwyczaj z mamusią.
W Tuileriach tej zimy było mniej roboty. W karnawale przeważały bale kostiumowe, a toalety zamawiano u Wortha. Jeżeli w szwalni furkotały maszyny do szycia, spod igły nie wychodziły żadne cuda. Nadąsane panny zajmowały się reperacją pałacowej bielizny — takie to oszczędności zaleciła tego roku cesarzowa Eugenia.
— Dość mam tej starzyzny — jęczała panna Wirginia, odkładając połatane prześcieradła.
— Kiedy wreszcie dostanę do rąk prawdziwe koronki! — wzdychała panna Regina, nawijając nici na szpulkę.
Nawet mała Sabinka nie była zadowolona z roboty i spoglądała z wyrzutem na panią Benoit, która nic innego nie potrafiła powiedzieć, jak tylko wieczne:
— Niech panny mniej gadają, a bardziej przykładają się do szycia.
Jedynie w pracowni hafciarki nadal kwitł zimowy ogród pełen

barwnych kwiatów, prawdziwa zapowiedź oczekiwanej niecierpliwie wiosny. Czy tylko wiosny? Miguel Toreno nie dawał znaku życia. Nie

obiecywał, co prawda, że napisze. Na co więc czekała? Powiedział: „jeżeli wrócę...". A jeżeli nie wróci? Co z nią wówczas będzie? Jak zniesie dalsze życie?
Pewnego kwietniowego popołudnia, gdy Róża szykowała się już do wyjścia, zjawiła się pani Narzymska z Melą. Dziewczynka niosła ogromne naręcze bzu.
— Kwitnie! Cały ogród kwitnie! — wołała od progu. — Nareszcie do nas przyjedziesz! Chciałam ci wszystko pokazać, jak zakwitnie. Przedtem było smutno i szaro.
— Cały dzień spędza w ogrodzie — dodała matka. — Nie można się jej dowołać.
Zelia zajęła się kwiatami, a Mela z tajemniczą miną szeptała:
— Zobaczysz mój talerz. Taki samiutki. Już wiem. Umówiono się na następne popołudnie.
— I Zelia też przyjedzie — przypominała Mela, ale Zelia odmówiła.
— Przyjadę innym razem — powiedziała stanowczo, a jak wiadomo, Zelia nie odstępowała od raz powziętej decyzji.
Nazajutrz po obiedzie Róża pojechała w aleję Cesarzowej.
Wśród kwitnących kasztanów i krzewów bzu przeświecały ściany białego pałacyku. Odźwierny otworzył bramę i konie eleganckim łukiem stanęły przed podjazdem. Spomiędzy kolumn ganku zbiegła Mela w białej krynolince przepasanej błękitną szarfą.
— Chodź — chwyciła Różę za rękę. — Zaraz ci wszystko pokażę, cały dom.
Pani Narzymska czekała w małym salonie. Tam też podano herbatę. Jakże różniła się ta Mela od dziewczynki z ulicy Świętego Rocha, i jak dobrze pasowała do zbytkownego wnętrza swojego domu.
Na herbatę zjawiła się Miss Alicja, młoda Angielka o sympatycznym uśmiechu i olśniewającej karnacji. Stryja, na szczęście, nie było. A potem Mela ujęła rękę Róży i szerokimi marmurowymi schodami poprowadziła na pierwsze piętro do swojego pokoju. Na ścianie wisiał talerz. Identyczny z talerzem Dziadusia.

— Widzisz, że taki sam — powiedziała z wyrzutem — a nie chciałaś wierzyć.
— Taki sam — przyznała Róża. — I jest ten wyszczerbiony brzeg, o którym mówiłaś.

— Możesz zdjąć go ze ściany i lepiej obejrzeć — zaproponowała Mela.
— Nie trzeba. Widzę, że jest taki sam. Zupełnie taki sam, jak talerz Dziadusia.
Odkrycie to zaskoczyło Różę. Było więc w Paryżu więcej takich talerzy, a przecież w żadnym sklepie podobnych nie widziała.
Mela chciała wszystko pokazać dawnej opiekunce, książki i zabawki, pokój szkolny, gdzie uczyła się z Miss Alicją. Róża nie potrafiła skupić uwagi ani na przyborach toaletowych oprawnych w srebro, ani na porcelanowym garniturze na ślicznym biu-reczku, co chwila odwracała twarz ku ścianie, skąd z sewrskiego talerza wabił ją malowany Napoleon. Nie zauważyła nawet wejścia pani Narzymskiej, tak była zamyślona.
—: Wszystko już Mela pani pokazała?
— Tak... wszystko widziałam... ale ten talerz — zawahała się — czy dawno jest u państwa?
— To stara rodzinna pamiątka. Był kiedyś własnością mojego dziadka, który zginął w powstaniu. — Jego potomkowie wywieźli ją uchodząc z kraju i odtąd jest zawsze w naszym domu. Mój mąż — zająknęła się — powiesił ten talerz w pokoju Meli jako swego rodzaju narodową relikwię, która się dziecku należy.
>— Ja mam podobny — Róża nie śmiała zapytać o panieńskie nazwisko gospodyni. — Właściwie zupełnie taki sam. Był własnością mego Dziadka.
— Wiele takich talerzy spotkałam we Francji — pani Narzym-ska nie przywiązywała widać wagi do tego przedmiotu, który nieodparcie przyciągał wzrok Róży.
Pokazano jej potem cały dom, amfiladę pysznych salonów pełnych kosztownych cacek. Z tarasu zeszły wreszcie do ogrodu i Mela pochwaliła się grządką, gdzie sama wyhodowała pierwsze wiosenne prymule i narcyzy.
Róża pragnęła usilnie okazać jak najżywsze zaciekawienie tym wszystkim, czym dziewczynka chciała się z nią podzielić.

— Widzisz, że taki sam — powiedziała z wyrzutem — a nie chciałaś wierzyć.
— Taki sam — przyznała Róża. — I jest ten wyszczerbiony brzeg, o którym mówiłaś.
— Możesz zdjąć go ze ściany i lepiej obejrzeć — zaproponowała Mela.

— Nie trzeba. Widzę, że jest taki sam. Zupełnie taki sam, jak talerz Dziadusia.
Odkrycie to zaskoczyło Różę. Było więc w Paryżu więcej takich talerzy, a przecież w żadnym sklepie podobnych nie widziała.
Mela chciała wszystko pokazać dawnej opiekunce, książki i zabawki, pokój szkolny, gdzie uczyła się z Miss Alicją. Róża nie potrafiła skupić uwagi ani na przyborach toaletowych oprawnych w srebro, ani na porcelanowym garniturze na ślicznym biu-reczku, co chwila odwracała twarz ku ścianie, skąd z sewrskiego talerza wabił ją malowany Napoleon. Nie zauważyła nawet wejścia pani Narzymskiej, tak była zamyślona.
—¦ Wszystko już Mela pani pokazała?
— Tak... wszystko widziałam... ale ten talerz — zawahała się — czy dawno jest u państwa?
— To stara rodzinna pamiątka. Był kiedyś własnością mojego dziadka, który zginął w powstaniu. — Jego potomkowie wywieźli ją uchodząc z kraju i odtąd jest zawsze w naszym domu. Mój mąż — zająknęła się — powiesił ten talerz w pokoju Meli jako swego rodzaju narodową relikwię, która się dziecku należy.
¦— Ja mam podobny — Róża nie śmiała zapytać o panieńskie nazwisko gospodyni. — Właściwie zupełnie taki sam. Był własnością mego Dziadka.
— Wiele takich talerzy spotkałam we Francji — pani Narzym-ska nie przywiązywała widać wagi do tego przedmiotu, który nieodparcie przyciągał wzrok Róży.
Pokazano jej potem cały dom, amfiladę pysznych salonów pełnych kosztownych cacek. Z tarasu zeszły wreszcie do ogrodu i Mela pochwaliła się grządką, gdzie sama wyhodowała pierwsze wiosenne prymule i narcyzy.
Róża pragnęła usilnie okazać jak najżywsze zaciekawienie tym wszystkim, czym dziewczynka chciała się z nią podzielić.

Niestety, roztargnione spojrzenie było jedynym przejawem zainteresowania, jakie potrafiła z siebie wykrzesać. Talerz okazał się silniejszy.
— Nie podoba ci się u mnie — stwierdziła Mela z żalem. — A ja tak się cieszyłam...

— Odwrotnie, kochanie, jestem zachwycona, tak tu pięknie — Róża usiłowała zatrzeć przykre wrażenie. — Ale widzisz, ten talerz...
— Chcesz, dam ci go.
— Nie, nie, tylko ciekawi mnie, jak się tu dostał.
— Przecież mamusia mówiła.
— Tak, owszem — Róża musiała za wszelką cenę poznać nazwisko panieńskie pani Narzymskiej i odważyła się wprost ją zapytać.
— Jak jestem z domu? To chciałaby pani wiedzieć? — Pani Narzymska nie obraziła się wcale. — Ależ proszę bardzo. Jadwiga Dobrocka.
— Dziękuję — Róża zarumieniła się przepraszająco — pani wybaczy, ale mój Dziaduś mówił, że z jego talerzem związana jest pewna obietnica, gdy więc zobaczyłam taki sam talerz w pokoju Meli, wydawało mi się... sądziłam... Ale to pomyłka. Widocznie takich talerzy było więcej.
— O, z pewnością było ich wiele — przytaknęła pani Narzymska, prowadząc gościa do ogrodowej altany.
Wiosną tego roku Antoni Berezowski po raz trzeci dostarczył tematu francuskim żurnalistom. Wszystkie paryskie gazety rozpisały się o nieudanej próbie uwolnienia zamachowca, deportowanego do Nowej Kaledonii.
Okazało się, że młody Polak nie zrezygnował z odzyskania wolności, a grupka rodaków, w tym celu przybyłych na wyspę, usiłowała pomóc mu w ucieczce. W porcie czekał specjalnie wynajęty szkuner, ludzie, którzy zaplanowali uwolnienie więźnia, byli dobrze uzbrojeni i gotowi na wszystko. Niestety, Berezowski, któremu udało się wyjść niepostrzeżenie ze służącego za mieszkanie więźniów baraku, został zatrzymany przez dozorców tuż pod palisadą, jeszcze w obrębie obozu, i chociaż rodacy przedostali

się na pilnie strzeżony teren i w odpowiedzi na strzały żandarmów otworzyli ogień, mając nadzieję, że uda im się odbić więźnia, musieli ulec przeważającej liczbie straży.
Wiadomości były skąpe i bardzo niepełne, miejscami nawet sprzeczne. Trudno było cośkolwiek z nich wywnioskować. Przy okazji poświęcono całe szpalty opisowi wyspy odkrytej w ubiegłym wieku przez Cooka, a w

1853 roku wcielonej do Francji. Opisano przy tym dokładnie, jak to wówczas wiceadmirał Febvrier-Des-pointes, dowodzący z ramienia Francji siłami morskimi Oceanii, uroczyście wziął w posiadanie w imieniu swojego rządu wyspę i jej przyległości.
Należąca do grupy wysp Melanezji Nowa Kaledonia, zwana też „Wielką Ziemią", znajduje się na wschód od Australii, tuż nad zwrotnikiem Koziorożca.
Chwalono malowniczość wysp tego rejonu, otoczonych pierścieniem raf koralowych, łagodność klimatu tej części Pacyfiku i jego walory zdrowotne, podkreślając jednak, że wskutek złego pożywienia rany nie goją się tam, a jątrzą się natychmiast, stwarzając niebezpieczeństwo zagrażające życiu.
Czytelnicy gazet dowiedzieli się ponadto, że rząd francuski postanowił wykorzystać odległą wyspę jako doświadczalny teren dla założenia kolonii karnej, zsyłając tam skazanych na ciężkie roboty więźniów, którzy w ten sposób powiększali „pogłowie" białych, oprócz przebywających na swobodzie francuskich kolonistów.
O Berezowskim i jego wspólnikach pisano właściwie niewiele. Szczegóły spisku nie były dotąd znane. Wzmiankowano o zabitych i rannych, nikt jednak nie umiał powiedzieć, czy główny bohater zginął, czy ocalał. A niedoszli wybawiciele? Jedno było wiadome, że ofiary znajdowały się po obu stronach, gdyż podczas starcia ucierpieli zarówno jedni, jak i drudzy. Ludzie czytali z zaciekawieniem, niektórzy pochwalali upór Polaków w dążeniu do uwolnienia nieszczęśliwego zamachowca. Inni oburzali się na nieudolność straży i żandarmów, pilnujących przecież gromady wyjętych spod prawa złoczyńców. Jednakże opinia Francuzów na ogół od początku przychylna była Berezow-skiemu.

Róża natychmiast udała się fiakrem na bulwar Montparnasse, ale i tam nie wiedziano nic pewnego.
— Niech się pani modli za tych straceńców, co poświęcili życie dla tego nieszczęśnika — tyle tylko powiedział pan Hutorowicz na jej niespokojne pytania. — To są bohaterowie nie na dzisiejsze czasy.
— Czemu nie na dzisiejsze czasy? — oburzyła się. — Przecież i dziś mamy ludzi, którzy ważą się na wszystko. Chociażby pan Lesseps.
— Co tam Lesseps — pan Hutorowicz machnął lekceważąco ręką. — Owszem, nie odmawiam mu odwagi i uporu w dążeniu do celu. Ale

bohaterstwo... to chyba za wiele. A jeśli powiedziałem o naszych rodakach, że to bohaterowie nie na dzisiejsze czasy, co innego miałem na myśli. Tak, tak, panno Różo, bo są wśród nich ludzie, których bohaterstwo nie jest na pokaz, to raczej ciche poświęcenie z dala od ludzkich oczu. Czyny ich wymagają nie lada odwagi, samozaparcia, podeptania własnej dumy, poniekąd nawet upokorzenia się. Słyszała pani zapewne, że Berezowski po procesie został pieszo popędzony do Tulonu. Pieszo, wie pani, co to znaczy? Otóż jeden z naszych rodaków towarzyszył skazańcowi w jego krzyżowej drodze. Też pieszo, żeby biedny chłopiec nie czuł się opuszczony. Żandarmi nie pozwalali mu zbliżyć się do więźnia, ale on starał się zawsze być w zasięgu jego wzroku. Ten sam człowiek był i w Nowej Kaledonii i nie wiadomo, czy jeszcze żyje. — Pan Hutorowicz trząsł głową, a wyraz twarzy miał równie beznadziejny, jak wówczas, gdy leżał chory na czwartym piętrze nędznego domu przy ulicy Clovisa.

Antoś i jego koledzy ze Szkoły Polskiej przeżywali może najmocniej te wypadki. W sobotę, gdy chłopiec wrócił do domu, tylko te sprawy miał na ustach. Oczy mu błyszczały i kilkakrotnie powtórzył:

— Ach, czemu mnie tam nie było!

— Cóż byś zrobił? — za trzecim takim okrzykiem Róża nie wytrzymała. — Popłynąłbyś do Nowej Kaledonii?

— Pewnie, żebym popłynął — odparł jak gdyby chodziło o wycieczkę do Wersalu. — Mój plan z pewnością by się powiódł.

— Miałeś więc jakiś plan?

— Niejeden — Antoś popatrzył z góry na siostrę. — W całej

Róża natychmiast udała się fiakrem na bulwar Montparnasse, ale i tam nie wiedziano nic pewnego.

— Niech się pani modli za tych straceńców, co poświęcili życie dla tego nieszczęśnika — tyle tylko powiedział pan Hutorowicz na jej niespokojne pytania. — To są bohaterowie nie na dzisiejsze czasy.

— Czemu nie na dzisiejsze czasy? — oburzyła się. — Przecież i dziś mamy ludzi, którzy ważą się na wszystko. Chociażby pan Lesseps.

— Co tam Lesseps — pan Hutorowicz machnął lekceważąco ręką. — Owszem, nie odmawiam mu odwagi i uporu w dążeniu do celu. Ale bohaterstwo... to chyba za wiele. A jeśli powiedziałem o naszych

rodakach, że to bohaterowie nie na dzisiejsze czasy, co innego miałem na myśli. Tak, tak, panno Różo, bo są wśród nich ludzie, których bohaterstwo nie jest na pokaz, to raczej ciche poświęcenie z dala od ludzkich oczu. Czyny ich wymagają nie lada odwagi, samozaparcia, podeptania własnej dumy, poniekąd nawet upokorzenia się. Słyszała pani zapewne, że Berezowski po procesie został pieszo popędzony do Tulonu. Pieszo, wie pani, co to znaczy? Otóż jeden z naszych rodaków towarzyszył skazańcowi w jego krzyżowej drodze. Też pieszo, żeby biedny chłopiec nie czuł się opuszczony. Żandarmi nie pozwalali mu zbliżyć się do więźnia, ale on starał się zawsze być w zasięgu jego wzroku. Ten sam człowiek był i w Nowej Kaledonii i nie wiadomo, czy jeszcze żyje. — Pan Hutorowicz trząsł głową, a wyraz twarzy miał równie beznadziejny, jak wówczas, gdy leżał chory na czwartym piętrze nędznego domu przy ulicy Clovisa.

Antoś i jego koledzy ze Szkoły Polskiej przeżywali może najmocniej te wypadki. W sobotę, gdy chłopiec wrócił do domu, tylko te sprawy miał na ustach. Oczy mu błyszczały i kilkakrotnie powtórzył:

— Ach, czemu mnie tam nie było!

— Cóż byś zrobił? — za trzecim takim okrzykiem Róża nie wytrzymała. — Popłynąłbyś do Nowej Kaledonii?

— Pewnie, żebym popłynął — odparł jak gdyby chodziło o wycieczkę do Wersalu. — Mój plan z pewnością by się powiódł.

— Miałeś więc jakiś plan?

— Niejeden — Antoś popatrzył z góry na siostrę. — W całej

szkole o niczym innym się nie mówi. Przestudiowaliśmy mapę Nowej Kaledonii i otaczających ją raf, a stolica Numea...

Róża miała już dość przeklętej wyspy, wolała rozmowę z Zelią, która właśnie poprzedniego dnia odwiedziła pałacyk pani Narzym-skiej i widziała talerz.

Antoś, posłyszawszy, o czym mówiły, zjawił się w jadalni.

— Muszę zobaczyć ten talerz — oświadczył stanowczo.

— Mówiłam ci, jest taki sam jak nasz.

— To nic, chcę go zobaczyć — upierał się.

— Możemy tam pojechać w przyszłą niedzielę. Myślałam, że masz żal do Meli...

— Mela to judasz — rzucił krótko.
— Jak możesz? Wróciła do swojej mamusi. O nas jednak nie zapomina. Nie byłeś dla niej miły, gdy tu przyjechała.
— Nigdy jej nie wybaczę — wybuchnął.
— Nie wybaczysz? Czego?
— Zdrady.
— Pleciesz głupstwa. Powinieneś ją przeprosić.
— To ona jest winna, nie ja. Zresztą Janek mówi, że dziewuchy to kłamczuchy, a on dobrze je zna, bo ma cztery siostry.
— Anto! — Róża chwyciła brata za ramiona. — Czy zapomniałeś, że i ty masz siostrę?
— Nie jesteś dziewuchą — zamruczał skonfundowany — a w ogóle, to nie mówi się o obecnych.
— Coraz lepiej. Więc obmawiać wolno wyłącznie tych, co nie mogą się bronić. Czy i tego nauczył cię Janek?
— Różyczko — niezgrabnie pocałował ją w policzek. — Nie gniewaj się. Ale Meli nie przeproszę — dodał z zawziętością.
Mimo tak zdecydowanej postawy zgodził się pojechać w aleję Cesarzowej „wyłącznie dla talerza", jak zastrzegł. Mela czekała na ganku.
— Cieszę się, Anto, że przyjechałeś — powiedziała serdecznie, ale Antoś nie rozchmurzył się, pozostał sztywny i oficjalny, choć dom Meli zrobił na nim duże wrażenie.
Zdjął talerz ze ściany i obejrzał go dokładnie.
— Taki sam — mruknął. — Co to znaczy?
— Widocznie było ich więcej — zauważyła Róża.

— Nie — pokręcił głową. — Pamiętam, co mówił Dziaduś. Takie są tylko dwa.
— Dwa były w Warszawie, ale we Francji musiało ich być o wiele więcej.
— Tylko dwa — powtórzył. — Przecież Dziaduś wiedział lepiej od ciebie. Skąd ten talerz znalazł się u Meli?
— Słyszałeś, że to rodzinna pamiątka.
Pani Narzymska z niewyczerpaną cierpliwością udzielała wyjaśnień, opowiadając o dziadku — bohaterze powstania listopadowego, którego syn przywiózł talerz do Paryża. O żadnej przysiędze, umowie czy obietnicy dotyczącej tego przedmiotu nigdy nie słyszała.

Antoś wracał zamyślony i milczący, dopiero w domu zalał Różę potokiem słów.
— Dobrocki? Któż to taki?! — wykrzykiwał. — Nigdy nie słyszałem tego nazwiska, w szkole żaden uczeń tak się nie nazywa.
— Słuchaj, Anto — Róża straciła wreszcie cierpliwość. — Kogo ty właściwie znasz i co w ogóle wiesz? Nic. A mówisz, jak gdybyś zjadł wszystkie rozumy. Może myślisz, że talerz Zygmunta Zerana wpadł w ręce pana Dobrockiego?
— Właśnie tak myślę. Tylko nie wiem, w jakich okolicznościach.
— Proszę cię, przestań. Ostatnio stałeś się niemożliwy.
Antoś wrócił do szkoły, a Róża wyprosiła u pani Benoit wolne popołudnie i wybrała się na bulwar Montparnasse.
Pan Hutorowicz źle wyglądał, widać było, że coś mu dolega. Rozmawiali o wypadkach na Nowej Kaledonii, niestety, żadnych wiadomości stamtąd dotąd nie było.
— Proszę pana — Róża odstawiła pustą filiżankę. — Talerz Meli okazał się identyczny z talerzem Dziadusia. Co o tym sądzić?
— Tymczasem nic. Rozumiem pani niepokój. Kazio i Zygmunt pokazywali mi swoje talerze, pamiętam, jak mówili, że są tylko dwa identyczne.
_j— Więc widzi pan, że to dziwne. Pani Narzymska jest z domu Dobrocka, zapytałam ją. Jeżeli to jest talerz Zygmunta, w jaki sposób trafił do rąk jej ojca?
— Wszystko się wyjaśni, moje dziecko, proszę, niech tylko pani cierpliwie czeka.

— Mam czekać?
— Tak, nic innego przecież nie pozostaje jak czekanie. Pani, ja, my wszyscy czekamy. Nic nie trwa wiecznie. Radziłbym nie myśleć teraz o talerzu. Znalazła go pani, dobrze. Resztę należy zostawić Panu Bogu.
— Tak, ale nie wiem...
— Nie trzeba wiedzieć — powiedział zagadkowo. — Jestem pewien, że dowie się pani, gdy nadejdzie pora. — Pan Hutoro-wicz tak wyglądał, jak gdyby widział przyszłość. Może ją zresztą i widział.
Róża, jak zwykle u progu lata, miała więcej roboty, wykańczała hafty na toaletach przeznaczonych na wilegiaturę do Compiegne. W Szkole

Polskiej zaczynały się wakacje. Podczas ostatniego czwartku Lulu pożegnał polskiego przyjaciela.
— Wiesz, Anto — powiedział tajemniczo — w sierpniu pojadę z mamą na Korsykę. Nareszcie zobaczę dom Napoleona! Tylko to jeszcze sekret, nie mów o tym nikomu.
Antoś aż poczerwieniał. Wiele dałby za podróż razem z Lulu. Jeżeli Nowa Kaledonia była nieosiągalna, to Korsyka leżała o tyle bliżej! Morze Śródziemne to nie Pacyfik!
Lulu obiecał prowadzić dziennik podróży, spisując wrażenia każdego dnia. Po wakacjach będą mieli tematy na długie rozmowy. Mela również wyjeżdżała. Do zamku Pierrefonds nad Loarą. — Zaprosili nas dawni znajomi męża — opowiadała pani Na-rzymska podczas pożegnalnej wizyty.
A więc rozjechali się wszyscy. Róża i Antoś tylko z gazet dowiadywali się o triumfach Lulu, którego pojawienie się wywoływało szczery zachwyt.
Chłopiec był chyba najpopularniejszą postacią Drugiego Cesarstwa, podbijał nawet politycznych przeciwników nad wiek poważnym wyrazem twarzy, skromnym, a jednak godnym obejściem i tym jakimś niedziecinnym smutkiem w spojrzeniu, w układzie ust, w pochyleniu głowy.
Była to już trzecia oficjalna podróż „cesarskiego księcia", a odbywał ją w towarzystwie matki.
Pierwszym etapem był Lyon, drugie co do wielkości miasto Francji. „Stolica jedwabiu" przyjęła chłopca entuzjastycznie. Władze miejskie nie potrzebowały zalecać mieszkańcom, by okazali

nieco gorętsze uczucia względem następcy tronu. Lyońscy tkacze wiedzieli, jak przywitać takiego gościa.
Drugim etapem był Tulon. Mer tego miasta w powitalnym przemówieniu przypomniał, że właśnie stąd młody oficer, Napoleon Bonaparte, wyruszył, by służyć Francji.
W porcie czekał „Orzeł" — jak doskonale nazwa statku pasowała do celu podróży!
Przyjęcie, zgotowane gościowi przez wyspę, przeszło wszelkie oczekiwanie. Korsyka umiała docenić gest cesarza, który w stulecie urodzin założyciela dynastii wysłał syna dla uświetnienia obchodu

uroczystej rocznicy. A tak mało brakowało, by Napoleon nie urodził się Francuzem! Dopiero na rok przed tym wydarzeniem Ludwik XV kupił Korsykę od Genueńczyków.
Piętnastego sierpnia — równo w sto lat od wielkiej daty — Lulu zwiedził dom Bonapartych w Ajaccio. Chłopiec nie ukrywał wzruszenia. Dom, ubogi i ciasny, stał w wąskiej uliczce wśród wielu podobnych sobie budowli. Jakże daleko mu do splendoru Tuileriów! A jednak z tego właśnie gniazda wyleciał orzeł, który szumem skrzydeł poraził najsłynniejsze pola bitew Europy.
Lulu zwiedził cały dom, zajrzał do każdego zakamarka, chciał wszystko zobaczyć, wchłonąć w siebie atmosferę tych murów, które wyhodowały wielkiego człowieka.
Potem, w kaplicy, modlił się na grobie pani Letycji i jej bliskich.
Była to podróż cudowna i niezapomniana, a po powrocie, jakże wdzięcznego znalazł książę w Antosiu słuchacza.
Od Meli co tydzień nadchodziły liściki. Dziewczynka zachwycała się zamkiem, towarzystwem, okolicą i wakacjami. Miała wielu rówieśników — w zamku bawiło sporo gości, wyłącznie Francuzów, bo i gospodarze byli Francuzami.
Antoś z pogardliwą obojętnością wysłuchiwał tych relacji. Żal do Meli nie ustępował mimo upływu czasu.
— Nie wolno ci chować do niej bezpodstawnej urazy — tłumaczyła Róża — to bardzo niełądnie. Nie wiedziałam, że potrafisz być taki zawzięty.
— Nie jestem zawzięty — odpowiedział mrukliwie — ale Mela nas zdradziła.
— Jak to zdradziła? — denerwowała się siostra. — Czy zdajesz

sobie sprawę z tego, co mówisz? Mela wróciła do mamusi, do domu. Tam jest jej miejsce. To chyba jasne.
— Nie wiem, może jej kiedy i wybaczę.
— Nie masz jej nic do wybaczenia. Najwyżej ona może ci przebaczyć, jeżeli ją przeprosisz.
O ile odejście Meli pozostawiło w sercu Antosia pewnego rodzaju „drzazgę", o tyle te ostatnie wakacje zacieśniły — jeśli to możliwe — jego przyjaźń z siostrą. Całe dnie spędzali razem, a Róża kilkakrotnie zabrała brata na bulwar Montparnasse.

Dla chłopca stało się to rewelacją. Sprawy i osoby, o których dotąd — jako uczeń Szkoły Polskiej — jedynie słyszał, nabrały nagle konsystencji, blasku i życia. Ludwik Mierosławski i „Towarzystwo Demokratyczne Polskie", Julian Klaczko i jego publikacje, znane już ze szkolnej biblioteki, pan Henryk Wyziński i redagowany przez niego biuletyn, który regularnie informował Francuzów o Polsce, pan Bronisław Zaleski — dyrektor Biblioteki Polskiej — wszystkich tych ludzi, bywających u rotmistrza Brackiego, Antoś ujrzał na własne oczy. Nawet i sam książę Władysław Czartoryski...

Księcia Władysława przyjmowano w Tuileriach. Dzięki jego stosunkom Drugie Cesarstwo wiele zdziałało dla emigracji. Chociażby subsydia rządowe dla polskich zakładów, uznanych przez rząd francuski za instytucje użyteczności publicznej. Było to też między innymi zasługą Czartoryskiego.

Dzięki tak otrzymanym funduszom rozwijała się otwarta w 1842 roku Szkoła Narodowa Polska na Batignolles, licząca już ponad trzystu uczniów. Polacy studiujący na francuskich uniwersytetach zwolnieni byli od wszelkich opłat. A zakład Świętego Kazimierza, założony przez siostry miłosierdzia, rodzinny nieledwie dom dla starców i sierot?

Dużo można by wyliczać instytucji istniejących dzięki subsydiom rządowym i hojności zamożnych rodaków. Wiele też osób doznawało indywidualnego wsparcia, otrzymywało pensje czy zapomogi. Wszystkie kraje europejskie razem wzięte nie wydały na pomoc dla polskich emigrantów ani połowy tego co Francja, która nie żałowała corocznie miliona franków na te cele.

Po wakacjach Antoś wrócił do szkoły dojrzalszy i wzbogacony o tyle cennych doświadczeń i wiadomości. Nie mówił już o „zdra-

dzie" Meli, w ogóle dziewczynka jak gdyby przestała go interesować. Pani Narzymska zdecydowała się umieścić córkę na jednej z modnych „pensji dla panien" — czas był najwyższy, by Mela rozpoczęła systematyczną naukę. Ileż rzeczy powinna znać i umieć dobrze wychowana panienka!

Odtąd dziewczynka spędzała w domu jedynie niedziele i święta, i tak powoli rozluźniał się jej kontakt z mieszkańcami ulicy Świętego Rocha.

— Że też chce się cesarzowej Eugenii w taką pogodę jechać do jakiegoś Kairu! — Zelia szczelniej otuliła się szalem. — Mnie by tam żadna siła nie wyciągnęła teraz z domu.
— Ależ, Zelio — Róża odłożyła książkę. — W Kairze jest ciepło. Gdy u nas brzydki listopad, tam wieczna wiosna i lato.
— Wszystko jedno — wstrząsnęła się Zelia. — Nie widzę powodu do tak dalekiej podróży.
— Jak to nie widzisz powodu? Przecież chodzi o epokowe wydarzenie, otwarcie Kanału Sueskiego. Pierwsze takie dzieło na świecie. Zaprawdę pan Lesseps to człowiek genialny.
— Żeby otwierano coś we Francji, to nie powiem, wówczas obecność cesarza i cesarzowej byłaby zrozumiała. Ale gdzieś tam, w Egipcie!
— Ależ zrozum, Zelio. Korzystać z tego będą wszystkie narody, również i Francja. Na tę uroczystość zjeżdżają się władcy wielu krajów. Dlaczegoż miałoby zabraknąć cesarzowej Eugenii? Tym bardziej że cesarz zostaje w domu.
— Właśnie, cesarz zostaje — Zelia wydęła wargi — ale cesarzowa Eugenia poleci na byle skinienie, byle się zabawić, byle nie siedzieć w domu.
— Jesteś niesprawiedliwa. Cesarzowa Eugenia lubi podróżować, cóż w tym złego? Z pewnością będzie najpiękniejszą z dam, które tam przybędą, a przede wszystkim najbardziej wytworną. Żebyś widziała moje hafty na krynolinie! Stare egipskie wzory.
To prawda, że cesarzowa Eugenia lubiła podróże, ciągnęły ją obce kraje, łaknęła wrażeń, nowych widoków, innych twarzy.

Niestety, wysoka pozycja pozwalała zaspokajać wyłącznie te pragnienia, które były zgodne z racją stanu.
Dotąd żyła wspomnieniem pierwszej oficjalnej podróży, którą wkrótce po ślubie odbyła wraz z małżonkiem do Anglii. Było to jeszcze w czasie wojny krymskiej, przed urodzeniem Lulu.
Dawna panna de Montijo oczarowała Anglików. Była nie tylko małżonką cesarza, ale przede wszystkim wyjątkowo piękną i szczęśliwą kobietą, która pragnęła podobać się.

Nawet purytańska królowa Wiktoria nie pozostała obojętna na uroki francuskiego gościa, toteż przyjęcie, jakiego doznała para cesarska w Windsorze, wyróżniało się nie tylko wspaniałością, ale i sercem. Bale,.obiady, przejażdżki stanowiły doskonałą okazję do prezentowania arcydzieł paryskich krawców i modystek. Angielskie damy pożerały wzrokiem coraz to wspanialsze krynoliny ze stolicy mody, z wymarzonego raju wytworności, wykwintu i szyku.
Cesarzowa Eugenia słyszała dokoła siebie wyłącznie szepty zachwytu, olśniewała cesarskim diademem na jasnych włosach, błękitem spojrzenia, przejrzystością karnacji, posągowym kształtem obnażonych ramion i szyi, na której lśniły coraz wspanialsze kolie od jubilerów z ulicy de la Paix.
Przy niemłodej, niełądnej i nieeleganckiej królowej Wiktorii, wśród jej dam równie przyćmionych i nieefektownych, ta promienna piękność wydawała się zjawiskiem z innego świata. Jaśniała niczym gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiet.
Cóż więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż nowych podbojów.
Była też w jej życiu inna podróż, do Algieru, zakończona łzami i żałobą. Wówczas to nadeszła wiadomość o śmierci ukochanej siostry, księżny Alba.
Niemiłe wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepopularność cesarzowej Eugenii w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bardziej niepopularną wojną w Meksyku.
Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem podróż do Egiptu nie miała politycznego charak-

6
e pizede wszystkim wyjątkowo piękną \
nUOUtld podobać się.
obojętna na

stysxa\a
l>wylu, o\śmcwa(a cesatskim A\aAeTtveTYV w błękitem spój rżenia, picz.^\T*ŁysVo^c\at Viaraac\\,

tem obnażonych ramion i szyi, na ktÓTe^ \i&-«C«c^ c»-ł«ł -«-=,v»sxvav=,i,«Ł kolie od jubilerów^ z ulicy de \a Paix.
Przy niemłodej, nieładnej i nieeleganckAej królowe} VJ\k.Xox\V, wśród je] dam równie przyćmionych i nieefektownych, ta promienjekność wydawała się zjawiskiem z innego świata. Jaśniała nfczym gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno Śfyt^e cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż nowych P^^' zakończcna łzami Była też w jej życiu inna podroż, do Ai&e ' . hei i żałobą. Wówczas to nadeszła wiadomość o śmierci siostry, księżny Alba.
Niemiłe wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepopularność cesarzowej Eugenii w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bardziej niepopularną wojną w Meksyku.
Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem podróż do Egiptu nie miała politycznego charak-
219
Niestety, wysoka pozycja pozwalała zaspokajać wyłącznie te pragnienia, które były zgodne z racją stanu.
Dotąd żyła wspomnieniem pierwszej oficjalnej podróży, którą wkrótce po ślubie odbyła wraz z małżonkiem do Anglii. Było to jeszcze w czasie wojny krymskiej, przed urodzeniem Lulu.
Dawna panna de Montijo oczarowała Anglików. Była nie tylko małżonką cesarza, ale przede wszystkim wyjątkowo piękną i szczęśliwą kobietą, która pragnęła podobać się.
Nawet purytańska królowa Wiktoria nie pozostała obojętna na uroki francuskiego gościa, toteż przyjęcie, jakiego doznała para cesarska w Windsorze, wyróżniało się nie tylko wspaniałością, ale i sercem.
Bale,.obiady, przejażdżki stanowiły doskonałą okazję do prezentowania arcydzieł paryskich krawców i modystek. Angielskie damy pożerały wzrokiem coraz to wspanialsze krynoliny ze stolicy mody, z wymarzonego raju wytworności, wykwintu i szyku.
Cesarzowa Eugenia słyszała dokoła siebie wyłącznie szepty zachwytu, olśniewała cesarskim diademem na jasnych włosach, błękitem spojrzenia, przejrzystością karnacji, posągowym kształtem obnażonych ramion i

szyi, na której lśniły coraz wspanialsze kolie od jubilerów z ulicy de la Paix.
Przy niemłodej, niełądnej i nieeleganckiej królowej Wiktorii, wśród jej dam równie przyćmionych i nieefektownych, ta promienna piękność wydawała się zjawiskiem z innego świata. Jaśniała niczym gwiazda, przyciągała spojrzenia wszystkich, zarówno mężczyzn jak i kobiet.
Cóż więc dziwnego, że cesarzowa Eugenia, pewna własnego uroku, pragnęła wciąż nowych podbojów.
Była też w jej życiu inna podróż, do Algieru, zakończona łzami i żałobą. Wówczas to nadeszła wiadomość o śmierci ukochanej siostry, księżny Alba.
Niemiłe wspomnienie pozostawiła jedynie wizyta w Hiszpanii, ale niepopularność cesarzowej Eugenii w jej ojczyźnie tłumaczyła się jeszcze bardziej niepopularną wojną w Meksyku.
Lud Madrytu obrzucił wyzwiskami niepożądanego gościa, cesarzowa Eugenia nie mogła pokazać się na ulicy, nie mogła udać się na corridę — policja nie gwarantowała jej bezpieczeństwa. Tym jednak razem podróż do Egiptu nie miała politycznego charak-

teru. Był to hołd oddany francuskiemu geniuszowi, gdyż twórca wielkiego dzieła, które napełniło świat cały podziwem, był Francuzem.
Wicehrabia Ferdynand de Lesseps, daleki krewny cesarzowej Eugenii, z zawodu dyplomata, w karierze tej szedł śladami ojca i dziada. Dał się poznać konsulatom i ambasadom Francji w wielu stolicach. Lizbona, Tunis i Kair, Aleksandria i Rotterdam, Barcelona, Madryt i Rzym — oto miasta, gdzie dobrze znano wysoką, zgrabną sylwetkę eleganckiego Francuza z czerwoną wstążeczką Legii Honorowej w klapie. Otrzymał Krzyż Kawalerski za niezwykle bohaterską i wysoce ludzką postawę podczas straszliwej epidemii dżumy, która właśnie zdziesiątkowała Aleksandrię.
Po rewolucji lutowej czterdziestego ósmego roku wycofał się ze służby dyplomatycznej, poświęcając się całkowicie wielkiemu dziełu, jakim było przebicie Kanału Sueskiego.
Ta myśl opętała go już wówczas, gdy pierwszy raz znalazł się w Egipcie. Cieszył się przecież przyjaźnią samego wicekróla Mohammeda Saida Paszy, który z równym entuzjazmem zapalił się do nieprawdopodobnego

— w mniemaniu większości — projektu. Czyż rządy angielski i turecki nie określiły owego przedsięwzięcia jako „chimeryczne i niewykonalne"? Ponadto potrzebne były pieniądze, ogromne pieniądze. Lessepsa nie powstrzymała i ta przeszkoda. Założył Towarzystwo Budowy Kanału Sueskiego i w ciągu kilku lat udało mu się zebrać dwieście milionów, co pozwoliło już w 1859 roku rozpocząć roboty.

Myśl nie była nowa, można ją znaleźć u starożytnych, w pismach Strabona i Pliniusza.

Faktem jest, że ten wąski, łączący dwa kontynenty przesmyk, „istmus", jak go nazywano, pomiędzy Morzem Śródziemnym a Czerwonym, ogromnie skracał podróż z Europy do Indii i dalej na wschód.

Do XV wieku, czyli do wielkich odkryć geograficznych, dokonanych przez dwie ówczesne morskie potęgi: Hiszpanię i Portugalię, tę właśnie drogę obierały statki płynące na wschód. Był to jedyny szlak wówczas znany.

Statki przybijały więc do portu w Aleksandrii. Tam przywiezione z Europy towary ładowano na grzbiety wielbłądów, które niosły

je przez pustynię. Nad Morzem Czerwonym inne statki zabierały je w dalszą podróż.

W 1486 roku portugalski żeglarz Bartłomiej Dias zapędził się daleko na południowe wybrzeża Afryki i odkrył Przylądek Burz, nazwany później bardziej łagodnie Przylądkiem Dobrej Nadziei.

W jedenaście lat potem Vasco da Gama pierwszy opłynął ląd afrykański, wskazując przyszłym żeglarzom nową drogę morską do Indii.

Mimo tego odkrycia statki z pasażerami na pokładzie lub z lekkim, delikatnym a cennym ładunkiem w lukach, w dalszym ciągu korzystały z utartego szlaku, przenosząc grzbiety wielbłądów nad daleką i niebezpieczną podróż morską. Towary ciężkie, zajmujące wiele miejsca, a przy tym odporne na długi pobyt na morzu, płynęły już dokoła Afryki śladem Vasco da Gamy.

W 1854 roku Lesseps przedstawił wicekrólowi Egiptu projekt kanału, który by połączył dwa morza, a w roku następnym rozpoczęto prace przygotowawcze.

Iluż specjalistów przystąpiło wówczas do badań, bez których podobnie epokowe przedsięwzięcie nie mogłoby nawet ruszyć z miejsca!

Inżynierowie, geografowie i geolodzy badali przesmyk lądu łączący Afrykę z Azją, a rozdzielający dwa morza, na przestrzeni 164 kilometrów.
Roboty przy kopaniu kanału trwały dziesięć lat, przerywane od czasu do czasu brakiem funduszów. Wtedy Lesseps zrzucał białe płócienne ubranie i objeżdżał główne miasta Francji, wygłaszając odczyty. Złoto ponownie napływało do pustych kas Towarzystwa, co umożliwiało podejmowanie przerwanych prac.
U wylotu Kanału nad Morzem Śródziemnym powstało nowe miasto, nazwane na cześć wicekróla Port Saidem.
17 listopada 1869 roku nastąpiło wreszcie tak niecierpliwie wyczekiwane uroczyste otwarcie Kanału Sueskiego w obecności tysięcy zaproszonych z całego świata gości, żurnalistów, pisarzy, uczonych, przedstawicieli rządów, władców wielu państw.
Wzruszająca to była chwila, gdy dzięki tak niezwykłemu przedsięwzięciu, dzięki uporowi i przekonaniu jednego człowieka, zlały się — rozdzielone dotąd zdawałoby się na wieki — wody Morza Śródziemnego z Czerwonym.
W oślepiającym słońcu Egiptu, na statku, który pierwszy po-
221
kiej, u
"1
WieUd Krzyż Lęgu Honorowej zawisł na (raku RrtłM*
Lessepsa.
dół
Gdy Róża zamknęła za sobą drzwi pracowni, zbiegła na i wyjrzała na dziedziniec, stwierdziła z niezadowoleniem, że pada mokry śnieg, roztapiający się w czarne plamy wilgoci na kamiennych płytach.
Ciemno było w tej części podwórza — widać silny wiatr pogasił latarnie.
Dziewczyna nasunęła na czoło kapturek, osłaniając twarz przed lodowatym podmuchem, i odważnie zapuściła się w dobrze przecież znany, a teraz tajemniczy i niepokojący dziedziniec Tuileriów.
Pani Carette przysłała rano służącą z wiadomością, że leży chora i prosi, by Róża odwiedziła ją wieczorem.
Ach, jakże przykre są ciemności i jak dziwnie tu cicho i pusto! Jak gdyby wszyscy mieszkańcy opuścili nagle Tuilerie, wydając je na pastwę wichru, śniegu i zimowej nocy.

Róża ostrożnie stawia stopy, posuwając się nieledwie po omacku. Wicher tak świszczę w załomach murów, że nie słyszy nawet własnych kroków. Tym bardziej przeraża ją czyjaś obecność, ściszone głosy, wiatr przynosi do niej słowa, polskie słowa, słyszy je tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedziano je tuż przy jej uchu.
— Jest tam?
— Jest.
— Od dawna?
— Może od pół godziny.
— Sam?
— Sam.
222
no~wym szlakiem, cresarzo"wa Eugenia spod lnoronk parasolki crilone.ła niepowtarzalny koloryt imponującego wid. k.a Była jak. zwykle najpiękniejsza. Przy jej aparycji talom pas\a \ak.oś mi oda. siedzącej obok — równie przecież pi« dnio młodszej - ciemnowłosej Sisi, czyli Elżbiety au Ukochanej małżonki Francszka Józefa.
Wielki Krzyż LegU Honorowej zawisł na irafcu Lessepsa.

^n
płynął nowym szlakiem, cesarzowa Eugenia spod koronkowej parasolki chłonęła niepowtarzalny koloryt imponującego widowiska. Była jak zwykle najpiękniejsza. Przy jej aparycji blondynki gasła jakoś uroda siedzącej obok — równie przecież pięknej, a dużo młodszej — ciemnowłosej Sisi, czyli Elżbiety austrac-kiej, ukochanej małżonki Franciszka Józefa.
Wielki Krzyż Legii Honorowej zawisł na fraku Ferdynanda Lessepsa.
Gdy Róża zamknęła za sobą drzwi pracowni, zbiegła na dół i wyjrzała na dziedziniec, stwierdziła z niezadowoleniem, że pada mokry śnieg, roztapiający się w czarne plamy wilgoci na kamiennych płytach. Ciemno było w tej części podwórza — widać silny wiatr pogasił latarnie. Dziewczyna nasunęła na czoło kapturek, osłaniając twarz przed lodowatym podmuchem, i odważnie zapuściła się w dobrze przecież znany, a teraz tajemniczy i niepokojący dziedziniec Tuileriów.

Pani Carette przysłała rano służącą z wiadomością, że leży chora i prosi, by Róża odwiedziła ją wieczorem.
Ach, jakże przykre są ciemności i jak dziwnie tu cicho i pusto! Jak gdyby wszyscy mieszkańcy opuścili nagle Tuilerie, wydając je na pastwę wichru, śniegu i zimowej nocy.
Róża ostrożnie stawia stopy, posuwając się nieledwie po omacku. Wicher tak świszczę w załomach murów, że nie słyszy nawet własnych kroków. Tym bardziej przeraża ją czyjaś obecność, ściszone głosy, wiatr przynosi do niej słowa, polskie słowa, słyszy je tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedziano je tuż przy jej uchu.
— Jest tam?
— Jest.
— Od dawna?
— Może od pół godziny.
— Sam?
— Sam.

— Czekać. A potem wiecie, co robić.
— Wiemy.
— I żeby wszystko odbyło się w cichości. Pamiętajcie.
Od tego krótkiego dialogu powiało grozą. Róża stanęła z mocno bijącym sercem. Co to znaczy? Zasadzka? Na kogo? Tu, w pobliżu wejścia do prywatnych apartamentów cesarza?
Bo właśnie gdzieś tu blisko powinny znajdować się owe drzwi, od których klucz miał jedynie Napoleon III.
Ręką namacała mur i przywarła do tej zbawczej osłony. Bała się poruszyć, by nie zdradzić swojej obecności przed tymi ludźmi, którzy budzili w niej lęk.
Czekali na kogoś, to jasne. Gdzie jednak były straże? Gdzie cesarscy gwardziści? Dlaczego żaden odgłos, zwykły dla tego miejsca, nie przerywał przerażającej ciszy?
Mimo szumu wichury Róża słyszy bicie własnego serca. Wytęża wzrok z taką siłą, aż czerwone koła wirują przed oczami. Ludzie zapadli się jak gdyby pod ziemię, choć czuje, że są tuż, straszni, niebezpieczni. Kto to? I dlaczego mówią po polsku?

Śnieg przestaje padać, zamienia się w lodowaty deszczyk, kłujący igiełkami marznącej wody. Róża silniej przywiera do zbawczego muru. Jest jej zimno i boi się, bardzo się boi, tak bardzo, że chciałaby krzyczeć. Nagle o parę kroków od niej zgrzyt klucza. W szeroko otwartych drzwiach stoi cesarz i jakiś mężczyzna otulony ciemnym płaszczem.
— A więc za tydzień, jak uzgodniliśmy — mówi cesarz i ściska rękę gościa.
— Za tydzień — powtarza niski, stłumiony głos, który poruszył jej serce. Dalsze słowa nieznajomego porywa bijąca teraz z całą siłą w drzwi wichura.
Choć na chwilę zrobiło się jasno, Róża nie może dojrzeć żadnego z czających się zbirów.
— Niech pan uważa — woła mimo paraliżującego ją lęku. — Grozi panu niebezpieczeństwo!
Niestety, i jej głos unosi wicher, który w tej chwili zatrzaskuje z hukiem otwarte dotąd drzwi. Tupot nóg, zduszony jęk i stukot upadającego ciała. Róża wie, że tam w ciemności toczy się walka, zaciekła walka na śmierć i życie.
Mimo obezwładniającego ją strachu odrywa się od muru i jednym skokiem dopada drzwi. Nieprzytomna z przerażenia bije pięściami w twarde drewno.
Gdy wreszcie Napoleon III staje w progu, Róża wpada nieledwie w ramiona cesarza.
— Sire — ledwie może wydobyć głos z zaciśniętej krtani — Tam... napadli... ten, co wyszedł...
Cesarz szerzej otwiera drzwi i śmiało postępuje naprzód. W sennych zazwyczaj oczach lśnią stalowe błyski.
— Niech się pani uspokoi — mówi stanowczo — zaraz sprawdzę.
Po chwili wraca z kandelabrem w ręku.
Dziedziniec jest pusty, cichy i ciemny. Nie ma śladu po napastnikach. Cesarz unosi wysoko zapalony świecznik, rzucając jasny krąg światła na mokre płyty dziedzińca.
— Nie ma nikogo — patrzy wyczekująco na nieznaną dziewczynę. — Co pani tu robi?
— Sire — Róża nie śmie spojrzeć w zamglone błękitne oczy Napoleona III. — Ja... pracuję w Tuileriach. Jestem hafciarką. Szłam do pani Carette. I nagle posłyszałam głosy... Ci ludzie czatowali na tego,

co był u Waszej Cesarskiej Mości. Gdy wyszedł, rzucili się na niego. Słyszałam szamotanie... Ich było kilku, a on jeden... i...
— Proszę za mną — głos cesarza jest jak zwykle spokojny i ściszony.
Róża wchodzi do gabinetu. Cesarz podsuwa jej fotel, po czym pociąga taśmę dzwonka.
— Natychmiast przeszukać dziedzińce — rzuca rozkaz prężącemu się adiutantowi. — Uprzedzić straże przy bramach. Napadnięto na człowieka. Jak najszybciej ująć napastników. Proszę meldować 0 wszystkim. Chcę wiedzieć.
Na następny dzwonek w drzwiach pojawia się lokaj.
— Przynieś wina — głos cesarza mięknie. — Ta panienka zmarzła 1 bardzo przestraszyła się wichru i ciemności.
Róża patrzy na cesarza z wdzięcznością i z podziwem. Jak wszystko staje się proste i bezpieczne! Parę rozkazów i już ludzie z latarniami przetrząsają zakamarki pałacowych dziedzińców, schody, korytarze.

— Chyba porwano go — mówi szeptem, przestraszona własną śmiałością. — Czatowali na niego.
— Co pani słyszała? — cesarz nalewa wina do dwóch pucharków z purpurowego szkła.
— Ktoś pytał, czy on tu jest i od jak dawna. A także, czy jest sam. I zalecał, aby wszystko odbyło się w cichości. — Róża ' wstrząsa się na straszne wspomnienie. — Bałam się poruszyć, żeby mnie nie zauważyli.
— Dlaczego pani go nie ostrzegła? — cesarz nie spuszcza z gościa oczu, które znowu utraciły zwykły, senny jak gdyby wyraz.
— Krzyknęłam, ale chyba nie słyszał. Miałam nadzieję, że nie ośmielą się tuż pod drzwiami Waszej Cesarskiej Mości...
— Są ludzie, których nic nie powstrzyma — cesarz patrzy gdzieś ponad głową Róży. Po chwili ujmuje pucharek.
— Proszę, niech się pani pokrzepi — mówi uprzejmie. — Zaraz każę odprowadzić panią do domu.
— Sire... Ci ludzie...
— Co takiego?
— Ja... dlatego zrozumiałam, o czym mówili, że mówili po polsku. — Róża wyrzuca to jednym tchem.
— Po polsku? — dziwi się cesarz.

— Tak. Po polsku.
— Więc pani zna język polski?
— Jestem Polką.
— Rozumiem.
— Mój brat przyjaźni się z Lulu... — bąka Róża onieśmielona. — Z Jego Cesarską Wysokością — poprawia się.
— Mówi pani o Anto? — uśmiecha się cesarz.
— Tak, Sire.
— Obaj chłopcy urodzili się jednego dnia — przypomina Napoleon III.
— Pamiętam. A jego ojciec... Przepraszam, to również i pani ojciec, prawda? Zginął przed operą. Czy tak?
— Tak, Sire.
Cesarz ponownie pociąga taśmę dzwonka.
— Niech tu przyjdzie porucznik Delavigne — mówi lokajowi. Porucznik Delavigne jest młody i przystojny. Stoi przed cesarzem
na baczność, ale co rusz zerka ukradkiem w stronę Róży.
- Porucznik Delavigne — Napoleon III przedstawia młodego
15 — Talerz z Napoleonem
225

człowieka — zaopiekuje się panią. Panie poruczniku, proszę odprowadzić pannę Ordęga do domu.
Róża jest zdumiona. Jak to? Więc cesarz pamięta ich nazwisko?
— Niech się pani nie martwi, moje dziecko — Napoleon III obejmuje dziewczynę ramieniem i prowadzi do drzwi. — Wszystko będzie dobrze. Straże ujmą złoczyńców i uwolnią tego człowieka. Niech pani o tym zapomni — dodaje z naciskiem. — Do widzenia.
Porucznik Delavigne to młodzieniec doskonale wychowany i bardzo elegancki. Traktuje Różę jak prawdziwie wielką damę.
Ciemny do niedawna i opustoszały dziedziniec teraz przebiegają patrole z latarniami. Słychać głosy, padają rozkazy.
— Panie poruczniku — Róża podnosi oczy na młodego człowieka. — Czy może pan być tak uprzejmy i towarzyszyć mi do pani Carette? Czeka na mnie. Muszę ją przeprosić, że nie zostanę, a potem...
— Odprowadzę panią do domu — przerywa porucznik Dela-vigne. — Otrzymałem taki rozkaz — dodaje służbiście. — A poza tym jestem

na pani usługi — tym razem pozwala sobie na całkiem niesłużbisty uśmiech.

t

— Wygraliśmy! — zatarł ręce najmłodszy z bywalców salonu rotmistrza Brackiego. — Plebiscyt wyraźnie pokazał, czego chce Francja.
Pan Hutorowicz trząsł siwą głową i milczał.
— Czy to źle? — Róża podniosła niespokojny wzrok na starego przyjaciela. — Dlaczego pan nic nie mówi?
— Cóż mam mówić? Dla Francji to chyba dobrze, może nawet bardzo dobrze — pan Hutorowicz westchnął. — Rzeczywiście olbrzymia większość głosujących pragnie kontynuacji cesarstwa, chce, by zapewniono tron dla następcy. Dla Francuzów oznacza to przecież stabilizację, pokój, wzrost dobrobytu, dalszy rozkwit, przemysłu i handlu. Co jednak z tego będzie miała Polska? Dotąd cesarz zadowalał się jedynie obietnicami.
— Jeszcze panu mało tego, co Francja dla nas robi? — oburzył się ów entuzjasta cesarstwa. — Ten plebiscyt to wielki triumf Napoleona Trzeciego. Dopiero teraz można będzie wprowadzić w czyn wszystkie reformy. Polska też nie zostanie zapomniana. Zobaczy pan.

Plebiscyt rzeczywiście okazał się triumfem bonapartystów, niestety, był to ostatni uśmiech losu dla cesarza na tej ziemi.
Dzień ósmego maja 1870 roku potwierdził wolę narodu: po dwudziestu latach istnienia cesarstwa siedem i pół miliona obywateli opowiedziało się za dotychczasową formą rządów. Tylko, półtora miliona wyborców sprzeciwiło się osadzeniu na tronie następcy.
Opozycja ze zdumieniem zadała sobie pytanie: „Jak doszło do podobnego skandalu?"
227
Tej wiosny w Tuileriach, jak zwykle o tej porze roku, kwitło życia towarzyskie. Cesarzowa Eugenia wiele przyjmowała, cesarz, zamk^ęty w gabinecie, prowadził polityczne rozmowy.
Tema-tu naturalnie dostarczały Prusy, minister Bismarck, ogólny układ sił.
— Dążące do zjednoczenia się Niemcy są gwarancją pokoju w Europie — dowodził cesarz.
— Niemcy zjednoczone pod berłem jednego człowieka, to największe zagrożenie dla Europy — odpowiadał hrabia von Beust, austriacki minister.
Któż właściwie mógł odgadnąć, co było korzystne dla Europy i jej pokoju? Jeśli cesarz pragnął dobrych stosunków z Prusami, to osoby z kręgu cesarzowej Eugenii wyrażały wręcz przeciwne życzenia.-I działały w tym kierunku, bardzo nawet skutecznie, bo wyjątkowo energiczną kobietą była księżna Metternich.
Na początku lipca gazety ogłosiły, że jeden z Hohenzollernów pretenduje do tronu Hiszpanii.
Opozycja ostro zaatakowała Prusy.
„Czyż Hohenzollernom nie wystarcza już podbój Niemiec? — pisano. — Czyż ich bezczelne zuchwalstwo dąży do opanowania Europy?"
Cesarz zwrócił się do Anglii o poparcie jego pokojowej polityki. W wyniku dyplomatycznych zabiegów książę Leopold Hohenzollern wycofał swoją kandydaturę do hiszpańskiej korony.
„Odnieśliśmy wspaniałe zwycięstwo — piały paryskie dzienniki. — Nie kosztowało nas ono ani jednej kropli krwi, ani nawet łzy".
Opozycja napiętnowała owo „zwycięstwo" jako hańbę dla Francji.
Naród był podzielony. Jedni parli do wojny, inni widzieli przyszłość w utrzymaniu dotychczasowych pokojowych stosunków z Prusami.

Cesarz wiedział, że pod względem militarnym Francja nie była gotowa. Liczył jednak na wspaniałą postawę żołnierzy, na ich męstwo, sprawdzone tak chlubnie pod Magentą i Solferino.
Poza tym był chory. Nerkowe kamienie sprawiały coraz dotkliwsze cierpienia. Utrzymanie się w siodle wymagało nadludzkiego wysiłku. Twarz cesarza jak zwykle nie zdradzała jego stanu i tylko

ci, którzy znali go bardzo dobrze, wiedzieli, co ten człowiek musi przezwyciężać.
Mimo pomyślnego wyniku plebiscytu nie ustępował ni$)okój o Francję i o przyszłość syna. Co będzie z Lulu? Przecież to jeszcze dziecko. Co z nim będzie?
Człowiek układa plany, obmyśla strategię, usiłuje przeczuć nadchodzące wypadki. Cóż jednak zdoła powstrzymać sunącą z gór lawinę? Wystarczy jeden mały kamyk, a rozmiarów katastrofy nie da się przewidzieć.
Lulu martwił się ojcem. Wiedział o chorobie cesarza, wiedział o politycznych trudnościach, z jakimi się borykał.
Podczas ostatniego przed wakacjami spotkania z małym księciem Antosia uderzył nowy wyraz jego smutnej twarzy.
— Co ci jest? — pytał niespokojnie.
— Nic — Lulu uśmiecha się blado. — Po prostu boję się.
— Boisz się? Czego?
— Sam nie wiem — Lulu przysunął się do przyjaciela. — Słuchaj, wszystko jest nie tak, jak być powinno.
— Tak myślisz? — Antosiowi udzielił się niepokój księcia.
— Tak — Lulu energicznie pokiwał głową. — Biedny papa. Gdybym mógł coś dla niego zrobić...
Antoś wracał do szkoły przygnębiony. Te obawy, przewidywania czegoś, co wydawało się nieuniknione, nie pasowały jakoś do Lulu. Nigdy dotąd nie mówił o tak smutnych rzeczach. Odwrotnie, ich rozmowy, nawet takie, które dotyczyły spraw nie zawsze radosnych, dalekie były od beznadziejności obecnego nastroju. Zaledwie rok temu Lulu odwiedził Korsykę, witany wszędzie jak triumfator. Przywiózł tyle wspaniałych wrażeń, a teraz...?
Piętnastego lipca Francja wypowiedziała wojnę Prusom. Decydując się na ten krok, Napoleon III nie miał nic do wygrania, mógł za to stracić wszystko. Dlaczego się więc zdecydował? Musiał, bo tak chciał

Bismarck. Pruski minister nie ominął niczego, co by doprowadziło Francję do tak drastycznego kroku. Cesarz wiedział, że miał wrogów wewnątrz kraju, wiedział, że zrobią wszystko, by go zgubić. Łudził się jednak, wierzył, że mimo nienawiści do cesarstwa nie poświęcą przecież interesów Francji.
Na ulicach Paryża zaroiło się od mundurów. Artyleria, kawaleria, piechota, gwardia cesarska, gwardia narodowa, lansjerzy, grena-

dierzy, kirasjerzy, woltyżerowie, żuawi — różnorodność kolorów, sukna, kroju, nakrycia głowy! Pociągi pełne wojska odjeżdżały na wsch&Ł.
Napoleon III postanowił zabrać na front syna.
Tego lata rodzina cesarska spędzała wakacje w Saint-Cloud, tuż pod Paryżem, w pięknej rezydencji na lewym brzegu Sekwany, wśród olbrzymiego parku, założonego niegdyś przez księcia d'Anjou, brata Króla-Słońce.
Lulu miał czternaście lat, wiek zbyt młody, by otrzymać jakikolwiek stopień w armii, niemniej przywdział bluzę podporucznika. Wojna położyła kres nie tylko jego wakacjom, ale wakacjom wszystkich dzieci we Francji.
Pożegnanie było bardzo smutne. O dziewiątej rano opuszczono pałac, udając się powozem na stację kolei żelaznej. Tam czekał już specjalny pociąg, mający zawieźć ojca i syna na przedpola bitew.
Cesarzowa Eugenia zaimponowała obecnym opanowaniem i spokojem. Zegnała jedynaka — którego nie miała już zobaczyć na francuskiej ziemi — suchymi oczyma, prawie nie okazując wzruszenia.
Lulu trzymał się mężnie, choć połykał łzy i w obu dłoniach ściskał rękę matki. Żołnierz wyruszający na wojnę nie może płakać!
— Drogi przyjacielu — powiedział cesarz do generała Lepie, który ku swojej rozpaczy otrzymał rozkaz pozostania w Paryżu. — Oddaję moją małżonkę pod pańską opiekę.
Generał Lepie nie był z tej misji zadowolony, pragnął za wszelką cenę wyruszyć na front. Musiał jednak poddać się woli cesarza.
Zebrani na stacji długo jeszcze widzieli w oknie wagonu bladą twarz Lulu i jego zaczerwienione oczy. A potem cesarzowa Eugenia sama wróciła do pałacu.

Pociąg tymczasem pędził na wsctośd, do Metzu. Miał to być jedynie krótki postój, wypadki jednak zadecydowały inaczej, zmuszając cesarza do pozostania w tym mieście.
Z początku Lulu był zachwycony. Wszystkim. Nawet brakiem zwykłych wygód. Żołnierze, nowe warunki życia, gwar obozowy, wszystko wprawiało go w ciągłe podniecenie. Przysłuchiwał się naradom generałów, odczytywaniu nadchodzących depesz. Pod Sarrebruck przypatrywał się nawet bitwie.
A potem rozpoczął się początek końca, klęska goniła klęskę.
230
Wojna toczyła się błyskawicznie ku przegranej. Armia francuska została pobita na całej linii: Wissembourg, Forbach, Reichshoffen.
Guwerner księcia, generał Frossard, dowodzący drugim korpusem, opracował szczegółowy plan ataku na Sarrebruck. Dodano mu do pomocy jeszcze dwa korpusy: trzeci i czwarty. I przegrał. Dla Lulu był to cios. Dostał gorączki. Coraz gorzej wyglądał. Nękały go gwałtowne bóle głowy, bezsenność, brak apetytu. Ciągłe napięcie fatalnie wpływało na zdrowie chłopca. Po prostu ginął
w oczach.
Cesarz, zaalarmowany stanem syna, postanowił natychmiast odesłać go do domu, tym bardziej że Rada Ministrów żądała obecności księcia w stolicy. Cesarzowa Eugenia, regentka na czas wojny, sprzeciwiła się jednak powrotowi Lulu do Paryża.
Każdego dnia depesze zwiastują teraz nowe klęski. Marszałek Mac-Mahon, bohater dwóch kampanii, krymskiej i włoskiej, dał się pobić pod Reichshoffen. Generał Douai poległ, a wraz z nim
wielu innych.
Cesarz i Lulu opuszczają Metz. Rozpoczyna się tragiczna peregrynacja przez zdewastowane tereny, między wojskiem, które nie wierzy już w możliwość zwycięstwa. Longueville, Borny, Grave-lotte, Verdun — oto miejsca znaczone krwią francuskich żołnierzy. Cesarz przeżywa najokrutniejsze upokorzenie. Opozycja wymogła na rządzie, by odebrano mu naczelne dowództwo. Odpowiedzialność więc za losy walki ponosi obecnie marszałek Bazaine, „bohater" meksykańskiej wojny, człowiek chwiejny, pozbawiony inicjatywy. To on wpadnie w pułapkę zastawioną przez Prusaków w Metzu i będzie zmuszony oddać miasto.

Ponadto rząd nie pozwala cesarzowi wrócić do Paryża, nie pozwala ratować tego, co jeszcze dałoby się może uratować.
Dla Lulu są to najcięższe dni w jego życiu. Nie śmie pokazać się publicznie, wstydzi się klęski, wstyd mu za Francję. Wie, że wojsko wini cesarza za wszystkie niepowodzenia, a cesarz — Lulu też wie to dobrze — jest chory, bardzo chory. Tego zwycięzcę, podziwianego dotychczas przez całą Europę, lżą teraz jego
właśni żołnierze.
Nadchodzi wreszcie tragiczna chwila, kiedy ojciec i syn muszą się rozłączyć. Każdy z nich pójdzie odtąd drogą, którą mu wyzna-

czyła fatalność. Dla Lulu nie ma już miejsca na tej ziemi zlanej francuską krwią, przeoranej pruskimi pociskami. Ostateczna katastrofa jest tylko sprawą tygodni, jeśli nie dni.
Lulu zapomina, że jest dużym chłopcem, że skończył czternaście lat. Podczas pożegnania z ojcem płacze tak, jak nigdy jeszcze nie płakał. Dalsza podróż chłopca ku granicy belgijskiej jest koszmarną ucieczką przed posuwającym się szybko wrogiem. Nędzne konie, jakie udało się zarekwirować i zaprząc do niewygodnej bryczki, wiozą cesarskiego księcia z Mśzieres do Sedanu, z Sedanu do Aves-nes, z Avesnes do Landrecies, wreszcie do Maubeuge. Tam dogania opiekunów chłopca depesza cesarza: „Jestem jeńcem króla pruskiego. Proszę odwieźć księcia do Anglii".
Lulu jest tak zmęczony, że usypia stojąc. Ale oto już bliski koniec wędrówki. Przez Namur docierają do Ostendy, stamtąd statkiem do Dovru. I zaczyna się wygnanie.
Ileż strasznych rzeczy wydarzyło się w ciągu tak krótkiego czasu! Zaledwie miesiąc temu opuścił Saint-Cloud, matkę i wakacje, dumny z tego, że jak żołnierz wyrusza na wojnę. Zaledwie miesiąc temu! A oto czekała go klęska, utrata domu, ojczyzny, wszystkiego. I wygnanie. Nie zobaczy już nigdy Francji.
Po odjeździe syna cesarz ma większą swobodę działania. Wobec nieuniknionej klęski pragnie zginąć śmiercią żołnierza. Świadomie wystawia się na niebezpieczeństwo, nie oszczędza życia, całe dnie spędza na koniu, wśród świstu kul. Ileż razy pociski rozrywają się prawie pod kopytami ulubienicy Hero! Niestety, wszystkie go omijają. Obok niego

giną ludzie, Napoleon III — choć szuka śmierci — z każdej potyczki wychodzi nietknięty.
A potem już Sedan i koniec. Armia francuska otoczona przez Prusaków w leju, na dnie którego leży miasto, wprowadzona tam wbrew woli cesarza, ma tylko dwa wyjścia: przebić się przez linie wroga i zginąć lub złożyć broń. Cesarz wybiera to drugie. Oddaje szpadę. Nie chce dopuścić do niepotrzebnej już masakry swoich oddziałów.
Ustanawiając się jeńcem króla pruskiego Napoleon III ma nadzieję ułatwić pokojowe pertraktacje. Czyż Rosja po wojnie krym-skiej zrzuciła cara z tronu? — myśli cesarz. Czyż Austria, przegrawszy kampanię włoską i decydującą bitwę pod Sadową, potępiła

Franciszka Józefa? Dlaczego Francja poszła inną drogą? Może nie byłaby utraciła Alzacji i Lotaryngii i nie musiała płacić pięciu miliardów kontrybucji?
— Starsi uczniowie ćwiczą musztrę — Antoś zziajany padł na Dziadusiowy fotel. — Widziałem na dziedzińcu szkoły. Wszyscy pójdą na wojnę. Ja też. — Popatrzył wyzywająco na siostrę.
— Jesteś za młody — stwierdziła krótko Róża.
— Jak to, za młody? A Lulu? Mam tyle samo lat co on.
— Któż by się mną opiekował? Mną i Zelią? Nie możesz nas opuścić.
— Prawda — przyznał niechętnie. — Przyrzekłem Dziadusiowi.
— Widzisz. W takich czasach nie trzeba się rozstawać. Nie wiadomo, co jeszcze będzie.
Antoś całe dnie spędzał poza domem. Sam teraz uganiał się po Paryżu. Krążył między Szkołą Narodową Polską na Batignolles a bulwarem Montparnasse, gdzie co dzień prawie bywał „po wiadomości".
Wyręczał tym siostrę, bo Róża nie miała teraz czasu na wizyty, pieniędzy było mniej i należało więcej pracować.
Podczas jej ostatniej bytności u rodaków pan Hutorowicz uspokoił ją co do losu człowieka napadniętego na dziedzińcu Tuileriow.
— Nie pamiętam, czy pani mówiłem — zaczął. — Ten człowiek, na którego zaczaiły się zbiry...
— Bardzo się o niego martwię — przerwała.
— Już niepotrzebnie — uśmiechnął się. — Na szczęście przyszedł mu z pomocą służący, który na niego czekał na ulicy Rivoli. To wyjątkowo

dzielny człowiek. I we dwóch... A wie pani — spojrzał bystro na dziewczynę. — Ten nieznajomy, to bohater z Nowej Kaledonii.
— Co pan mówi? Więc żyje! Jakie szczęście!
— Żyje. Był ranny. Po tej ekspedycji została mu pamiątka na całe życie: szrama na skroni.
— A... Berezowski?
— Berezowski... — pan Hutorowicz spuścił głowę. — Lepiej by dla niego było nie żyć — dokończył ciszej.

— A ten napad? Ta zasadzka w Tuileriach? Kto to? Przecież to Polacy... Czy Damian?
— Tak — pan Hutorowicz skinął głową. — To jego robota.
— Ale dlaczego?
— Widocznie dostał takie zadanie.
Miała teraz o czym myśleć podczas długich godzin spędzanych w Tuileriach. Tamborek spoczął na dnie szuflady razem z motkami jedwabiu, z najcieńszym batystem. Jej hafty nie były już nikomu potrzebne. Panny ze szwalni szyły bandaże, obrębiały płótno na opatrunki. Siedziała więc razem z nimi zajęta tą samą smutną robotą. Wieści z frontu nadchodziły nieregularnie i były coraz gorsze. Wreszcie któregoś dnia panna Wirginia zjawiła się w żałobie.
— Brat poległ pod Reichshoffen — powiedziała ocierając oczy. — Wczoraj nas zawiadomiono.
Już w końcu lipca cesarzowa Eugenia opuściła Saint-Cloud i z całym dworem zjechała do Paryża. Tu łatwiej było o nowiny, a i obowiązki regentki wymagały jej obecności w stolicy.
Mimo coraz tragiczniejszej sytuacji cesarzowa Eugenia zadziwiała ministrów i generałów zimną krwią i opanowaniem. Nie spodziewano się po niej podobnej energii i siły charakteru.
Czternastego sierpnia odbyło się ostatnie dworskie przyjęcie w Tuileriach. Wśród przybyłych przeważały mundury wszelkich formacji. Cesarzowa Eugenia zjawiła się piękna jak zwykle, choć blada i znużona. Dekoltowana suknia z czarnej siatki na taftowym spodzie rozkładała się w sutą krynolinę. Na ten wieczór regentka nie wydobyła z puzder żadnego klejnotu, na rękach miała jedynie dżetowe bransoletki i takiż diadem na jasnych włosach, wśród których przeświecało kilka srebrnych nitek.

Służba, podobnie jak i pani, przywdziała czarną liberię.
Mimo żałobnej dekoracji nastroje gości nie były najgorsze. Łudzono się jeszcze, że losy wojny mogą się odmienić. No i liczono na pomoc. Próżne to jednak były nadzieje, próżne zabiegi cesarzowej Eugenii u niedawnych sojuszników. Zarówno książę Metternich, jak i kawaler Nigra w imieniu swoich rządów przynieśli odmowną odpowiedź.
Trzeciego września dotarła do Paryża wieść o ostatecznej porażce

pod Sedanem i o kapitulacji. Wokół Tuileriów zaczęły gromadzić się tłumy. Ulicą Rivoli ciągnęły grupy rozkrzyczanych i wygrażających pięściami paryżan. Śpiewano pieśni wrogie cesarstwu, przeklinano Napoleona Trzeciego. Całą noc błyskały ognie pochodni na placu Zgody, a wrzaski i śpiewy raniły uszy zbolałej regentki.
Generał Lepie obawiał się o bezpieczeństwo powierzonej jego opiece małżonki cesarza. Wieczorem wzmocniono straże przy bramach, a szwadron grenadierów roztasował się w salach pawilonu Flory, dotykających galerii Muzeum Luwru.
Jak szczury z tonącego okrętu, tak z Tuileriów zaczęli uciekać dworacy i służba. Nikt naturalnie nie opuszczał pałacu z pustymi rękoma, każdy pod płaszczem, pod fartuchem czy pod liberyjną kurtką wynosił jakiś cenny drobiazg: statuetkę z brązu czy z kości słoniowej, miniaturę podpisaną sławnym nazwiskiem. Biesiadowano w pałacowej kuchni, korzystając z nieszczęścia chlebodawców. Czwartego września rano pałac wydawał się wymarły. Reszta służby, która pozostała mając nadzieję na większe łupy, zbiegła w ciągu nocy. Jedynie przed drzwiami cesarskich apartamentów pełnił straż wierny gwardzista. Od strony placu Zgody lud wyłamał sztachety i wdarł się na teren ogrodów.
— Panno Różo — cesarzowa Eugenia wyjmuje z szyfonierki małe puzderko. — Proszę, niech to pani zachowa na pamiątkę. Doprawdy, tak bardzo dziękuję za serce...
Róża, skonfundowana, nie wie, co powiedzieć.
— Niech pani nic nie mówi. Takich haftów nigdy już nie będę miała. Chcę, żeby pani wzięła sobie coś z tych rzeczy, przecież wszystko zostanie. .
Tak, trzeba • zostawić wszystko. Pełne szafy i komody, ponad trzysta wspaniałych toalet, futra, koronki, stosy najcieńszej bielizny — równie wykwintnej nie miała chyba żadna dama w Europie — kolekcję

wachlarzy, biżuterię i te tysiące prześlicznych drobiazgów, które wyszły z pracowni artystów, a na co dzień uprzyjemniały życie. Najcenniejsze klejnoty, na szczęście, znajdowały się już w bezpiecznym miejscu.
Cesarzowa Eugenia rozgląda się po sypialni, przechodzi do garderoby, otwiera szafy, dotyka jedwabiu i aksamitu. Przez

siedemnaście lat otrzymywała przecież co miesiąc sto tysięcy franków na własne wydatki, z czego większość pochłonęły te właśnie cuda.
Teraz ma na sobie czarną kaszmirową suknię, najskromniejszą, jaką znalazła w bogatej garderobie. Biały kołnierzyk i mankiety upodabniają jej strój do stroju hafciarki.
Te ostatnie dnie i noce Róża spędza w Tuileriach. Uprzedziła Zelię. Inaczej nie mogłaby przedostać się do pałacu, takie tłumy tarasowały ulicę Rivoli.
Została, gdyż żal jej było cesarzowej Eugenii, opuszczonej przez damy dworu i pokojowe. Jedynie pani Carette i pani Lebre-ton — dwie lektorki, pogodzone obecnie wobec nieszczęścia chlebo-dawczyni — dotrzymywały jej towarzystwa.
Czwartego września rząd proklamował republikę, Trzecią Republikę we Francji.
Zdawało się, że cały Paryż wyległ na ulice, gromadząc się wokół Tuileriów. Na placu Zgody między tłumem błyskają lufy i bagnety gwardzistów.
— Nie wolno strzelać do ludzi — cesarzowa Eugenia odwraca się od okna. — Słyszy pan, generale? Zabraniam!
— Nie mam tego zamiaru, Madame — generał Lepie czyni bezradny gest.
Cesarzowa Eugenia gniecie trzymaną w ręku kartkę — ostatni list, jaki nadszedł od cesarza.
„Moja droga Eugenio, trudno mi opowiedzieć, co wycierpiałem i cierpię nadal. Posunięcia naszej armii, tak przeciwne wszelkim zasadom taktyki, musiały sprowadzić katastrofę. Wolałbym śmierć niż tę przerażającą kapitulację, jednakże w obecnych warunkach była to jedyna możliwość uratowania sześćdziesięciu tysięcy istot ludzkich. Dręczy mnie niepokój o ciebie, o naszego syna, o Francję. Co będzie z Paryżem? Król pruski oddaje mi do dyspozycji jeden ze swoich zamków. Wszystko mi jedno,

gdzie będę, nic nie ukoi mojego bólu i rozpaczy. Żegnam cię i całuję najczulej. Napoleon".
Generał Lepie szarpie wąsy i spogląda na tłum zalegający plac.
Cesarzowa Eugenia przykłada do oczu teatralną lornetkę.
— Tyle ludzi — szepce. — Boże, Boże!
236
Metternich i kawaler
Do błękitnego salonu wchodzą książę
Nigra.
— Madame — ambasador Austrii pochyla się przed cesarzową —

nie może tu pani zostać ani chwili dłużej.
— Madame — podchwytuje kawaler Nigra. — Proszę nie zwlekać z ucieczką. Zgubi pani swoich przyjaciół. Pan Metternich i ja oczekujemy na dole. Wkrótce może już być za późno.
v— Panie generale — cesarzowa Eugenia jest spokojna i zdecydowana. — Gdy już wszyscy opuszczą pałac, proszę wydać rozkaz gwardzistom, by również odeszli.
Pani Carette i Róża nie mogą powstrzymać łez. — Nigdy was nie zapomnę, drogie, kochane, nie zapomnę, czym dla mnie byłyście w te dni. Żegnajcie, żegnajcie! — Cesarzowa przygarnia do siebie dziewczynę, ściska ręce pani Carette, po czym wkłada kapelusz, zasłania twarz woalką, na ramiona narzuca płaszcz. Ze stolika bierze miniaturę ojca, z którą nigdy się nie rozstawała, po raz ostatni spogląda na to wnętrze, co tyle lat było
jej domem.
Na dziedzińcu czeka powóz, ale pan Metternich, widząc liberię woźnicy i herby na drzwiczkach, doradza wynajęcie fiakra.
Zewsząd napierają ludzie, krzyczą, pomstują. Tędy nie ma już przejścia, trzeba wracać do pałacu.
W obliczu niebezpieczeństwa cesarzowa Eugenia nie traci głowy i szybko wbiega na górę. Jest teraz tylko jedno wyjście, przez galerie starożytności Muzeum Luwru.
Na uciekinierkę spoglądają martwe oczy egipskich mumii i greckie marmury. Tylko tędy można wydostać się na ulicę przed kościołem Świętego Hermana z Auxerre.

— Precz z cesarstwem! Śmierć Hiszpance! Niech żyje republika!
Cesarzowa opiera się na ramieniu kawalera Nigry.
— Proszę się nie lękać, Madame — uspokaja Włoch i przywołuje mijającego ich właśnie fiakra.
— Nie lękam się.
Cesarzowa Eugenia i pani Lebreton kryją się w zniszczonym wnętrzu pojazdu.
Fiakier rusza, z trudem torując sobie drogę między tłumem. Pozostali na ulicy patrzą za nim chwilę, po czym Róża żegna

się z panią Carette, która obawia się wracać do swoich pokoików w Tuileriach.
— Nie może tu pani zostać — mówi generał Lepie. — Wkrótce Tuilerie zmienią mieszkańców.
Książę Metternicłi zaprasza lektorkę do swojego powozu. Kawaler Nigra podchodzi do Róży.
— Odwiozę panią — mówi miękko. — Proszę nie płakać. Tuilerie przecież zostały.
O tak, Tuilerie zostały, a w nich zostało jeszcze paru wiernych przyjaciół. Generał Lepie i kapitan Dressey przebiegają opustoszałe apartamenty i salony, sprawdzają, czy pozamykano wszystkie okna, dokonują inspekcji miejsc skazanych na zagładę.
Gdy generał Lepie zamknął za sobą ostatnie drzwi, lud rozerwał tamy i niczym wezbrane morze w czasie przypływu runął na Tuilerie.
.

Po klęsce pod Sedanem armia pruska miała już otwartą drogę do Paryża. Kto mógł, uciekał z zagrożonej stolicy.
Pani Narzymska z Melą zjawiły się na ulicy Świętego Rocha z pożegnalną wizytą.
— Wyjeżdżamy na Południe — powiedziała matka Meli. — Tak doradził mój brat — dodała spuszczając oczy. — I chcę panią bardzo prosić, byście się zabrali razem z nami.
— Tak, tak — zawołała Mela — pojedziemy razem, wszyscy razem.
— Dziękuję, ale my pozostaniemy w domu. Tu jest wszystko, co kochamy.

— W Paryżu może być niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie. — Nalegała pani Narzymska. — Proszę zapakować najkonieeżniejsze rzeczy i zamknąć mieszkanie.
— Nie, nie, raz jeszcze dziękuję. Wiem, że Zelia nie zgodziłaby się nigdy, a ja się z nią nie rozstanę.
— Doprawdy, panno Różo, jest pani bardzo nierozsądna, proszę się zastanowić.
— Przecież większość mieszkańców zostaje, prawda? Więc i my.
— Panno Różo — pani Narzymska aż poczerwieniała z zakłopo-

tania. — Nie wiem, jak to ująć, żeby pani nie urazić. Obawiam się, że nie przełamię pani uporu, wobec tego chciałabym zostawić pani pieniądze. Proszę nie protestować — dodała widząc wyraz przykrości na twarzy dziewczyny. — Tu wszystko zginie. Po cóż więc ma się zmarnować to, co komuś może być potrzebne? To ludzka rzecz. Takie są czasy, że chyba nie należy kierować się niemądrą w tej sytuacji dumą. Proszę zrozumieć. I tak jestem pani
dłużniczką.
Róża zgodziła się. Pieniądze były. im rzeczywiście potrzebne. Na żadną pracę obecnie nie mogła liczyć.
Pożegnanie było wyjątkowo smutne, nikt przecież nie wiedział, kiedy się znowu zobaczą.
— Żegnaj, Anto — powiedziała Mela, wyciągając rękę.
— Do widzenia, Melu — Antoś ujął niezgrabnie cienkie paluszki. Gdy turkot powozu oznajmił odjazd gości, Róża poczuła dziwną pustkę w sercu. Wszyscy wyjeżdżali, wychodzili z jej życia. Nie ma już Tuileriów, nie ma szwalni i pracowni hafciarki, pałac stoi ciemny i milczący, opuszczone żaluzje kryją oślepłe szyby, zadeptane trawniki i połamane krzewy świadczą o tragicznych dniach, jakie wraz z całym narodem przeżyła rezydencja obalonego cesarza.
Nazajutrz po wyjeździe pani Narzymskiej Antoś wrócił z bulwaru Montparnasse z wiadomością, że pan Hutorowicz przyśle po Różę konie.
— Ma do ciebie interes — zakończył.
— Jaki interes?
— Nie powiedział.

Z biciem serca wsiadała do jakże dobrze znanego powozu. Służący zaprowadził ją do salonu, gdzie czekał pan Hutorowicz.
— Moje dziecko — zaczął. — Sprowadziłem tu panią, gdyż Ryszard Żeran pragnie nareszcie zobaczyć wnuczkę Kazimierza Ordęgi.
- Więc wrócił?
— Tak. Nie powiedziałem pani dotąd, że to wnuk Zygmunta, ale okoliczności tak się układały...
— I przyjdzie tu dziś?
— Jest w jadalni. Zaraz tam panią zaprowadzę.

Ryszard Żeran, tak niegdyś niecierpliwie wyczekiwany i tak potrzebny, zjawił się wówczas, gdy już ktoś inny wszystko za niego załatwił. Wolałaby, żeby to ten drugi człowiek znajdował się w jadalni, jednakże nie zapytała nawet pana Hutorowicza o Miguela Toreno.
Stary przyjaciel otworzył przed nią drzwi i popchnął ją lekko do środka. Naprzeciw wejścia stał odwrócony plecami do pokoju wysoki mężczyzna, zapatrzony w wiszący nad kominkiem obraz. Nosił wytworny garnitur, a jego czarna głowa odcinała się ostro od jasnego tła ściany. Powoli odwrócił się w jej stronę.
— Miguel Toreno — wyszeptała składając ręce, niezdolna oderwać oczu od szerokiej blizny przecinającej lewą skroń, czyją? Lokaja?
— Różo — powiedział po polsku — wybacz, że tak długo cię zwodziłem.
— Jak to? Więc pan...? Więc Ryszard Żeran...?
— To ja.
— A... Miguel Toreno? Czy nie ma już Miguela Toreno?
— Ależ jest, to mój wierny służący, a raczej przyjaciel. Długi czas użyczał mi swojego nazwiska, raz uratował mi życie.
— Trudno pojąć, że pan...
— Po cóż te ceremonie między nami. Różo, czy nie masz mi nic innego do powiedzenia?
— To raczej ja powinnam oczekiwać od pana wyjaśnień.
Stali naprzeciw siebie jak wrogowie, mierząc się oczami. Boże, co to znaczy? Róży zdawało się, że runęło w gruzy coś, co było mocne jak skała. A on patrzył na nią, jak gdyby nic nie rozumiał. On? Kto taki? Obcy człowiek, przecież nie Miguel Toreno.

Nie próbował jej zatrzymać, gdy opuszczała, pokój.
— Co pani, moje dziecko? — pan Hutorowicz przestraszył się, zobaczywszy wyraz jej twarzy.
— Chciałabym wrócić do domu — powiedziała cicho.
Przed Zelią otworzyła serce. Musiała. Nie mogła sama nieść takiego ciężaru.
— Nie chcę mu się narzucać — płakała. — Gdy udawał lokaja, hafciarka była dla niego w sam raz, ale obecnie...
— Wiesz co — powiedziała Zelia ze złością — od początku

wiedziałam, że to nie lokaj, wystarczyło na niego popatrzyć. Spotkałyśmy go przecież, pamiętasz, na placu Vend6me? Chciałam go nawet zapytać, ale ugryzłam się w język. Jeżeli udawał lokaja, miał widać po temu swoje powody. Ale to porządny człowiek i ciebie kocha — dodała z przekonaniem. — To też zauważyłam. Od pierwszego razu.
Następnego dnia otrzymała od niego list. Przepraszał za wszystko i zapewniał o gorącej miłości. Prosił, by mu przebaczyła i była dla niego taka, jak dawniej. Dodawał, że będzie czekał na jej wezwanie.
Przeżywała straszne dni, własna udręka kazała zapomnieć 0 groźbie wiszącej nad Paryżem.
Okazało się, że Niemcy przyjeżdżający do Francji jako goście, by mile spędzać czas, w rzeczywistości zajmowali się szpiegostwem 1 teraz służyli najeźdźcom za przewodników. Francuzi ze zdumieniem stwierdzali, że nie tylko główne drogi, ale i najmniejsze ścieżki znane były doskonale Prusakom. W takich warunkach posuwanie się w głąb pobitego kraju nie nastręczało żadnych trudności.
Osiemnastego września wróg stanął na przedpolach stolicy.
Generał Trochu, dowodzący obroną Paryża, mobilizował siły nie tylko wojskowe — cywile też byli potrzebni. Sypano szańce, umacniano fortyfikacje, kopano rowy.
Wróg podchodził coraz bliżej, zakreślając jak gdyby magiczny krąg wokół miasta. Generał Trochu zarządził, by ogołocono peryferie z drzew, krzewów, a nawet budowli. Pod ciosami topora czy motyki padły podmiejskie karczmy, dokąd co niedziela paryżanie zjeżdżali na wesołe obiadki. Teraz uwijali się tam saperzy z ładunkiem dynamitu.

Mieszkańcy stolicy nie spostrzegli nawet, jak zostali odcięci od reszty świata. Przez żywy kordon pruskich szeregów zdołałaby przecisnąć się najwyżej mysz.
Na czyjąś uwagę, że zdecydowany na wszystko dowódca mógłby przebić się przez żelazny pierścień wojska, feldmarszałek von Moltke odpowiedział:
— Tak, wiem o tym, Trochu mógłby tego dokonać, ale wiem równie dobrze, że tego nie zrobi.
Tak więc Paryż został otoczony i zaczęło się oblężenie,

Paryskie siły zbrojne liczyły 270 batalionów Gwardii Narodowej, do której wstąpiło pół tysiąca Polaków — rząd francuski odmówił zgody na utworzenie osobnych polskich formacji.
Wszyscy teraz obawiali się szpiegów. Wielu cudzoziemców, z dawna osiadłych w Paryżu, pomówiono o proniemieckie sympatie. Sam nawet wielki Worth, ubierający przecież cesarzową Eugenię, nie uniknął podejrzeń.
Wystarczyła zawieszona na balkonie do wysuszenia sztuka bielizny, by widziano w tym sygnał dla wroga. Wystarczyła świeca błyskająca nocą w oknie mansardy, by mieszkańca oskarżono o dawanie znaków Prusakom.
Antosia nie sposób było utrzymać w domu. Wraz z kolegami pomagał przy robotach ziemnych w fortach otaczających miasto.
— Wiesz co — mówił siostrze z dumą — stu trzydziestu uczniów ze Szkoły Polskiej walczy we francuskich szeregach. Nie pozwolono nam utworzyć własnego wojska — dodawał z goryczą. — Francja tak dba o dobre stosunki z Rosją, że nigdy na to się nie zgodzi. A mamy przecież doskonałych oficerów: generał Hauke-Bosak z Armii Wogezów, Jarosław Dąbrowski, czytaliśmy jego artykuły, Rybiński, Wysocki, Lipowski — sypał nazwiskami, dobrze obznajo-miony z pasjonującym go tematem. — Głupi Francuzi, że tego nie widzą.
Po liście od Miguela Toreno — nie mogła nazywać go inaczej — Róża wytrzymała trzy dni, po czym poszła na bulwar Montpar-nasse.
Pan Hutorowicz przywitał ją zatroskaną twarzą.
— Drogie dziecko — ujął obie jej ręce. — Tak się o panią martwiłem. I nie tylko ja. — Prowadził gościa do fotela. — Co się stało? Dlaczego tak źle potraktowała pani naszego przyjaciela?
— Czy myśli pan, że to lekko utracić kogoś, kto był bardzo bliski?

— Utracić? — zdziwił się pan Hutorowicz.
— Tak, utracić. Czyż sługa przemieniony w królewicza zechce utrzymywać dawne przyjaźnie?
— Panno Różo, co też pani mówi? Jaki królewicz? To przecież Ryszard Żeran, wnuk przyjaciela pani Dziadka. Polak. Bohater. Człowiek wyjątkowy. Oddał wielkie usługi naszej sprawie. Czy pani sądzi, że dla karnawałowego żartu przywdział liberię? Sam

cesarz wielce go ceni, bo też wart największego szacunku. A pani tak...
— pan Hutorowicz trząsł siwą głową, nie znajdując dość mocnych słów potępienia.
Róża słuchała spuściwszy oczy, a to, co mówił stary przyjaciel, zdawało się kruszyć jakiś twardy pancerz ściskający jej serce.
— Czy pani nie zdaje sobie sprawy, jak on panią kocha? Taki człowiek!
— pan Hutorowicz podniósł głos, na policzki wystąpiły mu rumieńce.
— Czy naprawdę wierzy pan, że mnie kocha?
— Cóż to znowu za pytanie? Nie spodziewałem się tego po pani. Doprawdy, nigdy..
— Obawiałam się, że teraz, gdy już nie jest lokajem...
— Nigdy nie był lokajem — przerwał pan Hutorowicz z niezwykłą u niego żywością. — Misja, jaką mu powierzono, wymagała stałej obecności w Tuileriach, kontaktu z cesarzem. To sam Napoleon III zaproponował taką właśnie maskaradę. Cesarz nam sprzyjał, choć nie mógł oficjalnie... Przecież pani wie, że tu, wśród nas, działał wróg.
— Wiem — szepnęła — Damian.
— Tak, Damian, jego cioteczny dziad, a najbardziej na niego zawzięty. Ta zasadzka w Tuileriach... To właśnie Miguel Toreno, prawdziwy Miguel Toreno uratował mu życie i wyrwał z rąk oprawców. O panno Różo, bardzo go pani skrzywdziła.
— Tak — przyznała. — Teraz rozumiem. Ale bałam się... nie chciałam, zęby się nade mną litował...
— Co też pani przychodzi do głowy? — pan Hutorowicz załamał ręce.
— Jak można osądzać go miarą przeciętnego głupca? Mam nadzieję, że pani tego żałuje.
— Bardzo żałuję — przyznała ze skruchą. — Kiedy pan go zobaczy?

— Może jeszcze dzisiaj. Jak wielu Polaków, wstąpił w szeregi Gwardii Narodowej. Jest dowódcą batalionu. Teraz wszyscy mężczyźni młodzi i zdrowi winni przywdziać mundur.
Róża wstała.
— Do widzenia panu. Raz jeszcze dziękuję i przepraszam. Jestem taka szczęśliwa...
— Biedactwo — rozczulił się pan Hutorowicz. — Tyle wstrząsów. A tu nie mamy już koni. Czeka panią ciężka droga.

Nie wyruszyła w tę drogę sama. Gdy weszli do westybulu, służący witał właśnie porucznika w mundurze Gwardii Narodowej.
Pan Hutorowicz skinął na starego i usunął się do dalszych pokojów.
Róża i Ryszard Żeran zostali sami.
W westybulu panował półmrok i dziewczyna miała nadzieję, że „Miguel Toreno" nie dojrzy jej zakłopotania i rumieńców.
— Witam panią — skłonił się podobnie, jak to czynił lokaj.
— Ryszardzie — powiedziała zdławionym głosem, ale nic więcej nie zdołała powiedzieć, gdyż znalazła się w jego ramionach.
— Kocham cię — szeptał — tak bardzo cię kocham, że to aż boli.
— Nigdy mi tego nie powiedziałeś — poskarżyła się, wodząc palcem po białawej bliźnie na lewej skroni „Miguela Toreno".
— Do tych najważniejszych słów w życiu nie chciałem używać obcego języka. Czekałem, aż będę mógł mówić je tak, jak mówię teraz. Będę je przecież powtarzał przez całe życie. Zawsze.
Róża zamyka oczy. Czyż istnieje na tej ziemi większe szczęście? Chyba nie. Czyż istnieją słowa równe tym, które on jej mówi? Zaprawdę, warto żyć, żeby je usłyszeć. Róża nie chce słyszeć nic innego, tylko te dwa słowa. „Kocham cię" — powtarza Ryszard Żeran i Róża wie, że nigdy nie będzie miała tego dość.
Powrót był cudowny, długa droga wydała się zbyt krótka na to wszystko, co mieli sobie do powiedzenia.
Cóż znaczy wojna, oblężenie Paryża, głuche dudnienie dział? Nigdy jeszcze nie było jej tak dobrze.
O wiele za prędko znaleźli się na ulicy Świętego Rocha.
Pani Cordier okiem znawcy oceniła wytworną sylwetkę towarzyszącego Róży oficera. Zelia przyjęła gościa tak, jak gdyby od dawna na niego czekała.

— Dzień dobry, pani Zelio — pozdrowił ją dawny Miguel Toreno.
— Jaka tam pani — mruknęła Zelia, patrząc śmiało w błyszczące „hiszpańskie" oczy. — Dobrze, że pan przyszedł. Czas najwyższy, żeby ktoś zajął się panienką.
— Jaka tam panienka — przedrzeźniała ją Róża.
— Zaręczyliśmy się — oznajmił Żeran. — Nareszcie będę miał prawo opiekować się wami.

— Bardzo się cieszę — Zelia z uznaniem pokiwała głową. — Takie czasy, że bez mężczyzny ciężko.
Tak, czasy stawały się coraz cięższe i coraz trudniej było o żywność. Należało tak gospodarować zapasami, jakie zgromadzono w mieście, by wystarczyło ich jak najdłużej dla dwóch milionów mieszkańców. Każda rodzina otrzymała więc kartki na chleb i na mięso. Przy tym trzeba było kupować te produkty pierwszej potrzeby stale u tego samego piekarza i w tej samej jatce. Chleb można było kupić codziennie, mięso raz na trzy dni, z początku sto gramów na osobę dziennie, potem zmniejszono tę rację do dwudziestu pięciu gramów, by wreszcie z powodu braku mięsa zaprzestać wydawania kartek.
Najpierw na stole pojawiała się wołowina, baranina, a gdy w połowie października zjedzono ostatniego wieprza, żywicielami paryżan zostały już tylko konie.
Nie każdy mógł się przyzwyczaić do tego przysmaku, Róża na przykład nie potrafiła przezwyciężyć obrzydzenia.
— Nie mogę, Zelio, naprawdę nie mogę. Wolę nic nie jeść — odpowiadała na perswazje zmartwionej sługi. — Wierz mi, nie zdołam tego przełknąć.
Co dzień o piątej rano Zelia stawała w długiej kolejce do piekarni i do rzeźnika. Dopiero po dwóch godzinach zjawiał Się oddziałek gwardzistów, by asystować przy sprzedaży i dopilnować porządku, nie dopuszczając do gwałtownych kłótni, a nawet bójek, jakie wybuchały z lada powodu wśród zziębniętych i zdenerwowanych obywateli.
Potem trzeba było iść pod Hale po jarzyny czy po rybę, w sklepach ceny przekraczały możliwości przeciętnej rodziny. — Już sami nie wiedzą, ile brać — zżymała się Zelia. — Wiesz, ile dziś żądają za jajko? Franka. Co ty na to? Za litr fasoli dałam dwa franki. Widziałaś coś podobnego? Za królika chcą dziesięć franków. Cóż miałam robić,

kupiłam. Musisz przecież jeść. Pan Ryszard tak nakazał. Bardzo tego pilnuje. Funt świeżego masła kosztuje pięć franków. Są i ryby, a jakże, naturalnie wściekle drogie. Za niewielkiego szczupaka baba żąda piętnaście franków. Targowałam się, ale nic nie opuściła. Wzięłam, bo przecież pan Ryszard... Ryszard Żeran rzadko pojawiał się na ulicy Świętego Rocha.
Gwardia Narodowa nie próżnowała: zbrojne wypady, podczas których dochodziło do krwawych potyczek, kosztowały życie wielu obrońców Paryża.
Mimo lęku o narzeczonego Róża była szczęśliwa. Żyła oczekiwaniem jego krótkiej wizyty. Raz, gdy stał przed Dziadusiowym talerzem, zapytała:
— Czy wiesz, że twój dziadek posiadał podobny talerz? To właśnie miał być ów znak dla potomków...
— Nie potrzebuję żadnego znaku — przytulił ją do siebie. — I bez tego wiem, jak bardzo cię kocham. Jeśli chcesz, pokażę ci talerz dziadka Zygmunta — dodał po chwili.
— O tak, koniecznie.
— Gdy wypadnie mi wolne popołudnie — obiecał. — Uprzedzam jednak, że czeka cię długi spacer.
— To talerz nie jest u ciebie, na ulicy Catinat?
— Nie — odpowiedział krótko.
Gdy przyszedł po dwóch dniach, zapytała, czy Zelia ma im towarzyszyć.
— Nie trzeba — odparł z uśmiechem. — Tam, dokąd pójdziemy, twoja reputacja nie poniesie najmniejszego szwanku.
Paryż nie był podobny do prawdziwego Paryża. Na ulicach nie spotkali ani jednego zaprzęgu, ani jednego modnego ekwipażu, ani powozu czy karety, nawet najzwyklejszego fiakra. Czasem tylko minął idących wojskowy furgon lub działo, przewożone do któregoś z fortów.
Jakże daleko było tym źle ubranym i wynędzniałym ludziom 0 ponurych twarzach do mieszkańców wesołej stolicy. Przepadły gdzieś gryzetki o zalotnym spojrzeniu, wystrojone dziewczęta 1 studenci w zawadiackich beretach. Dziś studenci ginęli ratując honor Francji, a gryzetki szyły bandaże. Na długo zamilkł beztroski śmiech Dzielnicy Łacińskiej.
Pola Elizejskie przypominały raczej obóz wojskowy niż wytworną arterię obrzeżoną pałacami bogaczy.

Róża już wiedziała, dokąd szli. Tędy prowadziła droga w aleję Cesarzowej.
— Więc talerz Meli... — zaczęła.
— Tak, to talerz dziadka Zygmunta — dokończył poważnie. — Zaraz wszystko ci wytłumaczę.
247
Biały pałacyk był równie głuchy jak Tuilerie. Zapuszczone żaluzje kryły szyby, nie było widać nikogo na dziedzińcu. Tylko z domku odźwiernego dochodziły głosy.
Okazało się, że znano tu dobrze Ryszarda Żerana.
— Byłeś tu? — spytała idąc obok niego do drzwi wejściowych.
— Byłem.
Odźwierny nie robił żadnych trudności z otwarciem domu. Widać otrzymał odpowiednie polecenia.
— Może przewietrzyć pokoje? — zapytał niepewnie.
— Nie warto. My na chwilę.
— A młody pan Narzymski? — spytała. — Nie mieszka tu?
— Jest w wojsku — odparł krótko.
Ogarnął ich półmrok i cisza, jaka panuje w domu opuszczonym przez mieszkańców.
Róża przysunęła się do narzeczonego.
— Tak tu dziwnie...
— Chodźmy na górę do pokoju Meli — zaproponował.
— Więc i tam byłeś?
— Byłem. Różo — przystanął na schodach i obrócił się do niej twarzą. — Widzisz, chcę ci teraz wszystko wyjaśnić, do końca. Raz jeszcze, proszę, wybacz mi te tajemnice, chodziło przecież o zachowanie mojego incognito. Było to konieczne ze względu na zadanie, jakie mi powierzono. Nie gniewaj się na mnie, kochanie.
— Postaram się — odpowiedziała z lekką urazą, zmuszając się do uśmiechu.
Talerz wisiał na dawnym miejscu, tak jak go ostatni raz widziała. Delikatne złocenia lśniły w półmroku, Napoleon patrzył prosto na nich, jak gdyby i on oczekiwał wyjaśnień.
Ryszard Żeran oparł się o kominek, jego głos wydawał się dziwnie daleki, gdy oświadczył:

— Mój cioteczny dziad Damian nazywa się Dobrocki.
— Dobrocki? — powtórzyła nie rozumiejąc. — Przecież to panieńskie nazwisko pani Narzymskiej.
— Tak — potwierdził. — Jadwiga Narzymska jest jego wnuczką.
— Jadwiga Narzymska...
— Jest wnuczką Damiana — powtórzył dobitnie.
— Ryszardzie... — nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Wszystko

było zbyt zawikłane, zbyt tajemnicze, wymagało uporządkowania w samotności i milczeniu.
Niestety, Ryszard nie dał jej teraz czasu na rozmyślanie.
— Matka Meli jest wnuczką Damiana — powiedział twardo. — Tego Damiana, przed którym ostrzegał pan Hutorowicz.
Milczała, a Ryszard patrzył na nią wyczekująco.
— Rozumiesz teraz?
— Rozumiem — skinęła głową. — Biedna pani Narzymska! Być wnuczką Damiana...
— Tak — potwierdził. — To ciężko. Bardzo ciężko. Także i dla mnie — dodał ciszej.
— Mój Boże! przecież i ty... — zdała sobie nagle sprawę z pokrewieństwa łączącego Ryszarda z Damianem.
— I ja dźwigam ten krzyż — zaśmiał się niewesoło. — Dziad Damian nienawidzi mnie, podobnie jak wszystkich Żeranów. Chyba było tak od początku.
— Nazywał pana Żerana ojcem — zauważyła lękliwie. — Wszystko mu zawdzięcza. Jak więc możliwe...?
— Myślę, że nienawidził go tak, jak szatan nienawidzi Boga. Jest uosobieniem zła. Nie zawahał się zniszczyć Zygmunta, choć to jego brat. W imię czego dopuścił się takiej zbrodni? Co nim kierowało? Kiedyś uważano, że uczynił to dla pieniędzy. Ale Zygmunt podzielił się z nim ojcowską schedą. Co więc było przyczyną? Sądzę, że jedynie nienawiść.
— Nienawiść? Za co?
— Ślepa, zimna, bezwzględna nienawiść do wszystkiego, co dobre i szlachetne. Nie widzę innego wytłumaczenia. Musiał zniszczyć wszystko, co dla normalnych ludzi było godne pochwały i szacunku.

Prawdopodobnie taki już się urodził, z tą jakąś moralną skazą, jak inni rodzą się niewidomi czy głusi.
— Czy nie było żadnej rady?
— Owszem. Na podobnego człowieka jest tylko jedna rada: śmierć. Trybunał narodowy skazywał go kilkakrotnie, ale za każdym razem jego przebiegłość i brawura przeszkodziły wykonaniu wyroku. Mścił się potem okrutnie.
— Mój Boże! — jęknęła. — Przecież nie można go zabić! Jest bardzo stary.
— Ale im dłużej żyje, tym bardziej jest szkodliwy.

— Wiem. Byłeś w jego rękach, wówczas, na dziedzińcu Tuileriów...
— Gdyby nie Miguel Toreno — urwał, a po chwili powiedział spokojnie: — Widzisz, on niszczył, a ja usiłowałem ratować. Temu właśnie poświęciłem życie. Ja, ostatni z Żeranów.
— Czy i twój ojciec?
— Mój ojciec też jest jego ofiarą. Och, Różo, nawet nie wiesz, jaki ciężar zrzucam z serca, mogąc ci to wszystko opowiedzieć. Wszystko, całą prawdę, o sobie, o innych... — Ukląkł przy fotelu, na którym siedziała. — Powiedz, że nie chowasz do mnie urazy, żadnej urazy, za nic, powiedz to, moja jedyna.
— Nie chowam — przytuliła do piersi jego głowę. — Wiesz przecież, że to niemożliwe, za bardzo cię kocham.
— Jadzi Narzymskiej też wybaczysz, dobrze?
— Dobrze, najdroższy.
Ryszard westchnął, wtulając twarz w jej ramiona.
— Ojciec mój wywiózł ten talerz do Francji — wskazał Napoleona. — A kiedy urodziła się Mela i Jadzia prosiła, bym został chrzestnym ojcem, podarowałem maleństwu tę pamiątkę. Czy źle zrobiłem?
— Nie, Mela jest przecież twoją kuzynką, talerz pozostał więc w rodzinie.
— Tak. Jadzia i ja mamy wspólną prababkę, Annę Żeranową, primo voto Dobrocką.
— Muszę dobrze rozejrzeć się w twojej genealogii — zauważyła. — Żeby nie popełnić jakiegoś nietaktu. Popatrz, jaką dziwną drogą trafił do

mnie talerz Zygmunta. Szukałam go przecież tak, jak szukałam zaginionego przyjaciela Dziadusia. Nie wierzyłam Meli, gdy mówiła, że jej talerz jest taki sam jak mój. Nie wiedziałam też, że przyjmując ją do mojego domu, przyjęłam tak bliskie mi dziecko. I nie przypuszczałam, że hiszpański lokaj okaże się właścicielem
talerza.
— Do licha z talerzem — zawołał obejmując ją wpół — los i bez niego doprowadził mnie do przeznaczonej mi hafciarki.

250
Siódmego października o godzinie dziesiątej rano, z placu Świętego Piotra na Montmartrze wzniósł się balon. Jedyny środek lokomocji, jaki mógł wydostać się z oblężonego miasta. Z kosza wychylało się dwóch mężczyzn: starszy, Leon Gambetta, minister wojny i spraw wewnętrznych w Rządzie Obrony Narodowej, i młodszy w mundurze porucznika Gwardii. Tylko wtajemniczeni znali jego nazwisko.
Minister Gambetta udawał się z ważną misją do Tours, wioząc rządową proklamację. Należało jak najspieszniej wstrząsnąć otępiałą prowincją, pobudzić ją do zbrojnego czynu, wskazać obowiązek obrony Ojczyzny.
Milczący tłum zebrany na placu, pełen nadziei, żegnał odlatujących. Lekki wiatr kołysał niewielką łódką, w którą utkwione były oczy całego Paryża.
Róża nie spuszczała wzroku z narzeczonego.
Dlaczego właśnie on otrzymał to zadanie? — buntowała się przeciwko jakimś niezrozumiałym rozkazom, którym jej Ryszard musiał być posłuszny.
Antoś z zadartą głową śledził unoszony wiatrem balon. Wiele dałby, żeby znaleźć się w koszu razem z powietrznymi podróżnikami! Dotąd czytał tylko o podobnych przygodach w powieściach Juliusza Verne'a. Ale żeby samemu przeżyć...
— Chodźmy już — Zelia ujęła Różę pod ramię. — Polecieli. Oby szczęśliwie wrócili do domu.
Dziewczynie trudno było odejść z tego placu. Tu przecież widziała Ryszarda po raz ostatni. Pożegnali się poprzedniego wieczoru, bo na oczach wszystkich mógł jej jedynie przesłać uśmiech. Stała wśród tłumu ciekawych, obserwujących z zapartym tchem odlot śmiałków, którzy powierzali życie cienkiej powłoce napełnionej gazem.

W powrotnej drodze Antoś prowadził siostrę.
— Liczę na ciebie, że nie dopuścisz, by Różę spotkało co złego — powiedział Ryszard przy pożegnaniu.
Antoś przyrzekł, dał słowo, jak mężczyzna mężczyźnie.
Zelia poszła do kuchni szykować obiad, chłopiec zabawiał siostrę nowinami, starając się złagodzić jej smutek i niepokój.
Po tygodniu, o zmierzchu, olbrzymia łuna rozpaliła niebo od strony Saint-Cloud. Z objętego pożogą horyzontu śmigały w górę

snopy iskier i płomieni. To płonął pałac, gdzie Lulu spędził ostatnie dni w ojczyźnie.
Róża, Zelia i Antoś wraz z innymi mieszkańcami domu, stojąc na stopniach kościoła, ze ściśniętym sercem oglądali tragiczne widowisko. Fatalność położyła widać rękę na pałacu, dotykając w ten sposób nieubłaganymi palcami członków rodziny Bonaparte.
To właśnie z Saint-Cloud Napoleon wyruszył na podbój Francji, zapoczątkowany zamachem stanu z osiemnastego brumaire'a. Z Saint-Cloud Napoleon III rzucił Prusom wyzwanie.
A Prusy coraz ciaśniej zaciskały kleszcze, w których z trudem już dyszał Paryż.
Kanonada prawie nie milkła. Od ciągłego huku armat drżały i pękały szyby. Trzeba było ciąć papier na długie paski i skrzyżowane naklejać na szkło. To jeszcze choć trochę trzymało je w ramach.
Nadeszły chłody, a z opałem było coraz gorzej. Drewna potrzebowano do kuchni, by ugotować jaki taki posiłek. Tam też przeważnie przesiadywano. Zresztą nie lepiej było z oświetleniem.
Po ciężkich walkach Francuzom udało się zdobyć podparyską wioskę Le Bourget. Był to pierwszy sukces wśród oceanu klęski.
Zjedzono już prawie wszystkie konie. Jedynymi żywymi istotami, które mogły dostarczyć mięsa wygłodniałym paryżanom, były psy, koty i szczury.
Wyłapano bezpańskie zwierzęta, a potem zaczęto chwytać każdego czworonoga, jaki tylko wychylił się na ulicę.
Biada ukochanemu Azorkowi, jeśli na spacerze oddali się nieostrożnie od swojego pana! Nie ma już dla niego ratunku. Biada kotce Minetce, jeśli

zapragnie rozrywki. Pani Pommier tuliła ulubienicę w pulchnych objęciach, bojąc się otworzyć drzwi, by ktoś nie porwał jej na pieczyste. Zaczęto też łapać szczury, wykazując wiele pomysłowości w polowaniu na te gryzonie. Na dłuższy czas oczyszczono miasto z tej plagi.

— Czy zjadłabyś psa w potrawce? — pytał Antoś podczas posiłku zwanego szumnie obiadem. — A może wolisz szczury z rożna? Ja raczej wybrałbym kota w majonezie.

— Przestań, Anto, to zbyt smutne, aby z tego żartować. — Róża wsunęła serwetkę w srebrne kółko.

— Ja nie żartuję — bronił się. — Wyczytałem takie dania na drzwiach restauracji pana Morissot na ulicy Rivoli. Możesz zobaczyć.

Któregoś dnia na kościele Świętego Rocha pojawił się następujący czterowiersz:

„Stawią czoło Prusakom bohaterskie mury. Nigdy wróg głodem nie weźmie Paryża. Mieszkańcy zjedzą konie, a gdy śmierć się zbliża, Aby żyć, zjedzą koty, psy, a wreszcie szczury".

Ludzie czytali, gapili się na pięknie wykaligrafowane, ozdobne litery, uśmiechali się nawet. Nie brakło paryżanom humoru w tak ciężkiej sytuacji, nie tracili ducha, nie poddawali się rozpaczy, zdobywając się na dowcipną strofkę.

Chłód coraz dotkliwiej dawał się we znaki. Zziębnięci i głodni, ludzie zrywali się rano, szli zająć miejsce w długim ogonku przed piekarnią. Czekać wypadało teraz coraz dłużej, w deszczu, w śniegu, na wichrze i mrozie. Chleb — trudno było nazwać chlebem tę ciemną masę, w której znajdowało się wszystko, prócz żytniej czy pszennej mąki — pozostał już jedynym właściwie pożywieniem.

Prusacy bombardowali miasto z dział dzień i noc. Te rodziny, którym od huku powypadały szyby, przeniosły się do piwnic. Tam było cieplej i bardziej zacisznie.

Róża dzieliła z Zelią trudy zakupu chleba. Ona i Antoś na zmianę trzymali wartę przed piekarnią. Gwardia Narodowa nie mogła już zapewnić porządku, żołnierze byli potrzebni gdzie indziej, dochodziło więc do gwałtownych starć, po których słabsi wracali do domu z pustymi rękoma.

Zdawało się, że wyczerpano już wszelkie możliwości udręki, że nic gorszego nie mogło spotkać mieszkańców Paryża, którzy dotknęli dna ludzkiej nędzy.
Wyniszczeni głodem, snuli się ulicami, nie mając nawet siły opłakiwać tych, co nie wytrzymali. Dzieci i starcy marli jak podczas zarazy, a pogrzeby stały się codzienną rzeczywistością paryskiego bytowania.
— Dlaczego Rząd Obrony Narodowej, wbrew zdrowemu rozsad-

i
kowi, kontynuuje walkę? — szemrano. — Dlaczego trwoni olbrzymie sumy pieniędzy i szafuje życiem tysięcy żołnierzy?
Wreszcie po prawie pięciomiesięcznej torturze stolica musiała kapitulować. Nie było już nic do zjedzenia.
— Dlaczego nie zawarto pokoju zaraz po Sedanie? — pytano w rozpaczy. — Teraz dopiero Prusacy postawią nam swoje warunki!
Prusacy postawili warunki: zażądali Alzacji i Lotaryngii oraz pięciu miliardów franków kontrybucji. Sam Paryż po kapitulacji miał zapłacić dwieście milionów.
Na triumfalne wkroczenie wroga stolica ukazała ciemne szyby i opustoszałe ulice. Ciszę mącił jedynie marszowy krok pruskich żołdaków. To pruskie buty biły o bruk Pól Elizejskich. Tylko pałac Paivy przywitał zwycięzców iluminacją.
Paryżanom nie był sądzony spokój. W marcu wybuchło powstanie Komuny. W jej szeregach znalazło się około pięciuset Polaków, wśród nich zdolni oficerowie, niektórzy uczestnicy Powstania sześćdziesiątego trzeciego roku.
Adolf Thiers, zdecydowany niegdyś przeciwnik monarchii absolutnej, aresztowany po zamachu stanu Napoleona III, teraz prezydent Republiki, przeniósł rząd z objętego powstaniem Komuny Paryża do Wersalu. Stutysięczna armia pod wodzą marszałka Mac--Mahona ruszyła na stolicę. Dwudziestego pierwszego maja wer-salczycy — tak nazywano wojska rządowe — wdarli się do miasta. Jak niegdyś, w pamiętnych dniach lipca i lutego, wojna domowa wzniosła barykady, rzuciła braci przeciwko sobie.
Róża z największym trudem utrzymywała Antosia w domu. Wyjście na ulicę groziło śmiercią od zabłąkanej kuli.

Jarosław Dąbrowski, dowodzący jedenastym legionem Gwardii Narodowej na Montmartrze, zginął na barykadzie na ulicy Murha.
Straszny dzień pochłonął tysiące ofiar.
Na koniec w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty maja największy pożar uderzył w niebo Paryża. To gtene-rał Komuny Bergeret, zamknięty w Tuileriach z grupą powstańców, kazał podpalić pałac.
t

Różę w nocy obudziła jasność. Wcale nie trzeba było zapalać świecy. Antoś już stał przy oknie.
— Tuilerie! — zawołał. — Chyba palą się Tuilerie!
— Tuilerie? Niemożliwe. — Trzęsącymi się rękami zapinała suknię.
— To Tuilerie, Różo. — Zelia już ubrana stała w drzwiach sypialni.
— Tuilerie! Moje Tuilerie!
Wybiegli na ulicę. Wszyscy szli w stronę pożaru. Dym przesłonił na chwilę straszliwy widok.
Palił się pawilon Flory, płonął jak pochodnia. Całe skrzydło pałacu wzdłuż ulicy Rivoli lizały płomienie. Stojący w ogniu pawilon de Marsan wyrzucił kłąb czarnego dymu. Wiatr zakręcił żałobnym pióropuszem i przysypał buchające ogniem dachy deszczem iskier. W szeroko otwartych oczach świadków przerażającego widowiska odbijały się blaski pożaru, kreśląc na purpurowym niebie oślepiające arabeski.
We wszystkich oknach jarzyło się światło, jak gdyby zapalono tam tysiące świec w żyrandolach i kandelabrach na jakąś gigantyczną dworską uroczystość.
— Muzeum! Muzeum Luwru! — krzyknął nagle ktoś z tłumu.
— Ratować Muzeum! — podjęli ludzie. — Ratować Luwr! Batalion szaserów i konserwator Muzeum, Henryk Barbet de Jouy, uratowali bezcenne zbiory. Biblioteki jednak nie dało się już ocalić. Siedemdziesiąt tysięcy książek i rękopisów poszło z dymem.
Jaśniej było niż w dzień. Wiatr przynosił żar i swąd spalenizny. Dym owijał posępnym welonem wyniosłe mury, zdające się urągać sile szalejącego żywiołu. Nigdy dotąd żadna iluminacja nie oświetliła tak

doskonale pałacu, wydobywając całe jego piękno. Tuilerie widoczne teraz były jak na dłoni. Kto chciał, mógł podziwiać kamienne koronki renesansowego artysty. Rzeźby Jeana Goujona ożyły, płonące kariatydy skręcały się w męce. Ozdobne lukarny wypluwały kaskady płomieni. Ogień pożerał wszystko: białe odrzwia i rzeźbione futryny, złocone meble i wzorzyste posadzki. Perskie dywany, bezcenne gobeliny, koronki i hafty płonęły niczym stare szmaty. Ramy obrazów z arcydziełami wielkich mistrzów zajmowały się równie łatwo, jak zwyczajne deski.
255
Róża, uczepiona Zelii i Antosia, wykrzyczała całą rozpM
Paliły się przecież Tuilerie, jej Tuilerię! Paliła sięB
i pracownia hafciarki. Nie ma już błękitnego salonu, nieH
netu cesarza, są tylko mury, sterczące jak skały w moiH
Gdybyż jej łzy zdolne były ugasić to całopalenie! chyba do śmierci.
Wraz z Tuileriami ginął oto jakiś świB ficzny i niepowtarzalny, i tak piękny! Ginął na zawsze. j| Nigdy.
A Tuilerie płonęły. Z trzaskiem zapadających się I wśród huku ognia, na oczach bezradnego tłumu, któryj jak przepadają trzy wieki Historii.
MBP Zabrze
nr inw.: K20 - 7060
F 20 IIIp/H
Powieść historyczno poleonem" przenosi c lat Drugiego Cesarstw łacu tuileryjskim — i
królewskich mieszkańców: napuicuna »„„ ^^_____
cesarzową Eugenię i Lulu, następcę tronu — a także w skromnym mieszkaniu polskiego uchodźcy, powstańca z 1831 r., którego wnuki, Róża i Anto, są głównymi bohaterami tej frapującej opowieści.
Kim jest Mela, dziewczynka znaleziona na paryskim cmentarzu Pere-Lachaise, jaką rolę odgrywa tajemniczy hiszpański lokaj z Tuileriów i co łączy go z polskimi spiskowcami — oto pytania, które przykuwają uwagę czytelnika niemal do ostatnich kart książki.
Wojna francusko-pruska z 1870 r. i tragiczna w swych rozmiarach klęska Francji zamykają tę mało u nas znaną epokę.